

841

Bolesław Bork

TWIERDZĄ BYŁ IM KAŻDY PRÓG



TWIERDZA BYŁ IM KAŻDY PRÓG

Bolesław Bork

TWIERDZĄ BYŁ IM KAŻDY PRÓG

Opowieść historyczna

*Najmłodszym obrońcom Wybrzeża
w roku 1939 i uczestnikom kaszubskiej
konspiracji opowieść tę poświęca*

Autor

Wejherowo 1998

Uwaga -



11F11

821.162.1-3

L' kaszubskie

Wydano w roku Jubileuszu 30-lecia Muzeum

Wydano dzięki pomocy finansowej:

Gminy Wejherowo

Gminy Szemud

Miasta Redy

Kółka Rolniczego w Bojanie

821.162.6:929 A/2

Projekt okładki: Joanna Cichocka

Redakcja i weryfikacja językowa tekstów kaszubskich: Justyna Pomierska i Jerzy Treder

Fotografie ze zbiorów:

B. Borka - 1, 2, 4, 5, 8-11, 13-15, 18, 20-25

A. Klejny - 3, 6, 7, 12, 16, 17, 19

ISBN 83-901354-7-7

Praca wyróżniona nagrodą specjalną w II Konkursie im. J. Drzeżdżona w 1997 roku

Wydawca: Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko - Pomorskiej w Wejherowie.

84-200 Wejherowo, ul. Zamkowa 2a, tel. 672-29-56, 672-25-66.

Skład i druk: Drukarnia ACTEN Wejherowo, ul. Parkowa 4

Od autora

Minęło przeszło pół wieku od tamtych krwawych wydarzeń 1939 roku i od mało poznanych i wciąż kontrowersyjnych, często źle ocenianych lat konspiracji kaszubskiej. Niedostatecznie poznany, stąd niedoceniany jest wkład młodzieży, a szczególnie harcerzy, w walkę z agresorem i okupantem niemieckim w latach drugiej wojny światowej. Mam nadzieję, że opowieści zawarte w publikacji zatytułowanej „Twierdzą był im każdy próg” przybliżą ten okres walki, poświęcenia, bohaterstwa i patriotyzmu tak dzisiejszej młodzieży, jak i wchodzącemu w życie nowemu pokoleniu.

Większość zdarzeń i faktów podanych w opowiadaniach opartych zostało na przeżyciach autora, który brał czynny udział w obronie Wybrzeża i w niektórych formacjach konspiracji antyhitlerowskiej. Pozostałe epizody osnute są na relacjach uczestników tych wydarzeń i na dostępnej autorowi literaturze oraz na dokumentach archiwalnych. W opowiadaniach przedstawiono także sytuacje, miejsca i osoby, które są wytworem fantazji autora, choć i te nie są pozbawione autentyzmu.

Fragment tej pracy, tylko w połowie wtedy napisanej, otrzymał specjalne wyróżnienie w II Ogólnopolskim Konkursie Prozatorskim imienia Jana Drzeżdżona w 1997 roku.

Rozdział I

W Wolnym Mieście Gdańsku

Ta jasność w pokoju i ten ustawiczny zgrzyt nie pozwalał mi długo zasnąć, choć byłem ogromnie zmęczony podróżą z Cierzni do Gdańska. Na dodatek drażniła mnie kołysząca się w świetle ulicznej lampy długa czerwona flaga z białą, owalną plamą w środku i czarnym, połamanym krzyżem, odbijającym się złowieszczo na tle tej bieli. Podobnych flag w tym dniu, który niebawem miał się skończyć, pojawiło się na domach tego miasta bardzo wiele. Nazajutrz na Długim Targu odbyć się miała jakaś hitlerowska uroczystość, na którą Zyguś – mój i Sławka kuzyn – chciał nas zaprowadzić. Tymczasem owa flaga, zwisająca z domu po przeciwnej stronie ulicy, popychana bryzą najwyraźniej kpiła sobie ze mnie i z mojej nieporadności w tym starym, tysiącletnim mieście. Ale czy tylko ze mnie?

– Przecież Gdańsk, choć oddany pod nadzór Ligi Narodów, z opanowanym przez hitlerowców senatem, był odwiecznie polskim miastem – półgłosem potwierdziłem swoją myśl. Jakim więc prawem panoszą się tu bezkarnie hitlerowcy? Co tu robią i co mają oznaczać ich znieprawdzone flagi?

Spojrzałem na Sławka, któremu ciocia przygotowała posłanie na tapczanie. Spał jak suseł, podobnie jak nasz kuzyn Zyguś w swoim łóżku. Zgrzyt toczących się po szynach tramwajów stawał się w miarę upływu czasu coraz rzadszy, aż około północy ustał zupełnie. Również flaga, powieszona na urągowisko temu miastu, znieruchomiała w nocnej mgłę. Usnąłem.

Obudziło mnie szarpnięcie. To Zyguś, już umyty, ubrany, z nutką podenerwowania w głosie mruczał nade mną i zachęcał wzrokiem do opuszczenia „węrow”.

– Mielśmy pójść do miasta – ponaglał mnie z uśmieszkiem, tym swoim przemiłym

grymasem-uśmiechem. – Przecież chciałeś zobaczyć hitlerowskie parady – dodał po chwili.

Z pewnym zażenowaniem wyskoczyłem z pościeli i rozpocząłem się nieskładnie tłumaczyć z mojego przydługiego spania, ale Zyguś machnął tylko ręką, jakby chciał powiedzieć: – Nieważne – i z nietajoną zawiścią głośno rzekł:

– Jesz spuchną wama oczę od těch fręcowszcich węglępów.

Zyguś był uczniem pierwszej klasy polskiego gimnazjum w Wolnym Mieście Gdańsku. Należał do gimnazjalnej II Drużyny Harcerskiej im. Stefana Batorego. Miał wspaniałą mundurek harcerski, ale ostatnio nosić go nie mógł, gdyż bojówkarze z Hitlerjugend napaścowali polskich harcerzy na każdym kroku. Wiosną tegoż 1939 roku on i kilku jego kolegów z Polonii Gdańskiej zostało napadniętych na Targu Drzewnym i dotkliwie pobitych. Zyguś miał ranę ciętą na głowie i cały mundurek splamiony krwią. Dostał nowy, ale ciocia Zofia nie pozwalała mu go nosić po mieście, żeby nie drażnić – jak to określała – hitlerowskich bówków. Bówkami Kaszubi nazywali tych najgorszych łobuzów z Hitlerjugend.

Po skromnym śniadaniu – jak ciocia nazywała te wspaniałe bułki z przyniesionym wczoraj przez moją mamę wiejskim masłem – zbiegliśmy schodami na ulicę. Na odchodnym ciocia Zofia wcisnęła Zyguśowi do ręki guldena i nakazała:

– A kup tim knöpóm cioci Stazji jaczész bómczi i pamiętzi, ale naszę, polscię.

To my byliśmy tymi chłopcami, z kaszubska „knöpami”, a ciocia Stazja to była nasza mama, która wczoraj przywiozła nas do Gdańska, żeby Zyguś pokazał kuzynom miasto, port i morze. Zyguś od połowy lipca był u nas w Cierzni, pasł bydło i pomagał przy żniwach. Prawie codziennie kąpaliśmy się w jeziorze Zawiat, często hasaliśmy po „les-ócczych” lasach, które kiedyś stanowiły część Puszczy Darżlubskiej. Już dawno rodzice obiecywali mnie i Sławkowi, że pojedziemy do Gdańska, do naszej kaszubskiej stolicy. Zyguś długo nalegał, aż wreszcie 23 sierpnia mama odwiozła naszą trójkę tutaj do swojego brata, a naszego wujka, który był polskim kolejarzem.

– Guten Morgen – grzecznie uklonił się Zyguś dozorczy, który zamiatał chodnik przed bramą domu.

– Co to znaczy „Guten Morgen”? – zwrócił się do Zygusia zawsze ciekawy Sławek.

– A to tyle, co nasze „dzień dobry” – wyjaśnił kuzyn. Ale szepcząc dodał, że w ten sposób można pozdrawiać tylko ludzi znanych, zaprzyjaźnionych, takich, co nie trzymają z hitlerowcami.

– Czemu ty tak cicho mówisz? – dziwił się Sławek, patrząc podejrzliwie to na Zygusia, to na mnie.

– A bo tu niebezpiecznie mówić po polsku – krótko wyjaśnił kuzyn i znowu uklonił się bez słowa jakiejś paniusi, która sztywno szła chodnikiem i dumnie odpowiedziała:

– Heil Hitler!

O mało nie parsnąłem ze śmiechu, ale powstrzymałem się w porę, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mogłem na nas sprowadzić. Akurat przez ulicę przechodziło dwóch roślących drabów w żółtych mundurach ze swastykami, tymi połamanymi krzyżami na opaskach przyczepionych na rękawach lewej ręki. I tak cała ta przygoda skończyła się dla nas pomyślnie, bo zajęci rozmową hitlerowcy nie zauważyli, że przy pozdrowieniu owej sztywnej paniusi nie podnieśliśmy ich zwyczajem prawej ręki do góry. Tylko taki Gruss, czyli pozdrowienie, żarliwi wyznawcy Hitlera uznawali.

Przechodząc przez plac Heweliusza, na dużym czerwonym gmachu zauważyłem tabliczkę z białym orłem, a pod nią drugą z napisem: Polski Urząd Poczta-Telegraficzny Gdańsk I. Ogarnęła mnie wielka duma, że w tym niespokojnym mieście, pełnym faszy-

stowskich flag, majestatycznie rozpostarł swe skrzydła nasz polski orzeł.

– Czemu ta skrzynka je zachlaponą czorną farbą? – zapytał Sławek, wskazując na polską skrzynkę listową, zawieszoną na ogrodzeniu przed gmachem urzędu. Rzeczywiście, nasze godło i polski napis na czerwonej skrzynce były pomazane jakąś ciemną farbą.

– To nie tylko ta – wyjaśnił mu kuzyn – ale prawie wszystkie polskie skrzynki pocztowe w Gdańsku zostały tak urządzone przez fanatyków hitlerowskich.

Zegar na wieży ratuszowej wybijał godzinę dziewiątą, gdy z bocznej uliczki weszliśmy na ulicę Długą. Tu był wielki tłok. Setki ludzi podążało w kierunku Motławy, zapewne na zapowiadziany na dziś wiec hitlerowców gdańskich. Przeważali ludzie w mundurach: złotych, czarnych i zielonkawych. Paradowali ze sztywno podniesionymi głowami, z zadartymi ku niebu przednimi rantami czapek, na których – jak to pocieszenie określił Sławek – siedziały rozczapierzone gapy, te zdeformowane hitlerowskie orły, a u niektórych złowrogię trupie czaszki.

Oto przedstawiciele nowego „Ordnungu”, czyli porządku w Gdańsku i nie tylko tu, szli hałaśliwi, dumni, pewni siebie, pogardliwie spoglądając na cywilów. Szli, by powitać innych przedstawicieli Herrenvolku, narodu panów, którym śniła się Polska, Europa i cały świat.

Gdy przechodziliśmy obok ratusza, Zyguś dyskretnie wskazał wzrokiem na wyrzeźbione w portalu głównego wejścia dwa lwy, trzymające w łapach herb miasta.

– Czy wiecie, dlaczego oba lwy patrzą w kierunku Złotej Bramy na Drogę Królewską?

Widząc nasze niepewne miny podszedł bliżej i wyjaśnił cicho:

– Wypatrują Polski tak jak dawniej, kiedy tuż przed drugim rozbiorem zostały wykonane. Wówczas oczekiwaly od tej strony polskiego króla.

Weszliśmy na Długi Targ. Dzień był ciepły, niebo bez chmur. Tu w królestwie władcy mórz, w otoczeniu wysokich, pięknych kamienic byłoby duszno, gdyby nie orzeźwiająca mgiełka unosząca się wokół fontanny Jantara. Przykuła ona uwagę Sławka.

– Czemu ten naguszczi człowiek zamierzoł się na nas widłami? – zapytał.

– Po pierwsze to nie widły, a rybacka oścień – wyjaśnił Zyguś – a po drugie, to nie jest człowiek, a bóg głębin morskich, dlatego jest nagi. Nikt, kto kąpie się i przebywa w wodzie nie jest ubrany, a tym bardziej stały mieszkaniec Bałtyku, Neptun.

Zyguś wprowadził nas na ozdobne przedproże, gdzie nie było aż tylu ludzi i poinformował, że metalowe, złocone orzełki polskie, umieszczone na drzwiczkach kraty okalającej fontannę, zostały wyłamane przez bojówkarzy Hitlerjugend. Chcieli też strącić z wieży ratuszowej posąg króla Zygmunta Augusta, ale tej sztuki dokonać nie potrafili.

Na Długim Targu ciągnęły się szeregi hitlerowskich partyjniaków, policji i Hitlerjugend, do których przemawiał jakiś dygnitarz. Po obu stronach oddziałów mundurowych stał podniecony tłum gapiów, który razem z nimi co pewien czas skandował: Heil Hitler! Heil! Kiedy orkiestra zagrała jakiś buńczuczny marsz, nasza trójka wyrwała się z tłumy i podążyła uliczkami Starego Miasta nad Motławę.

Drugiego dnia pobytu w kaszubskiej stolicy Zyguś zaproponował nam wyjazd do Neufahrwasser, czyli Nowego Portu, gdzie gdańszczanie mieli powitać jakiś niemiecki okręt. Na miejsce dojechalśmy koleją przez Zaspę i Brzeźno. Udało nam się wdrapać na jakieś belki ułożone pod płotem. Stąd mieliśmy wgląd na Martwą Wisłę, Kanał Portowy i leżące po przeciwnej stronie Westerplatte. Nad kanałem stały znowu długie szeregi umundurowanych gdańszczan i te rozwydrzone tłumy.

Martwą Wisłą płynął w naszym kierunku opancerzony okręt, z którego wystawało wiele luf różnej grubości. Załoga stała w zwartych szeregach przygotowana do powitania ze-

branych tłumów. Kolos w miarę zbliżania się rósł w oczach. Sławek zdołał odczytać jego nazwę. Z trudnością wymówił obce słowa: Schleswig-Holstein. Na okręcie powiewały hitlerowskie flagi i pstrokate galowe proporczyki. Orkiestra na nabrzeżu zagrała jakiś marsz, chyba niemiecki hymn narodowy. Marynarze na okręcie salutowali.

Patrząc na to widowisko czułem, że coś chwytą mnie za gardło, że ogarnia mnie dziwny niepokój, niepewność i potęgująca w duszy złość. U nas w domu, w naszych gazetach, w radiu u nauczyciela mówiło się, że jesteśmy zvarci i gotowi, że nasze siły zbrojne, nasze kochane wojsko wyposażone jest w nowoczesną broń, a Niemcy mają stary sprzęt bojowy. Pisało się i mówiło, że Hitler nie odważy się zaatakować Polski związanej trwałymi sojuszami z Francją i Anglią. Zapewniano nas, że Niemcy tylko straszą, że robią wokół Gdańska i Pomorza wiele szumu, ale wycofają się ze swoich żądań przyłączenia Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy i przeprowadzenia magistrali komunikacyjnej przez Pomorze z Niemiec do Prus Wschodnich, i że zostawią korytarz pomorski w spokoju. Jednak to, co zobaczyłem obecnie w Gdańsku, świadczyło o czymś zupełnie innym.

Wiedziałem ze szkoły, że na Westerplatte, gdzie znajdują się wojskowe składy tranzytowe, czuwają nasi żołnierze. Co oni tam, niedaleko stąd, za kanałem, czują, gdy patrzą na niezdobną z prawem wizytę niemieckiego pancernika w porcie gdańskim? Na pewno się nie boją, choć wiedzą, że przeciwnik jest groźny i dobrze uzbrojony, wiedzą już, że obrona tego skrawka ziemi nad Zatoką Gdańską będzie trudna.

– Zmetlałé mie nodzi! – głośno odezwał się Sławek zapomniawszy, że w Gdańsku niebezpiecznie mówić po kaszubsku. I rzeczywiście skierowały się na nas, stojących wysoko na belkach, zawiste oczy cywilów i odezwały się zjadliwe, nieprzyjazne głosy, których treści nie rozumiałem, ale sens wyczułem. Szczęście, że otaczali nas sami cywile.

Zyguś trącił nas w zebra i dał znak oczami, żeby się stąd wynieść. Nie trzeba nam było tego dwa razy powtarzać. Ja przynajmniej miałem dość tej hitlerowskiej demonstracji siły i bałem się zawistnych ludzi, podnoszących co rusz z takim namaszczeniem i butą rękę do hitlerowskiego pozdrowienia. Czułem podświadomie, że ręce te zdolne są do zadawania ciosów, do morderczych czynów.

Kiedy znaleźliśmy się w wąskich uliczkach starego miasta, ośmieliliśmy się rozmawiać ze sobą po kaszubsku. W mieszkaniu zastaliśmy wujka Walerego, który wrócił z nocnej zmiany, ale zaraz miał wracać. Był wyraźnie podniecony i zatroskany. Nalegał, by ciocia Zofia jak najprędzej udała się z nami wszystkimi do Cierzni, bo tu zaczynało się naprawdę niebezpiecznie. Opowiadał ciotce i mamie o jawnych atakach hitlerowskich bojówek na polskie urzędy, szkoły, siedziby organizacji i na ludzi noszących polskie mundury. Wybijano Polakom szyby w mieszkaniach i grożono im na każdym kroku. Władze polskie zalecały, żeby wysłać rodziny w głąb kraju, zaś starsi harcerze mieli stawić się w Gdyni, by pomóc wojsku w przygotowaniu pozycji obronnych i nie narażać się tu na mściwe wybryki. Wujek uważał, że wojna wisi w powietrzu.

Ciocia nie chciała o tym słyszeć, ale mama i Zyguś nalegali. Moja matka chciała być jak najprędzej w domu, zaś Zyguś w Gdyni. Chciał bowiem jak najszybciej wykonać zalecenie zwierzchników harcerstwa. Mnie również zależało na tym, by natychmiast być w domu, bo zbliżał się termin rozpoczęcia nowego roku szkolnego. Miałem zacząć naukę w trzeciej klasie wejherowskiego gimnazjum imienia Króla Jana III Sobieskiego.

– A jak by doszło do wojny – zwierzyłem się Zygusiowi – to wołałbym być wśród swoich, bo tam mógłbym się na coś przydać – mimo swoich niespełna siedemnastu lat, o których oczywiście wołałem nie wspominać.

– Jô chcę téż dodóm – prosił Sławek, wyczuwając zapewne nieprzyjazną atmosferę w

mieście.

Dzień następny, który miał być ostatnim dniem naszego pobytu w Gdańsku, spędziliśmy na zwiedzaniu atrakcyjnej katedry oliwskiej. Ale zanim wyjechalibyśmy tramwajem do Oliwy, przejrzałem bogatą biblioteczkę kuzyna. Sławka więcej interesowały zabawki Zyguśia, które odnalazł w kartonie za tapczanem. Chyba Zyguś sam mu je podsunął, byśmy mieli spokój podczas przeglądania książek, bo ciągle pytania malca już go denerwowały.

– My w wejherowskim gimnazjum mamy własne pisemko „Świt” – pochwaliłem się przed kuzynem. – Wydrukowano w nim mój wiersz o rybakach i prządkach kaszubskich – dodałem.

Zyguś miał do mnie pretensję, że mu tego wiersza nie pokazałem w Cierzni. A ja o tym zapomniałem.

Podróż tramwajem sprzed dworca głównego przez Wrzeszcz do Oliwy była dla mnie denerwująca. Słyszac zgrzyt kół, zaraz kojarzyłem go z długimi flagami zwisającymi na domach, ze złowieszczym, czarnym, połamanym krzyżem. Wzbierała we mnie nienawiść do tych symboli, do tych pychą przepelnionych nadludzi, którzy swoją przestrzeń życiową upatrzili sobie na polskiej ziemi. Ale my nie oddamy im naszej kaszubskiej ziemi, nawet guzika nie damy! Nasza bojowa armia, na której dozbrajanie rodzice moi i wszyscy Polacy składali zboże, pieniądze i kosztowności, poradzi sobie z nimi. Moja mama dała nawet zaręczynowy pierścionek na Fundusz Obrony Narodowej. W klasie zebraliśmy prawie sto złotych na ten cel.

– Co za dzywny las w ti Olëwie? – dziwił się Sławek. – Tële w nim dzywacznych drzewów? A w tim lese roscą taczé jinszé kwitëczi.

– Niemądry jesteś – powiedziałem. – To nie las, a park. Parki są po to, żeby w nich rosły rzadkie, zagraniczne drzewa, ozdobne krzewy i rośliny kwiatowe – wyjaśniłem mu chyba za bardzo naukowo.

Po przejściu oliwskiego parku, okrążeniu wysokich murów starej budowli, znaleźliśmy się przy bramie oliwskiej katedry. Po schodach zeszliliśmy do głównej nawy. Tu panowały półmrok i głucha cisza, a ludzie snuli się po świątyni jak cienie.

Zyguś zaprowadził nas przed prezbiterium i pokazał stare malowidła przedstawiające postacie książąt pomorskich. We wnętrzu tej wielowiekowej pomorskiej świątyni wyczuwało się historię, prawie dotykało jej się wzrokiem, palcem nieomal. To bogactwo wyposażenia: dawne rzeźby, stare malowidła i sprzęty, łacińskie i polskie napisy – wszystko to przenosiło odwiedzających w dawne wieki. Przynajmniej tak to odczuwałem. Zdawało mi się, że czas cofnął się tu o setki lat. Przypomniały mi się poznane w szkole wydarzenia historyczne, choćby to, że w 1660 roku podpisano w przyległym do katedry klasztorze pokój oliwski. Ponoć w komnacie, w której ten dokument został przez królów podpisany, znajduje się użyty w czasie tego historycznego wydarzenia stół. Chciałem go zobaczyć, ale zdawałem sobie sprawę z tego, że dopóki tu panoszą się hitlerowcy, jest to niemożliwe.

Przed opuszczeniem świątyni Zyguś zwrócił uwagę na przepiękne organy, zajmujące całą tył katedry.

– Macie przed sobą jedne z największych i najwspanialszych organów w Europie – zakomunikował z nietajoną dumą.

– A cë, diöchlë – odezwał się dość głośno Sławek, ale w mig połapał się, że kłąć – i to jeszcze w kościele – nie można, więc szeptem zapytał: – A ti aniółkowie, co obsedlë organë i trzimią trąbczi przë gëbach, napröwdë grają?

– Grają, grają – roześmiał się Zyguś. – Niektóre poruszają trzymanymi w rączkach dzwonekami, inne podnoszą swe trąbki do góry, kiwają głowami. Organy są wówczas jak

żywe, a dźwięki wydają się tak silne i przejmujące, że człowiek staje jak wryty, obezwładniony tym misterium tonów.

Wspaniałe objaśnienia przerwał Sławek kolejnym pytaniem:

– A co to je misterium?

Spojrzelśmy na siebie z uśmiechem, a Zyguś zamiast wyjaśniać to trudne słowo, rozkazał:

– Idziemy!

Wracaliśmy do pętli tramwajowej inną trasą. W pewnym momencie Zyguś zatrzymał się i uważnie przeczytał wywieszkę na restauracyjnych drzwiach:

– Für Hunde und Polen... – mamrotał pod nosem, jeszcze raz spojrzął na napis i energicznie pchnął nas do przodu.

– Co mu się stałe? zapytał Sławek.

– Nie chce, żebyśmy ten napis przeczytali – burknąłem do niego.

Po przejściu kilkudziesięciu kroków, uspokoiwszy zdenerwowanie, z hamowanym oburzeniem Zyguś nam wyjaśnił:

– Moi drodzy! Czy wiecie, co na tej wywieszce napisali? Otóż nie wiecie?! To jest oburzające! Psom i Polakom wstęp wzbroniony!

To zdarzenie popsło nam przyjemność tak dobrze zapowiadającej się wyprawy. Prawie w milczeniu dobrnęliśmy do domu Zygosia, na ulicę dziś zwaną Wały Piastowskie, skąd był widok na centralny dworzec kolejowy. Cioci również popsuliśmy humor opowieścią o wstrętnym napisie.

– A dze moja mēma? – po chwili zapytał Sławek.

Ciocia wyjaśniła, że przy dworcu przypadkowo spotkała Julisa od Ruchniewiczów z Cierzni, a ten jej powiedział, że wasz tata poszedł kopać rowy strzeleckie koło Reszek. Szybko się spakowała i pojechała z nim do domu pilnować gospodarstwo. Sławka ta wiadomość zatkała.

– Nie ma co – powiedziała ciocia po pewnym czasie. – Jutro jedziemy wszyscy do waszego domu.

Wujek, który wpadł na obiad, z widoczną ulgą przyjął decyzję cioci Zofii.

– Będę przynajmniej o was spokojny – rzekł na odchodnym.

Nie wyjechaliśmy z Gdańska następnego dnia. Po prostu ciocia nie zdążyła należycie zabezpieczyć mieszkania, które przecież zamierzała opuścić na dłuższy czas.

– Jeszcze zdążymy – uspokajała nas co chwila.

Z dużymi tobołami, żegnani przez wujka Walerego, odjechaliśmy z dworca gdańskiego w kierunku Sopotu 28 sierpnia. Pożegnanie było smutne, pełne złych obaw. Jakiś nieokreślony smutek ogarnął wszystkich i towarzyszył nam nawet w pociągu.

Złe przeczucia sprawdziły się niebawem. Na granicy hitlerowcy gdańscy początkowo nie chcieli w ogóle nas puścić, ale później, po wielu targach i prośbach, wyjaśnieniach i zapewnieniach, zdecydowali się przepuścić ciocię ze mną i Sławkiem. Ciocia mogła nas odwieźć do Cierzni, ale najpóźniej w 48 godzinach miała wrócić do Gdańska pod groźbą zarekwirowania mieszkania. Zyguś musiał pozostać w Gdańsku.

Ta decyzja oburzyła mnie do tego stopnia, że zawyrokowałem: – Ja też zostanę w Gdańsku!

Dlaczego tak postąpiłem, nie wiem. Chyba na przekór Niemcom, a może dla potwierdzenia wielkiego przywiązania do mojego kuzyna. Ciocia wobec mojej stanowczej decyzji była bezradna i odjechała ze Sławkiem pociągiem w kierunku Gdyni.

Wróciliśmy z Zygiem do Gdańska. Gdy wujek się o tym dowiedział, najpierw wpadł

w złość, choć nie wiadomo na kogo: na nas, na hitlerowców, czy na samego siebie, że nas nie odprawił wcześniej. Szybko się uspokoił i powiedział:

– No dobrze. Dopóki nie wróci mama, proszę nigdzie nie wychodzić.

Ciocia wróciła następnego dnia w godzinach popołudniowych. Była bardzo zatroskana. Moi rodzice ogromnie martwili się i byli niepokieszeni z powodu mojej decyzji pozostania w Gdańsku, na tej beczie prochu, jak Wolne Miasto Gdańsk określali Kaszubi i wujek również.

Co miałem innego zrobić? Przecież solidarność harcerska nie pozwalała mi zostawić Zygusia samego w tym mieście nienawiści i zdrady, potępienia wszystkiego, co polskie. Harcerze nie uciekają jak szczury z zagrożonego okrętu. Nie żałowałem mojego czynu, choć serce rwało się w rodzinne, kochane strony.

Wieczorem, zanim zmorzył nas sen, po długich rozmowach postanowiliśmy na wypadek tego najgorszego, to jest wojny, podjąć w jakikolwiek sposób walkę z wrogiem naszej Ojczyzny. Jak ta walka miała się przedstawiać, nie wiedzieliśmy, ale walczyć chcieliśmy zgodnie z hasłem harcerskim ostatnich czasów: Twierdzą nam będzie każdy próg!

W czwartek, ostatniego dnia sierpnia, Zyguś udał się do swojej szkoły, by zorientować się, co robią jego koledzy, gdzie i kiedy odbędzie się inauguracja nowego roku szkolnego. Dopiero teraz, gdy Zyguś o tym powiedział, w pełni uświadomiłem sobie, że i ja przecież muszę 1 września być w szkole w Wejherowie. Uzgodniliśmy z ciocią, że jutro wczesnym rankiem wyjedziemy na rozpoczęcie roku szkolnego bezpośrednio do Wejherowa. Ciocia uważała, że w zaistniałej sytuacji uroczystości nie potrwają zbyt długo i zdążę tego samego dnia przywieść z Cierzni do konwiktu potrzebne w szkole kłamoty.

Zyguś wrócił ze szkoły bardzo zatroskany. Prawie wszyscy jego koledzy z drużyny harcerskiej udali się zgodnie z wcześniejszym zaleceniem do Gdyni. O rozpoczęciu nauki w nowym roku szkolnym nic nikt konkretnego nie mógł powiedzieć. Polacy z dnia na dzień byli coraz bardziej prześladowani, kilku polskich profesorów aresztowano. Zuchwalstwo hitlerowców doszło do takiego stanu, że nikt, kto czuł się Polakiem, nie mógł być pewien swojego losu. Mógł liczyć na najgorsze.

O zmroku wpadł do domu po raz drugi tego popołudnia wujek. Był wyjątkowo w cywilnym ubraniu. Domyślaliśmy się, że robi to dla własnego bezpieczeństwa. Przyniósł bilety na jutrzejszy wyjazd. Stanowczo domagał się, żebym z ciocią jutro wyjechał i żebyśmy na razie do Gdańska nie wracali.

– Dam sobie radę z Zygusiem – tłumaczył. – Ostatnio skończył przecież 16 lat i obejdzie się bez matczynej spódnicy.

Widziałem jednak po cioci, że nie słucha wujka i byłem pewien, że wróci do rodziny, na swoją placówkę. Byłem również w wielkiej rozterce: tam w kraju wzywają mnie obowiązki, tu trzyma mnie przyjaźń z moim kuzynem i jeszcze coś więcej. Ale postanowiłem wyjechać.

Tramwaje i tego wieczora zjadliwie zgrzytały, a owa nienawistna flaga wciąż drwiła z mojej niemocy. Zyguś długo w noc robił remanent i porządki w swoich szkolnych przyborach i książkach. Miał ich wielokrotnie więcej niż ja. Przed północą zdążyłem zasnąć. Nie wiem, jak długo już spałem, ale nagle obudziło mnie bardzo silne łomotanie do drzwi.

– Polizei. Aufmachen! – usłyszałem. – Schneller aufmachen!

Szybko otworzyć, policja – tyle zrozumiałem i zerwałem się na równe nogi. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co ze sobą począć. Zyguś, który niedawno zgasił światło i zaledwie zdążył się położyć, zerwał się i zaczął szybko się ubierać. Do ciemnego pokoju wpadła ciocia.

– Szybko, ubierajcie się i uciekajcie! O, tędy przez okno w ubikacji na daszek szalarka i do ogrodu sąsiadów.

Łomotanie powtarzało się i było coraz intensywniejsze. Byliśmy już ubrani, gdy ciocia odezwała się do intruzów, którzy byli zdolni wyważyć drzwi. Gdy zapaliła na dole światło, byliśmy już na jabłonce sąsiada. Zanim otworzyła hałaśliwym natrętem, zamknęła okienko w toalecie i drzwi do naszego pokoju, w którym byliśmy przed chwilą.

Do mieszkania wtargnęło – widzieliśmy to przez liście i firanę – kilku dryblasów w mundurach policji i SS. Jeden z nich uderzył ciotkę w twarz zapewne za to, że tak długo zwlekała i nie otwierała. Splądrowali i zdemolowali mieszkanie. Obeszli wszystkie pomieszczenia, najwyraźniej kogoś szukając. Chodziło pewnie o Zygusia, którego w mieszkaniu nie znaleźli. Jeden z żandarmów kilkakrotnie zamierzał się na ciotkę, ale jej powtórnie nie uderzył.

Cała ta rewizja trwała kilkanaście minut, ale nam, ukrytym na jabłonce, zdawało się, że wlecze się godzinami. Ściskałem kuzynowi mocno ramię w chwilach, gdy hitlerowscy oprawcy szturchali i zamierzali się na jego matkę. Byłem świadom tego, że może nie wytrzymać nerwowo i pośpieszyć jej na ratunek.

Zabrali ciotkę Zofię i powiedli ją w ciemną noc...

– Co robimy? – ochłonawszy z pierwszego przerażenia, odezwał się Zyguś. – Do mieszkania wrócić nie możemy. Oni mogą powtórzyć rewizję.

– Wiem – oświadczył po chwili kuzyn. – Uciekniemy do mojej stryjenki na ulicę Oliwską w Nowym Porcie.

Tak też zrobiliśmy.

Z ogrodu wydostaliśmy się na pustą ulicę i chyłkiem podążyliśmy najpierw w kierunku zachodnim, a później na północ. Biegliśmy ulicą, na przelaj przez pola, opłotkami i tylko Zygusiowi znanymi przejściami.

Przed jakąś kamienicą w ogródku usłyszeliśmy tumult, później krzyki i płacz, to znów przerywane szlochaniem. Przycupnęliśmy w krzakach bzu. To grupa hitlerowców wyprowadziła z domu dwóch mężczyzn i kobietę. Popychając pojmanych kołbami, darli się od czasu do czasu, zmuszając ich do pośpiechu. Kobieta głośno płakała.

– A więc nie tylko matkę aresztowali – jakby na pocieszenie wykrztusił Zyguś.

– Tak, to jest jakaś większa akcja – dodałem.

Rzeczywiście, podczas naszej nocnej ucieczki zaobserwowaliśmy jeszcze kilka podobnych scen. Wywlekano ludzi z mieszkań i pędzono jak najgorszych przestępców w nieznaną. Po wyzwiskach kierowanych pod adresem aresztowanych można było łatwo zorientować się, że byli to wyłącznie Polacy.

– Miał wujek rację – stwierdziłem smutno.

– Tak, tata przeczuwał, że stanie się coś strasznego w tym mieście i dlatego chciał nas koniecznie wysłać do Cierzni.

Noc była pogodna i ciepła. Nad miastem w bladej poświacie księżycy unosiły się jakieś nieokreślone postacie i z rozpaczy czy bólu wily się jak w ukropie. Jęków nie słyszałem, a tylko ów zgrzyt tramwajowych kół włócił się za mną jak potępienie. Bałem się.

Szczęśliwie dotarliśmy na miejsce. Przez dziurę w ogrodzeniu dostaliśmy się na podwórko posesji, w której na piętrze mieszkała stryjenka Zygusia. Ostrożnie, wzdłuż ogrodzenia, następnie pod osłoną muru, dotarliśmy do bramy wejściowej. Na klatce schodowej paliło się światło, które dla zwiększenia bezpieczeństwa Zyguś zgasił. Często tu przebywał i znał doskonale rozkład budynku. Dotarliśmy do drzwi. Ku naszemu zdziwieniu były otwarte.

– Pewnie i tu byli – przeleciało mi przez myśl, ale Zygusiowi nic nie powiedziałem.

Stryjenka mieszkała sama w niewielkim pokoiku z kuchnią i balkonem. W przedpokoju paliło się światło i na pierwszy rzut oka przekonałem się, że moje przypuszczenie było trafne. Jakżeby pozostawili polską nauczycielkę w spokoju? Stryjenka była też działaczką organizacji Gmina Polska – Związek Polaków. O tym dowiedziałem się od Zygusia nieco później.

Z niedowierzaniem i smutkiem mój towarzysz obejrzał bałagan pozostawiony we wszystkich pomieszczeniach, a szczególnie w pokoju. Zajrzeli wszędzie. Nie uszanowali polskich książek, co było zrozumiałe, ale i niemieckie wałały się wszędzie po podłodze. Widać było na niektórych ślady ich buciurów.

– To ci lotry! – wykrztusił po pewnym czasie Zyguś.

Co dalej? – to pytanie cisnęło się nam na wargi, ale nikt z nas go nie zadał, bojąc się speszzyć drugiego.

– Zostaliśmy sami – z rezygnacją wydusił z siebie Zyguś i zaraz dodał: – A co stało się z ojcem? Czy też go zabrali?

Tak to już jest, że w chwilach ciężkich myśli się jeszcze o innych, o najbliższych.

Uradziliśmy, że noc przeczekamy tu, a o świcie udamy się na dworzec kolejowy, do ojca Zygusia, by przekazać mu straszne nowiny.

Zgasiłiśmy wszędzie światła, zamknęliśmy drzwi na klucz od wewnątrz. Usiadłem w kuchni przy stole, na którym stał talerz z pieczywem, przykryty miską. Ale nikomu z nas nie przyszło nawet na myśl, by je skosztować. Przez okno, za niskimi barakami widać było wyraźnie w świetle bladego księżyca matową powierzchnię kanału portowego, a za nim ciemną linię muru strzegącego Wojskową Składnicę Tranzytową na Westerplatte. Tego dowiedziałem się od Zygusia, który wskazując ręką na półwysep dodał:

– Gdyby nie tatuś, spróbowalibyśmy przedostać się tam do swoich.

Stary zegar stojący w pokoju stryjenki wybił bardzo hałaśliwie swoje, tym razem trzykrotne bim-bam i tykając dalej odmierzał czas, który włókł się wolno, zbyt wolno, jak na nasze odczucia. To jeden, to drugi drzemał na opartych o stół rękach, ale zasnąć tak naprawdę nie mogliśmy.

Za murem był las, a w nim panował mrok. Wiedziałem, że mimo tej ciemności nasi żołnierze czuwają na swoich placówkach. Los zrządził, że i my czuwaliśmy z nimi po drugiej stronie kanału.

Mimo zmęczenia sen nie nadchodził. Czas dłużył się coraz bardziej. Zegar wydzwonił wpół do czwartej, później czwartą, wpół do piątej. Nie, tego ostatniego bicia nie słyszałem. Sen jednak mnie zmorzył.

Coś mną szarpnęło. Zerwałem się z krzykiem na równe nogi. Huk był tak potężny, że umarłego by obudził. Oślepiające błyski, przeraźliwe wycie, ogłuszające detonacje. Zyguś stał już przy oknie w pokoju i dygotał, podobnie jak ja, z przerażenia i zwykłego strachu.

Na Westerplatte zrobiło się piekło. Olbrzymie fontanny ognia i iskier wylatywały z lasu ku ciemnemu niebu. Padały pociski jeden za drugim, wywołując podmuchy piekielnego ognia. W świetle tych błysków spojrzałem na zegar. Była 4,45. Wtedy nie pomyślałem, że to początek drugiej wojny światowej.

– To niemiecki pancernik strzela na Westerplatte! – wykrzyknęliśmy prawie równocześnie. Głos Zygusia się łamał, pode mną ugiwały się nogi, a ślina uciekła mi zupełnie z ust. Miałem na pewno wielkie oczy, bo ogarnął mnie dziki strach.

– Co teraz z nami będzie? – wykrztusiłem po chwili.

– Musimy stąd wiać! Te nadbrzeżne domy na pewno zajmą Niemcy – zawyrokował

mój kuzyn.

Po przezwyciężeniu pierwszego lęku wysunęliśmy się na balkonik, by dokładnie przyjrzeć się temu, co tu od kilku minut się działo. To już była prawdziwa wojna.

Leżeliśmy tak na balkonie, żeby nas nie było widać. Choć od morza szedł chłód, nam było gorąco, aż za bardzo gorąco.

Błysk, a w nim ukazuje się na moment sylwetka stalowego potwora najeżonego lufami dział, które są skierowane na Westerplatte. Zaraz drugi błysk i na sosnowy las kładzie się ściana ognia i słabo widzialnego dymu. Wydaje się, że tam za kanałem i tym kruchym murem wszystko zostało zrównane z ziemią, że tam już nikt nie żyje.

Kanonada jeszcze trwała, gdy niepostrzeżenie wymknęliśmy się z kamieniczki. Ludzie nie zwracali na nas uwagi, bo byli zajęci tym, co działo się po przeciwnej stronie kanału. Wielu się radowało. Tylko niektórzy mieli zasepione miny.

W powrotnej drodze do Gdańska musieliśmy boczyc się ogrodami, podwórkami, polami, bo na ulicach zrobił się ruch: przelatywały samochody z ludźmi w mundurach, maszerowały grupy policji, gdzieś śpieszyły oddziały SS, SA, a nawet Hitlerjugend. Żandarmi niekiedy prowadzili grupy ludzi z kajdankami na rękach.

– Jeszcze łapią Polaków!

– Oni im tu najbardziej przeszkadzają – potwierdziłem wypowiedź Zygi.

Gdy zbliżyliśmy się do starego Gdańska, zorza poranna poczerwienia krwawym kolorem domy od strony wschodniej. Powoli wstawał dzień 1 września 1939 roku. Odgłosy wystrzałów dochodziły też od Nowego Portu, od Sopotu i Orłowa, a Zyguś twierdził, że również od południa, gdzieś spod Tczewa.

Okrężnymi drogami doszliśmy do starego miasta. Już dniało. W górze nad dachami domów i kościołów tańczyły ranne mgiełki, kryjąc się stopniowo po strychach. Klucząc zbliżyliśmy się do placu Heweliusza.

– Co to za strzelanina?! – przeraziliśmy się. – Tu się też coś dzieje?

Rzeczywiście odgłosy walki były wyraźne. Pojedyncze strzały przerywają serie karabinów maszynowych. Podchodzimy bliżej. Coraz więcej jest żołnierzy i policji w hełmach i z bronią gotową do strzału. Podjeżdżają samochody, wyskakują z nich żołnierze w hełmach i z napisem Danziger-Heimwehr na rękawach. Zauważyłem na górnych piętrach narożnego domu na ulicy Am Spendhaus przerywane błyski, zdradzające ukryte w oknach karabiny maszynowe, którymi ostrzeliwano frontową część polskiej poczty na Heveliusplatz.

– Nasi pocztowcy się bronią! Odpierają ataki! – krzyknąłem z dumą.

– A jak dobrućmy do dworca, do tatusia? – martwił się mój kuzyn.

Ukryliśmy się w starym magazynie nad kanałem odpływowym. Stąd mogliśmy obserwować to, co działo się na placu Heweliusza przed gmachem urzędu pocztowego. Kryjówek nie mogliśmy opuścić, bo było już zupełnie jasno i wszędzie kręcili się hitlerowcy.

– Ale klops! – rzekł Zyguś. – Za dnia stąd nie wyjdziemy.

Tymczasem słońce, tego poranka wyjątkowo krwawe, wyszło znad Żuław ponad dachy gdańskiej starówki i spoglądało na to, co się w mieście dzieje. Ukryci w ruderze również patrzyliśmy na bitewny plac przed pocztą.

Pojawiły się najpierw dwa, później trzy wozy pancerne. Pod ich osłoną Niemcy próbowali ponownie wedrzeć się na teren bronionego budynku. Ogień rósł i dobywał się z różnych stron. Słychać było wyraźnie brzęk tłuczonego szkła, jazgot broni maszynowej, głosy komend. Ale obrona trwała.

– Patrz! Wycofują się – zauważył Zygmunt.

Oddziały szturmowe wycofywały się spod poczty pod osłoną wozów pancernych, niosąc rannych i zabitych.

Po pewnym czasie na ulicy Am Spendhaus pojawiły się dwa działka piechoty. Po dość długim ostrzale budynku do ataku znów ruszyły wozy pancerne i piechota. Wzmogła się strzelanina z broni ręcznej, słychać było detonację ręcznych granatów. obrońcy jednak trwali.

Niedaleko nas, po przeciwnej stronie kanału ustawiono ciężką haubicę. Padają pierwsze strzały. Huk taki, że nam się sypią tynki na głowę. Pociśki kruszą ceglany mur, powstają wyrwy przy głównym wejściu. Małe działka strzelają do okien. Kłęby dymu powoli otulają gmach. Z niektórych okien też wydobywa się ciemny dym. Szturm formacji piechoty powtarza się. Obrona trwa.

– To jest chyba południe – stwierdza Zyguś – albo i dalej, bo mnie się chce jeść.

– Mnie również. Przydałby się talerz ciasta z kuchni stryjenki.

Ostrożnie zaczęliśmy penetrować pomieszczenia magazynu, który służył nam za kryjówkę. Były tam różne rzeczy, ale do jedzenia nic. Zeszliśmy do piwnicy, gdzie stało pełno beczek. Po zapachu poznaliśmy, że są w nich kiszzone ogórki. Jedna z beczek była otwarta. Z mętnej wody wyłowiliśmy po kilka dorodnych sztuk.

– Kwaśne! – skrzywił się Zyguś – ale głodnemu wszystko smakuje – dodawał sobie apetytu kolega mojej niedoli.

Po tej „uczcie” ulokowaliśmy się znowu na piętrze przy narożnych okienkach, by stąd mieć lepszy widok na to, co działo się wokół budynku pocztowego. A tam panował chwilowy spokój. Tylko pojedyncze strzały i króciutkie serie kulomiotów wdzierają się, jak nieproszeni goście, w zadymioną ciszę.

My mamy ogórki na obiad, ale czy walczący pocztowcy mają czas na posiłek? – zastanawiał się Zyguś.

Mnie gnębiły inne problemy. Skoro Westerplatte się broni – myślałem – bo słychać wyraźne odgłosy walki z tej strony, poczta również i tam na peryferiach Wolnego Miasta Gdańska też coś się dzieje, to znaczy że jest wojna. Skoro wojna, to nasi powinni być już w mieście. Przecież tyle razy mówiło się, że w razie czego, wojska polskie wkroczą do Gdańska.

– Przesiedzimy tu, aż nasi przyjdą – głośno zagadnąłem kuzyna.

– Co? Myślisz, że mamę puszcza? A skąd mama i tata będą wiedzieli, że my właśnie tu siedzimy?

– Nasi, to znaczy wojsko polskie – sprostowałem nieporozumienie.

Nieprzespana noc, zmęczenie, bezruch i ponowny głód spowodowały, że prawie jednocześnie usnęliśmy. Jak długo to trwało, trudno określić. Po przebudzeniu spostrzegłem, że słońce świeciło zupełnie z innej strony, gdzieś spod Wrzeszcza przygląda się tragedii rozgrywającej się w centrum miasta.

Wokół czerwonego budynku króluje kurz i dym, a nad nim dumnie łopocze w jasnym, wrześniowym słońcu biało-czerwona flaga. Artyleria co dopiero zaprzestała ostrzału, ale do ataku ruszają znowu samochody pancerne. Wzmaga się jazgot broni maszynowej. Niemcy i tym razem do budynku się nie dostają. Bohaterski opór pocztowców trwa.

Gdy wróciliśmy z piwnicy z nowym zapasem ogórków, sceneria przed budynkiem poczty zmieniła się. Uwijali się tam wśród żołnierzy strażacy. Rozciągali węże wzdłuż ceglano-muru. Czyżby mieli gasić pożar wewnątrz budynku? Z kilku okien rzeczywiście wydobywały się kłęby dymu. Na budynek popłynęły strumienie wody, lecz nie na te okna, z których się dymilo.

– Dziwna sprawa – zastanawiał się kuzyn.

Po pewnym czasie wstrzymano oblewanie poczty. Pod osłoną muru zbliżało się do budynku kilku żołnierzy Heimwehry. Z miotaczy ognia prychnął na samotną redutę polskich pocztowców strumień płomieni i... zrozumieliśmy wszystko. Budynek stanął w płomieniach, bo został oblany nie wodą, a jakąś łatwopalną cieczą. Czarna chmura dymu zasłoniła nam widok. Zapanował półmrok. Pocztowcy resztkami sił bronili się jeszcze. Zauważyliśmy, że strzelali już tylko z okien parterowych i piwnicznych. Strzały osłabły.

Na placu Heweliusza zapanowała prawie zupełna cisza. Napięcie nerwowe rosło. Z domu słychać było przekleństwa nacierających, jęki, kaszel i odgłosy rozpaczliwych obrońców. Ważyły się losy poczty polskiej w Gdańsku

Był już lekki zmrok, kiedy w rozbitych i opalonych drzwiach poczty pojawiła się biała chorągiewka, widomy znak, że załoga budynku poddaje się. Pierwszy z gmachu wychodzi – widać to po mundurze – pocztowiec wysokiej rangi z białą płachtą. Zrobił kilka kroków, zachwiał się, skurczył, przegiął w lewą stronę, wypuścił płachtę i skulony padł na ziemię. Na drugiego wychodzącego z zadymionego wyjścia jakiś hitlerowiec skierował ogień z miotacza. I ten wije się w bólach i pada na twarz.

Widocznie teraz, gdy pocztowcy zrezygnowali z walki i bezbronni opuszczali swój gmach, w którym trwali 14 godzin, Niemcy jak rozbastwione buldogi załaknęły krwi, której w tej nierównej walce z polskimi pocztowcami nie wyszczyli tyle, ile ich zwierzęcy instynkt się domagał. Dokonali więc zbrodni, jaka u cywilizowanych ludzi jest nie do pomyślenia.

Po pewnym czasie wychodzą kolejni pocztowcy, bardzo umęczeni, osmoleni dymem, poparzeni. Wielu z nich jest rannych. Widać to po bandażach na głowach, rękach i kulejącym chodzie niektórych. Hitlerowcy przyjmują ich drwinami, plują na nich, popychają kołbami i ustawiają z podniesionymi rękoma pod murem.

– Jezus, Maria! – krzyknął Zyguś. – Teraz ich rozstrzelają!

Ale nie. Wiele razy ich odliczają, przestawiają, maltretują i wreszcie odprowadzają w kierunku dworca głównego.

Walka o polską pocztę skończona. Pokonana grupa pocztowców odeszła z honorem. Pozostał pusty gmach spowity w dymach, a nad nim wciąż łopotała nasza biało-czerwona.

Pod osłoną zapadającego zmroku wymknęliśmy się z kryjówek. Kanałem udało nam się wydostać na jakiś dziedziniec, stamtąd na wąską uliczkę i wreszcie na plac przed dworcem kolejowym. Dość długo siedzieliśmy w krzakach, zanim zdecydowaliśmy się przejść tory tramwajowe i dobiec do jednego z budynków dworca, właśnie do tego, w którym urzędował wujek Walery. Wszędzie kręcili się Niemcy, a polskich kolejarzy nie było widać. Po ciągi lokalne odprawiali kolejarze w niemieckich mundurach.

– Idziemy zobaczyć do domu – zaproponował Zygmunt.

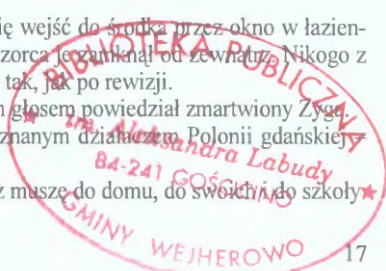
Przytaknąłem kuzynowi. Kiedy w pobliżu nikt się nie kręcił, biegnęliśmy pod murami, od bramy do bramy, od krzaka do siłosów ze śmieciami. Wkrótce dostaliśmy się pod dom wujostwa.

Minęło wiele minut, zanim zdecydowaliśmy się wejść do środka przez okno w łazience. Drzwi były zamknięte na klucz. Widocznie dozorca leżąc przysiadł od zewnątrz. Nikogo z naszych tu wczoraj nie było, gdyż wszystko leżało tak, jak po rewizji.

– Pewnie ojca też aresztowali – przygnębionym głosem powiedział zmartwiony Zyguś.

– Skoro mamę wzięli, to tatę na pewno. Był znanym działaczem Polonii gdańskiej wyjaśnił ze smutkiem.

A ja myślałem, co robić, dokąd pójść? Przecież muszę do domu, do swoich i do szkoły



Nie mogę tu zostać.

Gdy pierwsze przykre wrażenie minęło, zrobiliśmy sobie ucztę. Byliśmy głodni jak bezdomne psy. Gdy głód został zaspokojony, odbyliśmy poważną naradę. Doszliśmy do tego, że musimy wyostać się z Gdańska. Ale jak? Którędy? Najlepiej przez Oliwę na Wysoką do Chwaszczyna. Ale tam na głównej trasie może być dużo wojska. Postanowiliśmy najpierw dotrzeć do Bramy Oliwskiej, a stamtąd – zobaczymy. Może pójdziemy pod osłoną lasów na zachód w kierunku Żukowa i Kartuz?

Przed wyprawą postanowiliśmy porządnie się wyspać, tak po domowemu. Drzwi wejściowe odpowiednio zabarykadowaliśmy, by w razie czego zdążyć umknąć znaną nam drogą przez okienko. Po kilkugodzinnym śnie zapakowałem swój tobolek, a Zyguś harcerski plecak. Zabraliśmy jedzenie, a także kompas, mapę niemiecką, na której nie bardzo się wyznawalem, i wiele innych rzeczy, jakie uznaliśmy za niezbędne. Wziąłem sztylet, a Zyguś finkę. Była to jedyna nasza broń. Na co taka broń mogła się przydać, sami nie wiedzieliśmy. Ot, tak na wszelki wypadek. Sama świadomość, że byliśmy uzbrojeni, dodawała nam otuchy.

Przed wymarszem położyliśmy się w pokoju rodziców Zygmunta. Nie chciałem patrzeć na ową wrogą flagę. Przed snem rozmyślałem o stronach rodzinnych, kuzyn zapewne o swoich rodzicach.

Zanim opuścimy Gdańsk, Zyguś koniecznie chciał się dowiedzieć czegoś o swojej matce i o ojcu, chciał zostawić też wiadomość, dokąd się wybieramy. Udał się sam do zaufanego dozorca. Tymczasem przygotowywałem śniadanie i herbatę do butelek, które mieliśmy zabrać w nieznaną podróż.

Zyguś wrócił bardzo przygnębiony i kompletnie zrezygnowany. Nie chciał, a raczej nie mógł ze mną rozmawiać. Usiadł na skraju łóżka i rozsłochał się jak małe dziecko. Usiadłem obok niego i pocieszałem, jak tylko mogłem, nie wiedząc, dlaczego właściwie płacze. Ale czułem, że płacz harcerza musi mieć poważny powód.

– Oni ich wymordują – odezwał się szlochając.

– Nie wymordują – starałem się go pocieszyć. – Przyjdzie wojsko polskie i wyzwoli ich z rąk faszystów gdańskich. Trzeba być dobrej myśli.

Zygmunt dowiedział się, że aresztowanych Polaków pozamykali w Victoria Schule, szkole zamienionej w więzienie i w zakładzie karnym na Schiesstange, a może i w innych miejscach. Ubiegłej nocy aresztowani zostali wszyscy polscy kolejarze, a także celnicy, pocztowcy i inni urzędnicy. Ich prawdopodobnie przetrzymują w lochach Polizeipresidium, ale tak na pewno dozorca nie wiedział. Dodał jeszcze, że Niemcy byli powtórnie w wujostwa mieszkaniu. Najwyraźniej kogoś szukali. Nietrudno było się domyśleć, że Zygmunt. Nasz pomysł ucieczki z Gdańska pochwalił, bo to, jego zdaniem, jedyny sposób ratunku dla nas obu. Na odchodnym błagał Zygusia, żeby broń Boże nikomu słówka nie powiedział o tym, że dziś z nim rozmawiał.

– Na harcerzy może pan liczyć – zapewniłem go – kończył swoje opowiadanie Zygmunt. A zdecydowanie postanowił:

– A więc w imię boskie, w drogę!

Zaczynało świtać. Od strony Westerplatte dolatywały odgłosy strzelaniny. Najgorzej było przedostać się nie tylko przez tory tramwajowe, co przez główną arterię łączącą Gdańsk z Sopotem. Tędy co rusz przejeżdżały samochody z wojskiem, policją i innymi umundurowanymi ludźmi. Jechali w kierunku Gdyni, skąd również dochodziło dalekie, głuche dudnienie. Tam też toczyła się wojna.

Z ulgą odetchnęliśmy w zaroślach okalających duży plac za Oliwską Bramą. Teraz już

łatwiej było dostać się do pobliskiego lasu. Na przyległym wzgórzu zauważyliśmy wznie- sione ku niebu lufy. Niewątpliwie były to działa przeciwlotnicze. Milczały. Widocznie polskie samoloty bojowe były zajęte czymś ważniejszym, dlatego nie wspierały bombami i bronią pokładową walczących na Westerplatte żołnierzy. Może bombardowały Berlin lub inne miasta niemieckie?

Wdrapaliśmy się na stoki wzgórz morenowych, okalających Gdańsk od zachodu. Po raz ostatni spojrzeliśmy na to polskie miasto ujarzmione przez hitlerowców. Tonęło je- szcze w ciemnościach, ale w brzasku wschodzącego słońca powoli wylaniały się wąskie uliczki, rozliczne kanały i zakamarki, a następnie piwnice, lochy i cele, gdzie męczeni byli przez swych katów Polacy za to, że byli Polakami. Daleko na północy odgłosy kanonady i słabnące w świetle wstającego dnia błyski przypominały, że Westerplatte walczy.

Zygusia chwyciły za gardło żalność i ból. Z lekka zaszlochał, bo nie łatwo mu było zo- stawić rodziców i dom w łapach katów spod znaku swastyki, którzy na spinkach pasów nosili szyderczy w tej sytuacji napis: „Gott mit uns” – „Bóg z nami”, a nie znali Boga ani litości.

Nie było czasu na rozważania i kłiwosci. Trzeba było śpieszyć do swoich. Może tam naszej Ojczyźnie na coś się przydamy?

Bez przeszkód dobrnęliśmy do osiedla o polskiej nazwie Piecki. Zygmunt znalazł tę miej- scowość, bo stąd rodzice kupowali niekiedy ziemniaki na zimę.

– Jak najprędzej do najbliższego lasu – przynagłał, bo na otwartych polach było nie- bezpieczne. Na krzyżówkach dróg stały wojskowe patrole. Niemcy łazili też ścieżkami i miedzami. Niektórzy mieli psy i to było dla nas najbardziej niebezpieczne. Trzeba było dobrze obserwować okolicę i skrycie posuwać się ku granicy polsko-gdańskiej.

Był taki moment, że nie było już – tak nam się przynajmniej zdawało – dla nas wyjścia. Zbliżaliśmy się miedzą porośniętą zaroślami do drogi, przy której była stara kapliczka. Tam stało trzech Niemców z psem. Zza krzaków ich nie widzieliśmy, oni nas również, ale pies wyczuł człowieka i pognął w naszym kierunku ujadając. Żołnierzy zachowanie wil- czura zmobilizowało do czujności. Pozdejmowali z ramion karabiny i czekali, kogo to ich psisko wytropi i wypędzi z krzaków. Przycupnęliśmy przerażeni. Ale w tej chwili stała się rzecz nieoczekiwana. Z plantacji buraków wyskoczył szarak, wypłoszony zapewne szcze- kaniem psa. Pognął w pole, a wilczur za nim. Byliśmy uratowani! Żołnierze zaczęli się śmiać i już dalej w naszym kierunku nie patrzyli. Jeden z nich nawet strzelił do zająca, ale spuścił łuski. Myśmy tymczasem wycofali się w bezpieczne miejsce.

– Czapka przykleiła mi się do głowy – szepnąłem kuzynowi.

– Ja chyba mam nasikane w portkach.

Żartami odpędziliśmy resztki strachu, a tymczasem byliśmy już w lesie. Tu było zara- zem bezpieczniej i niebezpieczniej. Sami nie byliśmy widoczni, ale ktoś zaczajony mógł być przez nas nie zauważony, aż do tego momentu, gdy żadnych szans do ucieczki nie by- ło. Ale szczęście nam sprzyjało. Leśnymi drogami i duktami żołnierze Heimwehry ciągnę- li kable telefoniczne, a na jednej z polan okopywano działa. Teraz patrole chodziły rów- nież lasem, z czego wywnioskowaliśmy, że granica jest gdzieś w pobliżu.

Jak ją sforsować? Jak ją przeskoczyć? Nigdy nie przekraczaliśmy zielonej granicy. Strach i niepewność odpędziliśmy świadomością, że niedaleko stąd są Polacy, że niedługo będziemy bezpieczni.

Rapownie zagajnik się skończył. Wolna przestrzeń przed nami, a jej środkiem biegnie rów. To chyba granica – mrucałem pod nosem. Na pobliskim wzniesieniu okopany był posterunek z karabinem maszynowym. Żołnierze przy nim pobierali z bańki gorący napój i

byli mocno zagadani. Nie zachowywali nawet pozorów ostrożności. Wykorzystaliśmy to i jednocześnie, jak dwa spłoszone jelenie, przeskoczyliśmy otwartą przestrzeń. Widocznie nikt nas nie zauważył, bo gdy po kilku minutach szaleńczego biegu przystanęliśmy, żadnych odgłosów nie słyszeliśmy. Byliśmy na polskiej ziemi.

Nie wiem, skąd to się we mnie wzięło. Zdjąłem czapkę, ukląknęłam i ucałowałem ziemię. Chyba wyczytałem w jakiejś książce, że tułacze tak postępowali. To samo zrobił Zyguś.

Z lekkim sercem pomaszzerowaliśmy przed siebie.

Rozdział 2

Na kartuskiej ziemi

Po kolejnych przygodach dotarliśmy do miejscowości, a właściwie do stacji kolejowej o nazwie Stara Piła. Na ziemi polskiej, nawet w znaczym oddaleniu od granicy, zauważyliśmy dość liczne patrole Landespolizei, gdańskiej policji polowej, rzadziej widzieliśmy żołnierzy polskiej Straży Granicznej. Rozpoznając teren, patrole te starały się unikać siebie nawzajem, a w razie spotkania dochodziło do drobnych potyczek. Niemców unikaliśmy, a nasi żołnierze odsyłali nas na tyły. Dziwiło nas to, bo żadnej linii frontowej nie było. Z opowiadań ojców wiedzieliśmy, że na wojnie jest zawsze front, to znaczy dwie linie żołnierzy nawzajem się zwalczających.

W małym ceglany domku dróżnika kolejowego zjedliśmy w godzinach popołudniowych obfity kaszubski obiad. Dróżnik z sumiastym wąsem i dużą fają w zębach, około pięćdziesięciu lat, wysłuchał naszych opowieści o tym, co działo się w Gdańsku. Jego żona, bardzo miła gospodyni, przysłuchując się naszym relacjom o ucieczce od Niemców, załamywała ręce i kilka razy powtórzyła:

– Ależku, knôpi, że téż wama sę uda ucec ze Gduńska. Że wa jima wërwa!

Nie załowała nam ani pochwał, ani jądła, do którego dwa razy nie potrzebowała nas prosić. Ponieważ syn dróżnika miał jutro z rana udać się furmanką do Żukowa, gospodyni namówiła nas, abyśmy pozostali do jutra, dobrze odpoczęli i z nim pojechali dalej. Naszym celem – nie wiem dlaczego – były Kartuzy.

– Szkoda młodých nóżków – rozczułała się nad nami dobra pani. – Bądże wama dristni z sënë jachac – uzasadniała swój pomysł.

Pozostaliśmy.

Zastanawiałem się, jak to właściwie jest? Znam Starą Piłę z naszych stron. U nas to gajówka, tu stacja kolejowa. ta leży w dolinie Raduni, nasza w dolinie Zagórzanki, którą nazywamy Slężą. Czy tu i tam – jak twierdzą starzy ludzie – były rzeczywiście tartaki, czyli piły?

Mogła być godzina ósma, a może jeszcze później, gdy do mieszkania wpadł dróżnik Porwał służbową czapkę, jakiej nie miał podczas obrządków w chlewiku, do których zakładał swoją cywilną „mucę”. Zabrał sprzed stróżówki jakąś tablicę na metalowej nóżce, czerwoną chorągiewkę i pognał torami w kierunku stacji. Od tej strony zbliżał się jakiś pociąg. Dróżnik szybko wbił tablicę w środek torowiska, po czym zaczął machać chorągiewką. Dopadliśmy do niego zdyszani, nie wiedząc, co się właściwie dzieje.

– Dalej nie jechać! Dalej nie jechać!! – Wołał zachrypnięty i wciąż machał zawzięcie chorągiewką, dając nią odpowiednie znaki. – Tam zawalony wiadukt! Stać!!

Dziwny pociąg zatrzymał się. Na przodzie była platforma, na niej worki i skrzynki wypełnione piaskiem, za którymi leżeli żołnierze z bronią gotową do strzału. Platformę pchała lokomotywa obłożona ze wszystkich stron grubymi blachami. Do parowozu przyczepiono węglarkę, na środku której stało działko.

Porucznik piechoty i kolejarz z karabinem w ręce zeskoczyli na nasyp. Podeszli do dróżnika, by dowiedzieć się, co było przyczyną zatrzymania ich improwizowanego pociągu bojowego.

– Miemcõ wysadzili w powietrze wiadukt – poinformował dróżnik.

Takiej przeszkody nie byli w stanie sforsować, więc postanowili wracać do Kartuz. Gdy usłyszałem o ich zamiarze, podszedłem do oficera i poprosiłem go, żeby zechciał mnie z Zygusiem zabrać ze sobą. Początkowo się upierał, ale gdy dróżnik mu powiedział, że jesteście uciekinierami z Gdańska, zgodził się, bo i kolejarz ujął się za nami:

– Niech jadą, skoro im tak spieszą do Kartuz. Dowiemy się przy okazji, co dzieje się w Gdańsku.

Nie czekając długo, załadowaliśmy się z naszymi tobołami do węglarki. Jej ściany też były obstawione skrzynkami z piaskiem, co miało, jak się dowiedzieliśmy, chronić załogę od kul, szczególnie ciężkich karabinów maszynowych.

Porucznik Matuszak, bo takie było jego nazwisko, posadził nas w narożniku węglarki i kazał opowiadać wszystkie przygody i nowinki z Gdańska. szczególnie interesowało go to, co działo się na Westerplatte i jak przebiegała walka o pocztę polską oraz jakie nastroje panowały w mieście. Serdecznie współczuł Zygmuntowi, że jego rodzice zostali aresztowani i byli maltretowani.

Tuż za stacją Stara Piła, na skraju lasu zauważyliśmy grupę żołnierzy w zielonkawych mundurach. To byli Niemcy. Pociąg zwolnił bieg, a żołnierze na rozkaz porucznika wycelowali działko do intruzów.

Prach! I z sykiem pocisk poleciał w ich stronę. Pierwszy uderzył w skarpe na skraju lasu. Drugi rozbił się w gałęziach drzew, ale Niemców już tam nie było.

– Ale mają fryce pietra – powiedział kolejarz, który za nami wstawał się u porucznika.

– Uciekli, gdzie pieprz rośnie – dodał jeden z żołnierzy.

Pociąg bardzo ostrożnie, przy pełnej gotowości załogi do walki, dojechał na skraj lasu. Tu panowała cisza. Kilku żołnierzy, ubezpieczanych przez pozostałych w wagonie, spenetrowało skraj lasu. Nikogo nie zauważyli. Przynieśli jedynie skrzynkę amunicji i dwa rowery, które Niemcy w pośpiechu zostawili.

O pełnym zmroku dojechaliśmy do Kartuz. Cała ta przejażdżka bardzo mi się podobała. Wojaczka również. Zygiusiowi też przypadł do gustu zawód żołnierza tym bardziej, że

pan Stoltman, szef kolejarzy na „Smoku”, traktował nas jak prawdziwych wojaków i mówił do porucznika: – Takich dwóch gońców nam by się przydało. „Smokiem” nazywaliśmy nasz uzbrojony w działko pociąg, na który kolejarze mówili, nie wiem dlaczego, drynda.

– Dokąd wy, moi synkowie, pójdziecie? – rozczał się nad nami pan Stoltman. – Zaprowadziłbym was do mojej białki, do łóżećka, ale ona wyjechała służbowo do Gdyni. To pani kapitan Łuszczkiewicz, szef organizacji Przystosowanie Wojskowe Kobiet, poprosiła ją telefonicznie, żeby przywiozła na ulicę Zgody w Gdyni zebrane od ludności materiały opatrunkowe, lekarstwa i bieliznę do szpitali.

– Panie kolejarzu, nam łóżećek nie potrzeba – trochę obrażonym głosem odpowiedział Zyguś.

– Prześpiemy się razem z wami na dworcu – dodałem – a jutro razem wyruszymy na Niemców.

To się panu Stoltmanowi nawet podobało. Widać to było po jego minie, ale się dalej z nami przekomarzał:

– Tu twarde prycze i dla wszystkich ich nie starczy. Wam przypadnie spać na podłodze.

– A to co takiego dla nas „spać na podłodze”. Harcerze niejedną noc spędzili w namiocie lub pod gołym niebem, a wtedy wojny nie było.

Ułożono nas jednak na miękkim tapczanie w gabinecie zawiadowcy stacji pana Żmijewskiego. Stało się to dzięki Jasiowi, synowi pana Żmijewskiego, który był również harcerzem i uczniem kościarskiego gimnazjum. Zgodnie z solidarnością harcerską serdecznie się nami zajął. Był tak cięty na hitlerowców jak my i rwał się do walki. Od niego dowiedzieliśmy się, że Kartuz broni IV baon Obrony Narodowej. Wspierają go nieliczne jednostki policji, Straży Granicznej i ochotnicze grupy Przystosowania Wojskowego. Niemcy atakują od strony Wolnego Miasta Gdańska oraz całą dywizją od południa i zachodu. Kościerzyna jest już w rękach niemieckich. Był dobrze zorientowany, bo jego wujek służył jako oficer w dowództwie kartuskiego baonu u kapitana Modrawskiego.

Nasz nowy kolega był bardzo rezolutny, śmiały i wygadany. Imponował nam. My, Kaszubi, zanim coś powiemy, długo i dokładnie to obmyślamy. Ja w ogóle byłem ciężki do nawiązywania kontaktów z innymi. Zyguś, choć mieszcuch, też nie był zanadto gadatliwy i obrotny.

Trzeci dzień wojny rozpoczął się w Kartuzach od bombardowania dworca kolejowego przez niemieckie Stukasy. Było to pierwsze bombardowanie, jakie przeżyliśmy tej wojny. Dlatego w naszym postępowaniu było wiele chaosu. Nie panowaliśmy nad sobą, a nasze zachowanie nie w pełni było zgodne z postawą harcerską. Po prostu wpadliśmy w panikę.

Zbudziła nas syrena. Nie zdążyliśmy się jeszcze ubrać, gdy budynki zdrząły od przeraźliwego wycia samolotów nurkujących nad dworcem. Trzask stojącego opodal torów karabinu maszynowego i ogłuszający huk eksplozji bomb odezwały się razem. Trzy samoloty nurkowały i trzy bomby rozerwały się na placu obok magazynów kolejowych. Bieglismy akurat w kierunku schronu, jaki żołnierze pobudowali przed kilkoma dniami w pobliżu zabudowań stacyjnych, gdy podmuch wybuchu zwałił nas z nóg. Uderzyłem dość boleśnie głową o podkładki ułożone w stos przy płocie. Jasiowi zerwało z głowy czapkę harcerską. Zyguś przykrył rękoma głowę tak, jakby chciał ją wdusić w ziemię razem z tułowiem.

Jednak jesteśmy cali. Dolatujemy do schronu, a tu nowy ryk silników i spadających bomb. Jaś i ja jesteśmy już w ziemiance. Bombardują bocznice. Zyguś – o Boże! – nie zdążył.

– Gdzie ten twój gdańszczanin? – krzyczy Jaś.

– Nie wiem, był przecież z nami. Może wskoczył do innego schronu? Poleciał w inną stronę?

Rozglądam się rozpaczliwie i decyduję: – Idziemy go szukać!

Jego nieobecność nie dawała mi pokoju. Już miałem wyjść ze schronu, gdy jakiś kolejarz ręką zagroził mi wyjście.

– Dokąd, bohaterze? Alarm jeszcze nie odwołały.

– Tam został mój kuzyn – próbowałem wyjaśnić.

Ale w tej chwili do schronu wsunął się Zyguś. Jak on wyglądał! Z głowy ciekła mu krew. Kołnierz pod prawym uchem miał splamiony. Oczy jakieś dziwne, mętne, niespokojne, a ruchy niepewne. Zajęli się nim kolejarze. Znalazł się nawet taki z torbą sanitarną. Obejrzał głowę i wesoło powiedział:

– Głowę to ci doprowadzę do porządku, gorzej będzie z kołnierzem.

– No, to chwała Bogu! Nie jest tak źle – ucieszył się Jaś.

Pociesznie wyglądał ten nasz gdańszczanin z różowym przylepcem nad prawym uchem. Gdy minął szok, dowiedzieliśmy się, że tuż przed samym zejściem do schronu podmuch detonacji przewrócił go. Musiał o coś twardego uderzyć głową. Co się z nim dalej działo, nie pamiętał, wie natomiast, że znalazł się w schronie.

Alarm odwołano. Wskoczyliśmy ze schronu i razem z kolejarzami obejrzelśmy skutki nalotu. Pierwsze trzy bomby nie wyrządziły poważniejszych szkód. Zostały po nich trzy duże leje i podziurawione ściany przyległego baraku. Drugie trzy poharały trochę szyn. Jedną przerwały w połowie; oba jej końce wykrzywiły się ku górze. Skrzywiony został jeden ze słupów sygnalizacyjnych, ale stało się to na bocznicy, gdzie pośpiech w usunięciu uszkodzenia nie był konieczny.

– My tu się kręcimy po dworcu, a nasz „Smok” może już odjechał? – zaniepokoiłem się.

– Czy aby nas zabiorą na kolejny wypad? – pytaniem na pytanie odpowiedział Zyguś.

– Moja w tym głowa – z pewną dozą zarozumiałości powiedział Jaś.

Przy „Smoku” była wielka krzątanina. Żołnierze udoskonalali swoje pozycje bojowe, równo dzielili między siebie granaty i amunicję, której nie było pod dostatkiem. Na przodzie platformy montowali karabin maszynowy. Był to stary grat wydobyty z zakamarków jakiegoś magazynu. Nadawał się bardziej do muzeum niż na pole walki. Kapral Witek oliwił jego cielsko, coś tam dopasowywał, bo chrobetał zawzięcie pilnikiem.

– Będzie chodził jak ta lala – żartował. – Niech no szkopów zobaczy, to się rozgada na całego.

A kolejarze pieścili swój parowóz, dokładali mu dalszych płatów blach, mających chronić sapiącą maszynę od kul nieprzyjacielskich. Artylerzyści uwijali się przy swoim działku na węglarce. Wspólnymi siłami szykowano kartuskiego „Smoka” do nowej wyprawy.

Obaj z Zygusem uważaliśmy, że od wczoraj stanowimy również załogę tego uzbrojonego wehikułu na szynach, chociaż pan porucznik był nieco innego zdania:

– Na co nam dzieciaki? Tylko kłopot z nimi będzie.

Ale kolejarz i plutonowy od działka inaczej na nas patrzyli:

– A nuż utknieni gdzieś w drodze: w lesie lub na gołym polu i wtedy gońca trzeba będzie wysłać po pomoc. Taki chłopak to przemknie się niepostrzeżenie i dotrze tam, gdzie będzie trzeba. Żołnierzy nie wysłesz, bo będą potrzebni na dryndzie.

– A który z was ma przeszkolenie sanitarne? – zniecierliwał zapytał pan Stoltman.

Zgłosiłem się. Sanitariusza zdobyłem w drużynie harcerskiej, a w wejherowskim gimnazjum zostałem przeszkolony w udzielaniu pierwszej pomocy.

– Widzi pan, panie poruczniku, mamy sanitariusza.

Pan Stoltman zabrał mnie do dworcowego ambulatorium, gdzie siostra wyszukała dość starą, ale całą torbę, włożyła do niej bandaże, przylepce, gazę, butelkę jodyny, wody utlenionej, kropli miętowych i walerianowych oraz sporo tabletek, moim zdaniem o wiele za dużo, niż było trzeba do udzielenia pierwszej pomocy. Nie protestowałem, bo obawiałem się, że nasz przełożony może się jeszcze rozmyślić i nie zabrać na wypad.

Mimo tych trudności i obaw wesliśmy w skład obsługi gotowego do drogi „Smoka”. Jaś miał inne i chyba trudniejsze problemy niż my. Bez zgody ojca pod żadnym pozorem porucznik nie chciał go włączyć do załogi pociągu, a pana Żmijewskiego nie było. Przyjeździł tuż przed odjazdem „Smoka” i problem rozwiązał jednym zdaniem:

– Ma wkrótce 18 lat i skoro mu tak spieszo do walki, niech jedzie w imię boskie, a poza tym ma przecież dobrych opiekunów.

Nasza żelazna drynda sapnęła kilka razy, wypuściła kilka kłębow pary i sycząc ruszyła z wolna w stronę Żukowa. Stąd nadchodziły alarmujące wieści, że gdańska Landespolizei jest już w Żukowie i że szybko postępuje w kierunku Kartuz. Dowództwo IV batalionu Obrony Narodowej nie miało właściwie kogo tam wysłać, bo zagrożenie nadchodziło również z zachodu i południa. Tego tempa wrogich sił od strony Gdańska nie spodziewano się.

Wolniutko posuwamy się naprzód. Wokół nas rozpościera się las, tej jesieni o soczystej barwie zieleni, prawie jak wiosną. W trójkę z tylnego rogu węglarki bacznie obserwujemy zarośla, choć już tyłu oczyma były spenetrowane. Patrzymy, czy czasem w krzakach lub za pniami drzew nie porusza się wróg w zielonym mundurze, z takim samym hełmem na głowie.

Przed odjazdem pociągu pan maszynista Walentowski kazał nam, trzem budrysom stanąć na baczność i wręczył nam biało-czerwone opaski, które kazał założyć na lewym rękawie. To pasowanie na żołnierzy „Smoka” mocno nas wzruszyło. Byliśmy z opasek bardzo dumni i czuliśmy się naprawdę uhonorowani.

– Gdyby dali nam jeszcze wszystkim broń – szepnąłem do Zygosia – to bylibyśmy prawdziwymi żołnierzami.

Mieliśmy po 16, 17 i 18 lat, ale byliśmy mniej więcej takiego samego wzrostu. Oczywiście do wąsów było nam jeszcze daleko, ale walczyć na pewno umieliśmy.

Tymczasem pociąg opuścił las i wjechał między pola. Na zagonie pod górką jakiś rolnik spokojnie rzucał z płachty ziarno do gleby, a chłopiec, zapewne jego syn, poganiał konia, który ciągnąc brony, przykrywał ziarno ziemią. Wydawało się to nam i żołnierzom z węglarki niesamowite. Tu wojna, wróg o krok, a ten kaszubski rolnik jakby nigdy nie rzuca siew na przekór wszystkiemu i troszczy się o przyszłoroczny plon.

Zatrzymujemy się w Dzierżążnie. Dowiadujemy się, że rzeczywiście w Żukowie są już Niemcy, że Straż Graniczna stawia im zacięty opór, ale tych paru chłopów nie jest w stanie powstrzymać tak wielkich sił nieprzyjaciela.

– Będzie gorąco – ocenia sytuację porucznik. – Nie wychylać głów poza skrzynki – przykazują – i bez mojego rozkazu nie opuszczać węglarki.

– Tak jest, panie poruczniku! – salutuje po wojskowemu Jaś.

My z Zygosiem zrobiliśmy głupie miny, bo do czego tu salutować? Do naszych cywilnych czapek? Żebym miał choć szkolną czapkę z zielonym otokiem, już by to inaczej wyglądało.

Pociąg wtoczył się na wysoki nasyp. W dole szumiały, skacząc po kamiennym dnie, wody Raduni. Na skarpach torowiska, nieużytkach i torfowiskach kaszubskie wrzosa piły słoneczny żar, resztkę tegorocznego lata. Jakaś melanchofia i cisza unosiła się w powietrzu, chyba cisza przed burzą. Tylko lokomotywa wciąż parskała, sapała i buchała parą, jakby nawiedził ją koklusz. A koła dudniły po szynach, wydzwaniały rytm do dziwnego tańca, który niebawem miał się rozpocząć.

W tę monotonię stukotu kół i ciszę w przyrodzie wdarł się nagle przeraźliwy jazgot dwóch karabinów maszynowych. Jeden ział ogniem zza węgła domu, drugi ze wznesienia górującego nad okolicą. Rozpoczęły razem pluć żelazem i ołowiem w pociąg. Ten drgnął, najężył się, odsapnął mocniej parą i przyspieszył bieg.

Bez rozkazu działa skierowało swą lufę w kierunku wznesienia, z którego bił w nas niemiecki kulomiot i pierwszy celny strzał zatkał gębę niemieckiej szybkostrzelnej machinie. Gorzej było z tym, który raził nas zza węgła. Posypały się w jego stronę serie cekaemu i karabinów, ale on wciąż szczekał i szczekał. Wtórowała mu strzelanina z karabinów maszynowych, w jakie uzbrojeni byli przeciwnicy. Z odgłosów walki wywnioskowałem, że Niemców było wielu. Strzelali zza domów i płotów, z nor pośpiesznie wyrzuty w polu, zza między porosłej krzakami. Kule jęcząc i gwizdząc uderzały w ściany węglarki i przelatywały nad nami. Inne odbijały się przeraźliwym jękiem od blach lokomotywy, od kół i szyn.

Przycupnęliśmy w węglarce i wdusiliśmy głowy w tułowia. Pociąg zaczął dość raptownie zwalniać, jakby bał się Niemców, którzy przybliżyli się znacznie i widać było przesuwające się tu i tam zielonkawe hełmy. Polecały w naszym kierunku ręczne granaty, ale odległość była zbyt wielka, by mogła zrobić krzywdę węglarce.

W miejscu, gdzie przy torach przechodziła droga, nasz „Smok” zatrzymał się. Porucznik skoczył z pociągu, a za nim kilku żołnierzy i dwóch kolejarzy z karabinami. Krótkimi skokami zbliżali się do miejsca, gdzie strzelał niemiecki cekaem. Ten wypad nastąpił w samą porę, bo przy drodze, biegnącej prawie równoległe do torów, ale po przeciwnej stronie Raduni, gdańscy policjanci w pośpiechu ustawili działko przeciwpancerne, które mogłoby wyrządzić nam sporo krzywdy, nawet unieruchomić pociąg.

Nasi żołnierze osłaniany przez tych, którzy pozostali w pociągu, szybko dopadli zabudowań i z bagnetami na karabinach rzucili się na przeciwnika. Ci nie dali się sprowokować do walki na białą broń, zostawili działko, wiele amunicji i pośpiesznie wycofali się. Nasi w pociągu za nimi. My w pociągu przyjęliśmy ten tchórzliwy odwrót jednym wielkim: Huraaa!!!

Pociąg z wolna ruszał i znowu stawał, a nasza armatka posyłała wówczas dwa, trzy pociski w miejsce, gdzie najwięcej mrowiło się Niemców. Wyraźny popłoch opanował gdańskich policmajstrów i zaczęli teraz już wiać na oślep. Sukces był zupełny.

Spod domów, obok położonego malutkiego osiedla, przybiegł żołnierz i prosił nas, aby zabrać nosze i pośpieszyć za nim. Zorientowałem się o co chodzi, zabrałem torbę sanitarną i pobieglem również. Pędziliśmy kawałek wzdłuż strumienia, by następnie przez wodę dostać się na łączkę, a stamtąd do domów przykucniętych na zboczu.

Pod ścianą jednego z nich leżał wśród przekwitłych słoneczników żołnierz z bladą twarzą i zamkniętymi oczyma. Z lekka jęczał i powtarzał wciąż to samo imię: Maryszka, Maryszka, Ma... Jego głowę podtrzymywał na podwinętej nodze drugi żołnierz, który próbował zakładać rannemu opatrunek na piersi.

– Zabrać rannego do pociągu – rozkazał kapral. – My jesteśmy potrzebni tam – i wskazał kolejne skupisko domów, skąd dochodziły odgłosy zaciętej strzelaniny.

Ostrożnie ułożyliśmy rannego na noszach i parowem zeszedliśmy na łąkę. Z trudem przemieśliśmy go przez rzeczkę, ale stąd już niedaleko było do pociągu. Wybiegł nam naprzeciw jeden z artylerzystów i wspólnym wysiłkiem umieściliśmy nosze z żołnierzem w wągardze.

– Może skoczmy po amunicję? – zaproponował jeden z żołnierzy.

– Niemcy porzucili działko, to i amunicję również – dopowiedział drugi.

– Doskonałe, bo nam się amunicja kończy! – poparł go następny.

– Jazda! – dał przyzwolenie plutonowy. – Tylko w mig z powrotem, a tych dwóch – wskazał na Zygusia i Jasia – możecie zabrać ze sobą.

Ja tymczasem zająłem się rannym żołnierzem. Do kawy nalałem kilkadziesiąt kropli miętowych i próbowałem napoić rannego. Przesiakiwany krwią bandaż przewiązałem dodatkowo chustą, którą znalazłem w torbie. Postrzał był poważny. Ranny coś bełkotał, ale go nie rozumiałem. Pokazał z wielkim wysiłkiem na górną kieszeń swojego drelicha. Domyśliłem się, że ma tam coś cennego, na czym mu mocno zależy. Odpiąłem guzik i... znalazłem list. Nie otwierałem go, bo żołnierz nagle wyprężył się, otworzył szeroko oczy i już ostatni raz wyszeptał słowa: – Maryszka, napisz do... – i zamknął powieki.

Zdałem sobie sprawę z tego, że kona, że umiera. Nielatwo siedemnastoletniemu chłopcu patrzeć śmierci w oczy, patrzeć, jak ucieka z młodego człowieka resztką życia. Co za okrutna chwila! Ten straszny epizod z pierwszych dni września długo chodził za mną i zostawił piętno jakiejś wielkiej pogardy do wojny i ludzi, którzy ją wywołują. Człowiek człowiekowi odbiera życie. To jest straszne!

Konający żołnierz uniósł jeszcze dłoń i zdawało mi się, że czegoś szuka. Podąłem mu swoją chłopięcą ręką, którą ostatnim wysiłkiem uściśnął. Otworzył jeszcze raz oczy. Jego wzrok mętniał, źrenice traciły swój wyraz, zmieniały barwę tak, jak kaszubskie „plētē” i oczka, kiedy nadchodzi ciemna noc.

Miałem oczy pełne łez. Chciało mi się ryczeć na cały głos, ale harcerska duma i żołnierska przyzwyczajoność hamowały płacz. Wiedziałem, że śmierci winna towarzyszyć modlitwa, ale ja w tej chwili modlić się nie potrafiłem.

W kopercie był list z domu, a w nim zdjęcie może cztero-, najwyżej pięcioletniej dziewczynki, która miała, jak wynikało z treści listu, na imię Maria, z kaszubska Maryszka. Dziewczynka była od kilku minut półsierotą, bo ojciec jej poległ w obronie kartuskiej ziemi.

Teraz wojna wkroczyła w moje życie, ale nie tą radosną piosenką: „Wojenka, wojenka, cóżes ty za pani”, lecz z brutalną rzeczywistością. A był to dopiero jej początek.

Wrócili moi koledzy i żołnierze ze skrzynkami pocisków, lecz cały ten wysiłek i ta radość okazały się bezużyteczne. Pociski nie nadawały się do naszej armatki.

– Niech to purk weźnie! – zaklął jeden z artylerzystów.

– Smętek moczył w tym swój ogon! – dodał drugi. I inni kłękali też nieprzyzwyczajeni do swemu. Byli rozgoryczeni.

Powiedziałem głośno: – Tu kłąć nie wolno! Człowiek umarł.

Pozrywali czapki z głów, spoważniali, złość uciekła, a w jej miejsce pojawiła się zaduma. Trwali tak minutę, dwie, a może znacznie dłużej, aż jeden z nich powiedział: – A mogliśmy to działko przytaskać tu i nie niszczyć go. Pomścilibyśmy naszego kolegę.

Nie było czasu na żale, rozważania i domniemanie. Pociąg ruszył do przodu, bo nasi, do których dołączył pluton junaków z Przystosowanie Wojskowego i kilku kolejarzy, zażądali wsparcia ogniowego. Chodziło o przepędzenie Niemców z położonej niedaleko stąd elektrowni wodnej Rutki.

Sam widok naszego „Smoka” przstraszył nieprzyjaciela, który w popłochu wiał z zabudowań elektrowni. Od czasu do czasu, bardzo oszczędnie nasi artylerzyści posyłali Niemcom kule, by ująć im odwagi. Zyguś zastąpił poległego w tym pojedynku żołnierza, a Jaś, jako najstarszy z naszej trójki, dostał jego karabin.

W tej krzątaninie na węglarce jakaś zabłąkana kula drasnęła w ramię naszego szefa, plutonowego Drewę. Próbował sam zatamować krew bandażem osobistym. Pan Stolman skinął na mnie i rzekł:

– Od czego mamy sanitariusza?

Nie śmiałem podejść do pana plutonowego i się wprasać ze swoją robotą, ale teraz osmielony słowami kolejarza, zabrałem się do opatrywania niewielkiej rany. Później wezwano mnie jeszcze do parowozu. Tam kula nie oszczędziła maszynisty. Na szczęście było to też tylko draśnięcie w policzek. Rana trudna do opatrzenia, ale jakoś sobie z nią poradziłem.

Niemcy niezadługo pokazali się znowu. Od strony Żukowa pojawiły się kolumny wrogiej piechoty, które wnet rozwinęły się w tyralierę. Daleko na szosie ukazały się wozy pancerne. W sąsiedztwie „Smoka” zaczęły padać pociski niemieckiej artylerii ciężkiej.

Żołnierze i junacy otrzymali rozkaz od naszego porucznika, który dowodził natarciem, a później pościgiem, aby wycofać się do pociągu. Tymczasem „Smok” podjechał pod wiadukt. Plutonowy z żołnierzami wynieśli z węglarki skrzynki ze zdobyczną amunicją i podwiązali je pod przęsła z tej strony, gdzie nie bzykały kule. Wycofując się ciągnęli za sobą lont, który podpalili w momencie, gdy pociąg wycofał się w kierunku Kartuz. W chwili, kiedy pociąg stanął na przejeździe, daleko od wiaduktu, a żołnierze, junacy i kolejarze byli już na miejscu, nastąpił wybuch i wiadukt runął w przepaść. Niemcy, mimo tego wybuchu, z wszystkich stron zbliżali się na niebezpieczną odległość. Pociski nieprzyjacielskie padały coraz bliżej nasypu kolejowego.

– Prędkiej! Prędkiej – ponaglał porucznik.

Odjazd wydłużał załadunek kilku rannych żołnierzy, junaków i bardzo poharatanego kolejarza. W czasie postoju następny kolejarz ugodzony został odłamkiem artyleryjskim w udo. Nerwowość ludzi opóźnia odjazd pociągu.

Wreszcie dowódca dał znak i ruszyliśmy. Był to ostatni moment, bo z lewej strony grupa hitlerowców podeszła już w bezpośrednie sąsiedztwo toru. Pociąg nabierał szybkości. Działko z braku amunicji milczało. Strzelano do wroga z broni ręcznej, odpierano napór ręcznymi granatami, aby nie pozwolić Niemcom na wrzucenie granatu do węglarki załadowanej do granic możliwości ludźmi.

Zająłem się rannymi. Pomagał mi Zyguś, a Jaś udawał prawdziwego żołnierza. Strzelał z odziedziczonego karabinu.

Nareszcie uwolniliśmy się od natrętów. Teraz dopiero dotarła do nas świadomość, w jakiej niebezpiecznej sytuacji znalazł się nasz „Smok”, a my w nim. Dlatego wszyscy, potwornie zmęczeni, z radosnymi minami rozłożyli się, gdzie kto tylko mógł.

Pociąg zwolnił, bo po drodze witano nas entuzjastycznie. Podawano nam owoce, mleko i inne napoje. Było to wzruszające i smutne zarazem; smutne, bo nie zdołaliśmy powstrzymać naporu Niemców na naszą kaszubską ziemię. Żał nam było ludzi, którzy tak mocno wierzyli w naszą siłę.

Stłoczeni, znużeni i głodni wróciliśmy do Kartuz. Na stacji kolejowej czekał na „Smoka” oficer ze sztabu baonu. Natychmiast zabrał porucznika Matuszaka do samochodu i odjechali. Rannych odwieziono do szpitala. Mnie przypadło ich konwojowanie i przekazanie służbom medycznym. Ponaglałem kierowców i personel sanitarny, gdyż się obawiałem, że

pociąg odjedzie, a ja zostanę w mieście.

– Nie odjeżdżajcie beze mnie – poprosiłem kolegów na odchodnym. Ale nigdy nie wiadomo.

Zdążyłem, choć w zatłoczonym rannym szpitalu dość długo czekałem na swoją kolej. Każdemu z moich podopiecznych musiałem wypełnić druczek, zaznaczając w nim, skąd przybył. Pisałem: pociąg pancerny „Smok”.

Gdy wróciłem, na naszym szynowym zestawie panował ruch i bojowy nastrój. Naprawiano uszkodzenia, szykowano dodatkowe stanowiska bojowe, czyszczono broń. Poleciałem jeszcze do ambulatorium po nowy zapas materiałów opatrunkowych. Pociąg tymczasem odjechał po nowy zapas węgla i wody. Nam dostarczono obiad. Był to nasz pierwszy gorący posiłek w tym dniu.

– Wiesz, Radek – zwrócił się do mnie Zyguś – stale nachodzą mnie myśli o tym, co dzieje się w Gdańsku, co robią mama i tata. Czy oni też dostali dziś obiad?

– Niemcy szybko dostaną łupnia – pocieszałem go. – Słyszałem w szpitalnym radiu, że nasi sojusznicy, Francja i Anglia wypowiedzieli dziś Hitlerowi wojnę. Myślę, że wnet wylądują na naszym brzegu i pomogą nam oczyścić Gdańsk z hitlerowców, a wtedy twoi rodzice będą wolni.

W oczach Zyguścia rozpromieniła nadzieja. Jaś zaś podskoczył z radości.

– Gdy pojechałem z żołnierzami autem za miasto po pociski do naszej armatki – chwalił się – widziałem przelatujące wysoko na niebie błyszczące samoloty. To na pewno byli Anglicy.

– Pewnie robią zdjęcia i szukają miejsca na dogodne lądowanie – podsumowałem tę wiadomość.

Zyguś nie wytrzymał i pobiegł do pana Stoltmana przekazać mu dobrą nowinę.

– Wie pan, Anglicy i Francuzi idą nam z pomocą! – prawie krzykiem wyrzucił z siebie zasłyszaną informację.

– Wiem, wiem. Ale Francja i Anglia są daleko – powiedział bez entuzjazmu nasz opiekun. Postawa pana Stoltmana mocno mnie zastanowiła.

Wrócił porucznik. Usłyszałem jego relację, jaką złożył podoficerom i panu Stoltmanowi:

– Mamy rozkaz natychmiastowego udania się w rejon Somonina, by wesprzeć walczące tam niewielkie oddziały Obrony Narodowej i ochotników, z trudem powstrzymujących napór pododdziałów 207 dywizji niemieckiej, która atakuje z rejonu Kościerzyny.

Po odprawie pan porucznik usadowił się w węglarce. Pociąg ruszył do nowych zadań. Już po kilkunastu minutach jazdy zorientowałem się, że nie jedziemy trasą na Żukowo. Wkrótce otoczył nas las, w którym rosły obok drobnicy i podszytu piękne, stare buki, czasem dęby. W kilku miejscach ludność cywilna kopała umocnienia, a drwale ścinaли metr ponad runem leśnym pnie drzew, przygotowując w ten sposób zatory przeciwczołgowe.

– Poszłoby się w las zbierać na miękkim mchu dorodne, jesienne borowiki – powiedziałem do kolegów, patrząc ustawicznie w las.

Oba mieszczuchy nie wykazały zbytniego entuzjazmu do mojego najulubieńszego zajęcia, to jest grzybobrania. Od wczesnego dzieciństwa namiętnie zbierałem grzyby: początkowo z ojcem, później z rodzeństwem, a ostatnio sam. Znałem w moich leśóckich lasach miejsca, gdzie zawsze kłaniały mi się piękne okazy zdrowych prawdziwków. Chodząc tak samotnie po dąbrowach, borach i chojnach, rozmawiałem na głos ze wszystkimi mieszkańcami lasu, jak z dobrymi przyjaciółmi.

Rozmarzyłem się, a pociąg plując w zagajniki parą, dyszał jak człowiek dotknięty

astmą. Pędził, jakby mu się śpieszyło na spotkanie z ową białą panią z artyleryjskiej piosenki.

Cudowna pogoda barwnej jesieni czyniła doskonały nastrój. Artylerzyści obsiedli swoją pukawkę i nucili jakąś smętną melodię. Pozostali żołnierze chyba z przyzwyczajenia czyścili i głaskali swoją broń. Dwóch kolejarzy kucnęło w rogu węglarki i ćmiło fajki, czy „Pomorskie”, bez wyrazu patrząc w unoszący się niebieskawy dym. Porucznik i szef kolejarzy o czymś zawzięcie dyskutowali nad rozłożoną mapą. Nas najmłodszych prześladował sen. Drzemaliśmy na workach piasku.

Śniły mi się przygody z piosenki, jakiej nauczono nas jeszcze w szkole powszechnej. Zdawało mu się, że jadę na wielkim koniu za orszakiem wojskowym, w którym są tylko dorośli, dziarscy, wąsaci kawalerzyści. Na czele jedzie na stąpającym sprężysto białym koniu sam marszałek. Zawszą słyszę: „Gdzie szabelka twa ze stali, przecież jedziem w bój, jedziem w bój, jedziem...” Tak, siwi strzelcy z komendantem galopują w bój. Wszyscy dzierżą w prawicach błyszczące szable. Pędzą coraz szybciej i szybciej, wymachując bronią. A ja gnam z nimi, choć nie powinienem tam być. Ta rozterka, czy jestem żołnierzem, czy intruzem, męczy mnie ogromnie. Nagle słyszę szcęk oręża, jakiś zgrzyt, odgłosy walki i owi kawalerzyści rzucają się do ucieczki. Mój koń gwałtownie staje, a ja wylatuję z siodła i uderzam o coś twardego.

I rzeczywiście uderzyłem tak silnie, że majaki zniknęły razem ze snem i wróciła świadomość. Nasz „Smok” stał, a z węglarki wyskakowali żołnierze. Po pewnym czasie dało się słyszeć nawoływanie i pojedyncze strzały. Już oprzytomniałem i uciskałem guza, jakiego dorobiłem się przy gwałtownym hamowaniu pociągu.

Nasi wojacy wrócili, prowadząc pod bagnietami trzech cywilów. Byli to sabotażyści z tak zwanej hitlerowskiej V kolumny, który zabrali się do rozkręcania szyn. Była to zasada na naszego „Smoka”, który w porę zdążył wyhamować. Sabotażyści próbowali ratować się ucieczką, ale nasi byli od nich sprytniejsi i zabiegli im drogę. teraz winni stali, trzęsąc się jak galareta, a spod łbów obserwowali zachowanie się polskiego oficera. Ten kazał związać im ręce i na najbliższej stacji kolejowej przekazać kolejarzowskiemu Przysposobieniu Wojskowemu.

Po naprawieniu torów pociąg ostrożnie ruszył z miejsca, by niebawem znaleźć się na otwartej przestrzeni. Była to polana z zabudowaniami, między innymi z leśniczówką. Od uzbrojonego w karabin leśniczego i cywila z fuzją, którzy prowadzili trzech pojmanych Niemców, dowiedziliśmy się, że nieprzyjaciel jest tuż za lasem.

– Zająć pozycje bojowe – rozkazał porucznik.

Pociąg powoli wtaczał się w las i głębokim wykopem posuwał się naprzód. Następnie przetaczał się doliną, przez którą tory przebiegały nasypem, a dalej zrębem, za którym były pola i nieużytki. „Smok” ukrył się w kolejnym wąwozie. Kiedy po chwili wynurzył się, że znacznej odległości przywitała go seria z ciężkiego karabinu maszynowego. W dali słychać było strzelanie. Widocznie tam toczyła się walka pomiędzy naszymi a Niemcami.

– Cel bezpośredni, odległość 500 metrów, odłamkowym na wprost...pa! – podał komendę plutonowy Drewa.

Zadygotała węglarka, a uszy wypełnił szum, a po wystrzale donośne dzwonięcie. Mimo wyraźnego rozkazu wyjrzelśmy zza osłony. Pierwszy pocisk mierzony za wysoko utkwił w gałęziach drzew ponad gniazdem niemieckiego cekaemu. Drugi rozprysnął się ponad stanowiskiem tego karabinu, wyrzucając w powietrze pióropusz żółtego piachu ze strzypami wrzosowych kęp. Dopiero trzeci spowodował, że kulomiot umilkł na zawsze.

– Hurrra!!! – krzyknęli wszyscy na kartuskim „Smoku”.

– Hura! – dochodziły z głębi lasu głosy somonińskich chłopców z Przystosowania Wojskowego.

Ale tylko jeden z karabinów uciszono. Inne tym bardziej zawzięcie rozszczekały się na okolicznych wzgórzach. Teraz, gdy zdradziliśmy swoją pozycję, posypały się na nas pociski wroga.

Pan Walentowski wyprowadził dryndę z wąwozu tak, by nasza pukawka mogła do wroga przemówić swym głosem i przeczesać ich szeregi.

Do tej pory niemieccy piechurzy zachowywali się dość swobodnie, ale teraz, gdy znaleźli się pod naszym obstrzałem, zapadli w ziemię, czując respekt przed „Smokiem”. Ich elkaemy często zmieniały pozycje. W tej sytuacji nasi żołnierze zaniechali ostrzału, bo amunicji było niewiele, a prawdopodobieństwo nakrycia Niemców zmalało.

– Popatrz – szturchnął mnie w bok Zyguś – tam w wąwozie pomiędzy jałowcami i małutkimi brzożami coś się dzieje.

Teraz i ja zauważyłem, że grupa Niemców uwija się przy czymś, co przypominało mi przód chłopskiego wozu z dyszlem. Podbiegłem do porucznika i wskazałem mu krzątających się w wąwozie niemieckich żołnierzy. Dowódca przyłożył do oczu lornetkę, chwilę popatrzył i kiwnął na plutonowego Drewę. Ten również przyłożył szklą do oczu i zaklął szarczyście. Podbiegł do działka i sam nakierował lufę na parów.

– Dam ja wam, szkopy przekłete, taska! na nas działko przeciwpancerne – mrucał pod nosem, a na pełen głos rozkazał:

– Ładuj rozpryskowy!

Nastąpiła wymiana ognia. Niemcy wnet umilkli. Ale nam się też oberwało. Róg lewej burty naszej węglarki poszarpał granat, ale nie z tego działka z wąwozu, lecz innego, które ulokowało się w międzyczasie bliżej torów za miedzą porośniętą jarzębinami. Na szczęście w węglarce nikomu nic się nie stało.

Na platformie po kilkunastu minutach wymiany ognia ktoś podniósł krzyk:

– Sanitariusz! Sanitariusz!

Już miałem wyskoczyć z węglarki, nie zwracając uwagi na bzykające kule i biec tam, gdzie mnie wzywano, ale porucznik powstrzymał mnie i kazał maszyniście wycofać zestaw kilkaset metrów w głąb wąwozu, co ubezpieczyć nas miało przed pociskami nieprzyjaciela. teraz mogłem opuścić węglarkę.

Ranny żołnierz doznał szoku i trochę panikował, bo pocisk drasnął go w czoło, powodując silne krwawienie. Krew zalewała mu oczy i to go przesadnie niepokoiło. Wyjąłową gazę przycisnąłem elastycznym bandażem i krew zatamowałem.

Porucznik Matuszak wysłał na zwiady pięciu żołnierzy z kapralem Szymańskim na czele. Mieli dowiedzieć się, ilu naszych stawia opór nacierającym ze wszystkich stron Niemcom. Chciał ocenić szansę powstrzymania naporu jednostek 207 dywizji niemieckiej.

Maszyniście polecił wyprowadzić pociąg w poprzednie miejsce postoju, by dokonać ponownego ostrzału pozycji nieprzyjacielskich i powstrzymać ich napór na broniące się w lesie nieliczne oddziały polskie. Nie pozwolił jednak stać „Smokowi” w tym samym miejscu dłużej niż kilka minut. Tak manewrujący pociąg unikał strzałów wroga, a sam raził nieprzyjaciela bronią maszynową i od czasu do czasu pociskami artyleryjskimi.

Po ponad trzydziestu minutach żołnierze wrócili i zameldowali porucznikowi, że przejścia pomiędzy jeziorami w kierunku Kartuz broni kilkunastu żołnierzy Obrony Narodowej, dwóch policjantów, leśniczy i około dwudziestu chłopców z Somonina i okolicznych wsi, przeszkolonych na kursach samoobrony. Prosilili, żeby w wypadku odjazdu pociągu do Kartuz, zabrać ich ze sobą, bo Niemcy mogą w każdej chwili obejść ich i zaatakować od

tyłu. Byliby wówczas zgubieni. Przy pociągu znalazł się zrezygnowany leśniczy uzbrojony w fuzję i z widocznym zaniepokojeniem złożył relację, iż od strony zachodniej i częściowo od Kościerzyny posuwają się wszystkimi drogami liczne kolumny Wehrmachtu. Prosił o zabranie go do miasta.

Coraz częściej przelatywały nad nami syczące i wyjące pociski artyleryjskie, które pułtoszyły polską ziemię i siały śmierć. Dudnienie artyleryjskie potężniało, przybliżało się, zapowiadając grozę wojny na ziemi kartuskiej. Pojawiły się pojedyncze samoloty wroga.

Słońce powędrowało już nad kaszubskie jeziora. Jego blask czerwieniał, stawał się krwawy jak wrześnieowy czas 1939 roku. Niemcy okopali się na dobre, nie chcąc zapewne przed nadchodzącą nocą ryzykować kolejnego natarcia. Amunicja artyleryjska nam się skończyła. Porucznik zdecydował o powrocie do Kartuz. Maszynista dał umówiony sygnał i pociąg wycofał się do bezpiecznego wąwozu. Tam przybyli wojsacy z lasu wymęczeni do granic wytrzymałości. W drodze powrotnej opatrzyłem trzech rannych junaków i ciężko poszkodowanego żołnierza, którego współtowarzysze przynieśli w kocu.

W lesie panował już półmrok, a komin parowozu wyrzucał snopy iskier. Szczęście, że oddaliliśmy się nieprzyjacielskie samoloty zwiadowcze. Jednak w połowie drogi do Kartuz dostaliśmy się pod ogień niemieckiej artylerii. Kilka pocisków spadło blisko torów. Nie uszkodziły jednak ani pociągu, ani torowiska. „Smok” już nie zatrzymywał się i pełną parą podążył do miejsca przeznaczenia. Szczęśliwie dotarliśmy do Kartuz.

– Jasiu, leć natychmiast do domu – powiedział czekający na stacji pan Żmijewski. – Tam czeka na ciebie mama.

Jaś skrzywił się i już zamierzał protestować, ale pan zawiadowca stanowczym głosem przerwał grymasy syna:

– Pojedziesz z mamą i panią Stoltman do Gdyni. Samochód czeka tylko na ciebie.

Krótkie: – No to cześć! – i niezbyt zadowolony odszedł jeden z naszej zgranej już trójki. Wrócił jednak z widocznym zamiarem przekazania mi swojego karabinu. Ale w ostatniej chwili zmienił decyzję i ze słowami: – Przyda się jeszcze – odwrócił się na pięcie i odszedł w ciemną noc.

Pan Stoltman po konsultacjach z wojskowymi przekazał wszystkim smutną nowinę:

– „Smok” decyzją sztabu kartuskiego batalionu Obrony Narodowej został wycofany z dalszej walki.

– A co z nami?

– Nie wiem. Ale radzę nie pozostawać w Kartuzach. Tu jutro będą już Niemcy. My kolejarze idziemy za wojskiem do Wejherowa. Możecie pójść też.

Noc z 3 na 4 września spędziliśmy w budynku szkoły numer 1 w Kartuzach. W poniedziałek z rana wysłano nas razem z innymi cywilami do ładowania na wozy bydła, które uprzednio spędzono z sąsiednich wiosek na plac targowy. Zwierzęta miały być odwiezione do rzeźni gdyńskiej, która zaopatrywała jednostki Łądowej Obrony Wybrzeża w mięso.

Ponieważ naszym udało się zatrzymać Niemców na przesmykach wielkich jezior, a ci spod Somonina i Żukowa zbyt nie śpieszyli się do Kartuz, 4 września w mieście utrzymali się jeszcze Polacy. Przed południem wykorzystano nas do wożenia materiałów wybuchowych we wskazane miejsca, gdzie saperzy zakładali je na przepustach, mostach, wiaduktach. Kolej została zupełnie unieruchomiona. Część urządzeń na stacji zniszczono. Wielu kolejarzy pomagało saperom.

W godzinach popołudniowych dotarła do nas wiadomość, że Niemcy są już w lesie za Jeziorem Karczemnym. Nieprzyjacielska artyleria przystąpiła do intensywnego ostrzału dworca kolejowego i całego miasta. Również samoloty nieprzyjacielskie przystąpiły do

bombardowania zabudowań i dróg wylotowych. Coraz wyraźniej słychać strzelaninę karabinów maszynowych. Robiło się gorąco.

W tej sytuacji pan Stoltman wyprowadził nas bocznymi przejściami z miasta do lasu na północnej stronie. Tam stały tabory kartuskiego baonu. Uzyskał zgodę jednego z oficerów na ulokowanie nas na jednym z wozów konnych. Odjazd taborów przedłużał się i noc spędziliśmy w zabudowaniach leśniczówek.

Przed północą zbudził nas nasz wojskowy opiekun. Byliśmy tak zasnęci, że miał spore kłopoty z doprowadzeniem nas do równowagi. W pełni doszliśmy do siebie dopiero wówczas, gdy w pobliżu leśniczówki spadło kilka pocisków artyleryjskich.

– Szybko na wozy! – ponaglał żołnierz i pan Stoltman.

Noc była na szczęście ciepła, gwiazdzista, ot taka, jakie bywają w porze żniwnej. Nawet świerszcze cykały i nie przejmowały się tym, co działo się naokoło. Żołnierze byli podenerwowani, konie niespokojne. Wszyscy chcieli opuścić las, zanim wejdzie wróg. W pośpiechu formowano kolumnę, która stopniowo opuszczała dotychczasowe miejsce pobytu. Drogi były zatłoczone cywilami, którzy pieszo, rowerami i furmankami podążali na północ. Wreszcie i my weszliśmy do kolejki.

Do Grzybna osłaniał nas las. Siedzieliśmy w sześcioro na wozie załadowanym workami z mąką, kaszą i ziarnem. Na pierwszym siedzeniu usadowiło się dwóch żołnierzy: woźnica i konwojent, na drugim pan Stoltman i kolejarz o nazwisku Bieszk. Mnie z Zygiem ulokowano na workach i kazano spać. Lecz przerwany sen pierzchnął. Za wiele przeżyliśmy wrażeń w ostatnich kilku dniach.

Pod głowę położyłem torbę sanitarną, z którą nie miałem zamiaru się rozstawać, a Zygmunt swój harcowski plecak. Dopóki jechaliśmy lasem, liczyliśmy nad sobą pomiędzy koronami drzew gwiazdy i próbowaliśmy odgadnąć z nich los, naszą wojenną przyszłość.

– Ta gwiazda świeci nad Gdańskiem – zauważył Zyguś i znowu ogarnął go niepokój i troska o pozostawionych tam rodziców. Mnie też ogarnęła tęsknota za domem rodzinnym, za moją najukochańszą Ciernią. Ni stąd ni zowąd przypomniał mi się wiersz poety z północnych Kaszub, mianowicie ks. Leona Heykego z mojej wsi:

...Ból smutny czas i cemnô noc,
Gnębiła nas czartowskô noc,
Zakłëti bël nasz dóm i próg,
U bróm stróżowól wróg...

Słowa liryku dotyczyły dawnych lat niewoli krzyżackiej, ale natarczywie nasuwały myśl o dniu dzisiejszym.

Kiedy za lasem wyjechaliśmy na jedno z tysiąca kaszubskich wznieścień, skąd zobaczyłem na horyzoncie setki łun spowodowanych wojną i błyski po wystrzałach artyleryjskich, wtedy przypomniał mi się inny wiersz poety:

...W szarawi dali
Złowrogo burczy
I z chmur spiętrzonëch
Corôz zablisnie.

I spada cemnosc
Głęboko w dól

A blęzi i blęzi
Powiędô groza...

I szła groza wojny za nami. Szła coraz bliżej domu rodzinnego, mojego domu, bo dom rodzinny kuzyna zniszczyła już brutalnie.

Ponure myśli i rozpacz odeszły, gdy mrok rozjaśniły bijące wysoko w niebo jasne smugi reflektorów, szukających gdzieś nad Gdynią, nad Małym Morzem nieprzyjacielskich samolotów. W tej poświacie u czapki Zygusia błysnęła lilijka, a na bluzie harcerski krzyż. „Twierdzą nam będzie każdy próg!” – słowa przyrzeczenia składanego przez wszystkich harcerzy pomorskich przegoniły do cna niepokój duszy. Walczyliśmy i będziemy walczyć. Obronimy nasz dom!

... Pod nami rzeka szęmi,
Nad nami bije gróm
I choc w nógorszi burzë
Nasz nie upadnie dóm...

Ta zwrotka wiersza Heykego zakończyła moje poważne rozważania na żołnierskim wozie, który minął Brzeziny i toczył się dalej pełną drogą wciąż na północ w kierunku stron rodzinnych.

Jechaliśmy wyboistymi drózkami, omijaliśmy większe skupiska ludzkie, by uniknąć spotkania z dywersantami V kolumny, którzy sygnalizowali w różny sposób swym wojskom przemarsz jednostek polskich. Wypatrzone kolumny były przeważnie narażone na skoncentrowany ogień nieprzyjacielskiej artylerii.

Ukołysało nas wreszcie na żołnierskim wozie. Zasnęliśmy snem twardym, młodzieńczym, o który dopominała się natura. A kolumna taborów minęła Hopy, Załęskie Piaski, przeszła bokiem Kłósówka, Kowalewa i znalazła się na ziemi wejherowskiej, która wraz z ziemią pucką i mierzeją helską stanowiły powiat morski.

Rozdział 3

Harcerze w obronie Gdyni

Jeszcze luna na zachodzie nie zgasła, jeszcze ciemna noc nie zapanowała nad Pojezierzem Kaszubskim, gdy z Kartuz wyruszył niewielki samochód ciężarowy załadowany tym wszystkim, czym dysponowała tutejsza apteka i przyległy do niej sklep tekstylny. Na samochodzie widniał napis: Zarząd Portu Gdynia. To kapitan Aurelia Łuszczkiewicz, komendantka Obszaru Nadmorskiego Organizacji Przystosobienia Kobiet do Obrony Kraju uzyskała ten pojazd i wysłała go z panią Stoltman do Kartuz po leki i materiały, z których uszyta miała być pościel dla szpitali na Oksywiu, w Babich Dołach, w Helu i w Szkole Morskiej w Gdyni.

Samochód mknął szybko dość dobrą szosą w kierunku Przodkowa, by przed nastaniem ciemności odskoczyć jak najdalej od Kartuz. W sfoferce, oprócz kierowcy, starszego już pana, jękającego się w stanie podenerwowania, siedziały dwie znane nam panie z opaskami czerwonokrzyskimi na rękawach: pani Stoltman i pani Żmijewska, obie związane z kolejarzką bracią, obie zwerbowane do Przystosobienia Wojskowego Kobiet jeszcze przed wojną przez panią kapitan Łuszczkiewicz.

Z tyłu, pod brezentową półbudą, wśród różnych pak i zwojów siedział syn pani Żmijewskiej, Jaś, który nie mógł sobie darować, że został wyrwany z grona wiernych sobie druhów broni, swoich kolegów, którzy przybyli z Gdańska.

Co dzieje się w tej chwili z Radkiem i Zygmuntem, gdzie oni się podziewają? Co ich spotkało? – myślał leżąc na ładunku, z jakim samochód pędził do Gdyni.

– Nie jest tobie, synku, zimno? – zapytała, odchyłając szybkę z tylnej części sfoferki, pani Żmijewska.

– Owszem jest, ale co ja na to poradzę? – odparł nadąsany, choć mu wcale zimno nie było. Mama wcisnęła mu przez okienko dużą, haftowaną w kaszubskie wzory chustę.

– Masz, okryj się.

Zapadła gęsta noc. Samochód zwolnił i przy blasku srebrzystego półksiężyca jechał ostrożniej. Światła nie można było włączać, szczególnie na otwartej przestrzeni, bo mogło to ściągnąć nieszczęście. Nocą na drogach panował większy ruch niż w dzień, bo było bezpieczniej podróżować. Za Przodkowem samochód wjechał na wybrukowaną kocimi łbami drogę. Tu musiał jeszcze bardziej zwolnić.

W Czczewie zostali zatrzymani przez patrol wojskowy. Sprawdzono dokumenty i „dolożono” rannego żołnierza nadąsanemu Jasiowi, który nie mógł zasnąć i nudził się ogromnie. Początkowo nie był z tego towarzystwa zadowolony, ale gdy ranny wojak przemówił, ucieszył się bardzo, bo lubił rozmowne towarzystwo.

– Kto pana tak urządził? – zapytał.

– Miejscowi Niemcy z hitlerowskiej organizacji – wyjaśnił. – Mieli, dranie, motocykl z przyczepą. Kontrolowałem z kolegą ruch drogowy w Miszewie. Nadjechał ten przeklęty motor z trzema cywilami. Kto by się spodziewał, że to Niemcy i że będą strzelać. Zamiast zatrzymać się na mój znak, puścili serię. Kula przeszła przez udo. Dobrzy ludzie odwieźli mnie do Czczewa i dzięki wam jadę do Gdyni do szpitala. Dla mnie wojna już skończona.

Wróg na Kaszubach grasował wszędzie. Wybrzeże zostało odcięte od reszty kraju. Nieprzyjaciel szedł od wschodu, południa, zachodu – ze wszystkich stron. Walka była trudna. Nie starczało wojska na obsadzenie całej linii obronnej, która ciągnęła się – jak to pokazał jeszcze dziś na mapie pan Stoltman – od Jeziora Żarnowieckiego po Kartuzy, a stąd do Orłowa nad Zatoką Gdańską. W obronie tej wszędzie były luki.

– Jedyna nadzieja w Anglii i Francji. Oni nam pomogą wyrzucić wroga z naszej ziemi. A może są już na Bałtyku ze swoją liczną flotą? – tak zakończył poważną dysputę na temat sytuacji militarnej nowy kolega Jasia, który prawie stale mówił. Tylko jak samochód pokonywał większe wyrwy w jezdni, jęczał przez zaciśnięte zęby.

Samochód zatrzymał się w Kielnie przy jeziorze Mulka. Silnik się grzał i kierowca musiał dolać zimnej wody. Był środek nocy. Mimo późnej pory do samochodu podeszło dwóch młodych, może dwudziestoletnich parobków. Na Kaszubach parobkami nazywano starszych najemnych „knópów”. Chcieli koniecznie dostać się do Gdyni. Kierowca, choć nie wyglądał na zadowolonego, kazał im wsiadać do samochodu.

– W raazie czego, bę, będziecie pchać – powiedział jękając się.

W ten sposób ranny żołnierz i Jaś z kościerskiego gimnazjum oraz z kartuskiego „Smo-ka” dostali dwóch kolegów. Wszyscy chcieli, oprócz rannego, walczyć, ale tylko Jaś miał czym, bo ów dziedziczny karabin wiozł ze sobą. Zazdrośnie i z szacunkiem patrzyli na niego dwaj przygodnie spotkani parobcy.

– Czy dadzą nam w Gdyni karabiny? – zapytał Jasia ten niższy, który też miał na imię Jan.

– Pewnie, że dadzą, karabinów tam pod dostatkiem.

Jednak z doświadczeń kartuskich wiedział, że z uzbrojeniem nie jest dobrze, ba, nawet jest bardzo źle. Teraz w pełni uświadomił sobie, że z tym karabinem, to miał naprawdę szczęście. Tylko że zapas amunicji wynosił raptem pięć naboji.

Za Koleczkowem, tuż przy lesie, zostali ponownie zatrzymani przez wojsko. Już świtało i Jaś zauważył, że po obu stronach brukowanej drogi ciągnęły się umocnienia wojskowe: solidne okopy, gniazda karabinów maszynowych, rowy łącznikowe i nawet ziemianki.

Tu, pod Gdynią kręciło się coraz więcej wojska. Samochody wiozły na zachód różnorodne zaopatrzenie. W lesie stały tabory i kuchnie polowe. Widziało się różne mundury: piechoty, marynarskie granatowe, jasne drelichy i takie mieszane. Jaś nigdzie nie zauważył artylerii. Mimo wczesnego ranka na polanie łążyckiej cywile z czerwonymi opaskami na rękawach kopali ziemne umocnienia.

Samochód zjechał ze wzgórz morenowych w Pradolinę Kaszubską do Chyloni. Rannego żołnierza pozostawiono po drodze w Szkole Morskiej, gdzie urządzono szpital polowy. Samochód z Kartuz zatrzymał się na ulicy Zgoda pod numerem 4. Tu mieścił się sztab oddziałów ochotniczych, którymi – jak się później Jaś dowiedział – dowodził podpułkownik Marian Hyla. Kręciło się tu wielu harcerzy, czym Jaś się ogromnie uradował. Były też dziewczęta z biało-czerwonymi i białymi z czerwonym krzyżem opaskami, sporo dorosłych w mundurach kolejarzkich, pocztowych, strażackich i innych, a także kilku cywilów.

Gdy mama Jasia i pani Stoltman zameldowały swoje przybycie, do samochodu podeszła młoda, niska, zgrabna pani porucznik, do której panie z Kartuz zwracały się druha Dżennet. Wzrokiem ogarnęła wnętrze samochodu i powiedziała:

– Zuchy kobiety! Macie tu cały magazyn i nawet własnych konwojentów do rozładunku.

Jaś i Jan i ten trzeci parobek spojrzeli znacząco na siebie. Pomyśleli zapewne: Jak to, do rozładunku? Przecież przyjechali do Gdyni walczyć, a nie bawić się łaszczkami i tabletkami. Ale nie wypadła protestować.

Kobiety zniknęły w drzwiach. Na odchodnym pani Żmijewska powiedziała do syna:

– Dopilnujesz, żeby ostrożnie znoszono, szczególnie lekarstwa.

Niebawem podeszła do samochodu może dwudziestoletnia pani kapral w mundurze Przysposobienia Wojskowego. Porozmawiała z kierowcą i wsiadając do wozu, zwróciła się do chłopców:

– Mówcie mi Wanda – uśmiechnęła się zalotnie i pojechali.

Samochód zatrzymał się na ulicy 10 Lutego przed sklepem z napisem „Singer”. Pani kapral poprosiła Jasia, by podawał swym kompanom tylko rulony z materiałami bieliźnianymi. Lekarstwa, koce i skarpetki miały zostać w samochodzie. Jan i jego kolega nosili rulony na zaplecze sklepu, gdzie w hali stało kilkadziesiąt maszyn do szycia, przy których uwiły się kobiety, szyjąc prześcieradła, powłoki, jakieś fartuchy i chyba zasłony. Z hali do samochodu przynosili opakowane gotowe wyroby. Kapral Wanda skrupulatnie wszystko liczyła i zapisywała do notesu.

Z ulicy 10 Lutego samochód szosą pod wiaduktem wjechał na ulicę Morską, skąd pomknął w kierunku północno-zachodnim. Dwóch parobków zainteresował napis na czerwonym płótnie, zawieszonym na jednym z budynków położonych od strony torów kolejowych niedaleko mleczarni „Kosakowo”: Komenda Drużyn Robotniczych. Przed tymi blokami stał miejski czerwony autobus, z którego wysiadali robotnicy wyposażeni w łopaty, kilofy, szufle i toporki.

– Może tu by nas przyjęli? – zastanawiał się głośno Jan. – To już jest coś. Przynajmniej męska robota.

– Masz rację – przytaknął jego kolega Józek, który rzadko się odzywał. – lepsze to niż wożenie po mieście łaszczków-fatałaszczków.

Zniknęły gdyńskie piętrowe kamienice, a ich miejsce zastąpiły baraki i rudery gdyńskich slumsów: Grabówka, Meksyku, Drewnianej Warszawy. Na ulicach kręciło się wielu młodych ludzi. Byli to bezrobotni i wieśniacy przybyli tu z nadzieją, że uda im się zdobyć broń do walki z wrogiem. Na ich twarzach malował się jednak zawód i rezygnacja.

Przed dworcem kolejowym w Chyloni samochód skręcił na północny-wschód. Po obu stronach szosy, na podmokłych łąkach mężczyźni i kobiety, a także wyrostki mające „nasście” lat w długich rzędach kopali głęboki rów przeciwczołgowy, który zaraz za pracującymi zalewała woda. Podobne grupki ludzi z łopatami widziało się na stokach Kępy Oksywskiej.

Auto na pełnym gazie wspięło się serpentynami na płaskowyż Kępy Oksywskiej. Jaś po drodze zwrócił uwagę na dość liczne placówki wojskowe. Była tu artyleria przeciwlotnicza i ciężkie karabiny maszynowe do zwalczania samolotów, a opodal Pogórza stała artyleria polowa. To nie to, co pod Kartuzami, pomyślał Jaś.

Za Zatoką Pucką, zwaną też przez rybaków Małym Morzem, nad Półwyspem Helskim, pojawiły się wysoko na tle przyćmionego błękitu nieba pióropusze rozprysków dymnych, pochodzących z eksplozji pocisków naszej artylerii przeciwlotniczej.

Wygląda to, jak plamy atramentowe na czystej kartce papieru – zauważył Jan. – A może ty, Józku, nie robiłeś „żydów” w swoim zeszyście?

Józek nie odpowiedział na pytanie kolegi i chyba milczenie potwierdziło przypuszczenie Jana.

Tymczasem samochód zaczął zjeżdżać do porośniętego lasem jaru. Tu w ukryciu drzew stał piętrowy budynek, na którym powiewała biała flaga z czerwonym krzyżem. Jaś domyślił się, że to szpital.

– Jesteśmy w Babich Dołach – zakomunikowała pani kapral. – Tu pozbędziemy się ładunku i wracamy do Gdyni.

Nie wróciliśmy jednak tak rychło, bo zaskoczył nas alarm lotniczy. Kierowca ustawił samochód w wykopie pod kępą drzew, a jego załoga zeszała do wydrążonych na zboczu jaru schronów.

Początkowo bomby spadały daleko, gdzieś pod Oksywiem. Polska obrona lotnicza nie próżnowała. Efektu jej działań Jaś i jego koledzy nie mogli zaobserwować, ale po radosnych minach i głośnym „hura!”, jakie rozległo się na stanowisku wartowniczym, strzegącym zejścia do wąwozu, można było wywnioskować, że któryś ze Stukasów oberwał. Gdy nasi znajomi wspólnie z żołnierzami cieszyli się z tego sukcesu, wdarł się w tę radość zgrzytliwy syk, który przeszedł w przejmujący jazgot, następnie w mrozące w żyłach krew wycie.

– To szturmowce nurkują – rzekł marynarz, który też znalazł się w ziemiance.

Huknęło gdzieś w pobliżu raz, drugi i trzeci. Na głowy przycupniętych w schronie ludzi posypał się piach ze stropu. Wszystkich jakby uniosło w górę, a przeraźliwe dzwonięcie rozrywało uszy. Gdy przeszło, marynarz zaklął siarczyście po kaszubsku:

– A niech jich diôchlë wezną! – a po chwili dodał: – Nawetkę szpitalom nie daręją, roj-browie!

Jak się okazało, jedna z bomb przebiła dach na skrzydle szpitala, gdzie mieściło się laboratorium i magazyn. Straciła życie jedna z pielęgniarek, a laborantka i pacjent zostali poważnie ranni. Taka wiadomość dotarła do schronu.

Na bombardowaniu nie skończyły się kłopoty załogi auta. W drodze powrotnej przydarzył się jakiś defekt w samochodowym silniku i kierowca ponad godzinę usuwał usterkę. Chłopcy tymczasem mogli ocenić żniwo wojny. Prawie w każdym osiedlu płonęły zabudowania, pola były poryte bombami i pociskami, drogami przelatowały karetki z czerwono-krzyskimi znakami. Wojsko i cywilna ludność naprawiali uszkodzone drogi, zakopywali martwe zwierzęta domowe.

Gdy samochód zjeżdżał z płaskowyżu, zapadł już zmrok. Dziwnie wyglądała Gdynia u

progu nocy: szara, ponura, zasnuta dymami i nie oświetlona. Jak zapalone znicze na mogi-
łach w Święto Zmarłych migotały nad miastem płonące w różnych miejscach zabudowa-
nia. Mimo to zdawać by się mogło, że Gdynia jest wyludniona.

Dwóch Janów i Józef spędzili noc w piwnicach domu przy ulicy Zgoda 4 w Gdyni. By-
ło więcej alarmów niż poprzednio. Niemiecka Luftwaffe nasiliła nocne naloty na miasto,
port i Kępę Oksywską. I tak w ogóle wojna rozpetęła się na dobre. Ileż dumy i radości na
tle ogólnego przygnębienia przynosił powtarzany komunikat: Załoga Westerplatte broni
się nadal!

Pani Żmijewska zażyczyła sobie, by jej syn, mając do dyspozycji kartuską opaskę
biało-czerwoną i co ważniejsze karabin, strzegł magazynów na zapleczu kwatery oddzia-
łów ochotniczych. Poszła tylko na jedno ustępstwo: pozwoliła mu odprowadzić Jana i Jó-
zefa na ulicę Morską do siedziby Drużyn Robotniczych, z których tworzone tak zwane ba-
taliony fortyfikacyjne. Spotkali w Kielnie, ale wywodzący się spod Miechucina wiejscy
młodzieńcy nie byli nigdy w Gdyni, stąd słusznie obawiali się, że mogą zablądzić.

Zameldowali się w blokach spółdzielni mieszkaniowej, tam, gdzie wczoraj zauważyli
napis. Przy bramie stał wartownik, ale z czerwoną opaską. Stanęli w kolejce przed bramą.

– Dlaczego wartownik i inni funkcyjni mają czerwone opaski? – zastanawiał się głośno
Jaś. Nie rozumiał i nie wiedział, że bataliony robotnicze organizuje Polska Partia Socjali-
styczna, a kolorem robotników jest czerwień.

– A dokąd to się kawalerem śpieszy? – zagadnął wartownik.

– Oni chcą do drużyn robotniczych – wyręczył kolegów Jaś.

– A co oni nabroili? – podejrzliwie badał wzrokiem przybyłych, widząc, że przyprowa-
dził ich Jaś w harcerskim mundurze, z opaską na ręce i karabinem na ramieniu.

Jaś musiał długo tłumaczyć wartownikowi, że należał do załogi kartuskiego pociągu
opancerzonego, że przydzielono mu karabin po zmarłym żołnierzu, że przyjechał do Gdy-
ni z matką, by zaciągnąć się do wojska. Ci dwaj to przypadkowi koledzy, chcą walczyć,
ale nie mają czym. Dlatego przyprowadził ich do drużyn fortyfikacyjnych.

– Żeby choć łopaty ze sobą przynieśli – mruknął pod nosem wartownik i skierował ich
do stołu, gdzie prowadzono ewidencję ochotników. Pomiędzy blokami kręcili się ludzie w
różnym wieku i różnym odzieniu. Na środku placu stał kocioł z gotującą się strawą.

– Ochotników z bronią przyjmują w Etapie Emigracyjnym na Grabówku – poinformo-
wał harcerza na odchodnym wartownik.

Jaś wrócił na ulicę Zgody nie z myślą pełnienia tam warty przy magazynach, lecz po to,
by wyprosić u matki pozwolenie na służbę żołnierską, tę prawdziwą, jaką organizowano w
Etapie Emigracyjnym. Miał przecież rzecz najcenniejszą w takiej służbie: karabin!

Wszelkie perswazje matki okazały się bezskuteczne. Jaś trwał uparcie przy swoim.
Wobec tego pani Żmijewska, chcąc koniecznie zatrzymać syna w mieście, w porozumie-
niu z panią porucznik Dżennet, wysłała Jasia z ważnym meldunkiem do I Morskiej Druży-
ny Harcerskiej imienia Króla Władysława IV, której sztab ulokował się w Szkole Powsze-
chnej Nr 1. Traf chciał, że Jaś poznał tam przybocznego Felka, z którym szybko znalazł
wspólny język.

Spotkanie to wpłynęło na zmianę planów Jasia. Zrezygnował z zaciągnięcia się do
ochotniczych oddziałów, jakie formowały się w Etapie Emigracyjnym, bo Felek napo-
mknął mu w zaufaniu, że harcmistrz Marian Kruszyński organizuje w porozumieniu z
harcmistrzem Bolesławem Polkowskim, dowódcą kompanii karabinów maszynowych w I
baonie Obrony Narodowej „Gdynia”, zbrojny oddział harcerski, do którego jako już uz-
brojony ma szansę się dostać.

– No pewnie – przytaknął Jaś – zawsze wśród swojej harcerskiej braci będzie lepiej, niż wśród starszych i zupełnie obcych.

Kiedy po dwóch dniach, które przyniosły niepomyślnie wieści z pierwszych linii obrony, Jaś ujawnił swój zamiar wstąpienia do harcerskiego oddziału zbrojnego, po długim namyśle zatroskana mama powiedziała:

– Widocznie Ojczyzna domaga się waszej dziecięcej walki i krwi, skoro wróg z dnia na dzień przybliży się do Gdyni. Idź z Bogiem i bądź dzielny, ale i ostrożny.

Szczęśliwy Jaś gorąco wycierał mamę i stawiał się w szkole, gdzie drużynowy Lucjan Cytkowski miał dokonać wśród kilkudziesięciu ochotników wyboru dwudziestoosobowego oddziału, bo tylko tyle udało się po wielu zabiegach uzyskać karabinów.

Wybór był trudny. Po zastosowaniu kryterium wiekowego, a w rachubę weszli tylko ochotnicy powyżej 17 lat, odpadło kilkunastu. Następnie brano pod uwagę tężyznę fizyczną, później umiejętność obchodzenia się z bronią. Po długich targach, wielu zawodach, a nawet placu tych, którzy odpadli, wyselekcjonowano 22 szczęśliwców: dziarskich, dobrze zbudowanych, należycie prezentujących się druhów.

Ale wśród nich nie było Jasia. Nie brano go nawet pod uwagę w czasie selekcji. Po prostu nie należał do morskiej drużyny. Felek, który znalazł się w gronie wybrańców, wstawił się za przyjacielem. Po wielu pytaniach i rozważaniach harcmistrz „Kruszynka”, bo tak wszyscy nazywali Mariana Kruszyńskiego, zdecydował, że Jaś może wejść w skład bojowej drużyny, nad którą przejął dowództwo. Jego zdanie było decydujące.

Jaś aż podskoczył z radości i dumy, stanął jak paw w szeregach tych, którzy niebawem mieli wyruszyć na pierwszą linię do walki z wrogiem. Jednak zanim to nastąpiło, „Kruszynka” nie dał chłopcom wytchnienia. Szkolenie teoretyczne i praktyczne w lasach chyłońskich zajęło kolejna dwa dni. Na ostre strzelanie przybył porucznik Polkowski, by dać harcerzom szkołę i przy okazji zapoznać się z ochotnikami. W trakcie szkolenia do drużyny przyjęto jeszcze czterech ochotników, którzy w wiadomy im tylko sposób zdobyli broń.

Ranek 9 września. Na dziedzińcu Szkoły Powszechnej Nr 1 przy ulicy 10 Lutego panuje wielki ruch. Mnóstwo harcerzy, dzieci, młodzieży męskiej i żeńskiej, ludzi dorosłych. Wszyscy poważni, a starsi zamyśleni. W gronie dorosłych stoi też pani Żmijewska. Wszyscy przybyli pożegnać drużynę „Kruszynki”, którą zdecydowano przerzucić dziś na front do pomocy walczącym żołnierzom. Ochotnicy przeważnie w nowiutkich harcerskich mundurach, z opaskami na rękach, karabinami przy nogach, stoją już w dwuszeregu. Pada komenda:

– Baczość! Na lewo patrz!

Z budynku szkolnego wychodzi harcmistrz Cytkowski w towarzystwie kilku osób cywilnych, reprezentujących władze miejskie, Straż Obywatelską i rodziców ochotników. Naprzeciw nim wychodzi harcmistrz Kruszyński i melduje z przejściem:

– Ochotnicza gdyńska drużyna harcerska gotowa do wymarszu na front! Stan: dowódca i dwudziestu siedmiu ochotników. Wszyscy uzbrojeni.

Harcmistrz Cytkowski, w towarzystwie swego młodego druha, przechodzi przed szeregiem ochotników, każdemu z nich przygląda się uważnie, podaje dłoń bez słowa. Właśnie ten brak słów, ten serdeczny uścisk dłoni, to wnikliwe spojrzenie wzrusza wszystkich. Dopiero teraz zdają sobie sprawę z decyzji, jaką podjęli, z odpowiedzialności, jaką na siebie przyjęli. Idą w bój! Idą do walki z okrutnym i bezwzględny przeciwnikiem. Wielu z nich nie wróci, nie będzie oglądać już więcej rodzinnego miasta. Jednak przełożony swą postawą dodaje im odwagi, budzi nadzieję rychłego powrotu do rodzin i przyjaciół.

Ciszę poranka i powagę chwili przerywa donośne, pożegnalne: Czuj! Czuj! Czuj!

Ostatnie pocałunki i uściski z najbliższymi, kwiaty dla dziewcząt. Zazdrosne spojrzenia kolegów, którzy muszą zostać w Gdyni na niby mniej ważnych posterunkach.

Pani Żmijewska długo tuli syna i na pożegnanie prosi szlochając: – Bądź, Jaśku, ostrożny i wróć jak najszybciej.

Choć Jasiowi lzy ukazały się w oczach, serce załopotano szybciej z jakiejś dziwnej, ukrytej i tajonej rozpacz, starał się po męsku nie okazywać tego. Gdy podbiegła do niego czarnowłosa dziewczyna o dużych, wyrazistych oczach, zapomniał o bólu, jaki żgał jego serce przy pożegnaniu z matką. A gdy jej gorące wargi musnęły jego policzek, poczuł się tak szczęśliwy i tak silny jak kaszubski stół. W duszy obiecywał sobie i tej nieznaney uroczej dziewczynie, że wielu Niemców unieszkodliwi, że pozostali nie dotrą do Gdyni, on zaś jako zwycięzca wróci z kolegami do miasta zwanego polskim oknem na świat i tu zostanie, by być bliżej tej, która oczarowała go pocałunkiem.

Gdy wsiadali do samochodu, ktoś zaintonował donośnym głosem, a inni podchwycili znaną melodię:

Wolności słońce pieści lazur,
Łódź nasza płynie w świata dal!
Z okrętu dumnie polska flaga
Uśmiecha się do złotych fal.

I popłynęła pieśń polskich marynarzy, harcerzy, wszystkich mieszkańców tego skrawka nadbałtyckiej ziemi w opustoszałe ulice umiłowanego przez naród portowego miasta i owej Mekki polskich bezrobotnych, szukających tu pracy i chleba. Była to pieśń nadziei i dumy, pieśń ludzi, którzy ponad wszystko umiłowali wolność, którzy stali i stoją dzisiaj na morskiej straży.

Ochotnicy już odjechali, już ich samochód zbliżał się do wiaduktu kolejowego. Daleko za nimi pozostał las rąk i chusteczek żegnających chłopców w harcerskich bluzach. Ale pieśń szła z nimi i oni podjęli refren:

I póki kropla jest w Bałtyku
Polskim morzem będziesz ty,
Bo o twe wody szmagardowe
Płynęła krew i nasze lzy.

Samochód wjechał na ulicę Morską i mknął na północ w kierunku Chyloni. Gdy przejeżdżali obok bloków spółdzielni mieszkaniowej, Jaś mimo woli pomyślał o Janie i Józefie, tak jak on mieszkańców ziemi kartuskiej. Może oni akurat wsiadają do czerwonych autobusów podstawionych pod bramę bloków spółdzielczych, które miały ich wieźć na przedpola walczącej Gdyni do kopania umocnień.

Mimo warkotu silnika słyszał było wybuchy pocisków armatnich, jakimi po kapitulacji Westerplatte 7 września obdarował Kępę Oksywską, Redłowską i Gdynię „Schleswig-Holstein” i inne jednostki Kriegsmarine.

Samochód z ochotnikami miał już skręcać przed dworcem chyłońskim na ulicę Kartuską, gdy zgrzytnęły hamulce i nasi chłopcy potoczyli się do przodu, to znów do tyłu. Z ulicy Kartuskiej na ulicę Morską niespodziewanie wjechał ze znaczną szybkością wojskowy samochód osobowy i wbrew wszelkim prawom kodeksu drogowego zajeżdżał drogę pojazdowi wiozącemu harcerzy. Groziło to czołowym zderzeniem, stąd tak gwałtowne hamo-

wanie. W ostatnim momencie samochód osobowy odbił w prawo i znalazł się w przydrożnym rowie po przeciwnej stronie ulicy.

– Co za dureń! Chyba zwariował! – z niehamowanym gniewem powiedział kierowca ciężarówki i wyskoczył z szoferki, by pouczyć wojskowego kolegę, jak należy jeździć po ulicach w mieście.

Gdy zbliżył się do zielonego samochodu zauważył, że kierowca-żołnierz oparł się całym ciężarem ciała o kierownicę, bezwiednie opuścił głowę, a z ust płynęła mu cienka smużka krwi.

– On jest ranny – zauważył Felek, gdy wraz z pozostałymi harcerzami opuścił samochód, który tylko dzięki zimnej krwi kierowcy uniknął dramatycznego wypadku. Jaś zauważył, że pasażer z tylnego siedzenia jakoś dziwnie ślania się na jedną stronę. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest, podobnie jak szofer, ranny, co dodatkowo potwierdziły ślady kul na karoserii samochodu.

Silnik osobówki chodził, nie był więc uszkodzony. Znalazł się przygodny kierowca, który zadeklarował się odwieźć rannych, majora i kaprała, do szpitala w Szkole Morskiej. Należało tylko jednego z nich przenieść na tylne siedzenie. Podczas przenoszenia kierowca odzyskał przytomność i powiedział cichym, łamanym głosem:

– Tam... w barakach, pod lasem, Niemcy strzelali...

Dowódca oddziału ochotników harcmistrz „Kruszynka” nakazał wszystkim wsiąść do samochodu. Ruszyli ulicą Kartuską w kierunku lasu. Tuż przed nim znajdowało się kilka, tak charakterystycznych dla przedmieść Gdyni, baraczków. Samochód zatrzymał się, a oddział harcerski ostrożnie tyralierą zaczął posuwać się w kierunku zabudowań. W pewnym momencie z okienka na poddaszu baraku, stojącego bliżej brukowanej drogi, poszła w kierunku nacierających ochotników długa seria z ręcznego karabinu maszynowego. Wszyscy padli na ziemię. Nikt nie został nawet draśnięty. Widocznie broń obsługiwały niepewne, zdenerwowane ręce. Strzały powtórzyły się jeszcze kilka razy, ale z takim samym efektem. Tymczasem Kruszyński podprowadził kilku swoich chłopców na tył baraku. W momencie, gdy harcerze mieli wtargnąć do środka, otworzyły się drzwi, zza których wybiegło trzech młodzieniaszków w studenckich czapkach i z karabinem maszynowym produkcji niemieckiej. Mieli zamiar zwać do pobliskiego lasu.

– Ręce do góry! Hände hoch! – krzyknął dowódca, a cywile widząc beznadziejną dla siebie sytuację, usłuchali wezwania.

Byli to studenci Politechniki Gdańskiej, synowie miejscowych Niemców. To oni strzelali do bojowego samochodu.

Patrol Krakusów, bo tak nazywali się ochotnicy-kawalerzyści, którzy mieli swoje kwatery w Chyloni, odprowadził wziętych do niewoli dywersantów hitlerowskich do sztabu Lądowej Obrony Wybrzeża. Harcerze pojechali dalej tą samą drogą, którą Jaś z kolegami przed kilkoma dniami dotarł do Gdyni.

Za Marszewską Górą, na skraju łązyckiej polany zostali zatrzymani, a następnie skierowani do leśniczówki Rogulewo, gdzie ulokował się sztab I baonu Obrony Narodowej. Ochotnicy opuścili samochód i ustawili się w dwuszeregu, czekając na dalsze rozkazy. Z leśniczówki po pewnym czasie wyszedł dowódca baonu, major Stanisław Zaucha. Przyjrzał się dokładnie ochotnikom, następnie jednemu z podporuczników rozkazał, aby podprowadził harcerzy na linię frontu pod rozkazy znanego już chłopcom porucznika Polkowskiego.

– Mają być otoczeni serdeczną opieką przez dowódców i żołnierzy, oswojonych już z walką na pierwszej linii – zalecił major.

Podporucznik poprowadził harcerzy brukowanym traktem, zwanym Królewską Droga, dalej w kierunku Koleczkowa, a następnie lasem, skąd dochodziły coraz wyraźniej odgłosy strzelaniny.

– To już aż dotąd dotarła linia frontu? – niedowierzająco pytał Jaś swoich kolegów.

Na Szachtowej Drodze, prowadzącej z leśniczówki Piekielko do Królewskiej Drogi, pod konarami wiekowych dębów i buków stały wozy sanitarne, a obok niewielki namiot oznakowany chorągiewką z czerwonym krzyżem. Był to punkt opatrunkowy i tu uwijali się sanitariusze oraz lekarz z siostrami w białych fartuchach z czerwonymi znakami. Na noszach leżeli ranni żołnierze oczekujący swojej kolejki. Jeden z wozów sanitarnych odjechał z naprędce opatrzonymi rannymi w stronę Gdyni.

– Czy nas czeka taki sam los? – niby od niechcenia, ale z wyczuwalną obawą w głosie powiedział Józek Lubiewski, wyróżniający się wśród innych kędzierzawą czupryną i stale śmiejącymi się oczyma. Nie był to dla początkujących żołnierzy przyjemny widok i niejednego z nich przeszedł po skórze dreszcz.

– Kryj się! Padnij!

Wszyscy jak jeden mąż na zawołanie podporucznika rozpierzchli się i padli w zagłębieniach terenu, a czas był najwyższy, bo pocisk artyleryjski warczał złowrogo w charakterystyczny sposób, co oznaczało, że runie gdzieś w pobliżu. Padł w pobliżu zagajnik w muł torfiasty. Brązowa fontanna mułu wzbijała się ponad młode świerki gęsto przeplatane buczyną, a odłamki z pocisku, jakby mlaskając językiem, obcałowywały korony wysokich drzew, z których strąciły sporo gałązek i liści.

Ochotników podzielono na dwie grupy. Większa część z „Kruszynką” na czele dotarła na okopane wzgórze, gdzie znajdowały się trzy gniazda ciężkich karabinów maszynowych. Z dwóch stanowisk usytuowanych w miejscu, skąd widoczne były koleczkowskie pustki, cekaemy prowadziły ogień krótkimi seriami do nacierających w kierunku lasów Niemców. Trzecie gniazdo, położone od strony zachodniej, było puste. Na tym wzgórzu harcerze mieli spotkać się z porucznikiem Bolesławem Polkowskim, który miał przyjąć w opiekę tych młodych, nieoświadczonych wojowników września, jak ich nazwał jeszcze podczas ćwiczeń w Chyloni.

– Gdzie wasz dowódca? – zapytał „Kruszynka” obsługę jednego z dwóch cekaemów.

– Wyszedł na wypad z całą obsługą trzeciego cekaemu – wyjaśnił plutonowy. – Powinien niedługo wrócić – dodał.

Dowódca ochotniczego oddziału po porozumieniu się z podporucznikiem postanowił zaczekać ze swoją grupą harcerzy, a podporucznik odprowadził drugą do innej kompanii, mającą pozycje gdzieś pod Czarną Górą.

Harcerze harcmistrza Kruszyńskiego położyli się na gąbczastym mchu zalegającym niewielką kotłnię. Przed bronią piechoty byli zabezpieczeni. Kule gwizdały sobie wysoko w konarach drzew.

Po niespełna godzinie, gdy słońce rozpoczęło swą wędrówkę ku zachodniej stronie, od Piekielka, znad strumienia Zagórzanka zbliżała się grupa żołnierzy. Była to, jak się niebawem zorientowali ochotnicy, powracająca z wypadu obsługa trzeciego cekaemu. Nieśli na prowizorycznych noszach rannego żołnierza, dwóch następnych, mniej kontuzjowanych prowadzili pod ramiona. Gdy postawili nosze na ziemi, Felek, który stał najbliżej, wykrztusił z siebie:

– Toć to nasz porucznik!

– Porucznik Polkowski – upewnił się Jaś.

Porucznik patrzył na harcerzy oczyma bez wyrazu. Oni zaś stali nad nim oniemiały, os-

łupiali, a ich młode serca napelniała żalność i zarazem złość z nienawiścią do tych, którzy tak urządzili ich dowódcę. Szkolił ich, udzielał rad, zagrzewał do zbrojnego czynu, a teraz leżał bezwładny i cierpiący. Towarzyszący mu żołnierze opowiedzieli, jak to się stało.

Liczne pododdziały wroga nacierały lasem z rejonu Kamienia na Piekielko. Leśniczówki bronili tylko Krakusi, którzy nie mieli broni maszynowej. Porucznik postanowił wesprzeć ich ogniem swego cekaemu. Doprowadził żołnierzy do Zakłętego Kamienia na kolejnym wzniesieniu, skąd był rozległy widok na dolinę Słęzy i przeciwległe wzgórze opanowane przez Niemców. Widok był doskonały, pole ostrzału dobre, ale miejsce niebezpieczne. Każdy ruch na tej łysej bani z samotnym głazem mógł być zauważony przez przeciwnika i sparaliżowany lawiną ognia.

Skutecznie prowadzono ostrzał zaporowy. Wprowadził on zamieszanie w natarcie wroga, wytrącił Niemców z impetu, z jakim rozpoczęli atak na pozycje polskie. Pewnie poczuł się Krakusi na swych stanowiskach obronnych. Natarcie agresora załamało się.

Kula jednak drasnęła prawe ramię celowniczego. Wtedy jego miejsce zajął porucznik. I wówczas uderzył pocisk artyleryjski, a odłamek ranił dowódcę w klatkę piersiową.

– Bądźcie dzielni... Bijcie Niemców – wyszeptał porucznik harcmistrz Polkowski i zemdlał z wysiłku, bo próbował się podnieść. Przybyli sanitariusze zabrali go do punktu opatrunkowego, skąd został odwieziony do szpitala. Harcerze stracili oddanego opiekuna, doradcę i druha. Poczuli się osamotnieni, choć ich bezpośredni dowódca był z nimi.

Po tym zajęciu porucznik wraz z druhami Kruszyńskim uzgodnili, że harcerzy należy rozrzucić po wszystkich jednostkach, aby zapewnić im lepszą opiekę. Przy karabinach maszynowych pozostała niewielka grupa harcerzy. Do sąsiedniej kompanii przydzielono kolejnych, do druciarzy tylko dwóch. Jaś, Felek, Józek i druh „Mrużyoczko” z dowódcą Kruszyńskim dostali się do kompanii doświadczonego żołnierza, kapitana Wojciecha Topy. Harcmistrz „Kruszynka” stał się jakoby oficerem łącznikowym pomiędzy pododdziałami, w których miał swoich podwładnych. Troszczył się o wszystkich harcerzy, powierzonych jego opiece.

Druha kompania miała swoje stanowiska w przygotowanych wcześniej przez oddziały fortyfikacyjne okopach, położonych tuż przy Królewskiej Drodze, a także na zalesionych wzniesieniach, leżących kilkaset metrów od skraju lasu. Na tej prowadzącej bezpośrednio do przedmieść Gdyni drodze Niemcom bardzo zależało i dlatego tu skierowali główne uderzenie. Żołnierze byli wyczerpani kilkudniową walką. Obiecywano im pomoc i teraz, gdy zobaczyli grupkę młodzieniaszków w harcerskich mundurach, przywitali ich z mieszanymi uczuciami i rozczarowaniem.

– To ma być ta pomoc? Przecież to dzieciuchy! Brak im tylko krótkich spodenek. Aż piętnastu ich przysłali!?

Te niezbyt głośne wypowiedzi i wywody rozczarowania przerwał Józek. Przygarbił się, zrobił pocieszną minę i swoim skrzeczającym, choć donośnym głosem zaczął:

– Widzicie ich, rycerzy świętego Nepomucena! W portkach fura strachu, a tu na dzielnych druhów gadać będą: dzieciuchy! – przy tym wydał bardzo pociesznie swoją kurzą pierś i wysoko dźwignął głowę.

Śmiech ogarnął żołnierzy, a tego im było teraz potrzeba najbardziej. Na to wystąpienie zareagował żołnierz „Klaun”, w cywilu sprzedawca lodów „Mewa”, który zrobił taką minę, jak dewotka przy spowiedzi i pokornym głosem zajączał:

– Ot, macie, bracia wojacy! Zgrzeszyliście gębą. Teraz trza ją dać do prania.

Przy tych słowach pacnął swoją delikatną dłońią, bo w cywilu pracował przecież gębą, a nie rękoma, to jednego, to drugiego ze swoich najbliższych sąsiadów, a przy tym dodał:

– Bić się grzeszniki w piersi i wypluć słowo: dzieciuchy!

Od dawna ci strudzeni żołnierze tak serdecznie się nie uśmieali, jak teraz u schyłku dziewiątego dnia wojny. Oznaki determinacji i rozczarowania gdzieś pierzchy, a przybycze zostały w pełni zaakceptowani.

Zbliżała się noc. Do okopów dotarła wiadomość, że Niemcy wycofali się z przedpoła, rezygnując z dalszego natarcia. Tak postępowali zazwyczaj każdego dnia pod wieczór. Bali się na obcej ziemi nocnych ataków, często stosowanych przez stronę polską. Nastąpiło odprężenie.

Na linię obrony dotarła też gorąca żołnierska kawa, tym razem zabieleną mlekiem. Widocznie kucharze dobrali się do dworskich krów w Łęczycach i stad taki przysmak. Harcerzom, którzy od rana nie mieli gorącej stawy i w ogóle niewiele w ustach, ten pierwszy żołnierski posiłek smakował wysmienicie.

Zapowiadała się spokojna noc. Wystawiono przed linię obrony czujki, wysłano też patrole w celu zabezpieczenia się przed ewentualnym zaskoczeniem. Sen ogarnął las i ludzi w nim koczujących. Od czasu do czasu rąbnął gdzieś granat, bo Niemcy prawie zawsze prowadzili w nocy artyleryjski ogień nękający, ale żołnierze zdążyli się już do niego przyzwyczaić.

Jasia i Józka, których przydzielono do plutonu podporucznika Rzepy, sen zmorzył dopiero po północy. Połowe warunki, ta przeklęta artyleria i mnóstwo wrażeń nie pozwoliły im tak szybko zasnąć.

– Wstawać! Pobudka! Zbierać się! Wycofujemy się na nowe pozycje obronne.

Słowa te powtarzane prawie każdemu z osobna, bo pierwszy sen jest twardy, ożywiły okopy. Zabierano broń i wyposażenie, formowano drużyny, plutony i z wielką ostrożnością, po cichu, przy poświęceniu księżycy maszerowano w kierunku połany Łęczycy. Okazało się, że nieprzyjaciel zdołał zająć Głodowo, a od strony północnej podejść na zalesiony płaskowyż pomiędzy Piekielkiem a Starą Piłą. Koleczkowo stanowiło w tej sytuacji niebezpieczny występ w obronie polskiej, co groziło odcięciem zgromadzonych tu sił i ich likwidacją.

Niedziela 10 września w łączyłkich lasach przeszła dość spokojnie. Niemcy dość późno, bo w godzinach popołudniowych nawiązali kontakt z I baonem Obrony Narodowej majora Zauchy. Nastąpiła zmiana w obsadzie tego odcinka frontu. Meklebuskich piechurów zastąpili gdańscy hitlerowcy z Landespolizei w hełmach z dwoma SS. Zdołali już zdobyć miano morderców.

Jaś i Józek pod czujną opieką podporucznika Rzepy oswajali się z pogwizdywaniem kul, łomotem ciężkiej broni, w ogóle z prawami rządzącymi pierwszą linią. Jaś miał już w tej materii pewne doświadczenie z kartuskiego „Smoka” i łatwiej mu było przezwyciężyć strach, swobodniej zachowywać się w wykopanej ziemi. Nie chcieli w niczym ustępować współtowarzyszom broni. Popelniali gafy, ale braku zapału i odwagi nie mógł im nikt zarzucić. Niekiedy wyróżniali się niebezpieczną brawurą.

W późnych godzinach popołudniowych wyszły na przedpole polskiej obrony liczne patrole gdańskich żandarmów. Dowództwo niemieckie chciało mieć widocznie pełne rozeznanie polskiej linii obrony i broniących jej sił wojskowych. Również na odcinku Jasia, Józka i „Mrużyczka” pojawiły się zielonkawe mundury. Należało ich podpuścić jak najbliżej, na odległość rzutu granatem i wtedy zaatakować. Ale chłopcom śpieszyło się do walki i żołnierze mieli z nimi wiele kłopotu.

– Bić szkopów! – krzyknął w pewnym momencie Felek. Mimo interwencji żołnierza zerwał się na równe nogi, by dalej rzucić granatem. Miał szczęście, że gdański „Motlau-

spuker”, dobrze wyposażony w broń maszynową, nie zrobił z niego rzeszota. Rzucony bez rozkazu granat przepędził Niemców. Felek zamiast pochwały otrzymał porządną burę od porucznika Rzepy.

Tymczasem inne jednostki nieprzyjacielskie zdołały opanować Łężyce i polanę po linii drogi brukowej, która ją przecina. W takim układzie druga kompania została wycofana w wysokopienny las, położony na wschód od leśniczówki Rogulewo. Niemcy opanowali garb wzniesień ciągnących się przez Głodówko.

Wieczorem po odprawie u kapitana Topy podporucznik Rzepa wywołał trzech żołnierzy i Jasia Żmijewskiego.

– Idziemy na zwiad – oznajmił. – Pobrać amunicję, granaty i o dwudziestej trzeciej zbiórka przy samotnej sośnie nad brukiem.

– Rozkaz, panie poruczniku! – z wielką uciechą i poczuciem ważności odpowiedział Jaś za wszystkich.

Wspomniana piątka pod dowództwem podporucznika miała za zadanie dotrzeć do Głodowa pod Bojanem i pod osłoną nocy wyprowadzić stąd grupę Krakusów, z którymi utraciono łączność. W skład patrolu weszli wyłącznie Kaszubi. Jeden z nich, kapral Bieszk, pochodził z tych stron, z zawodu był drwalem i znał doskonale lasy otaczające Gdynię od zachodu.

Noc była ciemna. Po raz pierwszy we wrześniu tego roku pojawiły się na niebie postrzępione chmury. Na dodatek w zagłębieniach terenu, nad wodami, torfowiskami i bagnamy rozsiały się gęste mgły. Niewielki sierp księżycy pojawiał się tylko od czasu do czasu. Aura sprzyjała wykonaniu zadania. Patrol unikał dróg, szczególnie skrzyżowań, bo tam mogli być dobrze okopani Niemcy.

Dwóch starszych Kaszubów doskonale znało język niemiecki, bo uczęszczali w okresie zaborów do szkoły niemieckiej i byli też przymusowymi żołnierzami wilhelmowskiej armii w pierwszej wojnie światowej. Był taki moment, że daleko na tyłach niemieckich polski zwiad zniemacka natknął się na czujkę nieprzyjaciela. Kapral Bieszk szybko zorientował się w sytuacji i by uniknąć pytania o hasło, jako pierwszy zagadał Niemców:

– Na, Kammeraden, alles in ordnung? (No, koledzy, wszystko w porządku?).

– Ja, ja, ihrer ist ruig. (Tak, tak, tu jest spokojnie.)

Od rolnika mieszkającego tuż przy lesie nasi zwiadowcy dowiedzieli się, że kawalerzyści Krakusi wycofali się w kierunku Zielenisza. Podążyli za nimi. Zastali ich w skupisku zagród na wiclińskich pustkach i razem podążyli w kierunku Wielkiej Roli. Po drodze nawiązali łączność z trzecią kompanią porucznika Jarzębowskiego, która prowadziła walki obronne w lasach witomińskich. Krakusi udali się na odpoczynek do swoich kwater w Chyloni, a żołnierze Obrony Narodowej i Jasio na Marszewską Górę, gdzie spotkali się ze swoimi kolegami.

W poniedziałek w godzinach przedpołudniowych Józek odnalazł śpiącego w ziemiance Jasia.

– Wstawaj, śpiochu! – szarpnął go za ramię. – Chcesz zobaczyć, jakie wojsko przysłali nam do pomocy?

Jaś ociągał się, ale zapytany: – Idziesz, czy zostajesz? – wygramolił się z koca, przeciągnął się kilka razy, popił trochę zimnej kawy i z pajdą chleba, którą przyniósł mu kolega, powlókł się za Józkiem w stronę leśniczówki Rogulewo.

Tu, w tym samym miejscu, gdzie przed dwoma dniami stali ochotnicy-harcercze, stało rzeczywiście dziwne wojsko. dziarskie chłopcy, ale poubierani różnie: w robotnicze kombinezony, mundury kolejarskie, pocztowców, leśników, a nawet strażaków. Część była w

cywilnych ubraniach. Prawie wszyscy mieli jednakowe hełmy na głowach i to ich jakoś zrównywało i w pewnym sensie kwalifikowało na żołnierzy.

– To te hełmy, które kolejarze znaleźli w wagonie na bocznicy gdyńskiego portu. Były one przeznaczone na eksport – objaśnił Józek, który już zdążył zawrzeć znajomości z przybyszami.

– Toć to kosynierzy spod Raławic – zauważył Jaś.

Rzeczywiście, większość posiadała kosa osadzone na sztorc na nowiutkich trzonkach drewnianych. Około jednej czwartej tych bardziej cywilów niż żołnierzy, była wyposażona w różnorodną, przeważnie w starą francuską broń palną, a kilku miało broń krótką i szab-
le.

Jak przed dwoma dniami wyszedł z leśniczówki znany chłopcom major Zaucha. Podszedł do niego dobrze prezentujący się oficer i zameldował:

– Podporucznik Kąkolewski z batalionu Gdyńskich Kosynierów melduje się z kompanią ochotników. Stan: jeden oficer, ośmiu podoficerów i stu trzydziestu ośmiu szeregowców. Wszyscy uzbrojeni.

Major popatrzył na to „wojsko” trochę zaskoczony. Chyba pomyślał: postawa owszem, krycie i równanie właściwie bez zarzutu, chłopcy jak przystoi. Przypominają żołnierzy. Ale ta broń. Z kosami na kulomioty? To już nie te czasy.

Przeszedł przed frontem tej zbieraniny może trochę zażenowany, ale uśmiechnięty i przyjaźnie nastawiony do tych ochotników. Zastąpią przynajmniej ubytki żołnierzy w kompaniach, a to już wiele znaczy.

– Spoczniej! – padła komenda dowódcy.

Po kilku zdaniach zachęty i żołnierskich życzeń skierowanych do kosynierów, poprosił do leśniczówki podporucznika Kąkolewskiego i zaczął z nim studiować leżącą na stole mapę. Po dłuższej wymianie zdań zdecydował:

– Oddaję was pod rozkazy kapitana Wojciecha Topy.

– Ale moi żołnierze wezną udział w natarciu? – zapytał z nieukrywaną obawą Kąkolewskim. Wiedział, że druga kompania jest w odwodzie.

– Kapitan Topa przygotowuje natarcie. Już dwa plutony pozajmowały pozycje wyjściowe – uspokoił major podporucznika.

Uradowany dowódca pierwszej kompanii gdyńskich kosynierów wrócił do swoich żołnierzy. Odmaszerowali prowadzeni przez Jasia i Józka na wyznaczone miejsce.

Kapitan Topa już się nie dziwił temu wosku. Oswoił się z tym, że podrzuca mu się oddziały ochotnicze różnie uzbrojone. Najpierw przygarnął grupę ochotników w mundurach Przysposobienia Wojskowego, wyposażonych w rowery. Ci cykliści już się zżyli z jego kompanią i stanowili w niej dodatkowy pluton. Przedwczoraj przygarnął gdyńskich harcerzy, a dziś przyjmuje kompanię kosynierów. To, że nie mają broni palnej, stanowiło mały problem. W dotychczasowych walkach wykruszyło mu się sporo ludzi i oni stopniowo ich zastąpią. A broń przejmą po rannych i poległych żołnierzach lub zdobędą na Niemcach.

Wszystkie plutony zajęły pozycje wyjściowe. Na skraju lasu, w przydrożnych rowach ulokowały się: pluton ciężkich karabinów maszynowych, pluton trzeci w pełnym składzie osobowym. Lewe skrzydło miał zabezpieczać pluton podporucznika Rzepy, zaś prawe skrzydło pluton spieszonych cyklistów podporucznika Skupienia i szwadron Krakusów podporucznika Budka. Wydzielony oddział patrolował drogę łączącą Głodówko z Wiczlinem.

Kosynierzy zjawili się w samą porę. Postanowiono, że pójdą do natarcia za trzecim plutonem. Podporucznik Kąkolewski zza wysuniętego do przodu kopca granicznego bę-

dzie obserwował teren. Od drogi brukowej ciągnął się kilkudziesięciometrowy teren równego pola, dalej łagodne wzniesienie, za którym ulokowali się Niemcy. Po lewej stronie pagórka i za nim rozciągał się las, na początku którego przed Zamkową Górą przycupnęła leśniczówka Głodówko.

Jasio, Józio i Felek znaleźli się w miejscu, z którego mogli dobrze obserwować natarcie. Od pozycji niemieckich byli oddzieleni z jednej strony lasem, z drugiej pewną wypukłością terenu na tyle wysoką, że kule przeciwnika mogły czynić spustoszenie tylko w liściach i gałęziach drzew na wysokości co najmniej czterech metrów od ziemi. Tu miał też swoje stanowisko podporucznik Rzepa. Stąd słał patrole, by mieć stały kontakt z sąsiednimi jednostkami.

Tarcza słoneczna, dziś wyjątkowo krwawa, bardzo wolno – jak to zwykle bywa, kiedy się na coś czeka – schodziła nad łążycą polaną. Czekano, aż skryje się za korony wysokopiennego lasu i przestanie świecić w oczy tym, którzy szykowali się do szturmowania. Najbardziej niecierpliwi byli kosynierzy. Oni chcieli zmierzyć się jak najprędzej z wrogiem. Im śpieszyło się do broni palnej, a tą można było zdobyć podczas ataku.

Rozległ się wreszcie donośny gwizd dowódcy, dający sygnał do natarcia. Pierwsi wyskoczyli z przydrożnego rowu piechurzy trzeciego plutonu i przez kartoflisko, ile sił w nogach, przeskoczyli równy teren, a następnie zalegli u podnóża wzniesienia. Teraz dali osłonę ognia kosynierom, którzy w drugim rzucie poszli za nimi. Pod osłoną długich serii cekaemów, już prawie w jednej linii nacierali i żołnierze, i kosynierzy. Niemcy otworzyli też morderczy ogień, który na szczęście omijał dolinę, nie czyniąc widocznych strat w tyralierze polskich wojowników.

– Wal w zielone garnki! – krzyknął Jaś do Józka i nastawiwszy celownik na odpowiednią odległość, przyłożył karabin do oka, przyciągnął go mocno do ramienia i z zimną krwią, jak stary żołnierz strzelał do nieostrożnych Niemców, którzy zbyt ryzykownie wychylali głowy z ukrycia. W jego ślad poszedł Józio.

– Bravo chłopcy! – pochwalił obu przełożony i z żalem spojrzął na swój w tej chwili bezużyteczny browning.

– Hura! Huraaa!

To nacierający żołnierze i kosynierzy poderwali się do ataku na białą broń. W blasku podwieczornej poświaty migwały bagnety piechurów i kosy gdyńskich straceńców; taka nazwa do nich przylgnęła. Niemcy nie spodziewali się tak szybkiego ataku, ufali swoim kulomiotom i byli pewni, że z umocnionych wzniesień tak szybko ich nikt nie zdoła wyrzucić.

Atak był tak gwałtowny, że gdańscy napastnicy nie zdołali, jak to się czyni w takich sytuacjach, obrzucić nacierających ręcznymi granatami. Przeraziły ich wysoko wzniesione kosy i gromkie okrzyki nacierających. Zaczęli pierzchać jak tchórzliwe zające.

Teraz ruszyła do przodu cała linia: mknęli jak jelenie przez jesienne ściernisko cykliszczy, poderwał do ataku swoich piechurów podporucznik Rzepa, a kosynierzy zdołali już wyprzedzić wszystkich i jako pierwsi dopadli uciekających gdańszczan.

Jaś z Józkiem też pędzili na zalesione wzgórze. Gdy tam dobiegli, Niemców już nie było. Popędzili ich w las kosynierzy. Jak któregoś dopadli, to był biedny. Dobrze, gdy wcześniej rzucił swój karabin. Część Niemców dopadła w lesie dość głębokiego parowu i skrywając się w nim od strzałów, umykała co sił w nogach w kierunku Starej Piły.

– Patrz, jacy szczęśliwi wracają kosynierzy – zauważył po przepędzeniu Niemców Jasio.

Pozbierali to, co w popłochu porzucili agresorzy. Nieśli karabiny, niektórzy nawet po

trzy sztuki, skrzynki amunicji i ręcznych granatów, taśmy z nabojami, pasy żołnierskie, lornetki i inny sprzęt wojskowy.

– Wiele tego porzucili fryce – stwierdził jeden z żołnierzy-opiekunów, który na krok nie odstępował chłopców.

Polana Łężyce po tym brawurowym ataku znalazła się znowu w posiadaniu majora Zauchy. Kapitan Topa po zakończonym ataku policzył straty: zabitych ośmiu żołnierzy i sześciu kosynierów, polegli też dwaj harcerze. Faktycznie stan liczebny plutonów nie zmniejszył się. Kosynierzy uzbrojeni teraz w mauzery uzupełnili powstałe w plutonach luki. Tego wieczoru i podczas zorganizowanego nocnego wypadu zdobyto aż cztery karabiny maszynowe, w tym dwa ciężkie, ze znaczną ilością amunicji.

Gdyńscy harcerze-ochotnicy, którzy stali się prawie integralną częścią składową batalionu majora Zauchy, ponieśli kolejne straty. Podczas nocnego wypadu w rejonie Wielkiej Roli poległ dowódca grupy harcerskiej harcmistrz Marian Kruszyński, świetny gawędziarz i poeta, serdeczny przyjaciel i doradca młodych drułów. Była to strata niepowetowana. Podczas kolejnych walk rannych zostało dwóch harcerzy, w tym jeden bardzo poważnie.

– O zgrozo, co za straszny widok! – mamrotał niby to do siebie Felek. Jego koledzy nie potwierdzili tego głośno, ale czuli to samo. Znaleźli się na skraju lasu pod Janowem. Przed nimi leżała Pradolina Kaszubska, otaczająca półkolem Kępę Oksywską. Płonęły Rumia, Zagórze, Biała Rzeka, Kazimierz. Artyleria niemiecka z rejonu Gniewowa, Zbychowa, Reszek prowadziła wzmożony ostrzał artyleryjski na miejscowości położone we wspomnianej pradolinie i na zalesiony skraj Kępy Oksywskiej. Samoloty wroga bezkarnie latały na niskim pułapie, zrzucały bomby, a z broni pokładowej atakowały wszystko to, co się poruszało po stronie polskiej.

– A to co? – zdziwił się nagle Józio.

– ?

– O, tam w dole na torach – wskazał ręką dziwny pojazd na szynach.

Opancerzona lokomotywa, a za nią obłożone blachami wagony z wymyślnymi daszkami. Całość uzbrojona w cekaemy i armatki. Opancerzenie całego pociągu pomalowane było w pasy ochronne koloru zielonego, a na lokomotywie wyraźny napis: „Smok Kaszubski”.

– To już coś doskonalszego niż kartuski „Smok” – sam do siebie mruknął Jaś, a do Józia powiedział głośniej z nutką znawcy:

– Nie widzisz, że to pociąg pancerny.

Tymczasem „Smok Kaszubski” ostrzeliwał Niemców podchodzących przez łąki na zbocze Kępy Oksywskiej.

Trzy kompanie gdyńskiego baonu majora Zauchy, zasilone kompanią kosynierów i trzeci batalion rezerwowy, znalazły się 13 września około godziny czwartej po południu na wschodnim skraju pradoliny Zagórzanki, pomiędzy Zagórzem i Szmelą. Po przeciwnej stronie doliny, na zalesionych wzniesieniach i na Łysej Górze, zwanej też Markówca Górą, znajdowali się Niemcy. Należało ich odrzucić w lasy zbychowskie, by zgodnie z rozkazem pułkownika Dąbka dotrzeć do Redy i w ten sposób odciąć znaczne siły nieprzyjaciela, jakie znajdowały się w Rumi i na całej Pradolinie Kaszubskiej.

Natarcie, choć okupione znacznymi stratami, powiodło się. Zdobyto znaczną ilość broni i amunicji i kolejny pluton kosynierów przebroił się w broń palną. Były po stronie polskiej straty. Wśród rannych znalazł się wszędobylski kapitan Wojciech Topa.

Po tym krwawym starciu część wydzielonych sił polskich posuwała się skrajem lasu w kierunku Redy, część związała się walką z siłami nieprzyjacielskimi w Rumi, część ściga-

ła rozproszone grupki Niemców w lasach pomiędzy Zagórzem, Gniewowem i Zbychowem

O pełnym już zmroku z kompanii podporucznika Przygońskiego, w skład którego wchodził pluton kosynierów, z zaskoczenia z niebywałą brawurą zaatakował pod Białą Rzeką sztab 207 dywizji generała Karla von Tiedemanna. Jego sztabowcy w popłochu uciekli w kierunku Wejherowa, zostawiając w samochodzie cenne dokumenty sztabowe, które natychmiast odesłano do dyspozycji pułkownika Dąbka.

O północy jednostki polskie znalazły się w pobliżu dworca kolejowego w Redzie. Doszło do starcia z rozlokowanymi wokół osady jednostkami nieprzyjacielskimi, z którego obronną ręką wyszli dobrze uzbrojeni żołnierze niemieccy. Podczas tej potyczki dotarł do pułkownika Sołdkowskiego rozkaz dowódcy Lądowej Obrony Wybrzeża o natychmiastowym wycofaniu się wszystkich sił polskich z Gdyni i przedpola na Kępę Oksywską, gdyż dalsze trwanie na dotychczasowych pozycjach groziło oblężeniem i likwidacją sił polskich.

Bez przeszkód batalion majora Zauchy, a z nim harcerze dotarli skrajem wzniesień morenowych do Chyloni, a następnie na Kępę Oksywską. Tam podjęli dalszą walkę z nacierającymi formacjami przeciwnika.

Była niedziela 17 września. Niemcy w kilku punktach wdarli się na płaskowyż Kępy Oksywskiej. Baon Obrony Narodowej „Gdynia” znalazł się w pobliżu Suchego Dworu, zajmując pozycje po strzelcach wejherowskich. Jasio i Józio też tam byli.

Grupa harcerska w plutonie podporucznika Rzepy zmalala do trzech. Poległ w rejonie Dębogórza komik „Mrużyczko”, ranny został Józio, prawdopodobnie odwieziony do szpitala w Babich Dołach.

– Zyguś! To ty? – z niedowierzaniem wykrztusił Jasio, zwracając się do wlokącego leniwie nogi żołnierzyka w harcerskim mundurze, który w towarzystwie potwornie zmęczonych strzelców przechodził obok gruzów zburzonych zabudowań dworskich.

– Jasio! – zmęczony, ale bardzo uradowany wykrztusił Zyguś.

– Więc żyjesz! Jakże się cieszę.

Uściskali sobie zwyczajem żołnierskim mocno dłonie, pokleпали się po ramionach, zamienili kilka zdań. Sytuacja nie pozwalała przyjaciółom na dłuższą pogawędkę. Byli przecięż w różnych jednostkach.

Rozdział 4

Razem z wejherowskimi ochotnikami

Obudziło mnie gwałtowne szarpnięcie. Stoczyłem się z worków na samą krawędź wozu i omal z niego nie spadłem. Wóz to stawał, to cofał się, to znów konie szarpały i skręcały w bok. Gdzieś niedaleko toczyła się walka. Odgłosy strzelaniny, nawoływanie woźniców, sylwetki uciekających żołnierzy siały popłoch w taborze.

– Niemcy pod Kamieniem! – krzyknął zatrzymany siłą przez konwojenta uciekający żołnierz.

– Uciekajcie! – zawołał i popędził dalej.

Noc była ciemna. Gdzieś w oddali, może nad Gdynią, nad Kępą Oksywską lub Helem niebo cesały wąskie smugi reflektorów, szukające wrogich samolotów. Rozblyski wystrzałów artyleryjskich na ziemi i po chwili wysoko na gwiezdny firmamencie niebieskim jako potwierdzenie tego, że nasza artyleria przeciwlotnicza stara się przeszkadzać zuchwałym pilotom maszyn, oznakowanych czarnym krzyżem, w wykonaniu ich bojowych zadań. To robiło wrażenie.

– Niemcy tu? – ze zdziwieniem i niedowierzaniem spytał kolegów woźnica naszej furmanki i zjechał z głównej drogi na boczną. Zatrzymał się opodal jakichś zabudowań, pod wielkimi drzewami, gdzie widać było sylwetkę białonego wapnem pieca chlebowego.

– To niemożliwe – potwierdził wątpliwość woźnicy pan Stoltnan.

Dorośli po naradzie postanowili przeczekać ten zamęt. Dla upewnienia się, czy rzeczywiście w pobliżu są Niemcy, weszli do chałupy zaciągając języka.

Zeskoczyliśmy z Zygusiem z wozu, by rozprostować zeszywniałe członki i rozgrzać się ruchem, bo razem z zorzą poranną zjawił się dokuczliwy chłód. Pobiegliśmy za zarośla

i swawoląc wdrapaliśmy się na pagórek, na którym odbijała się na tle jaśniejszego nieba smukła sylwetka blizy.

– Popatrz, bracie, czy to rzeka, czy jezioro, czy wielka otchłań do głębin matki ziemi? – zastanawiał się na głos Zyguś.

Widok niezwykły. Było już na tyle jasno, że po kolorach odróżnić można pola od lasów, niebo od ziemi, zarośla od zabudowań. Na tle tej wciąż mało zróżnicowanej szarości odcinał się pas wód ciągnących się nieregularnym jeziorem we wgłębieniach terenu z południa na północ. Na bladej, metalicznej toni igrało mnóstwo rubinowo-krwawych gwiazdek rzuconych pełną garścią na lekko pofałdowaną taflę wód przez zwiastującą już piąty dzień wojny zorzę.

Rankiem okazało się, że był to fałszywy alarm. Po prostu czołówka IV batalionu kartuskiego natknęła się na wysunięte pozycje I baonu i nie znając aktualnego hasła, spowodowała w nocnych ciemnościach strzelaninę.

Kompaniom kartuskiego batalionu Obrony Narodowej dowództwo Lądowej Obrony Wybrzeża, po zmianach personalnych w dowództwie, powierzyło obronę skrajów lasów leśńskich na odcinku od Kamienia aż po Przetoczyno. Tabory przebrnęły leśne bezdroża i rozłożyły się na postój w Bieszkowicach, wiosce położonej na polanie czterech wsi sołeckich. Tym sposobem znaleźliśmy się z kuzynem w moich stronach rodzinnych.

Po pożegnaniu z żołnierzami, a czulszym z kolejarzami, którzy powędrowali, nie jak zamierzali do Wejherowa, lecz do Gdyni, pomaszzerowaliśmy z bijącymi sercami i wielką niepewnością w stronę mojej Cierzni, gdzie był mój dom.

– Czê naszi są doma? – zwróciłem się w języku ojców do Zygusia, a może więcej do siebie.

Bliskość domu, swojskie strony : ów pas łąk ciągnących się od jeziora Zawiat przez Piecawę do „Bożków”, owych leśnych polan, wrzosowiska z mnóstwem pracowitych pszczół, położone na zboczach ciergeńskiego płaskowyzu, wreszcie strumyk z towarzyszącymi mu smugami łąk, położonych w pewnym oddaleniu od szosy, miejsca, gdzie pasło się bydło, a wcześniej gęsi, spowodowało to, że najpierw ja, a później mój kuzyn, zaczęliśmy mówić do siebie po kaszubsku.

Im bliżej rodzinnej chaty, tym większa ogarniała mnie niepewność tego, co dzieje się w domu, a tęsknota i rozrzewnienie przybierały na sile. Drżącą ręką dotknąłem klamki i niepewnie wszedłem najpierw do sieni, a następnie do kuchni.

– To tê, synku?! – wykrzyknęła mama i szybko podniosła fartuch do oczu.

– Wele, Zyguś je têz – szlochając zauważyła mama po czułym powitaniu ze mną i podbiegła uściskać go również.

W domu zastaliśmy mamę, brata Sławka i siostrę Ludosławę. Ojciec ze starszą siostrą, na wezwanie gdyńskich działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej, poszli kopać umocnienia dla wojska pod Pucką Górą w pobliżu Nowego Dworu.

Mama bardzo przeżyła nasze przybycie. Radowała się, że żyjemy. Powrót z Gdańska, skąd płynęły w większości niepokojące wieści i tylko jedna pokrępiająca, że załoga Westerplatte tak długo się broni, wydawał się wprost niemożliwy.

Gdy Zyguś na życzenie mamy zaczął opowiadać o nieszczęściu, jakie spotkało cicię Zofię i wujka Walerego, rozplakaliśmy się wszyscy, również mały Sławek, który ogromnie lubił wujostwo z Gdańska. Ta niepewność, ta wielka niewiadoma, co się właściwie z wujostwem stało, gnębiła nas wszystkich, a rzecz jasna najbardziej Zygusia. Przestaliśmy już wierzyć w to, że wojsko polskie zajmie Gdańsk, że osamotniona placówka Westerplatte się obroni. Jedyna, choć również niepewna była nadzieja na pomoc sojuszników: potężnej

kolonialnej Anglii i oddanej nam Francji.

– Wszyscy walczą, pomagają wojsku, jak mogą, a my co? – oświadczył w środę rano Zyguś.

Mnie też ta domowa bezczynność nie odpowiadała. Coraz bardziej gnębiła mnie myśl, co też tam dzieje się w szkole, w wejherowskim gimnazjum, co porabiają moi szkolni koledzy?

Po długich perswazjach mama zgodziła się na wyprawę do miasta powiatowego, więc rozpoczęliśmy przygotowania do kolejnej marszruty. Przygotowałem mój harcerski mundur. Nie zapomniałem też o torbie sanitarnej. Zyguś koniecznie chciał wdziać również mundur harcerski, dlatego mama odszukała mój stary, trochę dla mnie za ciasny, ale jeszcze w dobrym stanie. Wyglądał w nim świetnie. Znowu pożegnania, łzy, ale wszyscy wiedzieli, że tak trzeba.

Wczesnym rankiem siódmego dnia września opuściliśmy Cierzniew i na skróty przez Piecawę, Piński, Zbychowo, Wyspowo i Młynki, pomaszerowaliśmy do Wejherowa. Po drodze zauważyliśmy, że na Gojkowej Górze, wokół zbychowskiej leśniczówki, w Kawalchach i w innych miejscach pracowały setki ludzi. Przygotowywano okopy i umocnienia ziemne dla wojska. Żołnierzy jakoś nie było widać. Artyleria niemiecka prowadziła ogień nękający, którym kierował krążący nad polaną samolot nieprzyjacielski. Pojawienie się gdziekolwiek większej grupki osób było bardzo niebezpieczne. Dlatego robotnicze i chłopskie oddziały fortyfikacyjne i wspomagająca je ludność kaszubska, pracowali podczas dnia pod osłoną drzew i krzewów.

Schodząc drogą polną ze Zbychowa nad jezioro Wyspowo, słyszeliśmy wzmagające się odgłosy działań artyleryjskich z rejonu Sopieszyna i Gowina. Nad lasami położonymi w tym kierunku przelatywały dość często eskadry niemieckich samolotów. Te odgłosy wojny ustały, gdy znaleźliśmy się w ciemnej, zasłoniętej świerkami dolinie Wyspowskiej Strugi. Ale już za gajówką Młynki, kiedy wyszliśmy na śródleśne łąki znowu dało się słyszeć odgłosy walki.

– Czyżby Niemcy znaleźli się w bezpośrednim sąsiedztwie Wejherowa?

– Chyba tak i dlatego te dość bliskie odgłosy wojny – odpowiedziałem Zyguśowi.

Już teraz nie tylko wybuchy artyleryjskie, ale jazgotanie broni maszynowej, a nawet pojedyncze strzały karabinowe dochodziły z doliny Cedronu, z którym łączy się Wyspowska Struga.

U podnóża Zamkowej Góry weszliśmy na szosę łączącą Wejherowo z Szemudem i dalej z Kartuzami. Na drodze panował znaczny ruch. Samochody wojskowe i konne furmanki wiozły zaopatrzenie na front, a kuchnie polowe ciepłą strawę dla walczących żołnierzy. Wkrótce nadjechała furmanka, na której siedziała grupka chłopców i dziewcząt w harcerskich mundurach z białymi opaskami i czerwonym krzyżem. O tym, że była to jakaś ekipa sanitarna, świadczył również biały proporzeczek z czerwono-krzyżowym znakiem, trzymany przez jednego z harcerzy.

– A dokąd to, druhowie? – zapytał z ciekawości Zyguś.

– Jesteście bezrobotni? Jedźcie z nami! – odezwały się głosy z wozu.

Widząc nasze niezdecydowanie, drobna dziewczyna szturchnęła woźnicę, wóz się zatrzymał, a ona zeskoczyła sprężyć się z furmanki i podeszła do nas trochę zaskoczonych tym spotkaniem.

– Wanda, dowódca patrolu sanitarnego Ochotniczej Kompanii Harcerskiej – przedstawiła się dziewczyna i podała nam rękę. Dowiedziawszy się, że nie mamy nic konkretnego do roboty, zaproponowała nam służbę w swoim oddziale sanitarnym.

– O, ten to ma nawet torbę sanitarną – zauważył jeden z druhów na wozie, wskazując na mnie ręką.

– Taki to nam się przyda – dodała uśmiechnięta druhna z pierwszego siedzenia.

Nie mieliśmy żadnych innych planów. Dołączyliśmy do przypadkowo napotkanego patrolu sanitarnego i tak dość nieoczekiwanie staliśmy się członkami wejherowskiej ochotniczej grupy harcerek.

Siedząc już na wozie, dowiedzieliśmy się, że kompania harcerska została powołana tuż przed agresją niemiecką przy I Morskim Pułku Strzelców, który stacjonował w Wejherowie. Powstała głównie z inicjatywy komendanta wejherowskiego hufca ZHP, harcmistrza podporucznika rezerwy Ludwika Dujanowicza. W jej skład weszli głównie harcerze ze szkół średnich, junacy PW i WF, uczniowie i uczennice z przeszkoleniem pecekowskim. Starą broń ćwiczebną dostarczyły ochotnikom głównie komenda powiatowa PW i WF oraz szkoły ponadpodszcze. Kompania obecnie walczy pomiędzy Bolszewem a Warszawem, wypełniając lukę między wejherowskim pułkiem, a 5 baonem Obrony Narodowej „Puck”. Patrol sanitarny, którego staliśmy się członkami, został skierowany do Białej, w pobliżu której toczyły się zacięte walki z nacierającymi, wielkimi siłami wroga. Obecna w tym rejonie grupa sanitarna, składająca się z kilku druhów, nie mogła podjąć zadaniom samarytańskim.

W lesie dudniła strzelanina. Patrol znalazł się na niewielkiej polanie. Wykonując rozkaz, sanitariuszki zagospodarowały jedną z chat w osadzie Biała. Koniuszy Brunon przy pomocy Zygusia, który przepadał za końmi, ustawili zaprzęg na klepisku stodołki. Tymczasem ja z pozostałymi druhami pomagaliśmy koleżankom w urządzeniu punktu sanitarnego. Przy szosie ustawiliśmy ów porządek czerwono krzyży, by potrzebujący pomocy widzieli, gdzie należy jej szukać.

Mając torbę sanitarną, otrzymałem przydział do „personelu medycznego”. Zyguś został mianowany kucharzem i jego obowiązkiem było przygotowanie posiłków i parzenie herbaty na nasze i rannych potrzeby. Tymczasem wysłano mnie i starszego druha Stefana do dowódcy odcinka obrony, by zameldować, że punkt sanitarny w Białej jest gotowy do przyjęcia rannych i że przybyło dwóch nowicjuszy.

Pierwsi pacjenci znaleźli się w punkcie sanitarnym w godzinach popołudniowych. Lżej ranni po opatrzeniu, wypiciu gorącej herbaty i krótkim wypoczynku wracali do swoich jednostek, bo tam każdy karabin był na wagę złota, tam ważyły się losy Wejherowa. Poważniej rannych Bruno ze Zbyskiem odwozili furmanką do wejherowskiego szpitala.

Zbliżała się noc. Należało zaciemnić okna tak, by żadna smuga światła nie przedostała się na zewnątrz, bowiem strzelanina zbliżała się niebezpiecznie. Nasza czujka stała na szosie, by kierować rannych do chaty.

Wartę miałem przed północą. Las wokół Białej dygotał swoim wojennym rytmem: trzeszczały wystrzały, huczały wybuchy, a w różnych miejscach krótkotrwałe błyski oświetlały na moment korony drzew. Wprawdzie przycichło, jednak bitwa trwała nieprzerwanie całą noc.

Po powrocie ze służby zapadłem w kamienny sen. Śniło mi się, że na zew lesockiego stołema, który przed wiekami porozrzucił po całej naszej ziemi diabelskie kamienie, rozstąpiła się od strony żwirowni Pucka Góra, a z jej czeluści zaczęły wychodzić zastępy śpiących rycerzy. Widziałem wyraźnie ich zbroje i ogniste miecze, kamienne twarze i błyszczące świętą nienawiścią oczy. Szli, by ratować zagrożoną ojczyznę.

Następnego dnia wczesnym rankiem bitwa pod Białą rozgorzała na nowo. Po nawałnicy artyleryjskiej i zmasowanych atakach niemieckiej Luftwaffe przemówiły ze zdwojoną

siłą karabiny maszynowe. Coraz częściej w naszym punkcie sanitarnym zjawiali się żołnierze potrzebujący pomocy.

W chacie robiło się gorąco. Wanda, Marysia, Stefcia i inne dziewczęta, a między nimi i ja, mieliśmy tyle roboty, że ręce opadały, a pot spływał po naszych skroniach. Wszystkie pomieszczenia były wypełnione rannymi. Furmanka Brunka nie mogła nadażyć z transportem ciężko okaleczonych żołnierzy do miejskiej lecznicy, która też była przepełniona.

– Żle, moi mili – stwierdziła Wanda. – Bandaże się kończą, woda utleniona i jodyna też, brak przylepców i szyn, brak miejsca w chacie. Co dalej? – pytała samą siebie.

– Moja torba sanitarna też prawie pusta – dodałem minorowym głosem.

Na szczęście w godzinach popołudniowych przybył do Białej patrol sanitarny Damiana w towarzystwie trzech sanitariuszy wojskowych z nowym zapasem środków opatrunkowych. Rannych wciąż przybywało. Teraz już wozy konne nie były w stanie odtransportować wszystkich do miasta. Przysłano do pomocy samochód, ale i tak izby były pełne rannych. W tej trudnej sytuacji patrol druha Damiana został skierowany na linię frontu, by na miejscu udzielać poszkodowanym pomocy.

– Nie damy rady – z rezygnacją oświadczyła Wanda.

– Do dzieła! Cierpiącym trzeba pomóc – zachęcałem ją, jak mogłem.

W godzinach wieczornych, kiedy walki toczyły się już w bezpośrednim sąsiedztwie Białej, przyszedł rozkaz ewakuacji naszego punktu do Śmiechowa.

I tak pod koniec ósmego dnia walk obronnych w rejonie Wejherowa, na skutek ogromnej przewagi wroga i wdarcia się batalionów meklemburskich lasami na tyły obrony polskiej, po zajęciu Wyspowa i dotarciu do Gniewowa zaszła pilna konieczność opuszczenia dotychczasowych pozycji przez wojska podporządkowane dowódcy Oddziału Wydzielonego Łądowej Obrony Wybrzeża „Wejherowo”, podpułkownikowi Kazimierzowi Pruszkowskiemu. Kompania harcerek została wycofana do Redy. Utrudzonych ochotników rozlokowano po części w karczynie Grabego, po części w przyległym Cieclocinie. Mieszkańcy tego osiedla zadbali o noclegi i wyżywienie dla zmęczonych walką i długim marszem młodzieńców żołnierzy Rzeczypospolitej.

Już w pełni zaadaptowaliśmy się z Zygusem w nowej jednostce jako sanitariusz i koniuszy. Nawet obaj zdobyliśmy jeszcze w Białej broń. Były to zwykłe karabiny po ciężko rannych i zmarłych żołnierzach. Sporo ich się tam poniewierało, więc przywłaszczyliśmy sobie dwa, a reszta została odtransportowana do gdyńskich oddziałów ochotniczych. W ten sposób staliśmy się, przynajmniej w naszym mniemaniu, prawdziwymi żołnierzami.

W sobotę rano znaleźliśmy się znowu w miejscowości o nazwie Biała, ale tym razem w Białej Rzece, choć żadnej tam rzeki nie widzieliśmy. Nasza kompania otrzymała poważne zadanie: obronić za wszelką cenę tę miejscowość, położoną między torem kolejowym a szosą, w połowie drogi pomiędzy Redą z Zagórzem.

Patrol sanitarny ulokował się w kępie drzew pomiędzy Białą Rzeką a lotniskiem w Rumi. Damian z Zygusem wprowadzili konie do stajni pobliskiego gospodarstwa rolnego. Otrzymali nosze i razem ze mną zostali skierowani do zajętej przez naszych wioski, gdzie w murowanej szopie rolnika Vossa urządziliśmy sobie coś w rodzaju punktu opatrunkowego.

– Idą Niemcy – przyniósł nowinę wysłany w kierunku Zbychowa, a ściślej leśniczówki Zagórze patrol.

– Wielu ich? – z zaciekawieniem pytali chłopcy.

– Wielu – brzmiała odpowiedź. – Aż w lesie się mrowi od zielonych mundurów i hełmów.

Nastąpiły ostatnie gorączkowe przygotowania stanowisk ogniowych. Słowa pokrzepienia i otuchy niósł swoim podopiecznym dowódca kompanii porucznik Dujanowicz. Dla wzmocnienia obrony przybyło kilku uzbrojonych policjantów w granatowych mundurach.

– Są! Wyłażą z lasu! – poszły głosy od stanowiska do stanowiska.

Rzeczywiście wzdłuż drogi prowadzącej ze Zbychowa do Rumi, w kilku grupach gęsiego posuwali się żołnierze Wehrmachtu. Mogło ich być około pięćdziesięciu, a może i więcej. Prawie co trzeci, a już na pewno co piąty dzierzył lekki karabin maszynowy.

Kapral Skowronek, dowódca trzeciej drużyny, która zajęła pozycje przed torami, długo zwlekał z oddaniem pierwszego strzału, który był umownym znakiem do podjęcia walki. Gdy Niemcy doszli do toru kolejowego, chłopcy przywitali ich ogniem ze swych pukawek i ręcznymi granatami. Zaskoczenie Niemców było zupełne. Rozpierzchli się po obu stronach zbychowskiej drogi, a następnie skokami zbiegli do lasu. Po drodze pozostawili kilka zabitych i wielu rannych. Ci lamentowali. Szczególnie jeden z nich krzyczał donośnie:

– Hilfe! Hilfe, Kammeraden!

Ale żaden z pierzchających Niemców nie odważył się przyjść mu z pomocą, nawet sanitariusze.

Chłopcy triumfowali. My, sanitariusze, pod osłoną nasypu kolejowego i zagłębień pobliskiej zwirowni ściągnęliśmy kilku rannych Niemców do szopy i po zaopatrzeniu ran ułożyliśmy ich w pomieszczeniu, które zamknęliśmy na kołek. Tam mogli odpoczywać, a my byliśmy pewni, że nie wyrządzą nam krzywdy.

Porucznik Dujanowicz i sierżant Rogoś, spodziewając się ponownego natarcia większymi siłami, obchodzili stanowiska swych poddanych, dodając im otuchy i udzielając cennych wskazówek. Wszyscy, choć różnie odziani, mieli białe-czerwone opaski. Tylko nasza trójka posiadała opaski czerwono-krzyskie.

Podczas obchodu na otwartym polu zaskoczyła ich, to znaczy dowódcę i szefa kompanii, zmasowana nawałnica ogniowa nieprzyjacielskiej artylerii i moździerzy.

– Dowódca jest ranny! – krzyknął w pewnym momencie Zyguś.

– Sierżant również – dodał Damian.

Lubiany przez wszystkich szef kompanii sierżant Stanisław Rogoś zmarł na moich kolanach podczas bandażowania licznych, szarpanych ran. Porucznik Dujanowicz został draśnięty odłamkiem granatu, ale doznał mocnego szoku. Zyguś i Damian mieli z nim wiele kłopotu, zanim doprowadzili go do punktu sanitarnego, gdzie oprócz innych druhen dyżurowała jego żona.

Był to poważny cios dla kompanii. Za jednym zamachem straciła dwóch najważniejszych dowódców i opiekunów. Tymczasem huraganowy ogień artyleryjski został powtórzony z jeszcze większą mocą i precyzją. Biała Rzeka zamieniła się w piekło. Setki pocisków różnego kalibru rozrywało się na polach, na podwórkach, w zabudowaniach. Wybuchło wiele pożarów, wiele domów przestało istnieć. Nawałnica trwała przeszło trzydzieści minut., a obrońcom Białej Rzeki zdawało się, że trwa całą wieczność.

Siedziałem przerażony jak truś w murowanej szopie obok nieżywego sierżanta. Zamknęci Niemcy lamentowali po swojemu, a ja na przemian modliłem się i krzychałem, chcąc przekrzyknąć ten piekielny rumor. Moi koledzy nie zdążyli wrócić z punktu sanitarnego. Byłem sam w tej lawinie ognia.

O pomocy rannym nie było mowy. A słyszało się ze wszystkich stron nawoływania i krzyki trafionych, a także głosy rozpacz i zwykle dziecinne wołanie swojej mamy. Biała Rzeka stała się czarną, złą czeluścią piekieł. Poległ dowódca drugiego plutonu sierżant Jakub Jakubowski, dowódca trzeciej drużyny kapral Oswald Skowronek, a sierżant Franci-

szek Szenderlata oraz dowódca pierwszego plutonu zostali ranni. Wyeliminowano z walki prawie wszystkich wyszkolonych dowódców młodzieżowej kompanii. Chłopcy byli teraz zdani na własne siły i własne, niezbyt bogate doświadczenie.

W kolejnej przerwie ogniowej kolerzy pomogli mi znieść rannych z najbliższej okolicy, a następnie zajęli się poprawianiem swoich pozycji obronnych.

Po pewnym czasie pod lasem zamrowiło się ponownie. Jeden batalion niemieckiej piechoty ruszył ostrożnie, pod ogniem ubezpieczających cekaemów do natarcia. Przewaga wroga była przytłaczająca. Mimo to młodzi polscy chłopcy stawiali zacięty opór, a nawet zerwali się do przeciwnatarcia.

W czasie tej walki pozostawiłem rannych i z okienka szopy próbowałem strzelać do podchodzących pod tory Niemców. Amunicja, której miałem niewiele, wnet się skończyła i tym samym skończyła się moja walka. Sytuacja stawała się beznadziejna. walczone już o poszczególne miedze, drzewa, podwórka, domy – o każdy polski próg.

Około godziny wpół do piątej część obrońców została okrążona. dano hasło do odwrotu. Było to jednak trudne do wykonania. każde opuszczenie kryjówki groziło kontuzją lub śmiercią. W towarzystwie kilku łżej rannych kolegów dostaliśmy się jakoś na szosę, a stąd przydrożnym rowem uciekliśmy w rejon stacji kolejowej Rumia-Zagórze. Po drodze jeden współtowarzysz otrzymał śmiertelny postrzał w głowę.

Nadeszło spóźnione wsparcie dla obrońców Białej rzeki. Tuż za wspomnianą stacją kolejową, do wyrwy w torach, jaką spowodował pocisk lub bomba, podjechał pociąg pancerny „Smok Kaszubski”. jego działka ostrzelały Niemców, którzy pokazali się na skraju lasu pomiędzy Zagórzem a Białą Rzeką. Obsługa pociągu zauważyła nas i kiwnięciem przywołała do siebie. Zostaliśmy umieszczeni w wagonie, w którym było już dwóch rannych.

*

Zyguś i Damian wrócili z punktu sanitarnego do Białej Rzeki, ale do punktu opatrunkowego w szopie nie dotarli. Ostrzał artyleryjski był tak silny, że nie sposób było dotrzeć na miejsce. Postanowili czekać w piwnicy jednego z położonych po drugiej stronie szosy domów do momentu, aż się nieco uspokoi. Tymczasem dotarło do nich dwóch rannych: harcerz i policjant. Czerwonokrzyska opaska zobowiązywała harcerzy do udzielenia im pomocy, ale nie posiadali żadnych materiałów opatrunkowych. Rannym ulżyły znajdujące się w piwnicy kobiety.

– Do naszego punktu opatrunkowego pod Rumią nie dostaniemy się. Za długi odcinek równiutkiego pola. Skoszą nas Niemcy, zanim zdołamy wybiec na pole – rozważał Damian. Piechurzy niemieccy opanowali już znaczne tereny po obu stronach torów i część Białej Rzeki.

„Chyba doprowadzimy naszych rannych do punktu sanitarnego w Redzie” – pomyślał Zyguś i to rozwiązanie zaproponował Damianowi. Po drodze znalazło się jeszcze kilku rannych, którzy o własnych siłach podążali za chłopcami z czerwonokrzyskimi opaskami. Pod przydrożnym domem leżał junak z przestrzeloną lewą nogą. On znalazł się na noszach.

Przydrożnym rowem, pod osłoną domów i drzew grupa kalek prowadzonych przez Zygusia i Damiana dotarła szczęśliwie do dworca kolejowego w Redzie. I tu było niebezpiecznie, co się poruszało. Również z zalesionych wzgórz przylegających do dworca strzelali do wszystkiego, co się poruszało. Również artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwała całą miejscowość. Ogrodami, opłotkami, rowami dotarli wreszcie do punktu sanitarnego w szkole, ale okaza-

ło się, że tu przyjmowano tylko ciężko rannych. Tu przeprowadzali zabiegi dwaj lekarze wojskowi i lekarka cywilna. Pozostał więc w szkole ten na noszach, a pozostali udali się do punktu opatrunkowego w znanej karczmie Grabego.

Punkt obsługiwany był przez sanitariuszki z plutonu sanitarnego ochotniczej kompanii i przez dwie siostry z wejherowskiego szpitala, którym pozwolono ewakuować się razem z wojskiem. Karczma była przepelniona.

Zyguś i Damian po przekazaniu podopiecznych postanowili wracać do swoich. Nie było to takie proste. Reda była wciąż pod ostrzałem. Stały tu swe śmiercionośne prezenty armaty spod Gniewowa, Śmiechowa, a nawet spod niedawno opanowanego przez Niemców Rekowa. Nie próżnowały też moździerze i kulomioty usytuowane korzystnie na wznieszeniach dochodzących pod samą Redę. Wiele domów płonęło, wiele leżało w gruzach.

W momencie, gdy Zyguś i Damian znaleźli się w pobliżu szkoły, Niemcy ruszyli do kolejnego natarcia. Niemilosiernie waliły granatniki, postrach wzbudzały miotacze ognia, których obrońcy nie znali, a na dodatek korytarzem wejherowskim nadlatywały nad Redę eskadry samolotów, kosząc zaciekle z broni pokładowej, wywołując panikę i strach.

Mimo to obrona polska, dzielni strzelcy wejherowskiego pułku nie ustępowali na krok swych stanowisk, rozmieszczonych na krańcach wsi. Natarcie nieprzyjacielskie, ponawiane nie wiadomo po raz który tego krwawego dnia, załamało się.

Po pokonaniu wielu przeszkód Zyguś i Damian dotarli do dworca kolejowego i tu schronili się w ceglany budynku poczty. Przy centrali telefonicznej na parterze siedziała dziewczyna ze słuchawkami na uszach. Łączyła prawie nieustannie różne kierunki i nawoływała lekko zachrypniętym głosem:

– Tu Olga, tu Olga, łączę z Etapem Emigracyjnym, z Oksywiem, Szkołą Morską, z Rumią, Chylonią, Kosakowem. Wiele kierunków nie odpowiadało. Wtedy zwracała się do żołnierzy-druciarzy, którzy wypoczywali na ławce w budynku poczty i określała uszkodzenie. Bez szemrania ładowali na siebie sprzęt i wychodzili, by często pod ogniem nieprzyjacielskim likwidować uszkodzenia.

Okna na parterze były wyłożone workami z piaskiem. W ten sposób przystosowano budynek do obrony. Oświetlenie pomieszczeń stanowiły lampy naftowe i świece. Obchodząc pocztę, zastanawialiśmy się, co robić dalej.

Telefony wciąż dzwoniły, a Olga Drozdow niezmiernym głosem przekazywała cenne meldunki. Nagle do pokoju wpadł wysoki, przystojny, czarnowłosy kapitan. Najpierw zainteresował się chłopcami, a następnie zwrócił się do telefonistki:

– Pani Olgo, Biała Rzeka padła, nie ma odwrotu na Gdynię. Nocą wycofujemy się na Mostowe Błota, a następnie na Kępę Oksywską. Pani jest przemęczona i winna udać się do domu, by choć trochę odpocząć. Zastąpią panią moi żołnierze.

– Nie zastąpią! – odpowiedziała stanowczo telefonistka. – Nie znają się na tym gruchoć – wyjaśniła wskazując na centralę. – Będę tu trwała do końca i razem z wami pójdę na Kępę – zdecydowała.

– Słyszałeś? – szturchnął Damiana Zyguś – Biała Rzeka padła.

– A więc jednak – wyszeptał ze smutkiem w głosie Damian.

– Co stało się z Radkiem? – dodał z niepewnością i z troską.

– Nie mamy po co tam wracać – rzeczowo ocenił sytuację Zyguś.

– Niemcy znowu atakują – oznajmił żołnierz przybyły z kompanii łączności.

– To i na nas czas – rzekł stanowczo Damian i wyszedł na piętro budynku, a za nim pojął Zyguś. Tam ostrożnie ulokowali się jeden przy drugim i przystąpili do żołnierskiej powinności. Po chwili zmienili okna. Starali się dobrze mierzyć i trafnie strzelać do uka-

zujących się w przyległych do dworca zaroślach niemieckich żołnierzy.

Nastała noc grozy. Reda wciąż płonęła. Śwąd zwęglonego inwentarza, smród zabitych koni, zaduch kotłującego się w dolinie dymu nie pozwalały ludziom normalnie oddychać. Pociski rwały nieustannie ziemię, druzgotwały wszystko, co jeszcze do tej pory przetrwało nietknięte. Żołnierze i ludzie przemykali się od domu do domu jak cienie, jak upiory. Ze wzgór ściagały ich smugi pocisków świecących, a jęzory ognia z miotaczy robiły wrażenie, że setki legendarnych smoków zionie ogniem i żarem na obrońców Redy.

Nasi przyjaciele zostali przydzieleni, do chwili przybycia Niemców, do obsługi sanitarnej rannych znajdującej się w szkole. Z nieukrywaną zazdrością spoglądali na żołnierzy, którzy opuszczali Redę, wychodząc małymi grupkami na łąki i mokradła Pradoliny Kaszubskiej, by po jej przebrnięciu dostać się na zbawczą Kępę. Nie w smak była im niewola niemiecka.

– Ja, zanim przyjdą Niemcy, ucieknę – oświadczył zdecydowanie Zygmunt.

– Zwiejemy, chciałeś powiedzieć – przygadał mu Damian.

*

A co działo się z Radkiem, który znalazł się na „Smoku Kaszubskim”? O zmroku pociąg wycofał się do Gdyni po nowy zapas wody, węgla, amunicji i po zmianę kolejarzy. Tak o tym później Damianowi i Zygmontowi opowiadał Radek:

Pojechałem z rannymi. Z Grabówka doprowadziłem ich do szpitala mieszczącego się w Szkole Morskiej. Wróciłem na pociąg pancerny. Wiedziałem, że wróci w rejon Białej Rzeki, a mnie śpieszyło się do swoich.

– No, doktorku, zostaniesz już chyba z nami – żartował jeden z sanitariuszy „Smoka”.

– Twoi koledzy poszli tam, gdzie pieprz rośnie – żartował drugi.

To, że nazwali mnie doktorkiem, nie tak mnie dotknęło, jak to, że kpili z moich kolegów.

– To wy byliście wówczas w pieprzu, gdy oni krwawili w beznadziejnej walce w Białej Rzece – przygadałem im i dodałem: – Siedzieć w blaszanym pudle to nie wojaczka, ale zmierzyć się z wrogiem twarzą w twarz, to jest żołnierska sprawa.

Tymczasem „Smok Kaszubski” sapiąc podążał w kierunku Rumi-Zagórze. Ogień niemieckiej artylerii został przerzucony na starą Rumię i Kępę Oksywską. W Zagórze panował względny spokój. Kolejarze na stacji zameldowali, że tory do Białej Rzeki są naprawione.

Dowódca pociągu długo czekał na rozkaz operacyjny. Po północy na stacji zjawił się podpułkownik Marian Sołdkowski, który wydał dowódcy pociągu, porucznikowi marynarki Florianowi Hubickiemu rozkaz:

– Rozpoznać siły wroga na odcinku Zagórze – Reda. Z Redy przywieść personel sanitarny i rannych.

Pociąg w pełnej gotowości bojowej posuwał się wolno i ostrożnie naprzód. Spodziewano się ataku Niemców z zaskoczenia.

Pogodziłem się z sanitariuszami, którzy mimo wszystko okazali mi szacunek i troskę. Pierwsze żarty trzeba było puścić w niepamięć.

Wiadomo było, że Niemcy są w Białej Rzece lub w jej pobliżu, ale zachowywali się tak, jakby ich tam nie było. Albo nie chcieli zdradzić swoich pozycji, albo bali się zaatakować groźnie wyglądającego „Smoka”, albo na noc wycofali się – przynajmniej głównymi siłami – do bezpiecznego lasu. Ta ostatnia możliwość wydawała się najbardziej prawdopodobna.

Stan torów za Białą Rzeką nie był znany załodze „Smoka”. Dlatego też dwóch kolejarzy z załogi pociągu, ubezpieczonych przez grupę marynarzy, szło przed pociągiem, sprawdzając szyny i podkłady na nasypie. Kilkaset metrów przed Redą napotkano na torze kolejarza, który w stylu wojskowym zameldował:

– Starszy torowy Józef Gortowski melduje: tory przejrzałem, uszkodzenia naprawilem, wolny wjazd na stację.

„Smok Kaszubski” zatrzymał się przy puckim peronie. Niemcy zostawili w pierwszej chwili pociąg w spokoju. Sanitariusze, kolejarze z pociągu i stacji udali się do szkoły po rannych żołnierzy. Przy pomocy tamtejszych sanitariuszy przenieśli na noszach i kocach zdatnych do transportu rannych obrońców redy. Ranni z karczmy przeszli do zbawczego pociągu o własnych siłach. Część z nich opuściła Redę wcześniej, udając się z wojskiem na Kępę Oksywską.

Ewakuacja rannych odbyła się już pod wzmożonym ostrzałem artyleryjskim. Odezwały się też niektóre cekaemy. Dlatego nie zwlekając „Smok” podążył w drogę powrotną, zabierając wielu cywilów.

Ranni znaleźli się w wydzielonym wagonie, stłoczeni do granic możliwości. Przy pełnym zaciemnieniu wagonu zapalono światło i podano rannym gorący napój oraz żołnierskie suchary. Uwijałem się jak w ukropie, obdzielając rannych i cywilów herbatą, gdy w pewnym momencie zauważyłem was i krzyknąłem:

– Zyguś, Damian! Życie?

Uradowany Radek podbiegł do kolegów i ze wzruszeniem uściślał i obcałował obu. Tak to góra z górą się nie zejda, a ludzie zawsze mają tę szansę. Szczególny powód do radości mieli Zyguś i Damian. Liczyli już godziny do momentu zdobycia przez Niemców szkoły w Redzie, a ucieczka mogła się nie powieść. Niespodziewane nadejście „Smoka” wydarło ich ze szponów nieprzyjaciela. Na dodatek znaleźli jednego ze zbratanej trójki, to znaczy Radka.

Światło, gdy pociąg dotarł do Zagórza. Zatrzymał się w Janowie i porucznik Hubicki udał się złożyć raport z wyprawy do willi, w której mieścił się sztab podpułkownika Słodkowskiego.

W Chyloni zostaliśmy znowu rozdzieleni. Zyguś i Damian dołączyli do kolumny samochodowej, która ruszyła z rannymi do szpitala Marynarki Wojennej na Oksywiu, a ja pojechałem z inną grupą do szpitala miejskiego w Gdyni, bo Szkoła Morska ze względu na przepełnienie rannych już nie przyjmowała.

Dwójka naszych bohaterów skierowanych na Oksywie, jakby została przypisana do samochodu, którym przywieźli rannych. Po przekazaniu ich do szpitala otrzymali polecenie przewiezienia specjalnego ładunku, składającego się z kilku ciężkich zamkniętych i opieczętowanych skrzyń. Ładunek ten miał być przerzucony przez Zatokę Pucką na półwysep Hel. Skrzynie zawierały prawdopodobnie jakieś ważne dokumenty i przedmioty, które nie mogły wpaść w ręce nieprzyjaciela.

Na płaskowyżu Kępy Oksywskiej panował względny spokój. Pod ciągłym ogniem artyleryjskim były zalesione pagórki i zbocza Kępy. Harcerze usadowieni na odkrytym samochodzie dziwili się, że nie widać samolotów wroga. Czyżby w niedzielne przedpołudnie świętowali?

– Patrz, co się dzieje na morzu – krzyknął Zyguś, wskazując palcem w kierunku Gdańska.

– To chyba niemiecki okręt ostrzeliwuje cypel helskiej kosi – niepewnym głosem zauważył Damian.

– Czyżby to był ten pancerny kolos „Schleswig-Holstein”, który wczesnym rankiem 1 września zaatakował Westerplatte? – zastanawiał się gdańszczanin.

Doskonała pogoda pozwalała obserwować jeden z epizodów wojny na Zatoce Gdańskiej. Ze stalowego kolosa, zakotwiczonego na wysokości Orłowa, odrywały się najpierw jasne obłoczki, po nich kłęby dymu, a po jakimś czasie dochodził do uszu obserwujących głuchy odgłos detonacji. Pociski spadały, co było dość wyraźnie widoczne, na cypel Półwyspu Helskiego. Ale Hel nie próżnował. Na ogień odpowiadał ogniem. Polscy artylerzyści strzelali celniej, bo fontanny wody wzbijały się w górę tuż obok pancernika. Kolos chcąc widocznie uniknąć zmasowanego natarcia, postawił zasłonę dymną i pod jej osłoną, jak się później okazało, odpłynął w stronę Gdańska.

W Babim Dole samochód zjechał wąską dróżką nad sam brzeg morza, gdzie przy niewielkim, osłoniętym lasem molo, stał kuter rybacki z marynarską obsadą. Marynarz z szoferki dowiedział się, że kuter odpłynie do Jastarni dopiero wieczorem i że do tego czasu żadnego ładunku nie przyjmie. należało więc beczynnie czekać, a słońce było jeszcze dość wysoko.

– Chodźmy na górę – zaproponował Damian.

Ale Zyguś był jakiś smutny, zamyślony i nie zwrócił uwagi na propozycję kolegi. Ten niemiecki okręt wojenny, który obserwowali z płaskowyżu, przypomniał mu Gdańsk i rodziców, których hitlerowscy bojówkarze porwali pierwszego dnia wojny. Damian nie domyślił się powodu nagłej odmiany wesołego do tej pory kolegi. Wdrapał się sam na stromy brzeg i stamtąd obserwował wody zatoki i kosę Półwyspu Helskiego. Dopiero po pewnym czasie dołączył do niego Zyguś.

W godzinach popołudniowych nad wodami Zatoki Puckiej pojawiły się z rzadka rozrzucone kłębowiska mgły, które zaczęły się łączyć ze sobą, splatać, tworząc w efekcie coraz większy mglisty całun nad taflą szmagardowej wody. Wreszcie, tak się przynajmniej chłopcom zdawało, cała zatoka pokryła się mlecznym welonem.

Zapadła decyzja, że kuter, wykorzystując powstałą naturalną zasłonę, odpłynie do Jastarni. Chłopcy przy pomocy kierowcy i konwojenta załadowali skrzynie na pokład kutra. Marynarz-konwojent miał skrzyniom towarzyszyć do miejsc przeznaczenia. Załadowano jeszcze kilka innych pak, beczki i przyjęto na pokład kilku przybyłych marynarzy.

Kuter odpłynął. Miarowy stukot silnika odbijał się od spadzistego brzegu Kępy i wysokiego lasu. Bicie kutrowego serca w miarę oddalania się jednostki od brzegu słabło, a sam kuter na przemian to chował się, to pokazywał w mlecznej, niezbyt jeszcze spójnej mglistej powłoce. Po pewnym czasie zniknął zupełnie.

Słyszysz? Czy to nie samoloty? – powiedział Damian i nadstawił uszy w kierunku Pucka.

– Ależ tak! Stukasy.

Zyguś nauczył się doskonale rozpoznawać rodzaje samolotów po warkocie silników. I tym razem nie pomylił się. Od strony Wielkiego Morza pojawiło się kilka niemieckich bombowców nurkujących. Leciały na niewielkiej wysokości, tuż nad mglistą powłoką otulającą Małe Morze. Trzymały się raczej brzegu. Gdy znalazły się na wysokości cypła oksywskiego, zawróciły i wtedy odezwała się nasza obrona przeciwlotnicza. Mimo niewygodnego lotu hitlerowskich maszyn nasi żołnierze starali się je odpendzić od brzegów ogniem cekaemów.

Teraz nawet kierowca nie przynaglał chłopców do powrotu. Sam był ciekawy, co z tego wyniknie.

– Cziejbë le ta dôka nie bëła blôs przë sztrądze? – z obawą w głosie odezwał się stary, widać doświadczony rybak, który znalazł się na skarpie tuż przy harcerzach, zapewne z zawodowej ciekawości.

– Co tóż bądze z tim kutrę? – martwił się drapiąc palcem w głowę.

– Terë je po kutrze – zawyrokował wystraszony kierowca.

– Nie kraczë, bo wëkraczesz – skarcił go rybak.

I wykrakał, bowiem po kilku minutach stojący na brzegu ludzie usłyszeli najpierw charakterystyczne wycia maszyn, a następnie głucho detonacje, po kilkunastu sekundach zło-wieszcze trzeszczenie broni pokładowej. Dłuższa cisza i znowu to samo, i tak kilkakrotnie. W końcu wszyscy ucichło. Tylko serca osób stojących na skarpie łomotały przyspieszo-nym tętnem, a niepokój coraz bardziej wciskał się do ich dusz.

Wszyscy zbiegli do jaru, gdzie stało kilku marynarzy i żołnierzy z pobliskiej placówki, a nawet siostra ze szpitala, której narzeczony – jak mówiła – wypłynął na tym kutrze. Lu-dzi przynagliła ciekawość, a przede wszystkim troska o los kutra, tej nikłej niteczki łączą-czej łąd z półwyspem. Wszyscy chcieli przebić wzrokiem tę kotłującą się, jakby z przeraże-nia, mleczną biel.

Głucha cisza panowała nad Zatoką Pucką. Samoloty już odleciały, artyleria umilkła, karabiny też. Tylko złe przecucia siały niepokój i podenerwowanie wśród oczekujących na brzegu ludzi. Poglębiał je fakt, że nie było słycać warkotu kutrowego silnika.

– O, tam coś jest! – krzyknęła w pewnym momencie dziewczyna w bieli.

– Ji sę w głowie mący – rzekł rybak.

– Młodé oczë, a ju mają majaczi – dodał marynarz.

Pomimo tych zaprzeczeń wszyscy wyteżali wzrok i słuch. Po okresie wyczekiwania Zyguś tracił Damiana i szepnął mu w ucho, bo głośno nie odważył się mówić:

– Czy słyszysz ten plusk?

Zyguś nastawił ku morzu swe lewe ucho, bo w prawym od czasu, kiedy w Redzie od-rzuciła go siła wybuchu pocisku artyleryjskiego, czuł ustawiczne dzwonienie.

– Tak – przytaknął po chwili głową.

Rybak również nastawił ucha w kierunku morza i był czymś zaniepokojony. Kruszył przy tym z podniecenia palce u rąk.

Ten powtarzający się dość regularnie plusk przypominał zanurzanie wiosła w wodzie lub rzucony kaczka na wodzie kamień, albo plusk skaczącej rybki ponad powierzchnię to-ni morskiej. Jednak żadna z tych przyczyn nie pasowała do słyszanego mlaskania. Łodzi w Babich Dołach nie było, nikt z obecnych kaczek nie rzucał, a rybki we mgłę nie wyskakują po owady, bo ich przy takiej pogodzie po prostu nad wodą nie ma. A jednak plusk się po-wtarzał.

Lekki powiew wiatru rozwiął na moment mglistą przykrywę zatoki i oczom stojących na brzegu osób ukazał się wzruszający, niecodzienny widok. Do brzegu płyną dwaj ludzie, w różnej odległości. Widać było wyraźnie, że ten drugi podążał ostatkiem sił. Pierwszy w lewej ręce trzymał karabin. Co jakiś czas zatrzymywał się i nerwowo oglądał za siebie. Głową zachęcał kolegę do dalszego wysiłku. Domyślano się na brzegu, że był w wielkiej rozterce: wypuścić z dłoni karabin i pomóc towarzyszowi niedoli, czy zostawić kolegę, a uratować ceną broń. W tym czasie marynarz podjął decyzję i zawrócił.

Dwóch marynarzy z brzegu jak na rozkaz rzuciło swe granatowe kurtki i pośpieszyło rozbitkom na pomoc.

– Polskô nie zdzinie. Nie zdzinie tóż bëłny lud – rzekł do siebie rybak i ukradkiem otarł rękawem łzy.

Z ust rozbitków, gdy przyszedli do siebie, zebrani w jarze ludzie dowiedzieli się, że jedna z bomb spadła na rufę kutra i rozbiła go. Niewielu zdołało opuścić szybko tonącą łajbę, a kilku z tych, co pływało po wodzie, zmiołła broń pokładowa samolotów. Czy prócz tych dwóch jeszcze ktoś się uratował – trudno powiedzieć.

Największą radość okazała siostra szpitalna. Najpierw głośno szlochała, następnie jej płacz przeszedł w wybuch radości. Śmiejąc się tuliła do ociekającego wodą marynarza. To był właśnie jej narzeczony.

Zyguś i Damian późnym wieczorem wrócili ze smutną nowiną do oksywskich koszar. Pełni przykrych wrażeń ułożyli się w schronie do snu. Spali mocno. Nie docierały do nich wybuchy bomb ani eksplozje pocisków artyleryjskich, kierowanych z morza przez okręty Kriegsmarine.

Na drugi dzień postanowili wrócić do Gdyni, by tam odszukać Radka i pozostałych przy życiu kolegów z wejherowskiej ochotniczej kompanii. Przełożeni jednak nie pozwolili im odejść twierdząc, że wszystkie jednostki z Gdyni i jej przedpola zostaną dziś wycofane na Kępę Oksywską.

Przydzielono ich w charakterze konwojentów do innego samochodu, który udał się do jaru nad brzegiem Zatoki Puckiej po amunicję dla walczących pod Dębogórzem batalionów strzeleckich. Samochód ustawiono na brzegu lasu w specjalnej ziemiance. Do jaru po amunicję przychodzili żołnierze z różnych formacji i pododdziałów. Wśród innych znaleźli się dwaj harcerze z biało-czerwonymi opaskami.

– Czy nie jesteście przypadkiem z wejherowskiej ochotniczej kompanii? – zagadnął ich Zyguś.

– Z jakiej tam kompanii – odpowiedział jeden z nich. – Został tylko jeden pluton i to w niepełnym składzie.

Bolesław Kłoczko – bo tak się ten harcerz nazywał – opowiedział przypadkowo napotkanym druhom, co działo się w Białej Rzece po ich odejściu.

– Tam było piekło – zaczął swą opowieść. – Na podwórze Jana Vossa, gdzie mieścił się punkt opatrunkowy, po skończonej bitwie Niemcy spędzili trzynastu obrońców Białej Rzeki, którzy nie zdążyli uciec z płonącej wsi. Najpierw odebrali im karty mobilizacyjne, następnie kazali zdjąć opaski i wtedy rozpoczęły się szykany na hitlerowską modłę. Ochotników nazywali bandytami i kazali im przez cały czas trzymać ręce nad głowami. Po pewnym czasie na miejsce tortur przybył wyższy oficer niemiecki, którego żołnierze tytułowali: Herr Major Diest. On wydał polecenie rozstrzelania wszystkich ochotników. Obserwowałem wszystko z ukrycia, znając nieco ich język – smutno kończył druh Bolesław.

– Ależ to bezprawie! – wtrącił plutonowy, który wydawał amunicję. – To wbrew międzynarodowym konwencjom – dodał z oburzeniem w głosie.

Bolek snuł dalej łamanym głosem swą wstrząsającą opowieść:

– Zaryzykowałem ucieczkę. Gdy żołnierze byli zajęci majorem i weszli z nim do szopy, zniemacka rzuciłem się na stojącego opodal mojej skrytki żołdaka, przewróciłem go, porwałem jego pistolet i co sił w nogach uciekłem w stronę lotniska, gdzie powiewała czerwonokrzyska chorągiew. Strzelałem na oślep do napotkanych Niemców. I jak widziacie, żyję! Udało się, udało.

Po powrocie na Oksywie obu harcerzy skierowano do kompanii porucznika Zdzisława Pięłowskiego. Mieli walczyć, bo posiadali broń. Do innych czynności było aż nadto chętnych ochotników bez broni. W tej kompanii, utworzonej głównie z byłych kosynierów, spotkali kilku kolegów z rozbitej pod Białą Rzeką kompanii harcerskiej.

Rankiem 13 września kompania porucznika Pięłowskiego została przewieziona samo-

chodami pod Dębogórze, skąd już pieszo, niewielkim parowem dotarła na linię frontu. Niemcy opanowali wzniesienie o nazwie Dowa Góra i ten ważny punkt strategiczny należało im odebrać za wszelką cenę. Nie było to zadanie łatwe, należało bowiem przebyć pod ogniem nieprzyjacielskich cekaemów kilkusetmetrową płaszczyznę, a następnie wdrzeć się na opanowany przez wroga pagórek.

– Będziemy trzymać się razem – zaproponował Damian druhom Zygusiowi i Felkowi Okrojowi, któremu udało się też ująć z życiem z masakry w Białej Rzece.

I poszli jak burza do szturm. Ciężko sapiąc biegli etapami w kierunku wzgórze. Przebiegli może sto, a może i więcej metrów, gdy nagle biegnący pośrodku zachwiał się, zrobił ciałem pół obrotu, skulił się i padł na zaorany zagon. Zyguś z Felkiem podbiegli do niego, a gdy padli na ziemię, usłyszeli jego jęki:

– Moje nogi! Drętwieją mi, pomóżcie!

Obie kończyny były przestrzelone powyżej kolan. Krew lała się obficie. Ściągnięto rannemu koledze spodnie i prowizorycznie owinięto uda. Tak go zostawili, by podążyć za resztą. Czołówka natarcia dotarła już do podnóża pagórka. Druhowie po chwili dołączyli do reszty. Rozpoczął się ostatni etap natarcia.

I tu na zboczu Dębowej Góry stało się kolejne nieszczęście. Felek przeskakując od krzaka do krzaka, nagle wyciągnął w górę obie ręce, rzucił karabin i padł na wznak na kazuśkie wrzosi. Gdy Zyguś podbiegł do niego, konał. Strzał w głowę odebrał mu młode życie. Leżał na dywanie fioletowych kwiatów i patrzył nieprzytomnie w błękitne niebo.

Stało się to tak nagle i nieoczekiwanie, że Zyguś stracił panowanie nad sobą. Zerwał się i z wielkim krzykiem poleciał na Niemców, by pomścić swych kolegów. Niechybnie spotkałby go ten sam los, gdyby nie starszy towarzysz broni w mundurze kolejarskim, który podciął mu nogi i zwałił na ziemię.

– Czyś ty oszalał? – zawołał i przydusił go do murawy.

Niemcy strzelali jak wściekli, chcąc za wszelką cenę utrzymać wzgórze. Ale zryw i krzyk Zygusia poderwał innych i mimo wielu strat żołnierze porucznika Pięglowskiego stanęli na szczycie, obserwując paniczną ucieczkę napastników niemieckich. Zadanie zostało wykonane. Zyguś wrócił do miejsca, gdzie zostawili Damiana, ale sanitariusze zdążyli go stąd zabrać.

Przetrzebiona kompania została wycofana pod Kosakowo. Następnego dnia odpoczywała, kopiać kolejne umocnienia. Zyguś nie mógł przeboleć straty dwóch druhów. Trudno mu było pozbierać się tym bardziej, że nadzieja na pokonanie wroga topniała coraz bardziej. Teraz toczyła się już tylko walka o honor polskiego obrońcy ojczyzny, o honor harcerek munduru. Walka-zemsta za utraconych rodziców i kolegów.

W piątek nad wodami Bałtyku słońce weszło bardzo krwawo. Była to zapowiedź końca bardzo ciepłych, słonecznych dni. Ranny chłód dokuczał wszystkim w uszczupłej kompanii. Gdy kuchnia dostarczyła tak potrzebną tego chłodnego ranka kawę, zajęchał samochód ciężarowy, z którego wyskoczyli pstrokaci żołnierze, tak pstrokaci jak wojsko porucznika Pięglowskiego. Mieli różne mundury i broń, kilku nawet kosy. Były to zapowiedziane posiłki.

Jednym z pierwszych ochotników, który zeskoczył z platformy samochodu, był chłopak w harcerekim mundurze i z torbą sanitarną zawieszoną na ramieniu.

– Nie do wiary! – krzyknął obserwujący rozładunek Zyguś. – Toć to Radek we własnej osobie!

– Zyguś! – krótko zawołał kuzyn.

Padli sobie w objęcia i znów byli razem. Ale to spotkanie trwało krótko. Radek musiał

wracać do oksywskich koszar, a Zyguś pozostał w Kosakowie.

Gwałtowne ataki Niemców nie ustały ani 18, ani w nocy z 18 na 19 września. Wydawało to się wszystkim dziwne, bo do tej pory na ogół nie przeprowadzali ataków nocą. Musiała ich do tego skłonić jakaś nadzwyczajna sytuacja. Później sprawa się wyjaśniła. General Leonhard Kaupisch i jego podwładni generałowie Karl von Tiedmann i Friedrich Eberhardt popędzali swoich podwładnych, aby przed spodziewaną wizytą Führera 19 września w Gdańsku zakończyć działania wojenne przynajmniej na Kępie Oksywskiej.

Zyguś z dwoma harcerzami z wejherowskiej kompanii ochotniczej wynieśli z pola walki ciężko rannego oficera. Szpital w Babich Dołach był tak przepełniony, że dosłownie każdy metr kwadratowy powierzchni był zajęty. Ranni przebywali też w pomieszczeniach gospodarczych i pod namiotami.

Tego dnia z meldunkiem do kwatery pułkownika Dąbka został skierowany Jaś Żmijewski. Jego oddział został rozbity i przestał istnieć. Wychodząc ze szpitala, Jaś spotkał swego kolegę z kartuskiego „Smoka”.

– Jak ty wyglądasz, Zygumcine? Byłby z ciebie prawdziwy dziad kałwaryjski.

– Ty, oczywiście, prezentujesz się świetnie – odciął się Zyguś. – Tylko że tobie zgolili włosy.

Obaj byli podobni do owych dziadów: twarze wynędzniałe, włosy rozwichrzone, dawno nie myte, odzież wymazana ziemią, zmięte i zdarte mundurki, a głosy zachrypnięte. Tu na Kępie żywi upodabniali się powoli do martwych. Odczuwano coraz bardziej brak jedzenia, nawet pitnej wody, a broń stawała się w niektórych jednostkach bezużyteczna, bo brakowało amunicji. Niemieckie lotnictwo od kilku dni zrzucało mnóstwo ulotek, w których Niemcy starali się wykazać bezsens walki i wzywali obrońców Kępy do poddania się. Ale ludzie-cienie trwali z niezwykłą odwagą i pogardą dla śmierci na swoich stanowiskach i ulegali tylko przemocy.

Był wtorek 19 września, godzina trzecia po południu. Odgłosy walki dochodziły coraz wyraźniej do babich Dołów. Chłopcy siedzieli przed siedzibą sztabu i zastanawiali się, co robić dalej. Pociski artyleryjskie padały gęsto, nie oszczędzając szpitala. Ale kto na nie zwracał wtedy uwagę? Wpadali jeszcze do sztabu gońcy, meldując o rozbiciu kolejnych oddziałów.

Wówczas pułkownik Stanisław Dąbek wyprowadził oficerów swojego sztabu na zewnątrz i powiedział:

– Skończyła się nasza rola jako dowódców. Nie przestaliśmy być jednak żołnierzami i ten żołnierski obowiązek wypełnimy do końca. Będziemy walczyć jako ostatni oddział Łądownej Obrony Wyrbrzeża. Zbierzcie wszystkich zdolnych do walki. Osobiście poprowadzę was do boju.

Po około piętnastu minutach zebrało się około czterdziestu oficerów i żołnierzy. W grupie tej nie zabrakło Zygusia i Jasia. Pułkownik Dąbek wyprowadził ten niewielki oddział na północny, gęsto zalesiony stok jaru i tam na krawędzi lasu ustawił obrońców Babich Dołów w tyralierę. Zyguś i Jaś trzymali się razem. Wkrótce pokazali się Niemcy. Obrońcy jaru otworzyli do nich ogień. Napastnicy zostali powstrzymani.

Po pewnym czasie wojska niemieckie znalazły się już na dnie jaru. Wtargnęły tam od strony zachodniej. Część obrońców skierowała ogień i do tych na dole. W pewnym momencie nad drzewem rozerwał się pocisk moździerz. Kilku obrońców zostało rannych. Prawdopodobnie jeden z odłamków zranił lekko pułkownika, ale on walczył dalej. Liczba obrońców topniała powoli w krzyżowym ogniu nieprzyjacielskich karabinów maszynowych.

– To już koniec! – wyszeptał Zyguś, ale wciąż mierzył i strzelał. Gdy ładował ostatnie naboje, mierząc do wroga, głośno akcentował ich przeznaczenie:

– To za mamę!

– To za tatę!

– To za naszą Polskę!

Niemcy byli tuż, tuż. Wszędzie było ich pełno. Ginęli kolejni obrońcy tego malutkiego skrawka Kępy Oksywskiej. Oczy żyjących zwracały się na dowódcę.

– A więc to już koniec! – zawołał pułkownik. – Ja nie skapituluję! – dodał i strzałem z pistoletu odebrał sobie życie.

Wybrał honorową śmierć. Uniknął hańby niewoli. Pozostałym przy życiu broń sama wypadła z rąk. Zresztą wielu nie miało już amunicji. Ręce nie unosiły się do góry, choć Niemcy ryczeli ze wszystkich stron:

– Hände hoch!!!

Zygusia i Jasia ze względu na mundury harcerskie i biało-czerwone opaski na rękawach oddzielono od pozostałych obrońców i jako „Banditen” pognano w kierunku Gdyni. W Oblużu zostali w brutalny sposób wepchnięci na teren jakiegoś boiska czy też placu zabaw, ogrodzonego wysokim plotem. Zastali tam kilkaset towarzyszy niedoli: harcerzy, kosynierów, marynarzy z floty handlowej, a nawet Krakusów z ochotniczego szwadronu kawalerii. Spędzili tam w chłodzie i o głodzie pod gołym niebem trzy doby. Potem ich rozdzielono. harcerzy popędzono nocą przez Witomino, Wiczlino, Chwaszczyno do Gdańska. Tam przeszli osławione katownie Polaków: Victoria Schule, Schiesstange i podziemia gdańskiej policji.

Co się stało z Jasiem? Nie wiadomo. Przepadł bez wieści.

Zyguś znalazł się w obozie koncentracyjnym Stutthof. Tam zobaczył swoją ukochaną mamę w tak oplakany stan, że ledwo ją poznał. Dowiedział się, że ojca hitlerowcy zamordowali w pierwszych dniach wojny, prawdopodobnie w lesie opodal Stutthofu.

Rozdział 5

W kosynierskim batalionie

Zostawiwszy grupę rannych żołnierzy i ochotników w miejskim szpitalu w Gdyni, udałem się na dworzec kolejowy, by zabrać się ze „Smokiem Kaszubskim” tam, gdzie torba sanitarna może znowu okazać się potrzebna. Wybrałem w szpitalu podstawowe materiały opatrunkowe i znowu byłem zdolny do służby, znowu mogłem ratować rannych obrońców ojczyzny.

Jakież było moje rozczarowanie, gdy od kolejarzy stacji Gdynia Osobowa dowiedziałem się, pociąg pancerny odjechał w kierunku Zagórza. W pierwszej chwili miałem zamiar go gonić. Wyszedłem na ulicę Morską, by złapać jakiś samochód jadący w tym kierunku. Nie miałem jednak szczęścia. Do Zagórza żadne pojazdy już nie kursowały.

Zdenerwowany biegłem ulicą to w jednym, to w drugim kierunku. Wtedy zainteresowała mnie maszerująca w stronę śródmieścia kolumna ni to żołnierzy, ni to żniwiarzy. Maszerowali równym krokiem, czwórkami, z podniesionymi głowami jak prawdziwi żołnierze i śpiewali żołnierskie piosenki. Nieśli broń chłopów racławickich: kosy osadzone na sztorc na drewnianych trzonkach. Na twarzach widoczna była zawziętość.

Chodnikami po obu stronach kolumny biegli harcerze i rozdawali przechodniom ulotki. Też jedną dostałem. Pachniała świeżą farbą drukarską. Od innego druha otrzymałem wydany w mini formacie „Kurier Bałtycki”. Gazetę schowałem, ale ulotkę zaraz przeczytałem. Jej pierwsze słowa brzmiały:

„Komenda Drużyn Robotniczych przy PPS w Gdyni wzywa robotników i wszystkich Polaków do broni, do walki aż do zwycięstwa”. Dalej stwierdzono, że przed każdym Polakiem staje alternatywa, dwie możliwości: albo śmierć w obozach koncentracyjnych, pod-

palony dom, kalectwo, albo walka na śmierć i życie. Autorzy ulotki mówili: z bezsensownego wyczekiwania przechodzimy do walki. Gromadzimy dostępną nam broń. Tworzymy batalion czerwonych kosynierów i ruszamy na wroga. Podejmujemy walkę o wolność naszą i naszej ojczyzny. Ludzie czynu, hartu, poświęcenia, żołnierskiej odwagi i bohaterstwa wzywani są w niedzielę, 10 września na ul. Morską 98 do bloków Gdynskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Apel kończyły wniosłe hasła: „Niech żyje wolność! Niech żyje zwycięstwo! Niech żyje lud pracujący!”. Ulotkę podpisał komendant Drużyn Robotniczych Kazimierz Rusinek.

Nie zastanawiałem się zbyt długo. Podjąłem decyzję. Zawróciłem i udałem się pod wskazany adres. Tam na placu pomiędzy blokami gromadziło się wiele ludzi. Część posiadała łopaty i czekała na transport, bo była zaangażowana przy kopaniu umocnień militarnych. Przy kilku stolikach zapisywano ochotników do gdyńskiego batalionu kosynierskiego. Osoby posiadające broń kierowano do osobnego stolika.

– No, harcerzyku, widzę że jesteś gotowy do walki – stwierdził stojący przy stoliku pan w marynarskim mundurze. – Ile masz lat, chłopcze? – zapytał podejrzliwie, mierząc mnie wzorkiem od stóp do głowy.

– Ja już walczyłem pod Kartuzami na pociągu pancernym i pod Białą Rzeką również.

O moich jeszcze nie skończonych siedemnastu latach wołałem nie mówić. Podniosłem głowę jak najwyżej, dumnie zadzierałem nosa, a karabin tak obróciłem, by zaprezentować go w całej okazałości.

– Zapisać! – po długim namyśle zdecydował podoficer z rzymską piątką na rękawie i kazał mi podejść bliżej stołu. O mało nie podskoczyłem z ucieshy i nie wycalowałem marynarza za to jedno słowo: zapisać. Udawałem jednak opanowanego i swoją postawą dawałem do zrozumienia, że tak powinno być.

Stanąłem w gronie przyjętych ochotników: rosnących robociarzy portowych w kombinazonach, poważnych mężczyzn w mundurach kolejarskich, pocztowych, celników, strażaków. Jeden z nich miał mundur leśnika i fuzję na ramieniu. Inni posiadali strzelby, niektórzy tylko szable. Wszyscy spoglądali nie tylko na mnie, co na mój karabin. Zapewne myśleli: Po co temu dzieciakowi taka broń?

Postanowiłem nadal zrywać zucha i doświadczonego żołnierza. Opowiedziałem im o kartuskim „Smoku”, o wypadzie pod Żukowo i Somonino. Mówiłem też o obronie Białej Rzeki przez ochotniczą kompanię harcerską, której byłem członkiem. Słuchali, zadawali pytania, a czy wierzyli, trudno odgadnąć.

– Jestem waszym przełożonym – powiedział marynarz. – Idziemy do Etapu Emigracyjnego. Tam przydzielą wam odpowiednie zadania – dodał, spoglądając przed siebie.

Teraz zauważyłem zawieszony na ścianie pierwszego od strony ulicy bloku duży transparent. Na czerwonym płótnie wielkie białe litery składały się na napis: „Śmierć lub zwycięstwo!”

Znalazłem się w ostatniej czwórce, bo nie wypadało mi pchać się do przodu. Przecież byłem najmłodszy i jedyny w mundurze harcerskim, a to zobowiązywało do ustępowania dorosłym.

Ulicą Morską doszliśmy do torów kolejowych, które przecinały jezdnię i prowadziły w stronę lasu. Drepcząc nieporadnie po podkładach torowych, doszliśmy do położonych w niewielkiej kotlinie, będących w otoczeniu lasu zabudowań w kształcie litery „U”. Były to obszerne, piętrowe budynki szczelnie ogrodzone wysoką siatką drucianą. Przy bramie stało dwóch wartowników. W jednym z większych pomieszczeń w lewym skrzydle zabudowań stanęliśmy przed oficerem w mundurze naszej piechoty. Był to prawdopodobnie sam

komendant, podporucznik Kazimierz Rusinek. Z każdym rozmawiał z osobna. Kiedy przyszła kolej na mnie, podałem rok urodzenia, a ten spojrział na mnie przenikliwie i po krótkiej chwili namysłu zdecydował: – Oddział wartowniczy.

Nie powiedziałem słowa, ale poczułem się zawiedziony, ba, nawet skrzywdzony. Czy po to uciekłem z Gdańska, walczyłem pod Kartuzami, podążałem uparcie do Gdyni, by stać na warcie przy jakiejś żelaznej bramie? Ale taki był rozkaz i nie mogłem protestować. Rozkaz był nawet łaskawy, bo nie zwalniał mnie z żołnierskiej służby. Dostałem tak jak inni czerwoną opaskę, oznakę przynależności do kosynierskiego batalionu, kartę mobilizacyjną i legitymację z napisem Batalion Rezerwowy „Czerwonych Kosynierów”, z podpisem podpułkownika Stanisława Wężyka.

Zgodnie z przydziałem i wskazaniem zgłosiłem się w wartowni, która mieściła się w suterenie centralnego bloku. Tam zastałem oprócz żołnierzy w przyzwoitych mundurach grupę podrostków, może młodszych ode mnie, w harcerskich i szkolnych mundurkach. Żołnierze – a byli to prawie wszyscy rekonwalescenci ze szpitali – pełnili wartę przy bramie, a pozostali pilnowali całego obiektu na zewnątrz poza ogrodzeniem i w wyznaczonych punktach. Obiekt miał duże i ważne znaczenie, bo w nim mieścił się sztab Łądowej Obrony Wybrzeża. Stąd dowodził całą obroną nadbałtyckiej enklawy pułkownik Stanisław Dąbek.

Mnie nie przydzielono ani do jednych, ani do drugich, ale do grupy gońców. Grupa ta miała do dyspozycji kilka rowerów i była – jak się wnet dowiedziałem – nie tylko na usługach dowództwa batalionu kosynierskiego, ale również była wykorzystywana przez sztab Łądowej Obrony Wybrzeża do różnych posylek.

Tego dnia dwukrotnie jeździłem rowerem z listami na ulicę Morską do sztabu robotniczych drużyn fortyfikacyjnych i na Oksywie do dowództwa Marynarki Wojennej. W nocy miałem dwie godziny warty na dachu jednej z licznych przybudówek, skąd był dość dobry wgląd na przylegający bukowy las. Najwięcej uwagi poświęciłem zaroślom w lesie, a w razie czegoś podejrzanego przykazano mi zapalić na krótko zamontowany na dachu reflektor, by oświetlić to miejsce.

11 września z rana przydzielono mnie do kolumny samochodowej wiozącej grupę marynarzy w rejon Starej Piły. Miałem spełniać rolę przewodnika, ponieważ znałem doskonałe lasy nad Zagórzanką. Każde wakacje i niedzielne popołudnia spędzałem wiosną na zbieraniu jagód, a jesienią na grzybobraniu.

Siedziałem w szoferce pierwszego samochodu, którym kierował dobrze zbudowany młodzieniec w cywilnym ubraniu. Drogę do Zagórza znał doskonale, ale dalej musiałem już wskazywać dość niewygodny trakt, bo brukowany kocimi łbami.

– Jedźmy ostrożnie – nakazał kierowcy siedzący obok mnie bosman. – Tu już mogą być Niemcy. Nasz batalion został ponoć wyparty z Reszek i nie wiadomo, gdzie się znajduje.

Kolumienka samochodów minęła Szmelę i zatrzymała się na podjeździe dróg do Łęczyc i Kamienia. Napotkana grupa żołnierzy z IV batalionu Obrony Narodowej poinformowała nas, że marynarze z batalionu komandora Zygmunta Horyda są gdzieś pomiędzy Starą Piłą a Łęczycami. O swoich nic nie wiedzieli. Batalion rozsypał się na nieformalne grupy.

Wozy toczyły się wolniutko w znacznej odległości od siebie. W Starej Pile było pusto. Ani śladu żołnierzy i cywilów. Tuż za leśniczówką, za pierwszym zakrętem, na prostym odcinku drogi, w odległości kilkudziesięciu metrów zauważyłem w przydrożnych zaroślach zielony hełm.

– Niemcy! – krzyknąłem.

Samochód gwałtownie zahamował i stanął. Bosman i kierowca, a za nimi i ja, wyskoczyliśmy z szoferki. W tym momencie padły pierwsze strzały. Niemcy otworzyli do nas ogień. marynarze siedzący z tyłu błyskawicznie opuścili ciężarówkę, rozpięzchli się po lesie i podjęli walkę.

– Cofnąć samochód za zakręt! – rozkazał kierowcy bosman. – A tego harcerzyka zabrać ze sobą – dodał widząc, że szykują się do walki.

Niemcy szybko się wycofali, a nasi rozwinęli tyralierę i podążyli za nim. Kierowca zawrócił samochód. Za nim wykonały ten manewr pozostałe auta, które zostały ostrzelane ze wzgórz Peterjasu. Zatrzymaliśmy się zgodnie z rozkazem za zakrętem.

W tej chwili stała się rzecz niespodziewana. Od strony łąk i płynącej ich skrajem Zagórzanki wyłaniać zaczęli się Niemcy, którzy otworzyli do nas słaby ogień z broni ręcznej. kierowca z mojego samochodu wyciągnął pistolet, wyskoczył Niemcom naprzeciw, następnie zaszył się w krzakach i zaczął ich ostrzeliwać. Do pozostałych kierowców wołał:

– Wycofać samochody za Starą Piłę! Zabrać też mój wóz.

Zarepetowałem karabin i z przydrożnego rowu przymierzylem się do najbliższych Niemców, oddałem kilka strzałów. Raptem jeden z kierowców chwycił mnie za kołnierz, wyciągnął z rowu i wepchnął do szoferki swojego samochodu. Ruszył. Kule nas ścigały, ale żadna nie wyrządziła nam krzywy.

Zatrzymaliśmy się na krzyżówce. tam było już bezpiecznie. Dolatywała nas z głębi lasu przerywana momentami strzelanina. Nadjechały kolejne trzy samochody, czwarty został na bruku. Po prostu zapalił się, mówili kierowcy. Koło jednego z ocalałych samochodów było bez powietrza. Kierowcy zabrali się do jego wymiany. A moja nieodłączna torba też się przydała. jeden z kierowców został podczas wycofywania się ranny w ramię.

Strzelanina za Starą Piłą wzmagala się. Kierowcy po naradzie poprosili mnie, abym jako jedyny w tym gronie uzbrojony w karabin poszedł ostrożnie w kierunku leśniczówki, a w razie zauważenia Niemców niepostrzeżenie wycofał się.

Ciągnęło mnie do marynarzy, którzy podjęli walkę z wrogiem. Tam był potrzebny każdy karabin i zapewne moja torba sanitarna. Jednak nie mogłem złamać przyrzeczenia harcerskiego, jakie dałem kierowcom.

Po około trzydziestu minutach doszło do mnie z głębi lasu doniosłe wołanie: Hura! Huraaa! To na pewno nasi poszli do ataku na bagnety – pomyślałem i lżej mi się zrobiło na sercu. jeszcze walczą i atakują. Nie poległ.

Strzelanina i wołanie powoli ucichły. Znowu słyszałem szmer strumienia i radosny śpiew jakiegoś ptaszęcia. Jemu wojna nie przeszkadzała. Śpiew jego przyjąłem za oznakę, że w pobliżu nie ma Niemców i jako oznakę zwycięstwa naszych, za hymn pochwalny dla dzielnych polskich marynarzy.

Słońce już opuściło dolinę Zagórskiej Strugi, a po naszymu Zagórzanki albo Slęzy. Słaby mrok zaczął wychodzić z gąszczy. I wtedy pojawili się marynarze w swych jasnych spodniach i granatowych kurtkach. Szli powoli grupkami, prowadzili rannych, nieśli tych, którzy już iść nie mogli, dźwigali nieżywych kolegów. Smutny to był pochód zwycięzców.

Rannych i martwych marynarze ułożyli w samochodach. Wśród tych ostatnich był kierowca, z którym przyjechałem pod Starą Piłę. Żałowali go wszyscy. To on sam jeden powstrzymywał nacierających Niemców, których zamiarem było okrążenie naszych marynarzy. W zamkniętym kole zginęliby wszyscy. Dowiedziałem się, że był to znany gdyński sportowiec, Jerzy Juraha-Giedroyć. Poległ jak prawdziwy żołnierz Rzeczypospolitej.

Bosman nakazał nam wrócić do Gdyni, a po drodze odstawić rannych do szpitala w

Szkole Morskiej.

– Poległych zabieramy do kostnicy. Nie zostawimy ich na pastwę Niemcom.

Marynarze zostali, by powstrzymać nacierające oddziały wroga. Samochody odjechały. Przez całą drogę opatrywałem rannych żołnierzy. Wyjechali zdrowi, pełni sił i zapału. Wierzyli, że wróg zostanie odparty, a Gdynia zabezpieczona przed inwazją. Teraz wracają: jedni martwi, inni poranieni. Wojna jest jednak okrutna i ohydna. Czy świat nie może się bez niej obejść?

Na wieczornym apelu, który dotyczył całej załogi Etapu Emigracyjnego, jeden z oficerów zainteresował się moją torbą z czerwonym krzyżem. Po apelu przywołał mnie do siebie. Musiałem zrelacjonować mu jej dzieje i udokumentować umiejętności sanitarne.

– Czy znasz lasy witomińskie? – zapytał znieca.

– Trochę, choć w każdym lesie orientuję się dość dobrze – odpowiedziałem. – Urodziłem się i wychowałem w lasach.

– Organizujemy wypad na tyły nieprzyjaciela. Czy chciałbyś wziąć w nim udział?

Bez namysłu zgodziłem się. Byłem nawet dumny z tego, że zaproponował mi tak poważne zadanie. Nocny wypad? To coś nowego. Marzyłem o czymś podobnym, niezwykłym.

Torbę uzupełniłem materiałami opatrunkowymi i lekami pierwszej pomocy w punkcie sanitarnym, mieszczącym się w bloku dowództwa. Żeby nie marznąć w nocy, jeden z moich nowych kolegów podsunął mi marynarkę kolejarską. Była trochę za obszerna, ale to mi nie przeszkadzało. Byłem w niej z wyglądu nieco starszy, co mi bardzo odpowiadało.

Grupa wypadowa zebrała się w pomieszczeniach obok stróżówki. Przybył oficer, który przed godziną ze mną rozmawiał, a z nim marynarz średniego wzrostu, krepły, ot prawdziwy wilk morski. Miał trochę nieprzyjemny, syczący głos, podobny do fal rozlewających się na płaskim „strądze”.

– To nasz dowódca, bosman „Pirat” – przedstawił go nam oficer.

Każdy z nas otrzymał na czas wyprawy pseudonim. Mnie „Pirat” nazwał „Druhem” i to mi się nawet podobało, bo podkreślało moją przynależność do Związku Harcerstwa Polskiego.

Grupa wypadowa składała się z trzech marynarzy i sześciu kosynierów. Byli to w większości robotnicy portowi w kombinezonach. Jeden z nich był wieśniakiem, formałem z chwazzeńskiego majątku i jemu – podobnie jak mnie – wyznaczono specjalne zadanie. Znał lasy witomińskie jak własną kieszeń, dlatego awansował na przewodnika grupy. Oprócz funkcji sanitariusza miałem spełniać rolę łącznika.

– Dobrze zapamiętasz drogę i w razie potrzeby na mój rozkaz pobiegniesz do sztabu, by przekazać naszemu porucznikowi to, co trzeba.

– Tak jest, panie bosmanie – z werwą przytaknąłem, po czym zorientowałem się, że palnąłem gafę. – Tego... „Piracie” – poprawiłem.

O pełnym zmroku, gdy cienie, zwane przez bojaźliwych duchami, wypełzły z gąszczy, nasza dziesiątka ruszyła na południe. Prowadził nas „Rolnik” – taki bowiem pseudonim otrzymał formał. Orientował się w ciemnym lesie doskonale. Przez całe lata pracował na majątku w Chwarznie, a zimą pomagał drwalom przy wyrębie lasów. Obok niego siedł drugi kosynier, który też nieźle orientował się na poprzecinanym głębokimi parowami płaskowyżu. Posuwaliśmy się wśród wysokich, liściastych drzew. Na rozwidleniu trzech dróg stał posterunek strzelców morskich orłowskiego pułku podpułkownika Ignacego Szpunara, uzbrojony w lekki karabin maszynowy. Znaliśmy hasło dnia, więc mimo ciemności bez przeszkód dotarliśmy do tej placówki. Strzelcy poinformowali nas, że dalej na

południe rozciąga się pas tak zwanej ziemi niczyjej, a za nim są Niemcy.

– Powodzenia – życzył nam dowodzący czujką plutonowy.

Szliśmy ostrożnie. Dalej mieliśmy z jednej strony zagajnik, później zrab, a z drugiej starszy już młodnik. Omijaliśmy drogi, dróżki, dukty, bo po nich kręciły się patrole niemieckie. Coraz częściej zauważało się, a raczej wyczuwało bliskość okopów żołnierzy gdańskiej Landespolizei, które to formacje podchodziły z tej strony pod Gdynię.

Wysoko na sklepieniu niebieskim ukazał się sierp księżycy, a ponieważ niebo było prawie bezchmurne, w lesie zrobiło się dość widno. Posuwaliśmy się jak cienie od drzewa do drzewa i staraliśmy się stąpać możliwie bezszelestnie. Nie zawsze to się udawało. Trzask łamanej gałązki powodował cierpięcie skóry i wstrzymanie oddechu. „Rolnik” parł śmiało do przodu.

– Nie śpiesz się – szeptał mu „Pirat”

Młody las się skończył. Przed nami znowu rozpościerał się rzadki drzewostan. W głębi lasu siedziała liczna grupa gdańskich żandarmów. Zachowywali się dość swobodnie: rozmawiali, palili papierosy, nawet któryś z nich nucił piosenkę. Skręciliśmy na zachód i po kilkunastu minutach dotarliśmy do bagnistego jaru, który wyprowadził nas na skraj lasu. Przed nami była otwarta przestrzeń, a gdy chmura zesza z księżycy, zobaczyliśmy zabudowania Chwarzna. W dali widać było łuny pożarów, a niebo od czasu do czasu oświetlały migocące kule rakiet. Najbliżej nas, nieco w dole, dopalały się dworskie zabudowania gospodarze.

– To magazyn zbożowy – szeptem wyjaśnił „Rolnik”

Dym z tego pogorzelniska szedł w naszym kierunku, drażnił oczy i krtań. Ale kaszleć nie było wolno. Kto jednak nie mógł się powstrzymać, ładował do buzi to, co miał pod ręką, by ściszyć wydobywający się bulgot. Ten dym dawał nam jednak osłonę na wolnej przestrzeni, którą musieliśmy sforsować.

Zadymioną miedzą od krzaka do kolejnego drzewa przeskakiwaliśmy bez problemów i niepostrzeżenie znaleźliśmy się w ogrodzie czy parku. Trudno to było w ciemnościach rozpoznać. Pod osłoną zarośli „Pirat” podzielił nas na dwie grupy: jedną oddał pod dowództwo „Rolnika”, a nad drugą sam przejął komendę. Zadaniem pierwszej, nazwanej szturmową, w skład której wchodziło czterech zadziornych marynarzy, było dojście do okien podpiwniczenia dworku, a przez nie do pomieszczeń i zlikwidowanie sztabu jednego z pułków gdańskich, w tym też centrali telefonicznej, jaką w dworku zainstalowali Niemcy. Druga grupa miała ubezpieczać oddział szturmowy.

Marynarze prowadzeni przez „Rolnika” uzbrojeni byli w niemieckie pistolety maszynowe i w większą ilość ręcznych granatów. Podczołgali się pod ścianę dworku i jednym z okien dostali się do piwnic. „Pirat” doszedł z nimi do okna, gdzie przekazał ostatnie instrukcje. Następnie wrócił do krzewu, który nas dobrze osłaniał. Rozstawił kosynierów tak, by w razie niepowodzenia mogli skutecznie zabezpieczyć odwrót grupy szturmowej. Mnie bosman trzymał przy sobie. Zaszyliśmy się w niżej położonych krzakach z pachnącymi owocami i stąd obserwowaliśmy – na ile to było możliwe – przebieg całej akcji.

Na odgłos detonacji i nagłego błysku, jaki oślepił nas w krzaku, zdążyłem i o mało nie krzyknąłem z przerażenia. To stojąca opodał ogrodu, za zabudowaniami dworskimi, niemiecka bateria rozpoczęła nekające ostrzeliwanie domniemanych pozycji polskich gdzieś na Kępie Oksywskiej lub na Półwyspie Helskim. Czy to polepszyło, czy też pogorszyło naszą sytuację, trudno zgadnąć, a mojego przelozonego nie śmiałem pytać.

Południowy wiatr przypędził na krainę Lesóków mnóstwo postrzępionych chmurek, które nocą były ciemne i trudno je było nazwać barankami. Przepominały raczej czarne

kruki lub nietoperze-olbrzymy. Zazdrościły naszej umęczonej i krwawej ziemi nawet tego niewielkiego księżycowego blasku i dlatego zasłoniły swymi postrzępionymi skrzydłami srebrny niebieski lampion. A może dobre jesteście, ptaszyska – pomyślałem – i chcecie nas obrońców tej ziemi ukryć przed wrogiem?

Czekaliśmy długo, mnie się zdawało, że całą wieczność, na finał naszej wyprawy. Niecierpliwiłem się, a mój szef kłął po marynarSKU pod nosem.

W momencie, gdy jedna z owych pędzonych południowym wiatrem chmurek zasłoniła księżyc na niebie, bateria niemiecka oddała kolejną salwę i pociski z sykiem przeleciały nad nami na północ. Wtedy w oknach na piętrze coś błysnęło, doleciał do nas huk i dały się słyszeć strzały, najpierw jakby ktoś sypał ciężkie ziarna lub kamyki na blachę, a następnie pojedyncze, niebyt silne, bo zapewne z pistoletów.

– Zaczęło się – szepnął z ulgą „Pirat”.

– Nareszcie zaczęło się – powtórzył półgłosem, akcentując wyraźnie pierwszy wyraz.

– Hm! – potwierdziłem automatycznie.

– Stul gębę! – uciszył mnie, choć sam mówił prawie pełnym głosem.

Znowu błysk i strzelanina powtórzyły się. Nasze nerwy napięły się jeszcze bardziej. Ścisnąłem karabin i w każdej chwili byłem gotów do oddania strzału.

Kurczowo trzymałem broń, bo za gardło ścisnął mnie coraz mocniej lęk, zwykły ludzki strach. To widocznie nerwy nie wytrzymały napięcia. A może dopiero teraz uświadomiłem sobie w pełni sytuację, w jakiej znalazł się nasz pododdział z kosynierskiego batalionu?

Również „Pirat” denerwował się, szarpał, a nawet miotał jak dziki zwierzę w zasadzce. mamrotał coś pod nosem i wyęczał wzrok, jakby chciał przeniknąć otaczające nas ciemności.

We wnętrzu dworu, a także częściowo w jego otoczeniu rozpoczął się jakiś ruch, bieganina, nawoływania. Słychać było wydawane w języku niemieckim rozkazy i... krzyki rozpaczy.

– Prędeż, prędzej! Wracajcie! Co wy tam robicie? – denerwował się „Pirat”

W dwóch oknach paliły się firanki. W górę poszła czerwona rakietka. Nie wiadomo, czy ona obwieszczała zagrożenie, czy też klęskę. Tumult we wnętrzu dworku stawał się coraz głośniejszy, coraz wyraźniejszy.

– Tak, to oni! – o mało nie krzyknąłem z radości.

– Cichaj, bo utłukę – jęknął swym syczącym głosem „Pirat”. Odruchowo zakrył mi swoją ręką usta.

Wyraźnie dochodziły nas szybkie, nierówne kroki. Po chwili zamajaczyły cienie: jeden, drugi, trzeci...

– Są wszyscy – z ulgą meldował dowódca oddziału szturmowego.

Wyszliśmy im nieco naprzeciw. Rozstawieni w ogrodzie kosynierzy bez rozkazu dołączyli do nas. dwóch z grupy szturmowej niosło jakiś garnek, pozostali broń i pasy wojskowe.

– Udało się! – radośnie oświadczył przewodnik grupy „Rolnik”

– Nie mów hop. Jeszcze niebezpieczna droga przed nami – przygasił wybuch radości dowódca.

Naszym nogom jakby urosły skrzydła. Poniosły dziesiątkę zuchwałych, a teraz także szczęśliwych ludzi w kierunku Gdyni. Pozostawialiśmy zgiełk, tumult, bieganinę, nerwowe nawoływania i pojedyncze strzały, adresowane nie wiadomo do kogo.

W lesie również panował ruch. Niemcy wyczuli, że coś się niedobrego zdarzyło, choć nie wiedzieli jeszcze co.

Tymczasem byliśmy już w parowie, skąd przeskoczyliśmy do młodniaka. Zauważyliśmy kilka podenerwowanych patroli i gońców, a dalej w lesie spokojne niemieckie postęunki. Na szczęście nas nie zauważono. Szczęście najwyraźniej nam sprzyjało. Byliśmy już w strefie niczyjej, a więc prawie uratowani. Pozwoliliśmy sobie na marsz w zwartej grupie, a nawet na dość głośne rozmowy.

– Poszło gładko – cieszył się „Rolnik”

– Daliśmy Szwabom nauczkę – przytaknął jeden z zadziornych marynarzy.

– Ale mieli pietra – dodał kolejny zuch w marynarskim mundurze.

Nieostrożność i przesadna pewność siebie o mało nas nie zgubiły. Niewiele brakowało, a zostalibyśmy ostrzelani przez swoich. Ulokowany na krańcu płaskowyżu posterunek strzelców morskich zapewne wzywał nas do podania hasła, ale byliśmy tak zajęci omawianiem zdarzeń sprzed kilkunastu minut, że tego wezwania nie usłyszeliśmy. Strzelcy nie otworzyli do nas ognia tylko dlatego, że któryś z nich usłyszał wyraźnie rozmowę w języku ojczystym. Skończyło się na kilku dosadnych słowach.

Gdy na wschodzie jaśniało, a mewy nad portem zwoływały się na poranny żer, zmęczeniu i pełni wrażeń dotarliśmy do Etapu Emigracyjnego. Dopiero w wartowni dzielna czwórka szturmowa mogła zdać pełną relację ze swych poczynań w chwarszeńskim dworcu.

Bez przeszkód – znali przecież rozkład piwnic i całego budynku – dotarli do schodów prowadzących z podziemi na parter. Na korytarzu zwinny marynarz „Grom” bezseleśnie unieszkodliwił wartownika. Innych dwóch wpadło niespodziewanie do przeciwnych pomieszczeń. W jednym znajdowała się centrala telefoniczna. Obezwładniono obsługę, a granatami zniszczono urządzenia. W drugim pomieszczeniu grała w karty grupka podchmielonych oficerów. Tu też razem z serią z pistoletu poszły w ruch granaty ręczne. Zapaliła się lampa naftowa, a od niej firanki i zasłony. Rzucono jeszcze po granacie do innych pomieszczeń, w których spali w większości oficerowie gdańskiej policji polowej. Atak był przeprowadzony tak błyskawicznie i tak niespodziewanie, że właściwie żaden z Niemców nie próbował tak na serio stawiać oporu.

Trudno ocenić, jak bardzo dokuczono Niemcom. Oprócz poważnych strat w ludziach, głównie w oficerach, którzy zajmowali dworek, wprowadzono na tyłach nieprzyjaciela poważne zamieszanie. Najeżdźcy przekonali się, że na zagarniętej przemocą ziemi nie mogą czuć się bezpieczni.

Konkretną i ważną w naszych warunkach zdobyczą było kilka pasów oficerskich z bronią krótką, kilka sztuk innej broni złapanej w przelocie. W rondelku, który przytaskali aż do wartowni, znajdowało się kilka kilogramów polskich srebrnych monet. Widocznie niemiecki właściciel posiadłości w Chwarsznie uważał, że srebrny bilon zachowa jakąś wartość przy spodziewanej przez niego zmianie przynależności państwowej Pomorza.

– A teraz do spania – powiedział oficer, który uważnie wsłuchiwał się w relacje z przebiegu wypadu na tyły wroga. Podziękował uczestnikom akcji za wzorowe – jak się wyrażał – jej przeprowadzenie. Wszyscy rozeszli się do swoich kwater, czując w sercach rozkosz z dobrze wykonanego zadania.

Spałem jak kocur po wieczornym polowaniu. Nikt nie przerywał mi snu. Śniły mi się moje rodzinne strony. Miałem wrażenie, że pluszczę się w kryształowo czystych wodach jeziora Zawiat, zbieram razem z mamą dorodne borowiki. Gdy obudziłem się, zrobiło mi się ogromnie tęskno za mamą, rodzeństwem, słowem za domem.

Moi koledzy, gońcy i wartownicy, odnosili się do mnie po tej wyprawie z szacunkiem. Byli trochę zazdrośni, a przede wszystkim ciekawi szczegółów nocnego wypadu.

– Ilu Niemców sprzątnąłeś? Nie miałeś pietra? Zdobyłeś ładny pistolet? – pytali na przemian współtowarzysze broni.

Przy obiedzie dowiedziałem się, że poszukują kosyniera, który zna lasy pod Zagórzem i Szmelką.

– Szykuje się nowy wypad – powiedział sąsiad zajmujący pryczę po przeciwnej stronie mego łóża.

Postanowiłem i w tym wypadzie uczestniczyć. Odnalazłem organizatora wyprawy, a był nim również bosman „Witek”. Długo zastanawiał się, czy jest sens zabierać na taki wypad szesnastoletniego harcerza. Nie miał jednak innego przewodnika i trudno mu było ze mnie zrezygnować. Jednak musiałem go długo przekonywać i przedstawiać argumenty: moje wojenne doświadczenie w przejściu granicy, udział w walkach w powiecie kartuskim, dwa wypadki w ostatnich dwóch dniach, a także posiadanie broni palnej, no i torby sanitarnej.

– Zgoda. Pójdziesz z nami, ale tylko w charakterze przewodnika – zdecydował.

Na planowaną zasadzkę mieliśmy wyruszyć wieczorem, ale nie otrzymaliśmy elkaemu, bez którego – tak przynajmniej uważał „Witek” – cała wyprawa nie miałaby sensu. Dopiero późnym wieczorem przysłano do Etapu Emigracyjnego trzech ochotników z jakiegoś rezerwowego batalionu, który był w stadium organizacyjnym na Kępie Oksywskiej. Przytасzyli ze sobą stary ręczny karabin maszynowy. „Witek” postanowił wyruszyć z Grabówka dopiero o świcie.

– Po drodze do miejsca zasadzki jest las – rozważał na głos. – Po takim terenie tłuc się w zupełnych ciemnościach to mordęga i pewne ryzyko. A Niemcy i tak przed wschodem słońca nie ruszą się ze swoich kwater i ziemianek. – Postanowienie bosmana przyjęto jako uzasadnione.

W tej sytuacji przespałem jeszcze dobre trzy godziny. Tak jak przed pierwszą wycieczką miałem sen niespokojny. Raz nawet obudziłem się z krzykiem. Bosman przyłożył swoją rękę na moim czole. Chciał wiedzieć czy nie gorączkuje.

O świcie z Etapu Emigracyjnego wyruszyło czterech marynarzy, trzech żołnierzy z obsługi kulomiotu i ośmiu kosynierów, w gronie których i ja się znajdowałem. Dziesięciu miało broń palną: karabiny, sztucer, dwie fuzje, parabellum. Pozostali mieli kosy.

– Ot i prawdziwi kosynierzy, jak za Naczelnika pod Raclawicami – żartowali marynarze.

– Kosy będą bardzo przydatne – bronił kosynierów bosman.

Wszyscy członkowie wyprawy dostali po trzy ręczne granaty. Wszyscy? Nieprawda. Ja nie otrzymałem i byłem tym wielce urażony. Podczas marszu zauważył moje dąsy „Witek”. Od współtowarzyszy dowiedział się o przyczynie mego niezadowolenia.

– Masz na otarcie łez – powiedział dowódca, podając mi jeden ze swoich granatów. Uraził mnie jeszcze bardziej, ale nie dałem tego po sobie poznać.

Krótki odcinek za Cisową maszerowaliśmy szosą. Wszędzie na przedmieściach Gdyni kopano rowy przeciwczołgowe i okopy. Jednym z rowów dostaliśmy się do lasu. Tu w niedawno wybudowanych ziemiankach przebywało wielu mieszkańców z opuszczonych baraków, czując się w bunkrach bezpieczniej. Koczowali z całym swoim dobytkiem. Od nich dowiedzieliśmy się, że wieczorem na skraju lasu pojawili się niemieccy konni zwiadowcy. Maszerowaliśmy więc bardzo ostrożnie.

W drodze bosman wyjaśnił nam cel wypadu. Niemcy opanowali już Rumię i podchodzili pod Kępę Oksywską. Pchali tam znaczne siły, by jak najprędzej opanować ostatnią redutę obrony Wybrzeża. Pułkownik Dąbek zamierza przeprowadzić zaskakujący atak z

Janowa-Zagórza w kierunku Redy, by odciąć znaczne siły wroga w Rumi i na skraju Kępy Oksywskiej. Zadaniem naszym było przeszkodzić w doprowadzeniu nowych sił wojskowych w rejon Zagórza i Rumi, wywołać zamieszanie na tyłach niemieckich, aby ułatwić wykonanie zaplanowanego przez dowódcę Obrony Wybrzeża ryzykownego przedsięwzięcia.

Na wysokości Janowa, w miejscu, gdzie las przechodzi przez szosę do torów kolejowych, rzeczycywiście siedzieli Niemcy. Zatrzymywali nas szosie uciekinierów z Gdyni i zwracali ich.

– Bezczelni – warknął z oburzeniem „Witek”

– Przegonimy ich? – zapalił się jeden z marynarzy.

– Mamy, niestety, inne zadanie, a tych zostawimy w spokoju – zdecydował dowódca.

Obeszliśmy niepostrzeżenie Niemców i przez wzgórze porośnięte gęstym lasem i zagajnikami dotarliśmy do rozwidlenia dróg brukowanych za Szmelą, skąd przed dwoma dniami odwoziłem poległych i rannych uczestników wypadu na Starą Piłę.

– Tu urządzimy zasadzkę – szeptem oznajmił „Witek”

Zaczailiśmy się w gęstych zaroślach dochodzących do samej drogi na skarpie, maskując dokładnie swoje pozycje. Obowiązywała nas bezwzględna cisza. Byliśmy w tym miejscu niewidoczni z wszystkich stron, również z powietrza.

Gdy ranne słońce ozłociło czubki lasów, wzniesieniami po przeciwnej stronie Szmelty brukiem przejechało w kierunku Zagórza kilka motocykli, później pojedyncze samochody z wojskiem i zaopatrzeniem, kilka konnych kuchni polowych. Świerzbili nam ręce i chciało się poczęstować opasłych szkopów w pojazdach odrobiną ołowiu i stali, ale nasz dowódca ani myślał rozpocząć akcję zaczepną.

– Na co on czeka? – szepotałem sam do siebie, ale zaraz pomyślałem, że na pewno wie, co robi.

Minęło pół godziny, może i więcej. Markówcowa Góra, zwana także Łysą Górą, stanęła w blasku rannego słońca, a gdzieś pod Rumią rozgorzała walka, której coraz wyraźniejsze odgłosy dochodziły do nas. Wtedy od strony Starej Piły pojawiła się zwarta kolumna piechoty, a za nią jechały konne tabory. Miarowym krokiem, trójkami szli niemieccy żołnierze. Dźwigali broń i amunicję, której mieli w bród. Szli rażno, aby wesprzeć swych kamratów wgrzających się już w umocnienia Kępy Oksywskiej. Nie przeczuwali, że czyha na nich śmierć.

Na znak bosmana wszyscy rzucamy w niemieckie szeregi granaty. Zaskoczonych Niemców zasypujemy pociskami z karabinu maszynowego i innej broni palnej. Znowu granaty i znowu broń palna. Ostatnie granaty i po ich wybuchu zaczajona dotąd grupa rzuca się do ataku na białą broń. Teraz górą kosynierzy. Niemcy stają odrętwiali, niemi, nieporadni i... umierają stojąc.

Próbowali stawiać opór. Dowódcy krzykiem i rozpaczliwym nawoływaniem chcieli zorganizować jakąś obronę, ale gdy grzmiało nasze donośne „hura”, rzucali broń i w wielkim popłochu uciekali na oślep do lasu i w pobliskie łąki. Woźnice z przerażeniem zwracali konie, łamali przy tym dyszle, przewracali nawet wozy. Zaskoczenie było całkowite, a zwycięstwo pełne.

Choć strzelałem i biegałem z innymi, choć krzyczałem „hura”, odczuwałem i do dziś czuję wstręt do tego, co ludzie ludziom gotują w czasie wojny. Długo, bardzo długo nie mogłem zapomnieć tego krwawego dnia. Po nocach prześladowały mnie zjawy. Na krew do dziś patrzę z odrazą.

Niemców zginęło wielu, bardzo wielu. Droga była zablokowana trupami i rannymi w

zielonkawych mundurach, zaślana zabitymi końmi i rozbitymi w popłochu wozami.

Bosman zarządził zbiórkę na bezpiecznej skarpie. Należało z tego miejsca jak najprędzej zniknąć. Niemcy po ochłonięciu z szoku zaczęli organizować obronę, wkrótce mogło ruszyć kontrnatarcie, któremu nie byłibyśmy w stanie stawić oporu głównie z braku ręcznych granatów i amunicji.

Kosynierzy w walce rzucili swoje kosy i pozbiali karabiny, które leżały na bruku. Każdy z członków wyprawy zabrał dodatkową broń i amunicję, której zawsze było za mało.

Straty były i po naszej stronie. Poległ jeden z kosynierów. Żołnierz z obsługi elkaemu był ciężko ranny, a kolejny kosynier miał na ramieniu niewielkie draśnięcie od zabłąkanej kuli. Jak mogłem najlepiej, obandażowałem obu. Z dwóch żerdzi i dwóch marynarek sporządzono w lesie nosze dla ciężko rannego.

Przez zarośla i zagajniki dobrnęliśmy do jaru, a nim wydostaliśmy się na płaskowyż.

– A teraz na wschód, prosto słońcu w twarz – powiedział „Witek” i zwrócił się do mnie:

– Czy nie tak? Mam rację, młody przewodniku?

– Tak jest, panie bosmanie – potwierdziłem.

Prawie wszystkie dróżki leśne były w poprzek naszej marszruty. drogę przecinały też doliny wrzynające się daleko w płaskowyż. W jednej z takich dolinek zauważyliśmy niemiecki konny patrol łącznikowy, zajęty rozkładaniem linii telefonicznej w stronę Janowa. Zauważyli nas. Doszło do krótkiej wymiany ognia. Jeden koń został zabity, a na pozostałych dwóch uciekli Niemcy. Jeździec bez konia poddał się, bo nie miał innego wyjścia.

Po tym zajściu należało zmienić kierunek marszu, bowiem niemieccy jeźdźcy, którzy uszli cało, mogli sprawdzić nasze siły i zastąpić nam drogę. Wąwozem zeszliliśmy na skraj lasu. Od ludzi w ziemiankach dowiedzieliśmy się, że konne patrole nieprzyjaciela penetrują nadal brzeg lasu.

– Na szosę i za tory! – postanowił dowódca.

Za naszym kolejowym byliśmy bezpieczni. Pojmany Niemiec bez sprzeciwu dźwigał naszą zdobyczną broń. Przed dworcem kolejowym w Chyloni wyprzedził nas „Smok Kaszubski”. Odruchowo pobiegłem za nim, ale wnet zatrzymałem się, bo uświadomiłem sobie, że pociąg nie zatrzyma się. Zresztą nie miałem prawa opuszczać moich towarzyszy broni.

W Cisowej, Chyloni, Leszczynkach i na Grabówku wzbudzaliśmy prawdziwą sensację. To, iż prowadziliśmy i nieśliśmy rannych żołnierzy, a szczególnie to, że towarzyszył nam jeniec w mundurze feldgrau, świadczyło o tym, że wracamy z pierwszej linii. Ludzie, sami żyjący w niedostatku, podawali nam mleko, herbatę, owoce i chleb. Nie zabrakło też kwiatów polskiej jesieni.

Twarze cywilów były zmęczone, a oczy napotykanych przechodniów odzwierciedlały lęk i niepewność dalszego losu: ich samych, Wybrzeża i całego kraju. Było to w pełni wytłumaczalne. Pomoc sojuszników nie nadchodziła, a wróg stał u bram Gdyni. Wojsko było już zmęczone ofiarnym wysiłkiem. W czasie dnia zacięta obrona coraz to nowszych pozycji, a w nocy ciągłe i na ogół skuteczne wypadły na pozycje wroga wyczerpywały obrońców kaszubskiej ziemi.

Regularne oddziały pułkownika Dąbka były wspierane przez coraz liczniejsze grupy i oddziały zbrojne, bardzo podobne do naszego. Pstrokacizna mundurów, zwykłych ubrań cywilnych, różnorodność wyposażenia to charakterystyczne cechy obrońców Wybrzeża. Nawet kosy znalazły się w rękach ludzi odważnych. Toteż coraz częściej cisnęło się na

usta pytanie, gdzie zostały pieniądze i kosztowności, tak hojnie dawane przez naszych rodziców, całe społeczeństwo na Fundusz Obrony Kraju?

W Etapie Emigracyjnym panował duży ruch. sztab Lądowej Obrony Wybrzeża przeniósł się już na Kępę Oksywską, prawdopodobnie do Babich Dołów. Załoga wojskowa siedziby sztabu przygotowywała się do ewakuacji. W pododdziałach kosynierskich panowało niezadowolenie.

– Jak to? – oponowali ochotnicy z kosami. – Powołano nas do obrony Gdyni, a teraz mamy opuszczać nasze miasto? Pozostaniemy tu i polegniemy!

Przyprowadzonego przez nas jeńca marynarze zabrali na Oksywie. Żołnierze z obsługi elkaemu też odeszli do swojej jednostki. Rannego zabrała karetka sanitarna. W etapie zostali tylko kosynierzy.

Z kolumną samochodów przybył tu sam komendant kosynierów, podporucznik Rusinek. Zrobił się wielki ruch. Kosynierzy wybiegli na dziedziniec. Każdy był ciekaw, jaką decyzję podejmie dowódca.

– Wszyscy do samochodów! – rozkazał komendant. – Jedziemy do miasta, do magazynów portowych, by przekazać mieszkańcom Gdyni znajdującą się tam żywność.

Kolumna ruszyła. Jechaliśmy wolno przez dzielnicę nędzy, nawołując mieszkańców do podążania za nami do portu po żywność. czerwone proporczyki na samochodach i czerwone opaski na naszych rękawach wzbudzały zaufanie. Za nami szły tłumy. Każdy chciał zabezpieczyć się w jedzenie chociażby tylko na pierwsze tygodnie niewoli.

Był już wieczór, gdy nasze samochody obładowane ryżem, konserwami, cukrem, mąką, papierosami i czymś tam jeszcze zmierzały w kierunku Chyloni, by następnie przez Pogórze dotrzeć do oksywskich koszar Marynarki Wojennej. Podróż trwała długo, bo- wiem jedyna wolna jeszcze droga na Kępę Oksywską była zapchana wojskiem i cywilami, którzy pragnęli ująć przed wrogiem. Spóźnione oddziały wojskowe z przedpola Gdyni i samego miasta zdążyły również – zgodnie z rozkazem pułkownika Dąbka – na nowe miejsca koncentracji na Kępie.

Podczas rozładunku samochodów zwróciłem uwagę na czterastoletniego może harcerza, który kręcił się przy nadzorującym pracę chorążym Marynarki Wojennej. On też mnie zauważył, podszedł.

– Cześć! – zagadnął.

– Czołem! – odkrzyknąłem.

Zainteresował się moją czerwoną opaską. Wyjaśniłem, że należę do gdyńskiego batalionu kosynierów, zorganizowanego przez partyjniaków z Polskiej Partii Socjalistycznej. Pochwaliłem się, że uczestniczyłem już w dwóch wypadach na tyły nieprzyjacielskie, a raz byłem na linii frontu. To mu najwyraźniej zaimponowało, bo od tej chwili kręcił się przy mnie i moich kolegach.

Alfred Dyduch – bo tak się nazywał poznany harcerz – zaproponował mi nocleg w dyżurce swojego ojca, gdzie miał wykro. Jego ojciec był zadowolony, że syn znalazł przyjaciela też w mundurze harcerskim. Opowiedziałem im o swoich przygodach i tak pozyskałem względy obu.

Przed snem dowiedziałem się, że Fredzio ma skończonych trzynaście lat. Pierwszego września miał rozpocząć naukę w klasie siódmej szkoły numer 4 na Oksywiu. Należał do hufca Gdynia-Oksywie, którego komendantem był harcmistrz Teodor Delong.

– Jak zdobyć karabin? – zainteresował się, patrząc zazdrośnie na moją broń. Musiałem mu w szczegółach opowiedzieć, w jaki sposób ją zdobyłem.

Chcąc się również czymś pochwalić, opowiedział, jak to przed rokiem w basenie Ma-

rynarki Wojennej uratował z bratem Robertem i kolegą Józkiem tonące w lodowatej wodzie rodzeństwo Ludwisię i Jurka Jabłońskich.

Następnego dnia wykonywaliśmy z Fredziem, za wiedzą moich przełożonych i na zlecenie jego ojca, różne czynności na terenie koszar i nabrzeży portowych. Oksywie było wielokrotnie ostrzeliwane przez artylerię z morza i lądu, nawet dziś przeżyło nalot niemieckiej Luftwaffe. Było co robić. Moja nieodłączna torba sanitarna znów się przydała.

Fred jednak stale myślał i kombinował, jak zdobyć broń. Wiedział, że najłatwiej o nią na pierwszej linii. Dlatego ciągle tłumaczył ojcu, że chce być prawdziwym żołnierzem, że jako harcerz powinien walczyć z Niemcami, a nie pętać się prawie bezużytecznie po koszarach.

– Śmierć jest jednakowa, czy tu od pocisku lub bomby, czy tam na froncie od kuli – uparcie udawałniał swemu tacie.

Wróg tymczasem ze wszystkich stron wdzierał się na Kępę Oksywską. Poszczególne osiedla, laski, wzniesienia, zabudowania przechodziły z rąk do rąk. Przewaga liczebna dobrze uzbrojonego wroga była tak duża, że ani męstwo, ani bohaterska postawa nie mogły zrekomensować naszych niedostatków. Aby powstrzymać ciągly napór nieprzyjaciela, trzeba było wysłać na linię oporu wciąż nowych ludzi, a tych już zaczynało brakować. Z rozbitych oddziałów wojska i ochotników tworzono formacje, które często bez przeszkolenia szły na pierwszą linię.

Taką zbieraniną żołnierzy, marynarzy, obsługi statków, kosynierów, harcerzy była kompania, którą pośpiesznie organizował na terenie portu wojennego Oksywie podporucznik Zwaliński. Do niej wcielono Fredzia i mnie. To, że Fredzio został przyjęty, zawdzięczać może Czesławowi Jarmoce, matowi i dowódcy jednego z plutonów. Przekonał on chorążego Dyducha, by pozwolił synowi zaciągnąć się do nowo tworzonego oddziału. Jemu też pod bezpośrednią opiekę chorąży oddał swego trzynastoletniego syna. Kompania ta była podporządkowana batalionowi kosynierskiemu.

– A co z karabinem? – martwił się „szeregowiec” Dyduch.

– Coś wymyślimy, pokombinujemy – pocieszałem go.

Przypadek zrządził, że jeszcze tego samego dnia Fredzio został posiadaczem karabinu. A stało się to tak: Stałem na warcie przy radiostacji. Od strony Pogórza nadciągnął jakiś pluton cyklistów. Prawie wszyscy oprócz swojej broni posiadali dodatkową. Żaden obrońca polskiego morza nie mógł przejść obojętnie obok niczyjej broni. Odważyłem się podejść do starszego ode mnie druha, który na kierownicy swego roweru zawiesił dodatkowy karabin. Poprosiłem go o broń i bez oporu ją dostałem. Ukryłem karabin w zakamarkach przylegającego do stacji magazynku.

– Mam dla ciebie prezent – oznajmiłem Fredziowi po zejściu z warty. – Zgadnij, co to?

– Karabin! – wykrzyknął uradowany. – Karabin? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Miałeś przecież zgadywać – śmiałem się prowadząc kolegę do magazynku.

Oj, co to była za radość! Teraz zamęczał mnie bezustannie różnymi pytaniami: jak ładować, jak przymierzyć, jak celować, jak ustawić celownik, jak rozebrać, rozłożyć, naoiliwić... Był jednak bardzo pojętnym żołnierzem, a broń nie była mu tak zupełnie obca. Wiele razy oglądał karabin ojca.

W niedzielne popołudnie 17 września kompania podporucznika Zwalińskiego została skierowana w rejon Obluza do powstrzymania nacierających sił gdańskich. Ogień nieprzyjacielskiej artylerii był tak silny, że nie sposób było posuwać się naprzód stojąc, jedynie czołganiem i krótkimi przeskokami zdobywało się teren. Fredzio, jak zwinny kot, był zawsze na czele plutonu. Mat Jarmoc kilkakrotnie powstrzymywał go przed przeszarżowa-

niem. Kompania osiągnęła z małymi stratami garb wzniesień, gdzie resztkami sił bronił się oddział marynarzy.

Nasza kompania wzmocniona plutonem obrońców w granatowych mundurach wyruszyła na nocny wypad. I znowu nasz żołnierz – jak go wszyscy nazywali – dawał popis męstwa i odwagi. Walnie przyczynił się do zlikwidowania niemieckiego gniazda karabinu maszynowego. Podobnie spisywał się w poniedziałkowych zaciętych walkach. Upomnienia, a nawet nagany niewiele skutkowały. Brawura i fantazja go nie opuszczały.

Ranek był chłodny i mglisty. Od morza szedł ku ładowi nieprzyjemny ziąb. Ale na okywskim cyplu nikt tego chłodu nie odczuwał. Tu było gorąco. Artyleria nieprzyjaciela koncentrowała ogień na niewielkim skrawku płaskowyżu. Samoloty wroga prawie bezkarnie przelatywały nad gorącą ziemią nadbałtyckiej reduty, zrzucając bomby i ostrzeliwując z broni pokładowej wszystko to, co się ruszało. Na szczęście mgła opadła dość późno i obrońcy zdążyli przenieść się w dogodne miejsca, zaryć w ziemi i przygotować do odparcia kolejnych ataków wroga.

Nasza kompania po nocnym wypadzie znajdowała się w rezerwie. Spaliśmy jak zabici, gdzie popadło. Przekonałem się, że trudniej zwyciężyć sen niż głód. Człowiek niewypoczęty zasypia stojąc, nawet podczas marszu.

Po południu wpadł do naszej piwnicy podpułkownik Sołodkowski, informując, że żandarmi gdańscy wdarli się do Nowego Obłuza. Pierwszy zerwał się Fredzio, a za nim pozostali. Ruszyliśmy w stronę nieprzyjaciela. Nasz pluton wyszedł na otwartą przestrzeń. Ze wszystkich stron gwizdały kule. Podczas czołgania Fredzio jakby się skulił. Zatrzymał się, machnął ręką i pełznął dalej w kierunku skarpy, za którą ukryty był hitlerowski karabin maszynowy, plujący morderczym ogniem w naszą tyralierę. Fredzio znowu wysunął się znacznie do przodu. Widocznie postanowił rozprawić się z załogą tego kulomiotu.

– Fredzio! Zatrzymaj się! – wołałem.

– Wróć, zawróć natychmiast! – rozkazywał mat Jarmoc.

Ale czy nasz Fredzio to słyszał? Może i słyszał, ale jego interesował tylko nieprzyjacielski cekaem. Poderwał się, by rzucić granat i wtedy stało się. Jego nogę i podbrzusze przeszła seria pocisków. Skulił się jak mały szczeniak, któremu ktoś wyrządza krzywdę.

– Jezus Maria! – jęknął mat i w te pędy dopadł rannego harcerza.

Z narażeniem życia, czołgając się wyniósł chłopca z bezpośredniego pola zagrożenia. Kivnął na mnie. Próbowaliśmy go obandażować, ale w takich warunkach było to wężcz niemożliwe. Wtedy poniósł go dalej do piwnicy pobliskiego domu. Fredzio jedną ręką trzymał za szyję swego przełożonego, a drugą mocno ścisnął swój karabin. Nie chciał go nikomu oddać, choć na pewno mu bardzo ciążył i przeszkadzał.

W piwnicy w pośpiechu założyliśmy rannemu opatrunek. Mat polecał do oddziału. Poprosiłem o pomoc właściciela domu. Noga Fredzia zawisła bezwładnie. Z jamy brzusznej sączyła się krew. Choć bardzo cierpiał, na jego bladej twarzy nie było grymasu. Jego jedynym zmartwieniem był karabin.

Pozostawiłem umierającego przyjaciela, chyba najmłodszego obrońcę polskiego Wybrzeża, pod opieką gospodarza leona Kulaszewskiego. Mnie wzywał obowiązek żołnierski. Byłem potrzebny na polu bitwy. Udało nam się wyprzeć nieprzyjaciela z zajętej osady.

W godzinach popołudniowych zmieniono nas i wycofano do koszar Marynarki Wojennej. Kucharze w tylko im wiadomy sposób zdolali w tym piekle ugotować żołnierską grochówkę.

Rozdział 6

Ostatnia reduta

Dojadając grochówkę, czułem, jak oczy kleją mi się ze zmęczenia. Z trudem dowlokłem się do piwnicy-sypialni, gdzie zapadłem w kamienny sen. Spałem tak mocno, że mat Jamroc z trudem zdołał mnie obudzić.

– Jest dla ciebie niebagatelne zlecenie – rzekł stawiając mnie jak kukłę na równe nogi.

Zadanie było rzeczywiście ważne i odpowiedzialne. Miałem przedostać się do sztabu Lądowej Obrony Wybrzeża w Babich Dołach i doręczyć pułkownikowi Dąbkowi dokumenty w zalakowanej kopercie.

– Wy, harcerze, macie do takich zadań wiele sprytu i pomysłowości – powiedział na zakończenie rozmowy oficer, który przyniósł mi kopertę.

Nie oglądając się na nic, pobiegłem nad brzeg morza. Zjechałem na tyłku z urwistej skarpy nad samą wodę, gdzie morski piasek był najtwardszy. Biegłem na północ. Co pewien czas padałem na ziemię, bo nieprzyjacielskie okręty z Zatoki Gdańskiej ostrzeliwały wschodni brzeg Kępy Oksywskiej. Niektóre pociski padały u samej krawędzi urwistego brzegu, nawet rozrywały się na przybrzeżnych wydmach.

Za Małym Morzem, w powłoce niebieskawych mgiełek widoczna była kosa Półwyspu Helskiego. Tam trwali na swych posterunkach nasi żołnierze. Zauważyłem, że nad półwyspem przeleciały nieprzyjacielskie samoloty, do których strzelała polska artyleria przeciwlotnicza.

Wreszcie dobiegłem do jaru. Zauważyłem zabudowania szpitalne, nad którymi powiewała duża, biała flaga z czerwonym krzyżem. Żołnierz, przez którego zostałem zatrzymany, zaprowadził mnie, po okazaniu koperty, do pomieszczeń administracyjnych szpitala,

gdzie znajdował się sztab Łądowej Obrony Wybrzeża.

Jeden z oficerów kancelaryjnych z pierwszego pomieszczenia chciał mi odebrać kopertę, by doręczyć ją dowódcy. Nie dałem jej.

– Mam osobiście doręczyć dokumenty pułkownikowi Dąbkowi – wyjaśniłem.

Oficer uśmiechnął się, chwycił mnie za rękę i poprowadził do sąsiedniego pokoju. Tam na stole leżała duża mapa, na której pochyłony oficer w stopniu pułkownika kreślił jakieś znaki. Jego twarz była bardzo zatroskana, zmęczona. Czarny wąsik ruszał się nerwowo. Usta również.

– Panie pułkowniku, jakiś goniec z listem – zameldował oficer.

– Co? Ach tak, goniec – powiedział pułkownik nie odrywając oczu od mapy. – Tylko natarciem powstrzymamy wroga – mruknął sam do siebie, coś zapisał na leżącej obok mapy kartce, wyprostował się i dopiero wtedy ogarnął mnie serdecznym spojrzeniem. Jego twarz wydawała mi się łagodna, ale oczy, marsowe oczy, które nie pasowały do jego oblicza, przeszły mi na wskroś, jakby chciały odgadnąć, z czym do niego przyszedłem.

– I znowu zuch-harcercz z ważnym meldunkiem. Wy, drodzy chłopcy, jesteście niezawodni. – Wziął kopertę, podszedł do drzwi i zawołał: – Herbatę dla harcerza. Tylko słodzoną.

Usiadł wygodnie w fotelu i zaczął czytać pismo dołączone do mniejszej koperty. Wnet wstał, podrapał się lekko po siwiejącej głowie, spojrzał na mnie swym wścibskim wzrokiem i zapytał:

– Kiedy i co jadłeś, harcerzyku?

– Grochówkę na obiad, panie pułkowniku.

– Skoro dotarłeś do mnie, dotrzesz i dalej, do dowódcy floty, kontradmirała Józefa Unruga. Zgoda?

– Tak jest, panie pułkowniku! – potwierdziłem bez wahania. – Dojdę, gdzie trzeba.

Pułkownik Dąbek nakazał swoim podwładnym nakarmić mnie i położyć gdzieś spać.

– W odpowiednim czasie zbudzą cię i popłyniesz na Hel – wyjaśnił odchodząc.

Nie mogłem zasnąć, choć zmęczenie zwałało mnie z nóg. Byłem ogromnie wzruszony i dumny, że mam do spełnienia tak ważną misję. Dlatego akurat mnie wysłał pułkownik do dowódcy floty?

– Radku, nie zadzieraj nosa – skarciłem sam siebie i zasnąłem. Spałem w dziwnym napięciu, bo gdy dotknął mnie oficer dyżurny, zerwałem się na równe nogi.

– Już czas? Zasnąłem pewnie? – wykrztusiłem z niepokojem. Zasnąłem bowiem z obawą, że nie obudzę się w porę.

Oficer włożył do mojej torby sanitarnej ów mniejszy list oraz drugi, nieco większy i przykazał:

– Doręczysz obie przesyłki kontradmirałowi Unrugowi w jego kwaterze na Półwyspie Helskim.

Noc była ciemna, niebo przykrywały chmury. Zarzuciłem na harcerczycki mundur kolejarską marynarkę, która zastąpiła mi płaszcz i udałem się z oficerem na brzeg morza. Tam stała niewielka łódź motorowa, na którą żołnierze ładowali skrzynie i worki. Przypuszczam, że to były pieniądze, bo wydobywał się z nich metaliczny dźwięk. Oficer przekazał mnie dwóm marynarzom, stanowiącym załogę łodzi i nakazał, by ułatwili mi dostanie się do dowódcy floty.

Odbiliśmy od brzegu i popłynęliśmy w stronę Pucka. Zdziwiło mnie to bardzo i zapytałem:

– Dlaczego nie płyniemy na Hel?

– A płyniemy, płyniemy, tylko okrężną drogą, żeby ominąć pola minowe i hitlerowskie ławce – wyjaśnił jeden z marynarzy.

Po pewnym czasie łódź zmieniła kurs na północno-wschodni, a następnie na wschodni.

Wstrząsający widok rozciągał się z Zatoki Puckiej. Nad niektórymi miejscowościami na Półwyspie Helskim widoczne były łuny pożarów. Podobnie było na Kępie Puckiej. Kępa Oksywska cała stała w ogniu, jakby ziemia płonęła. Unosiła się nad nią jedna wielka łuna, a w niej mrowiło się od iskier. To były wybuchy pocisków artyleryjskich, którymi zasypywano cały płaskowyż. Tam musiało być piekło.

Na Małym Morzu panowały ciemność i cisza. Nie wiem, wedle jakich znaków orientowali się marynarze, płynąc w określonym kierunku. Żadnej latarni nie było widać, za wyjątkiem tej potężnej i rozległej, jaką była Kępa Oksywska i tych małych łun płonących na półwyspie osad rybackich. Ciszę lekko falującego morza zakłócał szum wody, rozpruwanej dziobem naszej łodzi. Bryzająca piana wodna obmywała niekiedy moją twarz, orzeźwiająco i odganiając narosłe przez ostatnie dni znużenie. Słonawy smak wody przypominał, że jesteśmy na morzu.

– Jak ci na imię? – zagadnął jeden z marynarzy, siedzący tuż obok mnie na ławce.

– Radek i pochodzę z Cierzni pod Bieszkowicami. To mała osada w powiecie morskim.

Marynarz wyczuł, że mam ochotę porozmawiać, więc zapytał, jak się dostałem do Babich Dołów. Opowiedziałem bardzo skrótowo moje dotychczasowe wojaże, a więc przygody w Gdańsku, walki na ziemi kartuskiej, w powiecie morskim i na Kępie Oksywskiej.

– Długo utrzyma się Oksywie? – zaciekawiał się mój rozmówca.

– Chyba niedługo. Dni naszych są policzone. Przewaga Niemców jest tak duża, a możliwości obrony z godziny na godzinę maleją. W tej sytuacji, rozumie pan...

– Nie mów mi pan, a Władek – zaproponował.

– A co z Anglią i Francją? Pomogą nam? – zapytałem.

– Jest nadzieja – westchnął. – Ponoć okręty brytyjskie przepłynęły cieśniny duńskie. Przerwał na znak siedzącego przy sterze marynarza.

Z lewej strony dość nieoczekiwanie wyłoniło się coś z ciemności. Wydawało mi się, że to bardzo wysoka ściana. Pod nią zobaczyłem świetlne sygnały, króciutkie błyski, nadawane prawdopodobnie latarką kieszonkową. Marynarz siedzący obok mnie odpowiedział na nie natychmiast swoją latarką.

– Jesteśmy już niedaleko brzegu. Miniemy Jastarnię, a na ląd wyjdziemy w pobliżu Juraty – objaśnił mój przewodnik.

Sygnały powtarzały się. Był to dowód, że czujki przeciwdesantowe czuwały. Gdzieś na południu, nie wiem, czy na lądzie, czy na morzu, zauważyłem serię krótkich błysków. To zapewne artyleria niemiecka przystąpiła do ostrzału naszych pozycji na Kępie Oksywskiej. Podobne światła widoczne były od strony zachodniej. To artyleria rozlokowana na Wybrzeżu puckim nękała obrońców na Półwyspie Helskim i na Kępie Oksywskiej.

Wylądowaliśmy pod ciemnym borem na niewielkiej plaży. Pomogłem marynarzom wylądować przywiezione z Babich Dołów skrzynie i worki. Załadowano je na wóz konny, który ni stąd ni zowąd zjawił się w ciemnym lesie. Furmanka chyba czekała na nas.

– Dojedziemy do Juraty, a wtedy zobaczymy – odpowiedział marynarz na moje pytanie, jak dostanę się do dowódcy floty.

Woźnica prowadził konia za uzdę, bo z wozu nie dostrzegłby leśnej dróżki. Siedząc na koźle dumalem, jakie to dziwne koleje losu miotają człowiekiem podczas wojny. Gdzież bym się spodziewał, że wyląduję na Helu. Słyszałem wiele razy od żołnierzy i oficerów ta-

jemnicze określenie: Rejon Umocniony Hel. Uważałem, że to twierdza niedostępna dla zwykłego śmiertelnika. Wyobrażałem sobie, że całe wybrzeże tego półwyspu usiane jest żelbetonowymi bunkrami, obwarowanymi stanowiskami artyleryjskimi, gniazdami karabinów maszynowych i innymi budowlami militarnymi. Jak do tej pory, nic podobnego nie zauważyłem.

Jurata wyglądała jak wyludniona wieś. Wiele domów zburzono, a cały teren był gęsto usiany lejami po bombach i pociskach artyleryjskich. Po godzinie oczekiwania nadjechał na stację od strony Jastarni pociąg, składający się z niewielkiej lokomotywy manewrowej, dwóch wagonów osobowych i dwóch towarowych. Czyżby kolejny „Smok”? – pomyślałem. Ale nic na to nie wskazywało. Nieopancerzona lokomotywa sapiała, syczała, dmuchała parą, jak to zwykle przed odjazdem. Pociąg miał mieć jednak dłuższy postój, ale nie na otwartej stacji kolejowej, a opodal w zalesionym terenie, by iskry wydobywające się z kolumna mogły rozprzecz się i być mniej widoczne w konarach starych, pokręconych wichrami morskimi sosen. Odjazd miał nastąpić, jak dowiedział się przewodnik-marynarz, za niespełna godzinę.

– No to urządzimy sobie drzemkę – rzekł mój nowy druh w granatowym mundurze. Wszedł do wagonu osobowego, rozłożył się na ławce i niebawem zasnął.

Usiadłem po przeciwnej stronie, oparłem brodę na przyokiennym pulpicie i wpatrzony we wschodzące słońce, przeniósłem swoje myśli tam, skąd przybyłem. Zastanawiałem się, co robią moi przyjaciele: Zyguś i Jaś, gdzie się teraz podziewają? Czy nie lepiej byłoby ich odszukać i razem dzielić tułaczy los?

Odszukać... Ale przecież nie wiedziałem, czy dostali się na Kępę Oksywską, nawet nie mi nie było wiadome, czy żyją? Zrobiło mi się bardzo smutno. Poczulem wielki żal – sam nie wiem do kogo – że zostaliśmy rozdzieleni.

W domu są na pewno Niemcy – rozważałem. Mama ich tak nienawidziła, bo to w ich armii zginęli w latach pierwszej wojny światowej jej dwaj bracia. Mama, jak wszyscy na Pomorzu, musiała uczyć się do szkoły niemieckiej i uczyć się tego znenawidzonego języka. Czytać i pisać po polsku uczyła się w domu na „Pielgrzymie”, na polskim elementarzu, na wkładce do „Gazety Grudziądzkiej”, na kalwaryjce. Czytała też wiersze sąsiada księdza Leona Heykego. Pamiętam jeden, który przypadł jej do gustu, więc często go powtarzała:

Nowy czas a nowe żęć
Wszędzie kwitnie nowi mój
Letny wiatr chłodno wieje,
Szëmi cëcho, szëmi gój...

Ranne promyki wykapanego w morzu słońca pomalowały różem czubki rozwichrzonych wiatrem morskim sosen. Wstawał nowy dzień, dzień nadziei i zgrozy. Dudnienie, choć odległe, ale straszne, zabójcze, znenawidzone, wzmagalo się i przybliżało. To hitlerowcy z dalekosiężnych dział ostrzeliwali dogorywającą Kępę Oksywską i Półwysep Helski.

Obudziło mnie szarpnięcie. O mało nie potoczyłem się z ławki na podłogę. Pociąg ruszył gwałtownie z miejsca. Skulony jak kot w kącie ławki na krótko zasnąłem, sam nie wiem kiedy. Pociąg włókł się powoli, co chwila zatrzymywał się, wsiadali do niego żołnierze i marynarze ze wzmocnionych na noc czatów przybrzeżnych. Wracali do swych rozlokowanych w lesie jednostek, na zasłużony odpoczynek. Byli zmęczeni, nie wyspani,

również głodni, ale nie pozbawieni ducha i żołnierskiego humoru.

– Tu wysiadziemy – oznajmił marynarz na jednym z przystanków po minięciu stacji Bór.

Dopiero teraz zauważyłem, że mój towarzysz podróży, z którym byłem od paru godzin na ty, był w stopniu bosmana. Oj, pomyślałem, a ja do niego mówiłem: Władek.

Szliśmy przez pachnący żywicą las. Nagle coś zaszumiało, zaświstało i z wielkim łoskotem przeleciało nad koronami drzew. Była to eskadra nieprzyjacielskich samolotów. Automatycznie padliśmy obaj na ziemię, bo nigdy nie wiadomo, gdzie złowrogie ptaszyska zniosą swoje śmiercionośne jaja. Tym razem poleciały nad Hel, skąd po krótkim czasie dały się słyszeć detonacje zrzuconych bomb.

– Dlaczego one tak nisko leciały? – zapytałem mojego przełożonego. Tak teraz, przynajmniej w myślach, traktowałem bosmana.

– Boją się naszej artylerii przeciwlotniczej i cekaemów. Na tej wysokości jak można do nich strzelać?

Dróżką leśną doszliśmy do ogrodzenia. W bramie stał marynarz. Po wyjaśnieniu naszej wizyty przez bosmana Władka i okazaniu przeze mnie koperty, jaką niosłem w torbie sanitarnej, wartownik połączył się telefonicznie ze swoimi przełożonymi i po chwili zakomunikował nam, że możemy wejść bezpośrednio do dowódcy floty, którego już uprzedzono o liście, jaki miałem mu doręczyć.

Schron był rozległy i dobrze ze wszystkich stron zamaskowany. Zauważyłem, że rozchodzą się zeń w różne strony przewody telefoniczne.

W pobliskim namiocie spało kilku marynarzy. Weszliśmy do schronu. Przy biurkach w pierwszym pomieszczeniu siedziało kilku oficerów i podoficerów Marynarki Wojennej. Wskazano nam drzwi do drugiego pomieszczenia. Tam przy ogromnym biurku siedział oficer w granatowym mundurze o pociągłej, bladej twarzy, znacznej łysinie, jasnych włosach i czarnych, przenikliwych oczach. Zdjął okulary, przetarł zmęczone oczy i zapytał:

– To takich emisariuszy ma pułkownik Dąbek?

To pytanie było adresowane najwyraźniej do mnie. Zdziwił go trochę mój harcerski mundur i zapewne wiek. Takiego typu łączników widocznie na Helu nie było.

– A co druh ciekawego przynosi z łądu? – zagadał już bezpośrednio do mnie.

Bosman zameldował, co i jak i szturchnął mnie łokciem. Wyjąłem z torby kopertę, podszedłem do kontradmirała Józefa Unruga i bez słowa podałem przesyłkę.

Siedzący u dowódcy floty oficer pozwolił mojemu przewodnikowi odejść do swojej jednostki, a mnie kazał poczekać w pomieszczeniu gospodarczym, gdzie kucharz nakarmił mnie do syta. Jak wynikało z rozmów oficerów sztabowych, miałem następnej nocy wrócić do Babich Dołów.

Do tego już nie doszło, bo w godzinach popołudniowych 19 września rozeszła się wiadomość, że cała Kępa Oksywska została zajęta przez wojska niemieckie. Usłyszawszy to, rozbeczałem się. Żeby ukryć łzy, udałem się w zarośla. Lamentowałem w ukryciu. Tyłu moich towarzyszy broni albo poległo, albo odniosło rany, albo zostało zmuszonych do opuszczenia tak zaciekle bronionej Kępy i pójścia w niewolę. ◦

Jaki los mógł spotkać mego kuzyna Zygusia, a jaki zawsze wesołego Jasia i innych małych obrońców Wybrzeża? Wiedząc o okrucieństwach agresora, niepokoiłem się o ich przyszłość.

W sytuacji, gdy mój powrót do Babich Dołów okazał się niemożliwy, w sztabie zastanawiano się, co ze mną zrobić? Jedni uważali, że mogę pozostać w kwaterze dowódcy floty w charakterze gońca-łącznika, choć nie znałem terenu. W końcu zwrócono uwagę na

moją torbę sanitarną i zdecydowano, że jutro zgłoszę się do szpitala polowego w Helu.

Zanim w środę odmaszerowałem na wyznaczoną placówkę, w mojej legitymacji kosynierskiej odcięto to miejsce z pieczętką, na której znajdował się napis: „Batalion Czerwonych Kosynierów”, a przyłożono nową, na której przeczytałem: „Zaloga Rejonu Umocnionego Hel. Sztab Dowódcy Floty”. Ten dokument miałem okazywać licznym posterunkom wojskowym na półwyspie. Poradzono mi dotrzeć do szosy i nią pomaszerować na sam cypel, gdzie znajduje szpital.

Na mierzei było spokojnie. Niemcy prawdopodobnie świętowali swoje zwycięstwo na Kępie Oksywskiej. Nawet samoloty nie grasowały nad półwyspem i nie nękały jego obrońców. Pomyliłem trochę kierunki, szukając owej szosy i doszedłem na skraj osady Bór, w rejon dworca kolejowego. Może i dobrze, że tak się stało. Na poboczu szosy stała kolumna samochodowa oznakowana czerwonochrzyskimi symbolami. Jak się zorientowałem, przewożono ofiary wczorajszego ataku na pozycje polskie u nasady półwyspu z lokalnych punktów sanitarnych do szpitala w Helu.

– Weźmiecie mnie ze sobą? – grzecznie zapytałem mężczyznę w białym kitlu.

– Postronnych nie wozimy – odpowiedział, nie zwracając na mnie uwagi.

– Ale ja nie jestem postronny – palnąłem z nutką obrazy w głosie. – Mam do was skierowanie i podałem mu papier ze sztabu dowódcy floty.

Lekarz spojrział badawczo na kartkę, na mnie i zadecydował krótko:

– Siadać do ciężarówki i pomóc siostrze Marii. Tylko że torba sanitarna to nie wszystko. Umiejętności się liczą.

Nie miałem do niego żalu za ten przytyk. Na Półwyspie Helskim udział harcerzy w obronie był czymś nieznanym. Tu liczyło się wojsko i tylko wojsko angażowano do różnych czynności obronnych, również do służby sanitarnej. To pieczętka dowódcy na legitymacji pozwoliła mi wziąć udział w pracy szpitala.

Droga na Hel była paskudna: wyboje, leje pobombowe i artyleryjskie, wyrwy nie wiadomo jakiego pochodzenia. Jechaliśmy przez las bardzo ostrożnie, nie tylko ze względu na rannych, ale by w razie alarmu skryć się pod konarami drzew.

– Wprawdzie wszystkie wozy są oznakowane – tłumaczył mi jeden z sanitariuszy – ale lotnicy niemieccy nie zwracają na znaki czerwonochrzyskie uwagi. Bombardują i strzelają do wszystkiego, co widać na ziemi.

Pomagałem siostrze Marii, w czym tylko mogłem. Od razu polubiłem ją. Miała bardzo pogodne usposobienie i zawsze miły uśmiech na twarzy. Dziwiła się, skąd wziąłem się na Helu w mundurze harcerskim. Podczas jednego z postoi w lesie opowiedziałem jej w zarysie moje dotychczasowe przejścia wojenne. Urosłem w jej oczach do rangi bohatera, choć nic nadzwyczajnego nie zrobiłem.

Wśród rannych na samochodzie byli marynarze, żołnierze i trzy osoby cywilne. Oprócz starszego rybaka, który do wszystkich mówił w swej belockiej gwarze, była też kobieta w wieku około czterdziestki i dziewczyna, może w moim wieku lub nieco młodsza. Tej ostatniej odłamek bomby „ogolocił” nieco z ciała lewy staw barkowy. Chore ramię miała unieruchomione. Przykucnąwszy w rogu osłoniętej brezentem platformy samochodowej, podtrzymywała prawą ręką obandażowaną głowę marynarza, który co jakiś czas zrywał się majacząc.

– No, jesteśmy na miejscu – oznajmiła siostra Maria.

– To ma być szpital? – zdziwiłem się po wygramoleniu z auta. – Wyraźnie napisano nad drzwiami: Szkoła Powszechna w Helu. Zmieniłem zdanie, gdy pierwsze nosze z rannym piechurzem przy pomocy siostry Marii zanieśliśmy do wnętrza budynku. Zrozumiałem

wówczas, że na czas wojny budynek szkolny zamieniono na szpital polowy.

– Nie skacz, panienko! – zawołałem do owej dziewczyny z zabandażowanym ramieniem, która jako ostatnia zamierzała zeskoczyć z platformy.

Podbiegłem do niej, chwyciłem jedną ręką podwinięte pod siebie nogi, drugą przechyliłem ją na siebie i zniosłem z samochodu. Trochę zażenowana, z rumieńcem na twarzy, podziękowała mi i oznajmiła, że dalej pójdzie o własnych siłach.

Lekarz Majewski, który dość ozięble przyjął mnie do służby sanitarnej, posegregował rannych. Część z nich odnieśliśmy do łóżek szpitalnych, część zaś ułożono w łózkach na holu pod salą operacyjną. Pomagałem w przenoszeniu rannych wojskowemu sanitariuszowi. Siostra Maria była potrzebna na sali operacyjnej. Asystowała dwóm lekarzom.

Mój nowy przełożony w marynarskim mundurze, do którego zostałem przydzielony, zapoznał mnie ze szpitalem i obowiązkami na tej placówce. Przedstawił mi się jako Antos i tak go miałem nazywać. W szpitalu oprócz siostry Marii i dwóch innych sióstr pracowało z Antosiem czterech sanitariuszy.

Do wieczora załoga helskiego szpitala uporała się z pracą. Wszyscy ranni znaleźli się na czystej pościeli. Na wieczornej odprawie zostałem przedstawiony przez Antosia komendantowi szpitala, porucznikowi Czajkowskiemu. Po rozmowie – takim niby egzaminie – zostałem przydzielony do kolumny sanitarnej. Sanitarka z obsługą stała w porcie i tam miałem się zgłosić. A ja myślałem, że zostanę tu w szpitalu razem z Antosiem, którego zdążyłem poznać i do niego się już przyzwyczailem. Ale nic z tego.

Maszeruję sobie, nie śpiesząc się zbytnio, we wskazanym kierunku. Przygnębiająco wyglądał Hel. Wiele zabudowań było rozbitych, wszędzie leje, na ścianach domów liczne ślady po odłamkach bomb i kulach z broni pokładowej samolotów, brak w wielu oknach szyb, choć były zgodnie z nakazem poklejone taśmami papieru, co miało je ochronić przed wypadaniem. Najgorsze wrażenie wywarł na mnie zdewastowany drzewostan. Kikuty drzew, w dużej mierze bez koron, sterczały modlitewnie, jakby błagały siły nadprzyrodzone o odrobinę litości.

Lasy helskie tej jesieni milczały jak zakłète. Ptaki, które były okrasą tych drzewostanów, wyniosły się z półwyspu. Jedynie białe mewy, wierne granatowym mundurkom, pozostały tu na miejscu i baraszkowały nad falami szybko gojącymi blizny plaż, jakie zadawały im bomby i pociski artyleryjskie.

Sanitarkę, do której zostałem przydzielony, odnalazłem opodal nabrzeża, ukrytą za wysokim betonowym murem w pobliżu kilku postrzępionych sosen. Wykopano dla niej wgłębienie z nasypami, które miały ją chronić przed wszelkiego rodzaju zabójczym żelastwem. Za ziemianką kryjącą samochód sąsiadowała druga, którą zajęła obsługa sanitarki.

– Harcerz Radek Okrój z rozkazu komendanta szpitala melduje się do dyspozycji do wódcy wozu sanitarnego.

– Słyszalesz? Harcerz się melduje.

– Ale co ten harcerz będzie robił? Jak spadną bomby lub pociski, wejdzie w myszą dziurę.

Takiego przywitania nie spodziewałem się. Chwilę stałem spokojnie, a gdy ci dwaj w marynarskich mundurach dalej kpili ze mnie, palnąłem bez ogródek:

– To wy się po dziurach kryjecie i wilków morskich zgrywacie. – A po chwili dodałem: – Jeżeli nie jestem wam potrzebny, to pójdę z powrotem i zamelduję komendantowi szpitala, co trzeba.

– Nie dąsaj się, mały – innym tonem odezwał się niski marynarz z belką na ramieniu.

– Przecież my żartujemy – dodał ten drugi, jak na marynarza bardzo wysoki drab.

Starszy sanitariusz, ten z belką wstał, podał mi rękę i przedstawił się:

– Pat jestem. A ten drugi to Patachon. Widząc moje niezadowolenie, dodał: – Tak między nami będziemy się nazywać, a prawdziwe moje imię to Wiktor, a jego – wskazał na drągala – Leon.

Kpiarski ton nie trwał długo. Musiałem opowiedzieć im, w jaki sposób znalazłem się na półwyspie i o wcześniejszych moich przygodach i wojażach. Od nich dowiedziałem się, co działo się tu na samym cyplu półwyspu od pierwszego dnia wojny. Zdaniem moich rozmówców najbardziej dramatyczny był pierwszy dzień napaści Niemiec na Polskę. Już z rana przywieziono z Pucka rannego pilota. Opowiadał o bombardowaniu hangarów i koszar oraz naszych wodnopłatowców, z których część uległa zniszczeniu. Poległ dowódca Morskigo Dywizjonu Lotniczego komandor porucznik Edward Szystowski i kilku żołnierzy z obsługi lotniska. Miejscowy szpital przyjął w tym dniu kilku rannych marynarzy i cywilów po porannym bombardowaniu portu rybackiego. Kilka samolotów wroga zaatakowało port i osadę z niskiego pułapu bronią pokładową. Ten nalot wywołał zamieszanie, szczególnie wśród ludności cywilnej i stąd wzięły się niepotrzebne ofiary.

Najwięcej rannych przybyło o zmierzchu, gdy dostarczono z morza poranionych marynarzy. Hitlerowskie bombowce nurkujące zaatakowały stojące w porcie i na redzie polskie okręty: niszczyciela „Wicher”, stawiacza min „Gryf”, kanonierki „Generał Haller” i „Komendant Piłsudski” oraz trałowce „Mewa”, „Jaskółka”, „Czajka”, „Czapla”, „Rybitwa” i „Żuraw”. Widok był przerażający. Wielu zostało strasznie okaleczonych. Kilku przywieziono z potwornymi ranami brzucha, zatkanyymi czasowo masą gazy pomieszczonej z krwią i kałem.

Jak wspaniały jest zachód słońca oglądany z Helu. Czerwona kula opada wolniutko za Kępę Pucką, za lasy Puszczy Darżlubskiej, pozostawiając na wodach Zatoki Puckiej czerwono-srebrzysty pas pełen migotliwych iskierek. Wydawać by się mogło, że krew przelana przez obrońców polskiego Bałtyku spłynęła na tę jedną, jedyną smugę, na wstęgę utworzoną przez zachodzące słońce, by domagać się od żyjących jeszcze braci pomsty tych, którzy krew wysączyli w obronie Ojczyzny.

Moi obecni przełożeni przynieśli onegdaj do swojej ziemianki z jakiejś opuszczonej willi aparat radiowy. Wiadomości z Warszawy nie były pocieszające. Wojska agresora stanęły już nad Bugiem. Cała zachodnia i środkowa Polska znalazła się pod okupacją hitlerowską. Bronią się Warszawa, Modlin i oczywiście Hel. A na froncie francusko-niemieckim drobne utarczki patroli przed linią Maginota. Jednym słowem było źle. Z Gdańska nadają buńczuczne przemówienie Hitlera, który odwiedził pobojozwisko na Kępie Oksywskiej.

– Niech wszyscy stchórzą, ale my się nie damy – podsumował serwis informacyjny Patachon.

– My tu na Helu wytrwamy. Ani Hitler, ani inny diabeł nas nie ruszy – dodał Pat.

Noc spędziłem w ziemiance na materacu, jaki udostępnił mi Patachon. Przeszła spokojnie. O godzinie siódmej wysłano mnie do szpitala po śniadanie. Prostując kości, popatrzyłem na niebo dziś wyjątkowo spokojne. Trwała piękna jesienna pogoda. Nie wiadomo, na złość, czy na pociechę. Ostatnie zachmurzenie stanowiło jednak pewną osłonę dla Półwyspu Helskiego. Powietrze było wyjątkowo rześkie. Ostatnie opary znad Zatoki Gdańskiej zaczęły powoli uchodzić do przybrzeżnych lasów i parowów.

Około godziny dziewiętej zarządzono alarm. Dotyczył on wprawdzie artylerzystów, ale dla nas też nie był obojętny. Spodziewano się ataku artyleryjskiego z morza. Sanitariusze wdrapali się na przyległy do schronu mur betonowy, a ja za nimi. Widok był rozległy.

Miałem wrażenie, że siedzę w bocianim gnieździe i obserwuje dobijanie mojego statku do lądu, który był widoczny na horyzoncie. Morze, jak okiem sięgnąć, było puste. Pat posiadał lornetkę, spojrzął przez nią i po chwili krzyknął:

– Są! Dwa kolosy i kilka drobiazgów opuściło Gdańsk i płyną kursem na Hel.

– Daj popatrzeć! Niech i ja zobaczę te szwabskie pudła – poprosił Patachon, wyciągając przy tym swoją długą rękę.

Mnie też użyczyli lornetki. Długo nie mogłem złapać w soczewkach niemieckich pancerników, ale gdy minęło pierwsze podenerwowanie, zobaczyłem je w całej okazałości.

– Toć to „Schleswig-Holstein”! – wykrzyknąłem.

– Zgadza się – pochwalił mnie Pat.

– Ten drugi jest do niego całkiem podobny – zauważyłem.

– Bo to okręt bliźniaczy „Schlesien” – wyjaśnił Patachon.

– A teraz do schronu! – rozkazał Pat – Niebawem rozpocznie się piekło na ziemi.

Okolo wpół do dziesiątej pierwsze przerwały denerwującą ciszę nasze działa z baterii Laskowskiego. Ale w kilka minut później dał się słyszeć charakterystyczny jazgot zbliżających się od strony morza pocisków artyleryjskich. Jazgot ten – jak zwykle – przeszedł w wycie i ziemię wstrząsnęły potężne detonacje: jedna, druga, dziesiąta... Rozpoczął się pojedynek artyleryjski. Przeżyłem już wiele takich nawałnic, ale żadna z nich nie była tej podobna. Piekielny ryk, ostry jak jęk odłamków, walące się opodał drzewa, plusk wody wyrzucanej na wysokość kilkudziesięciu metrów w górę przez eksplodujące pociski bliżej brzegu morskiego. Wszystko to przypominało biblijny dzień sądu ostatecznego.

– Ale się fryce uwzięli. Koniecznie chcą zniszczyć nasze działa cyplowe – krzyknął mi w ucho Patachon.

Siedzieliśmy w kukki, podskakując przy bliższym uderzeniu pocisków. Jeden padł tak blisko, że wyrzuciło nas w górę, a następnie rzuciło na ziemię. Poczulem w głowie okropny szum. Bałem się otworzyć oczy. Zdawało mi się, że zapadłem gdzieś głęboko pod ziemię. Ludzie mówią, że jest jakieś piekło, a skoro tak jest, to w tej chwili mamy je tu na Helu. Wiele innych myśli przeszło mi przez głowę w tym obląkaniu. Aż tu nagle słyszę: – „Wolności stońce pieści lazur, łódź nasza płynie w światła dal...”

Słyszę więcej melodie, niż słowa. Ta marynarska pieśń otrzeźwiła mnie, sprowadziła na ziemię, w otaczającą rzeczywistość. Po chwili pełnym głosem wtórował Patowi nasz Patachon. Widocznie pieśnią chcieli zagłuszyć tumult, jaki wokół panował. I ja również próbowałem im wtórować.

Nie wiem, jak długo trwała ta kanonada. Wydawało mi się, że bardzo długo. Miałem świadomość tego, że tam w obrębie baterii, w porcie i osadzie giną ludzie, że są ranni, którzy potrzebują pomocy. Ale w żaden sposób nie mogliśmy opuścić ziemianki.

Gdy już wszystko ucichło, Patachon wskoczył do szoferki i sprawdził, czy silnik nie został uszkodzony. Zawarczał radośnie, jakby zadrwił z nieprzyjaciela. Samochód zgrabnie wyskoczył z ziemianki. Wiatr usunął dym i kurz. Nastął znów biały dzień. Pat zabrał z sanitarki nosze i kiwnął na mnie. Popędziliśmy na teren baterii. Tam panowała wielka radość. Marynarze cieszyli się, że przepędzili intruzów hen, do samego Gdańska. Bili tak celnie, że oba pancerniki, jak poprzednio, pod osłoną dymną wycofały się w głąb portu gdańskiego.

– Znowu nasi artylerzyści wyszli z pojedynku obronną ręką – z prawdziwą satysfakcją oznajmił kierowca Leon, zwany Patachonem.

Jak się okazało, z wielu salw wystrzelonych z pancerników, zaledwie część spadło na teren baterii, uszkadzając transformator i kabel energetyczny. Uszkodzenia szybko usunę-

to. Również dla nas nie było tak wielkiej roboty, jak zdawać by się mogło. Tych dwóch marynarzy miało lekkie zadrzaśnięcia, które mój szofer opatrzył na miejscu.

Jednak to dziwne – pomyślałem. Tony stali wysłali niemieccy marynarze na baterię, a tu prawie nic nie widać. Strzelali z potężnych dział. Każdy nabój miał wielkość wysokiego człowieka, a średnicę około ćwierć metra. Na dodatek, jak mówili artylerzyści, ogniem niemieckich dział kierował samolot, który przez cały czas wymiany ognia krążył na bezpiecznej wysokości nad zatoką.

Na helskim cyplu nie obyło się jednak bez ofiar. W porcie zginął marynarz, a dwóch było rannych. Odwieźliśmy ich do szpitala. Również w osiedlu jeden z pocisków uderzył w willę, przebił dach, sufit, strop nad piwnicą i tam eksplodował. Zginął pod gruzami prawdopodobnie dozorca tego pensjonatu. Spośród ludności cywilnej odwieźliśmy na zabiegi do szpitala trzy osoby, w tym chłopca w moim wieku.

– Dzień dobry – usłyszałem dźwięczny głos dziewczyny.

To była towarzyszka podróży z Boru na Hel. To ją zniosłem z samochodu, by oszczędzić jej bólu. Często myślałem o niej i wspominałem jej miłą, uśmiechniętą twarz.

– Cześć, panienko – odpowiedziałem uprzejmie. – Poczekaj tu. Jak zaniemiemy rannego na salę operacyjną, wrócę.

Poczekala. Przywitała mnie znowu swym cudownym uśmiechem, który omotał moje chłopiące serce. Działał na mnie jak balsam na ranę. Czulem do niej wielką sympatię. Przypominała mi moją siostrę Ludkę, a może więcej koleżankę Małgosię z Reszek i w ogóle rodzinne strony.

– Dlaczego mówisz do mnie „panienko”, skoro nazywam się Teresa – skarciła mnie.

Dla mnie takie karcenie było przyjemnością.

– Dobrze, Tereniu, będę cię już zawsze tak nazywał.

To „Tereniu” bardzo się mojej znajomej podobało. Zdradziła mi, że w domu mówią na nią „Tréza”. W kaszubskim to nawet ładnie brzmi.

Dowiedziałem się, że jej rana szybko się goi, że już może pomagać siostrze w pielęgnowaniu chorych. Zawód pielęgniarki jej się podoba i chyba ten zawód po skończonej wojnie wybierze na stałe. Chciała wiedzieć, jak doszło do tego, że zostałem „wojskowym” sanitariuszem w harcerskim mundurze.

Dobrze nam było gwarzyć, przyglądać się sobie, uśmiechać do siebie, ale na dłuższą pogawędkę nie pozwalały obowiązki. Przed rozstaniem Terenia poprosiła, abym przy okazji wstąpił do niej do szpitala. Obiecałem.

Następny dzień, to jest 22 września minął na Półwyspie Helskim bez większych wydarzeń. Moi opiekunowie, marynarze, okazali się znakomitymi kompanami. Nie znaczy to wcale, że zaniechali humorystyczno-kpiarskiego stylu odnoszenia się do mnie. Ale za tym ciętym językiem kryło się wiele serca i troski o mnie, kaszubskiego wyrostka.

– No co, mały! – powiedział starszy sanitariusz, nudząc się najwyraźniej. – Pójdziemy zobaczyć, co dzieje się w porcie?

A ja na to, jak na lato. Zawsze byłem skory do wędrówek, do poznawania czegoś nowego. Zresztą sam się nudziłem, gdy panował spokój na Półwyspie Helskim.

– A no, pójdziemy, panie szefie.

To „panie szefie” schlebiali mojemu przełożonemu, choć początkowo protestował przeciwko takiemu oficjalnemu tytułowaniu. Ale mnie – tak pomyślałem – nie wypadalo nazywać go tak, jak sobie życzył, Patem.

Spód baterii cyplovej, owych czterech dział największego kalibru na Półwyspie Helskim, wyruszyliśmy na północ. Za terenem baterii stała wysoka sylwetka cyplovej latami

morskiej. W otoczeniu wielu lejów i wyrw, kikutów drzew i ruin, robiła wrażenie niepokonanej. Jakby kpiła sobie z tego wszystkiego, co niesie ze sobą wojna.

Po lewej ręce rozciągał się wystrzępiony bombami i pociskami brzeg morza, a po prawej osada rybacka Hel ze swoimi zgłiszczami i ruinami, na pozór niby wymarła, ale tętniła swym wojennym życiem. Tak to już jest, że tam, gdzie znajduje się człowiek, nie może zabraknąć przejawów życia. Czas względnego spokoju wykorzystywano na szybkie leczenie ran zadanych osadzie przez wiele dni oblężenia i ataków z wody, powietrza i lądu.

Przed nami był port rybacki, uszkodzone falochrony, nabrzeża, pomosty i inne urządzenia portowe. Niemile wrażenie zrobiły na mnie wraki zatopionych okrętów i statków.

– Ten większy szkielet po pięknym okręcie to kanonierka „Generał Haller” – wskazał Pat na przechylony na bok wrak okrętu, który oglądałem w swej krasie podczas wycieczek szkolnych do Gdyni. – Kanonierka została zatopiona 3 września podczas falowych nalołów bombowców niemieckich na zgrupowanie polskiej floty – objaśnił mój przewodnik po porcie.

W samym porcie wojennym zaobserwowaliśmy podobne spustoszenia i większe cmentarzysko różnych wraków. Leżały pochylone na burty, niektóre ledwie widoczne nad powierzchnią wody, potraskane, zupełnie nieużyteczne. Z większości zdjęto nieuszkodzone karabiny maszynowe i działa, które wykorzystano do lądowej obrony mierzei, zwanej Rejonem Umocnionym Hel.

– Z tym rejonem umocnionym to wielka przesada – zauważył mój przewodnik-marynarz. – Tych umocnień jest tu skromniutko, prawie ich nie widać – dodał.

Już wcześniej zaobserwowałem, że i tu na Helu jest wielka improwizacja, która posłużyła do propagandy o mocarstwowości naszego kraju i o sile naszej armii.

Patrzyliśmy długo na to złomowisko, na te zniszczenia wokół. W końcu marynarz odezwał się z akcentem nienawiści w głosie:

– Tak urządził naszą flotę, hitlerowskie psubraty. Plakać się chce. Popatrz, tam w basenie leżą stawiacz min „Gryf”, niszczyciel „Wicher”, trałowiec „Mewa”. Dalej jeszcze inne rozbite jednostki, a w wejściu do portu leży na burcie „Smok”. To wszystko plon nalołów Luftwaffe. Nie dali rady jednostkami Kriegsmarine, zrąbali bombami.

Nazwa „Smok” przypomniła mi moje kontakty ze „Smokami” na szynach, z sympatycznymi kolejarzami, żołnierzami i marynarzami tam, jak mówią rybacy, na lądzie. Oni albo już nie żyją, albo poszli na tułaczkę pod obce panowanie. A co się stało z moimi przyjaciółmi? Najbardziej tęskniłem za kuzynem Zygusem.

Oj, wojno, wojno, jakaż ty niewdzięczna. Rozdzielasz rodziny, kolegów, przyjaciół, zkochanych. Każdemu szykujesz zły los.

Po obiedzie mieliśmy wyjazd do jednej z baterii nadbrzeżnych, położonej od strony Wielkiego Morza, czyli otwartego Bałtyku. Zachorował na zapalenie woreczka żółciowego jeden z artylerzystów i należało go przewieźć do szpitala dla wykonania niezbędnego zabiegu.

W szpitalu znowu spotkałem Terenię. Ucieszyła się na mój widok. Prosiła mnie, aby przy ewentualnym wyjeździe do Kuźnicy pozdrowić od niej jej rodziców. Na pożegnanie uścięła mi mocno dłoń i powiedziała:

– Kochany Radku, spełnij moją prośbę?

Słowa „kochany Radku” towarzyszyły mi do końca pobytu na Półwyspie Helskim. Radowały mnie w najtrudniejszych dniach, w chwilach zwątpienia, podczas najgorszych depresji, wówczas gdy życie stawało się ciężarem nie do zniesienia.

– Wstawaj, mały! Szykuj się do drogi.

Zerwałem się na równe nogi i wdziałem wierzchnie ubranie, bo tylko to wolno było zdejmować na noc. Kiedy wyskoczyłem z ziemianki, przywitały mnie promienie rannego słońca, które zawisło już na znacznej wysokości nad szafirowo-matową tonią wód spokojnego Bałtyku. Przymrużyłem oczy, zarzuciłem karabinek na ramię do pobiegłem do sanitarki. Nasz kierowca uruchomił już silnik. Warczał radośnie, parskał jak koń przed drogą.

Opuszczamy Hel. Jedziemy wyboistą drogą w kierunku Jastarni. Miejscami droga jest tak fatalna, że można stracić zęby i nadgryźć język. Kierowca szkaluje w stylu marynar-skim, a nasz szef zlorzeczy dowództwu Rejonu Umocnionego Hel.

– Wielka mi twierdza. Tyle się o niej mówiło, a nawet porządnej drogi nie zbudowano.

– Ale tę drogę zrujnowały bomby – sprzeciwiłem się mojemu przełożonemu.

Mijamy Bór, Juratę, przejeżdżamy przez Jastarnię. Wszędzie obserwujemy spustoszenie. Przygnębienie zawisło nad ludźmi, zarówno nad mieszkańcami cywilnymi, jak i nad wojskiem. Napotkani żołnierze, szczególnie ci starsi z rezerwy, mają minorowe miny, z troskane oblicza, mglisty wzrok, słowem są zmęczeni i zrezygnowani.

Za Jastarnią zatrzymano nas na posterunku wojskowym. Kontrola dokumentów. W tym miejscu znajduje się główna pozycja obronna półwyspu od strony łądu. Na drodze ustawiono zapory przeciwczołgowe, zostawiając tylko wąski przejazd. Ziemia została zryta gęstą siecią okopów. W pewnej odległości od drogi widać zamaskowane kopuły betonowych schronów bojowych.

Jedziemy dalej. Mierzeja staje się coraz węższa. Miejscami prześwita przez sosny morze z jednej i drugiej strony. Przed Kuźnicą znajduje się pozycja opóźniania ewentualnego ataku wroga od strony Władysławowa. Tu nas nie zatrzymują, bo Patachon macha chorągiewką z czerwonym krzyżem. Znają już karetkę, która tyle razy tędy przejeżdżała.

– Masz ci los. Tu, choć to strefa przyfrontowa, ludzie sobie chodzą, jakby nigdy nic – zauważył nasz szef, gdy wjechaliśmy do rybackiej wsi Kuźnica.

Gdzieś przed Chałupami zatrzymujemy się. Biała chorągiewka z czerwonym krzyżem i czerwona strzałka wskazują nam znajdujący się w pobliżu punkt opatrunkowy. Zabieramy nosze i idziemy dróżką w las. Z ziemianki zabieramy rannego żołnierza z Baonu Obrony Narodowej „Hel”. Ma groźny postrzał przez klatkę piersiową opodal lewego barku. Kolejny wojak ma zranione odłamkiem udo, a rybak lewą rękę.

Wracamy. Spokój, jaki tu panuje, nie zapowiada nic dobrego. Czyżby to była cisza przed burzą? Jesteśmy już niedaleko Kuźnicy. Proszę sanitariusza Wiktora, żeby pozwolił zatrzymać się na chwilę w wiosce, bowiem chciałem spełnić prośbę Tereni i przekazać pozdrowienia jej rodzicom. W tym momencie zaczęło się. Warkot silnika samochodu został zagłuszony potężnym świstem przelatujących tuż nad czubkami drzew samolotów. Było ich wiele. Ledwie zdążyłem pomyśleć, dokąd one lecą, a już miałem odpowiedź. Powietrzem wstrząsnęła cała seria detonacji. A więc Kuźnica!

Samochód zatrzymał się na skraju lasu pod osłoną dość gęstych drzew. Wyskoczyłem jak i inni z sanitarki i odruchowo zacząłem strzelać do przelatujących nad nami kolejnych kluczyc samolotów.

– Daj spokój – krzyknął szef, aby przegłuszyć niebyswały tumult, wywołany bombardowaniem – bo i tak nie trafisz. Nie marnuj amunicji i lepiej ukryj się w bezpiecznym miejscu.

Atak był tak gwałtowny, zaskoczenie w wiosce tak silne, że wielu mieszkańców nie zdążyło skryć się w schronach lub piwnicach. Wielu szukało ocalenia w przyległych do wsi lasach. Bomby burzące siały spustoszenie w samej wsi, niszczyły domy i inne zabudowania. Bomby zapalające wzniciły wiele pożarów. Paliło się też miejscami podszycie

wysuszonego lasu. Do ludzi we wsi, na polanie i nawet w lesie piraci Luftwaffe strzelali z karabinów maszynowych.

W Kuźnicy i w jej pobliżu nie było żadnego wojska, żadnej obrony przeciwlotniczej.

– By ich pokręciło na tabakę, by w piekle nie mieli miejsca – złościł się kierowca. – Uf, połamałbym im gnaty!

– Mordercy z piekła rodem, barbarzyńcy bez serca i sumienia – wtórował mu drugi marynarz.

Przyglądałem się tej masakrze bez słowa. Myślałem tylko o jednym, czy rodzice Tereni uratują się, czy przeżyją to piekło na ziemi? Chciałbym wyskoczyć z ukrycia na polanę i tak długo krzyczeć do ludzi w kabinach samolotów, że tu nie ma wojska, że mordują dzieci, kobiety, starców, aż wreszcie usłyszeli by mój głos i zaprzestali morderstwa. Naloty potwarzały się, aż wreszcie ostatnie samoloty znikły na horyzoncie. Odlecieli uśmiechnięci, zadowoleni – tak mi się zdawało – z niechlubnego czynu, jakiego dokonali na tej rybackiej osadzie. Opowiadali zapewne swoim kolegom, przełożonym, dziennikarzom o swym „sukcesie”. Ale nie powiedzieli na pewno, że w Kuźnicy nie było wojska, że zrzucali bomby na rybackie chęcze, że strzelali do dzieci, kobiet i starców.

Szukałem domu rybaka Budzisz. Zamiast domu zastałem jedno wielkie rumowisko. Został, jak trzydzieści innych, rozbity i wgnieciony w ziemię. Co stało się z jego mieszkającymi? Gdzie się podziali? Nie wiem i od nikogo się nie dowiedziałem.

Zajęliśmy się ratowaniem rannych. Z pomocą przybiegli sanitariusze z punktów opatrunkowych. Było wielu poważnie okaleczonych, w tym wiele dzieci. Niektórym można było uratować życie tylko natychmiastową operacją. Tych załadowaliśmy najpierw do sanitarki. Było ich tylu, że resory się ugiwały. Nasz kierowca dokonywał cudów, by nas jakoś szczęśliwie dowieźć do szpitala. Niestety, jednego z nich pozostawiliśmy w przykościelnej kostnicy w Jastarni.

Tereni nie powiedziałem prawdy. Zabrakło mi odwagi. Moja relacja z odwiedzin u jej rodziców była rwana, krótka, zbyt krótka, by mogła wydawać się prawdziwą. Dziewczyna nie wierzyła moim słowom. Widziałem to. Chyba przypuszczała, że nie byłem w jej zagrodzie rodzinnej. Najwyraźniej zmartwiona odeszła. Byłem też zakłopotany i niezadowolony z siebie. Długo chodziłem z wyrzutami sumienia, z niepewnością, czy dobrze zrobiłem, nie mówiąc jej prawdy?

A na cyplu też było piekło. Okręty liniowe „Schleswig-Holstein” i „Schlesien” przez wiele godzin ostrzeliwały Hel. Nie próżnowały też inne okręty wroga. Tym razem znowu ucierpiało samo osiedle, mniej placówki wojskowe.

Tego dnia praca w szpitalu przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Czwórka lekarzy, siostry i pielęgniarki opadali z sił. Na szczęście – jak określa to siostra Maria – był znaczny zapas kawy. Zostałem zaangażowany do jej parzenia i roznoszenia.

Dzień następny przeszedł dość spokojnie i bez większych zdarzeń, przynajmniej na moim odcinku. Jeszcze raz rozmawiałem z Terenią, ale nasze kontakty stawały się coraz bardziej oficjalne. Między nami legło kłamstwo, o ile to w ogóle kłamstwem można nazwać. Ona i ja cierpieliśmy z tego powodu.

Następnego dnia rano padał deszcz, pierwszy deszcz od wielu tygodni. Powietrze jakby straciło swą morską ostrość. Z przyjemnością wciągało się je do płuc. Hel zmienił swe dotychczasowe oblicze. Wydawać by się mogło, że stał się przytulniejszy, taki swojski, zamknięty w sobie. Widoczność zmalała do tego stopnia, że oprócz skrawka wody wokół półwyspu, nie widziało się nic innego.

Na całej mierzei zaostrzono czujność. Wystawiono dodatkowe posterunki przeciwde-

santowe. Zwiększono liczbę punktów karabinów maszynowych. Artylerzyści w powiększonym składzie czuwali przy swoich armatach.

Tego dnia pracowałem z moimi opiekunami przy likwidacji zniszczeń wokół szpitala. Unikałem spotkania z Terenią, choć chciałem ją zobaczyć. Następnie zajęliśmy się uporządkowaniem naszej placówki przy stanowisku obok arterii cyfłowej.

Od rana 25 września utrzymywały się przelotne deszcze. Prawie do godzin przedpołudniowych byłem zatrudniony w szpitalu. Niektóre pomieszczenia gospodarcze i gabinety zamieniono na sale dla chorych. Robił się niebывały tłok. Resztę nocy i rano spędziłem w piwnicy jednego z domów w sąsiedztwie szpitala. Przed godziną dziesiątą zarządzono alarm. Pobiegłem na naszą pozycję przy baterii cyfłowej.

– No, wnet znacznie się koncert, bo pancerniki w towarzystwie trałowców, ścigaczy oraz kilku torpedowców opuściły Gdańsk i płyną w kierunku Gdyni – Taką informację przekazał nam szef z baterii imienia Laskowskiego.

– To dziwne – zauważył Patachon. – Od dłuższego czasu fryce z Kriegsmarine niepokoją nas regularnie co drugi dzień.

– Pewnie jednego dnia przygotowują amunicję, a drugiego strzelają – dodałem niedorzecznie.

Tymczasem wypogodziło się zupełnie. Wiatr od łądu popędził chmury gdzieś pod Szwecję, a słońce splukane rannym kapuśniaczkiem uśmiechało się najwyraźniej do obrońców Helu, choć ci nie mieli ochoty do śmiechu.

– Nawet pogoda Szwabom sprzyja – zauważył nasz kierowca.

Punktualnie o godzinie dziesiątej zaobserwowaliśmy mniej więcej na trawersie Redłowa błyski ognia na pierwszym z pancerników. Nasza bateria odpowiedziała natychmiast tak, że pierwsze pociski spotkały się w powietrzu.

– Do dziury! – krzyknął Pat, choć sam został na murze.

Niebawem i on wpadł do ziemianki. Po drodze zdążył przynieść z samochodu nieodłączne karty. Rozpoczęła się gra w oczko, której z zainteresowaniem kibicowałem. Gdy pociski padały zbyt blisko, przerywano ją, by po chwili, po otrząśnięciu opadłej z stropu ziemi, podjąć grę na nowo. Grano tak z wieloma przerwami godzinę, a może i mniej. Nikt czasu nie liczył.

– Chłopcy, do dzieła! – zarządził Pat po zaprzestaniu ostrzału.

Tym razem straty i uszkodzenia na baterii okazały się poważniejsze. Unieruchomione zostały działa numer 1 i 3, uszkodzony dalmierz, a dalmierzysta został zabity. Przed śmiercią z jego ust – jak mówili artylerzyści – padły słowa:

– Niech żyje Polska!

Po tym okrzyku wielkiej wiary, nadziei i miłości do ziemi rodzinnej, do Ojczyzny, jego usta zastygły w grymasie konania.

Betonowe osłony dział w kilku miejscach zostały zburzone, metalowe powyginane, kable poprzerywane. Straty były jednak niewspółmierne do ilości pocisków skierowanych przez pancerniki na baterię. Naliczono prawie pół tysiąca lejów i jedenaście niewypałów pocisków dużego kalibru, tych dwieście osiemdziesiątek. Oprócz dalmierzysty poległo dwóch dalszych marynarzy. Ciężko rannych było pięciu, lżej tyleż samo, w tym dowódca baterii, kapitan marynarki Przybyszewski, który nie pozwolił zabrać się do szpitala. W godzinach popołudniowych zgłosił się sam na opatrunek.

– To bëła prówdżewó komedijó, jistny sądny dzén – relacjonował mi ranny marynarz Konke, którego prowadziłem do szpitala. – Co më jich pržekřelě, to oni puszczałě dółę, twórze parszėwé. Mielě strach, že jima rozbijemě te jich pudła.

Chodziło o to, iż w przypadku uzyskania przez helskich artylerzystów nakrycia na jednym z pancerników ścigacz idący przodem rozpoczął wytwarzanie zasłony dymnej. Wówczas ogień kierowano na drugi, a gdy na nim uzyskano nakrycie, to i on znalazł się w zasłonie dymnej. I tak kilka razy przenoszono ogień z jednego pancernika na drugi, aż oba znalazły się we mgle i wycofały do portu.

W szpitalu dowiaduję się, że Niemcy przeprowadzili dziś nalot na rybacką wieś Chałupy. Widocznie chodzi im o to, aby sterroryzować ludność cywilną i złamać zapał bojowy obrońców Helu.

W następnym dniu leczyłem katar, który złapałam wczoraj. Podczas przeprowadzania naszego samochodu przez leje wpadłem do jednego z nich.

Wieczorem nadeszła na Hel smutna i przygnębiająca wiadomość. Warszawa skapitulowała. Przybiło to wszystkich.

– A więc to już koniec – zawyrokował Patachon.

– Dla Polski nie ma ratunku – dodał Pat.

– A tak liczyliśmy na Francuzów i Anglików – podsumowałem nasze rozgoryczenie.

Zaczyna w nas kielkować uczucie beznadziejności. W kraju całkowita klęska, u nas z każdym dniem gorzej. Zwątpienie przygniata nas powoli, skutecznie. Wyzbywamy się i my powoli nadziei. Jednak musimy wytrwać. Chodzi przecież o honor polskiego żołnierza.

29 września od rana znowu słonecznie i ciepło. Przynajmniej pogoda jest dla nas łaskawa. Wyżywienie coraz skromniejsze. Nasze żołądki nie zawsze są pełne. Krążą pogłoski, że ludność cywilna i rezerwiści buntują się. Domagają się zaprzestania beznadziejnej walki, niepotrzebnego przelewu krwi. W imię czego mają tu jako jedyni w kraju na tym samotnym półwyspie trwać? Takie stanowisko oburza, ale równocześnie staje się zrozumiałe i sączy w nas podobne zwątpienie.

Powoli na Półwyspie Helskim nastaje trzydziesty świt hitlerowskiej agresji. W ciszę świtu wdziera się warkot samolotu. Nasza obrona przeciwlotnicza milczy z dwóch powodów: po pierwsze kończy się amunicja, po drugie odległość jest zbyt wielka, by trafić intruza. A on kołuje i zrzuca coś większego od normalnej bomby. Jeden ładunek, drugi, trzeci...

– Chodźcie zobaczyć! – wywołuję swoich towarzyszy wojennej niedoli z „sypialni”.

Wyskakują z ziemianki i patrząc, niedowierzają swoim oczom. W pewnym momencie pakunki rozrywają się, a z nich wysypuje się masa białych kartek, które jak rozigrane stadko białych gołębi baraszkują w powietrzu i powoli opadają na ziemię.

– Ulotki! To są ulotki! – wykrzykuje jeden z marynarzy.

– Psubraty, chcą nas zgnębić do reszty. Naigrawają się z nas.

Ulotki były adresowane specjalnie do nas, obrońców Helu. Na wstępie była informacja, że wszystkie polskie punkty oporu zostały złamane, że zwycięskie wojska niemieckie przywracają wszędzie spokój i nowy ład, zakładają nową administrację, niosą wszystkim dobrobyt i sprawiedliwość.

– Znaleźli się orędownicy sprawiedliwości i dobrobytu! – nie wytrzymał nasz kierowca.

– Raj będą zakładać w Polsce, widzicie tych sprawiedliwych – szydził szef naszej grupy sanitarnej.

Dalej ulotka radzi, by zaprzestać bezsensownego oporu i niepotrzebnego rozlewu krwi.

– Chytrze zakończyli. Widzicie ich. Nie mogą nas zdławić orężem, więc próbują dyplomacją, niecną propagandą, papierkami – stwierdził Pat.

– Wasze niedoczekanie! – podsumował całą sprawę Patachon.

Wezwano nas do byłego szpitala w szkole. Pozostał tu tylko punkt sanitarny, a właściwy szpital przeniesiono na skutek uszkodzeń budynku i ciasnoty do ocalałej willi w Juracie. Ze szkoły skierowano naszą ekipę najpierw do Juraty, a następnie na lądową linię oporu w rejonie Chałup, ponieważ tam wróg koncentrował swoje siły lądowe i przystąpił do gwałtownego natarcia.

Bez większych przeszkód dotarliśmy do Kuźnicy. Za zniszczoną wsią, na skraju lasu dostaliśmy się pod silny ostrzał artyleryjski. Były nieprzyjacielskie działa spod Pucka, Swarzewa, Wielkiej Wsi Hallerowa i artyleria z okrętów znajdujących się na Zatoce Puckiej. Pociski wybuchały na drodze, na torach kolejowych, w lesie, na całej szerokości mierzwi. Ryły ziemię, przewracały okaleczone drzewa. Niektóre pociski wpadały w morze, wzbijając potężne gejzery wody pomieszanej z piaskiem. Kanonada trwała kilkanaście minut. Następnie nawałnica została przeniesiona dalej w kierunku Chałup. Wskakujemy do naszego pojazdu, który jakimś cudem nie został tknięty, i jedziemy dalej. Milczymy. Wszyscy są wsłuchani w ciągły ryk dział i eksplozje przed nami.

Zatrzymujemy się przed punktem sanitarnym. Tam zastajemy ponad dziesięciu rannych. Zabieramy sześciu najciężej poszkodowanych. Reszta musi poczekać. Tym, którzy mają zdrowe nogi, radzimy iść pieszo w kierunku Jastarni.

W drodze powrotnej znowu dostajemy się pod silny ostrzał artyleryjski. Zatrzymujemy się w lesie. Z sanitariuszem Wiktorem pozostajemy w wozie pomiędzy rannymi, by poprawić opatrunki, ułożyć ich możliwie wygodnie i pocieszyć. Kierowca Leon pozostał w szoferce.

– Pach!!!

Granat uderzył tuż przed samochodem. Wóz zadygotał, poruszył się gwałtownie, podmuch wybuchu rzucił mnie na rannych. Odlamki granatu zdruzgotały nie tylko przednią szybę w szoferce, ale również maskę silnika. Szkody zobaczyłem dopiero wtedy, gdy nawałnica artyleryjska przesunęła się z powrotem w stronę Chałup.

– Masz ci los – lamentuje sanitariusz Pat i wyciąga z kabiny rannego kierowcę.

Przybył nam ranny, ale nie w tym największa tragedia. Gorszy jest fakt, że zostaliśmy pozbawieni kierowcy. Okazało się, że obie ręce Leona są naszpikowane mnóstwem drobnego żelastwa.

Co teraz pocniemy?

Zabrałem się do bandażowania rannego kolegi. Ogarnął mnie dziwny lęk, wgrzyzało się we mnie jakieś złe przeczucie.

– Spróbuję – wskakując do szoferki, rzekł Pat. – Prowadziłem kiedyś samochód.

Okazało się jednak, że nic z tego nie będzie, bo i silnik został porządnie poharatany. Stoimy w środku lasu zmartwieni i zrezygnowani. Sanitariusz Wiktor pognął do Kuźnicy, by odnaleźć tam jakiś telefon i zawiadomić służbę sanitarną o naszej przykryj przygodzie.

Krzątam się wśród rannych i nadsłuchuję. Łoskot jakby znów się nasilał, potężniał, przybliżał. A Pat nie wraca. Podgrzewam na kuchence spirytusowej herbatę, bo od morza szedł ziąb. Rozdzielam moim podopiecznym, niektórym podaję tabletki przeciwbólowe. Pociski padają coraz bliżej. A Pat nie wraca.

Gdy kanonada przycichła, a ogień artyleryjski przenosi się w stronę Jastarni, wyraźnie słychać rechot karabinów maszynowych. Po pewnym czasie dochodzą nas strzały karabinowe, po prostu zwykła strzelanina piechoty. Front zbliża się niezaprzeczalnie. A mój przełożony wciąż nie wraca.

– Widocznie nasza obrona pod Chałupami została przełamana – zauważył jeden z rannych podoficerów.

Jakby na potwierdzenie tych słów nadbiegają od strony nasady półwyspu żołnierze piechoty. Widać, że są niebывale zmęczeni, zarazem wybrudzeni i obszarpani. Niosą niedbale karabiny, bo nie mają amunicji. Zatrzymali się przy naszym samochodzie.

– Uciekajcie – radził jeden.

– Niemcy depczą nam po piętach – wykrzyknął inny.

– Wycofujemy się na kolejną linię oporu – poinformował mnie jakiś podoficer.

– Nie mamy czym strzelać! – z rezygnacją i smutkiem oznajmił kolejny żołnierz.

Uciekajcie, uciekajcie..., ale jak? Żaden ranny nie może chodzić. Innego pojazdu nie widać. Dowódca naszej grupy nie wrócił. Co robić?

A co tyczy się amunicji, to myśmy naszych wojaków trochę poratowali. Ja oddałem im część swojej, kierowca Leon swoją, a kilku rannych wyškrobało, nie wiem skąd jakieś niewielkie zapasy naboí. Zaraz wstał w nich inny duch. Żołnierz na froncie bez amunicji to tak, jak kosiarz bez kosy.

Tymczasem nadbiegli kolejni żołnierze. Wzrastał zgiełk, strzelanina, zamęt. Dochodziły nas już ryki Niemców. W tej wrzawie skinął na mnie nasz kochany dragal przewany Patachonem. Wlepił we mnie swój stanowczy wzrok i tonem rozkazującym powiedział:

– Natychmiast uciekaj razem z żołnierzami!

– Ale ja nie mogę opuścić rannych – oponowałem.

– Ja tu ciebie zastąpię. Rozumiesz! Mam pisane tu pozostać, ale ty masz obowiązek ratować się. Jesteś potrzebny tam w Juracie.

Nie miałem wyjścia. Musiałem usłuchać przełożonego tym bardziej, że kierowca Leon uprosił sierżanta z kompanii KOP, by zabrał mnie ze sobą. Rzuciłem się w ramiona w chwili rozstania drogiemu towarzyszewi w marynarskim mundurze i ponaglany, żegnając się kiwnięciem ręki z pozostałymi rannymi, popędziłem z piechurami w stronę Kuźnicy. A czas był najwyższy, bo Niemcy się zbliżali.

Biegłem razem z wycofującymi się wojskami, a od czasu do czasu, gdy nieprzyjacielscy żołnierze zbliżali się na niebezpieczną odległość, strzelałem do nich trochę na chybił trafił, aż do wyczerpania naboí.

Jak się z tej bezładnej bieraniny cało wydostałem, sam nie wiem. Znalazłem się wraz z innymi na przygotowanej zawczasu pozycji pośredniej, częściowo obsadzonej przez świeże jednostki piechoty. Niemcy masowo, dużymi grupami, bardzo zajadle nacierali. Zdawać by się mogło, że zaleją nasze nowe okopy i stanowiska, że nas rozniosą w tym rozpedzie. Obronę utrudniał brak granatów ręcznych i amunicji.

Wtedy stała się dla mnie rzecz nieoczekiwana. Nastąpił tak gwałtowny wybuch, taki piekielny huk, że ogłuchłem na dość długo i do dnia dzisiejszego nie mam normalnego słuchu. Strumień gorącego powietrza – tak mi się przynajmniej zdawało – wcisnął mnie pod jakiś konar zwalonej sosny. To wysadzona została – jak się później dowiedziałem – zapora sporządzona z głowic torpedowych. Dziesięć ton materiału wybuchowego zastopowało niemieckie natarcie, pogrzebało setki nacierających w helskim piachu. Powstały głębokie i rozległe wyrwy, które natychmiast zalała woda. Hel stał się po prostu wyspą.

Po kilku godzinach jakoś oprzytomniałem, pozbierałem się i wtedy obecny przełożony, sierżant z dziesiątej kompanii KOP polecił mi, abym natychmiast udał się do szpitala w Juracie i tam złożył raport o losach sanitarki i sanitariuszach. Gdy ociągałem się i ujawniłem swą wolę pozostania na pierwszej linii, dość niegrzecznie skwitował, jak sądziłem, szlachetne zamiary:

– Tu nam dzieciaki w harcerskich mundurach nie są potrzebne. Proszę wykonać rozkaz.

Cóż mogłem zrobić? Rozkaz, to rozkaz.

Powlokłem się w kierunku, jaki mi wskazano. Było mi jakoś nieswojo. Pomimo wszystko nie czułem się w porządku, że opuściłem tam w lesie pod Kuźnicą powierzonych mi rannych. Do szpitala dotarłem w dniu, kiedy doszła tam informacja o zamierzonej kapitulacji ostatniej reduty na północnych rubieżach Rzeczypospolitej. Wywołało to ogólny protest. Żołnierze na półwyspie chcieli jeszcze trwać.

– Co? Tak bez walki oddać się w ręce nieprzyjaciela?

Wieczorem zawiadomiono załogę Rejonu Umocnionego Hel o przyjętych warunkach kapitulacji. Spontaniczny sprzeciw wywołał zakaz niszczenia broni i sprzętu wojskowego. Tej nocy chyba nikt nie spał. Wszędzie naokoło słychać było stukot rozbijanej broni. Akcja niszczenia i topienia broni i sprzętu wojskowego trwała całą noc. Wszystkim obrońcom wypłacono żołd za październik i następne trzy miesiące, a rezerwistom dodatek połowy. Ale czy wszystkim? Kierownictwo szpitala polowego Marynarki Wojennej numer 3 miało wątpliwości, do jakiej zaliczyć mnie kategorii. Żołnierzem nie byłem. Pozycji ochotnik nie było w przepisach. Umowy o pracę nie miałem. W końcu potraktowano mnie jako pracownika obsługi szpitala i wypłacono zarobek według stawek pracownika fizycznego za wrzesień i październik.

Nie zrobiła na nas już większego wrażenia wiadomość, że po zawieszeniu broni zatonał od miny postawionej przez nasz okręt podwodny „Żbik” trałowiec Kriegsmarine.

Jeden z lekarzy poradził mi, abym zamienił swój mundur harcnerski na ubranie cywilne, jakich tu na mierzei walało się sporo. Przy tym nie chodziło tu wcale o to, żebym poprawił swój wygląd zewnętrzny, mundurek był bowiem poważnie zniszczony, ale o to, by jako cywil uniknąć niewoli niemieckiej. Ta propozycja oburzyła mnie dogłębnie.

Jak to? Ja, który walczę od niemal pierwszych godzin wojny, ja, który w tym mundurze przeszedłem szlak bojowy od Kartuz po Hel, teraz mam go zrzucić, jak coś nieważnego, coś niepotrzebnego, zbędnego? Ten mundur na tej drodze walki był moją chlubą, a teraz mam go zdjąć? Niech mnie zatłuką w tym mundurze, ale go nie splamię. Honor mi na to nie pozwala i basta!

Siedzę sobie na swym niewielkim tobołku przed szpitalem, naciągam obie opaski, jakie zdobyłem na tej wojnie, na oba rękawy: czerwoną na lewy, białą z czerwonokrzymskim znakiem na prawy i... było mi bardzo smutno. Zateśniło mi się za domem, za rodziną, za Zygusem i wujostwem z Gdańska. Było mi też smutno z powodu Tereni.

Teraz czeka mnie nieznany los, los owego przysłowiowego Żyda tulacza, jeńca zdanego na łaskę i niełaskę zwycięzców. A tak byliśmy pewni, że powstrzymamy hitlerowskiego agresora i nie dopuścimy do naszego domu. Przyświecało nam rzucone przez rządzących hasło: – Guzika nie oddamy!

Zerwałem się na równe nogi, bo ktoś od tyłu położył mi ręce na ramionach.

– Ach, to ty!

– To ja. Przyszłam się pożegnać, bo idę do mojej cioci do Jastarni. Znam całą ukrywającą przez ciebie prawdę o moich rodzicach. Dom się zawalił, ale oni żyją. Byli w czasie nalotu w Jastarni. Wiem, że nie chciałeś mnie martwić. Jesteś dobry.

Tak szczebiocząc przytuliła się do mnie, a mnie spadł ciężar z serca. Stało mi się bardzo, bardzo błogo.

– Kochana Tereniu, dobrze żeś przyszła. Myślałem, że gniewałaś się na mnie, że o mnie przestałaś myśleć.

Lekko pocałowała mnie w policzek, uśmiechnęła się przemile i powiedziała znamienne słowa:

– Do zobaczenia w wolnej Polsce!

Bławe morze, nasze szmaragdowe i piękne, które wiele razy oglądaliśmy po obu brzegach Półwyspu Helskiego, cudownie odbiło się w jej pięknych źrenicach. Jeszcze jeden uśmiech i znikła za drzwiami jak cudowna zjawia.

Rozdział 7

Niewola

W godzinach przedpołudniowych ostatniego dnia pobytu na Półwyspie Helskim niespodziewanie zjawił się w Juracie człowiek, którego uważałem za zaginionego, mianowicie starszy sanitariusz Wiktor Ceynowa, zwany Patem. Przyjechał starą sanitarką, ale inną niż poprzednia.

– Szukałem ciebie i wreszcie znalazłem – powiedział po przywitaniu. – Pojedziesz ze mną do Jastarni. Nie podlegamy już szpitalowi, lecz dowódcy jednostek artyleryjskich, komandorowi Kukielce.

Ucieszyłem się bardzo, bo w szpitalu czułem się obco i samotnie. Po odejściu Tereni dobrym kompanem pozostała tylko siostra Maria, ale ona była stale zajęta, przeważnie na sali operacyjnej. Miała zostać z rannymi tu na miejscu.

Już byłem w samochodzie. Jedziemy. Po drodze mijamy grupki żołnierzy, którzy nie śpiesząc się, maszerują w kierunku Jastarni.

– Widzisz to bractwo? – zagadnął Pat. – Prawdziwe dziady kalwaryjskie okupujące góry podczas odpustów wejherowskich.

– Widzę. Ale żal mi tych wymęczonych wojaków.

– Jeszcze nie są w niewoli, a wyglądają jak jeńcy – dodał Pat.

Jest mi nieswojo. Współczuję tym biedakom, choć my jesteśmy do nich podobni. Wszystkie nadzieje pryskają jak bańka mydlana. Są to przeważnie rezerwiści i każdy z nich ma rodzinę: żonę, dzieci i zwykle jeszcze starków na utrzymaniu. Przypomina mi się piosenka „Oj, bieda, bieda...”

Mierzeja Helska przedstawiała jedno wielkie pogorzelisko, ziemię wyjętą spod opieki

bożej, zapomnianą przez wszystkich. Dzielni wojacy odpierali dniem i nocą, przez długie trzydzieści jeden dni, potężne uderzenia z lądu, morza i powietrza uzbrojonego po zęby wroga. Trwali z uporem i nadzieją. O słabych jednak nikt nie pamięta.

Niezwykłych umiejętności wymagała jazda samochodem po tym rozrytym cmentarzysku. Ileż ton stali potrzebował wróg, by tak przeorać tę ziemię. Pat dawał sobie jakoś radę. Kilka razy musieliśmy wysiadać i przepychać naszą sanitarkę przez najgorsze miejsca.

– No, jesteśmy na miejscu – powiedział marynarz, podjeżdżając pod jakiś częściowo rozbity magazyn portowy. – Zajechaliśmy w samą porę – dodał po chwili.

W porcie gromadzili się marynarze i żołnierze z różnych jednostek. Wielu miało jeszcze broń, choć obowiązywało już zawieszenie działań bojowych. Tak trudno było się z nią rozstać, bo a nuż przyda się jeszcze. A może Anglicy?... Tę myśl większość dawno już odrzuciła.

Podchodzimy do grupy marynarzy. Pat nawiązuje rozmowę z artylerzystami. Toczy się pomiędzy nimi spór o zestrzelone samoloty Luftwaffe. Jedni twierdzą, że strącono ich nad półwyspem trzydzieści sześć, inni zaś, że trzydzieści osiem. Wiadomo na pewno, że sama bateria porucznika Krzywca strąciła ich aż trzynaście.

Do portu podjeżdżają limuzyny. Z jednej wysiada oficer w stopniu komandora. Marynarze i żołnierze jak na komendę tworzą dwusereg i ustawiają się w kształcie litery „U”. Komandor z grupą niższych oficerów staje w środku półkola. Zwraca się do żołnierzy:

– Przybyłem pożegnać się z wami. Rozdzielają nas. Was powiozą do Pucka, a nas, oficerów sztabowych prawdopodobnie do Gdyni lub nawet Gdańska.

– To jest komandor Kukielka – szepcze mój przyjaciel Pat.

Komandor żegna nas ciepło, serdecznie, ze wzruszeniem. Dziękuje za walkę, za wytrwanie, za hart ducha. Chwali dzielną postawę artylerzystów i wszystkich obrońców Helu. Zarządza minutę ciszy dla uczczenia ponad dwustu bohaterów, którzy oddali życie za Półwysp Helski, za nasze trwanie nad Bałtykiem, za Ojczyznę. Wyraża też współczucie setkom rannych i rodzinom poległych. Podchodzi do każdego z nas i, patrząc po ojcowsku w oczy, ściska nam dłonie.

– A ty, harcerzyku, też wybierasz się do niewoli?

– Tak jest, panie komandorze.

– Walczył z nami, więc ma prawo do niewoli razem ze wszystkimi – powiedział stojący obok mnie druh Pat.

Żołnierze milczą podczas tej rzewnej ceremonii pożegnania, a oczy zahartowanych wilków morskich, starych wojaków szklą się łzami. Niektórzy krztuszą się hamowanym szlochem, jakby byli na pogrzebie bliskiej sobie osoby i stali nad otwartą mogiłą. I wtedy padają ostatnie słowa komandora, słowa proste, żołnierskie:

– Odchodząc do niełatwej niewoli, pamiętajcie, że jesteście Polakami. A Polak ma swój honor i nie traci go nawet w niewoli. Pamiętajcie, że my tu wrócimy!

Po tym pożegnaniu następuje niszczenie pozostałej broni. Pocałowałem swój karabin jak najwierniejszego przyjaciela i wrzuciłem do morskiej toni. Niektórzy przeglądają swoje portfele i niszczą dokumenty, które ich zdaniem nie powinny dostać się w ręce Niemców. Jeszcze inni piszą do swoich rodzin listy, które zostawiają cywilom z prośbą, by wysłali je, gdy to będzie tylko możliwe. Pat wprowadza swoją dryndę w zarośnięty parów położony opodal portu. Po chwili słyszę detonację. Z krzaków unosi się smużka niebieskiego dymu.

– Załatwiłem go. Nie będzie służył Niemcom – powiedział po powrocie Pat.

Po pewnym czasie od strony Pucka do przystani zbliżyły się kutry rybackie, trałowce i

jakaś łódź patrolowa. Na sam widok tych jednostek przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz. A widok flag ze znenawidzoną swastyką przywiódł mi na myśl ową noc sierpniową spędzoną u wujostwa w Gdańsku.

Pierwszy do nabrzeża zawinał trałowiec. Na brzeg wyszli w pełnym rynsztunku niemieccy marynarze. Stoimy wciąż w szyku. Do naszych oficerów podchodzą oficerowie niemieccy. Krótka wymiana zdań. Komandor Kukielka odjeżdża w towarzystwie jakiegoś oficera Kriegsmarine swym samochodem w kierunku Helu. Wyżsi oficerowie idą przekazać butnym oficerom niemieckim ważniejsze objekty na półwyspie.

W międzyczasie podplynęły do nabrzeża kutry zabrane gdańskim rybakom. Oni stanowią załogę. Kazano nam wchodzić na pokłady. Idziemy ociężale, ze spuszczoneymi głowami, ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Nie chcemy patrzeć na tych wypasionych, drwiąco uśmiechających się wielbicieli Hitlera, na przedstawicieli narodu panów, którzy wetknąwszy kciuki za pasy, stoją na szeroko rozstawionych nogach.

Wchodzę z innymi na kuter. Wepchnięto nas na łajbę niebezpiecznie dużo. Odbijamy się od brzegu. Kuter płynie powoli i bardzo ostrożnie, bo sterujący rybak ma świadomość tego, że jest przeciążony. Istnieje też obawa przed minami. Dwóch rybaków z załogi na nasze próby nawiązania z nimi rozmów, macha tylko rękoma, wskazując głowami na Niemców. Widocznie zakazano im prowadzić rozmowę z nami. Obok mnie stoi porucznik marynarki. Zgodnie z warunkami kapitulacji oficerowie polscy zachowali prawo noszenia białej broni w niewoli, więc i on ma przypięty do pasa swój kordzik. Zauważył to jeden z wartowników niemieckich, podchodzi do niego i wyciąga łapę po broń. Podporucznik powoli odpina broń, z determinacją przeciska się do burty i na oczach wszystkich wrzuca swoją szabelkę do morza. Zdębiały Niemiec z głupią miną patrzy cielecym wzrokiem na Polaka, ale nie reaguje.

– Dziwnie układają się losy. Prawie tą samą drogą wracamy na stały ląd – zwierzam się sanitariuszowi.

Ale to już nie ten sam brzeg. Okupanci uczynili go obcym. A przecież to samo słońce złoci liście Puszczy Darżlubskiej, ogrzewa nie zaorane ścierniska i nie naruszone pola ziemniaczane na Kępie Puckiej, zapala fioletem wrzosowiska i krzewy jeżyn na urwistych brzegach pod Osłoninem i Rzucewem z tą tylko różnicą, że nad Puckiem powiewa ta złowieszcza flaga z połamanym krzyżem. I tak swojskie może stać się obce – pomyślałem.

Na morzu czuć już jesienny chłód. Wyciągam z tobołka kolejarską marynarkę i zarzuca ją na ramiona. Ona chroni mnie przed zimnem jak pastusza żuba, wtedy, kiedy pasłem byłoby nad jeziorem Zawiat.

Z portu popędzono nas pod górkę w stronę rynku. Zamknięto w puckiej farze. W kościele było już kilkuset marynarzy i żołnierzy. Stróżujący przy drzwiach Niemcy liczyli nas skrupulatnie. Na mnie patrzyli podejrzliwie. Pytali się nawet o coś, ale ja, nie rozumiejąc ich mowy, tylko wzruszałem ramionami. Zdenerwowani wepchnęli mnie razem z innymi do środka.

W kościele panował półmrok. Zachodzące słońce malowało na witrażach fary kolorowe pejzaże, przemykało złocistymi wiązkami promieni do środka i srebrzyło strzeliste, goetyckie ozdobniki na ołtarzu. Po godzinie słońce zgasło, a ja zdawałem sobie sprawę z tego, że gasną ostatnie promyki wolności.

– Ja nie pójdę do obozu – szepnąłem z determinacją w ucho Patowi. – Ucieknę i już!

Pat spojrział na mnie poważnie. Obejrzał się naokoło i powiedział:

– Wychodzić nie wolno. Verboten! Zaraz schiessen, kaput machen, zabić. Zrozumiano?

– A ja jednak nawieję – z przekorą powiedziałem mojemu opiekunowi.
– Dobrze, ale z moim przyzwoleniem – z naciskiem i troską zarazem odrzekł Pat.
Ścisnąłem go za rękę. Nie spodziewałem się po nim pełnej akceptacji mojego postanowienia.

– Tylko pst... Teraz nawet mury mają uszy – i pogroził mi palcem.

Ogromnie mi się podobało to powiedzenie o murach. Wzięłem je sobie mocno do serca. Chyba ono między innymi pozwoliło mi przetrwać wojnę i okupację do końca.

Współtowarzysze niedoli poukładali się na ławkach, mniej zabobonni na słanych dywanami stopniach ołtarzy, a większość wprost na zimnej podłodze. Za poradą Pata wślizgnąłem się do konfesjonatu, rozścieliłem tam swój kocyk, księżą poduszkę położyłem pod głowę i zasnąłem jak lord w pozycji półsiedzącej. Mój przyjaciel legł opodal na tak zwanej ławie grzeszników i uprzedził mnie w zaśnięciu, o czym świadczyło jego mocne chrapanie.

Zbudziło mnie łomotanie. Ktoś walił pięścią w drzwi i prosił, by mu otworzono, bo musi na ustęp. Po jakimś czasie drzwi skrzypnęły, ktoś jęknął, bo pewnie upadł potrącony gwałtownie otwieranymi drzwiami. Usłyszałem skrzeczący głos Niemca:

– Scheisse du w ambone, verfuchte polnische Schwein! W nocy isć verboten!

No cóż, skoro wyjść verboten, czyli zabronione, to z konieczności ubikację zrobiono w kruchcie. I ja tam byłem, swoją potrzebę załatwiłem, ale dopiero nad ranem.

We wczesnych godzinach rannych 3 października dostarczono nam tylko czarną, niesłodzoną kawę, której nie starczyło dla wszystkich. Posililiśmy się naszymi zapasami z półwyspu, ale wielu ich już nie miało i należało się podzielić z tymi bez zapasów.

Przed siódmą nastąpił wymarsz. Długa, różnobarwna, osowiała kolumna jeńców, silnie strzeżona przez niemieckich piechurów z Wehrmachtu, posuwała się w kierunku Redy. Zwyczajem hitlerowskim ustawiono nas trójkami. Maszerowałem w środku trójki, by nie zwrócić – jak mówił Pat – na siebie uwagi niemieckich strażników. Pędzono nas używając niemieckiego żargonu: los, los! Schneler!! Szliśmy jednak powoli. Nam się nie śpieszyło.

Pierwszy odpoczynek zarządzono w szczerym polu pod Rekowem. Można było zjeść i zapalić papierosa, o ile ktoś go miał.

Potem zalesionymi serpentynami schodzimy z Kępy Puckiej w pradolinę, przez którą przepływa rzeka Reda. Za tą doliną, za wzniesieniami, za lasami, na wielkiej polanie stał mój dom, była moja wieś rodzinna. Myśl o ucieczce nie dawała mi spokoju, a teraz, kiedy pomyślałem o rodzinie, jeszcze bardziej się wzmoęła.

Kolumna niewolników dochodzi do Ciechocina, a stąd już niewielki odcinek drogi i jesteśmy w Redzie. Za rzeką i położonym przy niej młynie wychodzimy na szosę łączącą Gdańsk ze Szczecinem. Z dwie setki metrów i zatrzymujemy się. Po lewej stronie mamy wysoki, ceglany kościół ze smukłą wieżą. Konwojenci kierują nas do ogrodzenia okalającego świątynię. Po męczącym marszu otrzymujemy po litrze postnej kartoflanki.

W kościele, a właściwie w kruchcie, odbywa się pierwsza selekcja. Każdy podaje swoje imię i nazwisko. Gestapowiec, bo oni się tu znaleźli, przewraca kartki jakiejś solidnie oprawionej książki i czegoś w niej szuka. Na ogół daje znak ręką i wtedy jeńca popychają do drugiego stolika, jednak od czasu do czasu gestapowiec z wyraźnym zainteresowaniem wpatruje się w książkę, kaže sobie powtórzyć nazwisko, pyta o miejsce urodzenia, zamieszkania, zawód. Z głupim uśmiechem kiwnięciem przywołuje uzbrojonych policjantów, a ci w brutalny sposób łapią ofiarę i odprowadzają do stojącego przed kościołem policyjnego samochodu.

W zrozumieniu tej całej nieoptymistycznej ceremonii pomógł mi Pat, który dowiedział

się, że ta książka o nazwie Sonderfahnenflüchtbuch Polen to po prostu rejestr Polaków poszukiwanych przez Niemców. Rejestr ten musiał być sporządzony jeszcze przed wybuchem wojny, a prawdopodobnie obejmował tych, którzy swą patriotyczną postawą i działalnością narazili się mniejszości niemieckiej.

– Co ich może teraz czekać? – zastanawiałem się, będąc już w kościele – Zapewne nic dobrego.

Przy drugim stoliku ponownie badania. Tu esesman biegle mówi po polsku. Po podaniu nazwiska i imienia pyta się o datę urodzenia. Podaję rok 1923. Niemiec jest najwyraźniej zaintrygowany.

– Jednostka wojskowa? – pyta dalej.

– Kolumna sanitarna przy dywizjonie artylerii nabrzędnej.

– Co!? Może ochotnik?

– Tak, ochotnik – odpowiadam z dumą.

Odsyła mnie do grupy, w której jest wielu harcerzy, mężczyzn w ubraniach cywilnych, przeważnie kombinezonach, kolejarzy, pocztowców, a nawet strażaków i leśniczych. I tak zostałem oddzielony od mojego przełożonego i opiekuna, marynarza Wiktora, który znalazł się w grupie służb sanitarnych. Było mi smutno i przykro.

Kiedy zakończono selekcję, był już prawie wieczór. Zawsze w tym czasie dzwony na wieży kościelnej wzywały wiernych do wieczornej modlitwy, a teraz milczały. W kościele i jego otoczeniu działy się rzeczy niegodne tego miejsca. Okupant profanował miejsca kultu religijnego, choć niemieccy żołnierze mieli na klamrach pasów napis Gott mit uns, to jest Bóg z nami. Kościoły na naszej ziemi zamieniono czasowo na obozy jenieckie.

Czułem się w tej wielkiej świątyni bardzo osamotniony. Nikogo w swoim otoczeniu nie znałem, a nie czułem potrzeby nawiązania nowych znajomości. Liczyłem tylko na swój instykt zachowawczy. Jedni modlili się i to im widocznie przynosiło ulgę. Ja zwątpilem w sens modlitwy. Czułem się zagubiony.

Tej nocy znowu spałem w konfesjonale pod chórem. Przednią część nawy kościelnej zajęli jeńcy wojskowi. Od nich oddzielono nas barykadą z ławek, wzdłuż której ustawiono posterunki, by nikt nie przeszedł na drugą stronę. Pata i innych funkcjonariuszy służby zdrowia Niemcy wywieźli o zmroku w nieznaną.

Rano jako pierwsi opuścili kościół żołnierze lądowi i marynarze. Gdzie ich poprowadzono? Nie zauważyłem nawet, w jakim kierunku odeszli, bo okna w kościołach umieszczone są bardzo wysoko. Wyrządzono mi jednak wielką krzywdę, oddzielając od żołnierzy. Tak bardzo chciałem być z nimi, z obrońcami Gdyni i Helu. Czulbym się z nimi na pewno bezpiecznie.

Na nas przyszła kolej tuż przed południem. Dostaliśmy inną eskortę. Byli to żołnierze jednostki policyjnej z Gdańska, bo mieli na rękawach czarne opaski z napisem Danziger Heimwehr. Byli brutalni. Przy każdej okazji wyzywali się na nas, tłukli kolbami i nie szczędzili kopniaków.

– Polnische Schweine! Polnische Hunde!, to znaczy polskie świnie, polskie psy. Były to najczystsze przezwiska kierowane pod naszym adresem.

Po drodze kobiety i dzieci próbowały podać nam owoce, chleb, mleko, ale hitlerowcy nie pozwalali zbliżyć się im do naszej kolumny. Nalegających i proszących brutalnie odpydzali, bili, gdzie popadnie. Coś się gwałtownie zmieniło. Jeszcze w Pucku i podczas przemarszu do Redy pozwolono cywilom przekazywać nam żywność, jeśli tylko poprosili konwojentów. Tu było to przestępstwem.

Już po tym można było wnioskować, że jesteśmy traktowani nie jak jeńcy wojskowi, a

jako przestępcy cywilni. Często odzywano się do nas nieznanym mi wówczas wyzwiskiem Buschmänner! Dopiero później dowiedziałem się, że było to równoznaczne z naszymi określeniami: partyzant, dywersant, konspirator. W drodze z Redy do Wejherowa nie zdawałem sobie w pełni sprawy z powagi sytuacji, z niebezpieczeństwa, jakie mnie i moim współwięźniom groziło.

Już w Redzie widziało się wiele flag hitlerowskich. Wisiały przeważnie na lepszych domach, których na ogół właścicielami byli Niemcy zamieszkali w Rzeczypospolitej lub ci sprowadzeni z Rzeszy na miejsce Polaków. W Wejherowie było ich jeszcze więcej. Czerwień faszystowskich flag zalewała miasto.

Myśl o ucieczce mnie nie opuszczała. Ale to nie było takie proste w nowej kolumnie. Jeszcze w Pucku na przystani można było zaryzykować, ale tam pilnował mnie Pat. Teraz było to niemożliwe, bo konwojentów z psami było wielu i pilnowali solidnie.

Pędzono nas ulicami Wejherowa. Wielu przechodniów przystawało i mamrotało coś po niemiecku. Byli i tacy, szczególnie kobiety, którzy podchodzili do nas i pluli nam w oczy. Zastanawiałem się skąd wzięła się ta nienawiść, dlaczego tak odnoszą się do bezbronných jeńców? Czy oni mieli w Polsce źle? Czy ktoś ich prześladował? Może i tak, ale tylko za ich anypolską działalność. Bardziej prześladowani byli Żydzi.

Na wejherowskim rynku też flagi i wielkie transparenty wychwalające Hitlera. Z głośników płynie krzykliwa melodia żołnierskiej, a może partyjnej piosenki. Rani ona jak sztylet moje serce. Siłą wbija się do kory mózgowej i długo, długo idzie za mną, nękając i tak już zmaltretowany umysł.

Za gmachem gimnazjalnym skręcamy w prawo i stajemy przed bramą. To brama więzienna. Nie ma złudzeń. Traktują nas naprawdę jak przestępców. Jestem więźniem!

Długo stoimy na dziedzińcu. Zaczyna padać deszcz, najpierw z lekka taki kapuśniaczek, później chłodny, jesienny deszcz. Mokniemy zmęczeni i głodni. Poda mną uginają się nogi. Męczy mnie sen. Ziąb przenika powoli całe ciało, drętwieją członki. Nie wytrzymam! Ale muszę!! Od tego zależy moje życie.

Nareszcie znalezione dla nas miejsce. Więzienie jest przepełnione. Spędzili tu tysiące ludzi. Nas ulokowali w piwnicy na jakimś korytarzu. Tu przynajmniej nie siąpi na głowę. Każdy pada byle gdzie i zasypia na chwilę dla zregenerowania sił. Szybko budzę się z zimna, z niewygodnego ułożenia ciała, również z głodu. Kto ma, wyskrobuje jakieś zapasy. Ja mam jeszcze resztkę suchego chleba z Helu. Jem i dzielę się z tymi, którzy nic nie mają. I znowu się zasypia, ale tylko na kolejne kilkadziesiąt minut.

Rano czułem się jak zdjęty z krzyża. Kości i całe ciało obolałe. Czuję szum w głowie. Mam piekielny kaszel. Przydałaby się łyżka miodu – myślę – i gorąca herbata. Siadam i kaszlę, a wyobrażenia przenosi mnie do mojej Cierzni, do uli w ogrodzie i studni na łące, do ziół rosnących wokół niej. Wyobrażam sobie mamę, która owija mi szyję szalem z owczej wełny i zaparza rumianek.

– Gdzie ja się znalazłem? – mówię sam do siebie.

W godzinach przedpołudniowych następnego dnia przynoszą bankę kawy. Jest czarna, bez cukru, ale ciepła. Każdy niewiele jej dostaje. Mnie współwięźniowie podają drugą porcję ze względu na mój kaszel. Ugasilem pragnienie i wygonilem ziąb z ciała. O jedzeniu nie było mowy, bo zapasy się skończyły.

Po obiadowej rzadkiej zupie zabierają nas po pięciu i prowadzą do kancelarii. Rozpoczyna się kolejne ewidencjonowanie, poprzedzone przesłuchaniem, wyzwiskami i biciem. Żądają dokumentów, a ja ich nie mam, bo za namową Pata zostawiłem moją legitymację kosyniersko-szpitalną w puckiej farze pod konfesjonalem.

Hitlerowców zastanawiał przede wszystkim fakt, jak ja się znalazłem na Półwyspie Helskim. Twierdziłem, że przez przypadek. Pojechałem w sierpniu do znajomych i jak wybuchła wojna, zostałem. Miałem przeszkolenie sanitarne, po prostu taką specjalność harcerską i tam ją wykorzystałem. Jako ochotnik pomagałem służbie sanitarnej w humanitarnym dziele ratowania rannych cywilów, żołnierzy i niemieckich lotników. W tej akcji zaangażowana była prawie cała ludność cywilna na półwyspie – tłumaczyłem.

Logiczne, choć nieprawdziwe tłumaczenie przekonało w jakimś stopniu hitlerowskich decydentów mojego losu. Przy moim nazwisku nie postawiono owego tragicznego krzyżyka, który był, jak się później dowiedziałem, przepustką na Piaśnicę, miejsce zagłady dwunastu tysięcy Polaków. Jako harcerz traktowany byłem jednak jako ten Verberecher, następca i wróg polityczny Rzeszy Hitlera i dlatego o zwolnieniu mowy być nie mogło.

Ubywało nas z korytarza. Jednych lokowano w celach, inni gdzieś ginęli bez wieści. Znalazłem się w dość obszernym pomieszczeniu na parterze. Moimi współwięźniami byli harcerze z Gdyni, z okolicznych wsi i miast. Było też kilku harcerzy z Gdańska. Ci interesowali mnie najbardziej.

– Jesteś z Gdańska? – spytałem się wysokiego, może osiemnastoletniego druha, który ulokował się z mojej prawej strony.

– Tak jestem z Oliwy. A bo co?

– Nic szczególnego. Mam w Gdańsku Kuzyna, który uczęszczał do polskiego gimnazjum.

– Do gimnazjum? A jak się nazywa?

Znał Zygusia, bo był również uczniem tej szkoły. Był nieco młodszy, ale utrzymywali przyjacielskie stosunki. Bywał nawet u niego w domu.

I tak znalazłem kolejnego przyjaciela. Nazywał się Marian Gruba. Nawzajem opowiadaliśmy sobie nasze wojenne przygody. Wspominaliśmy szkolne lata i harcerskie wanogi. Czas szybciej mijał i zapominało się choć na chwilę o niewesołej rzeczywistości. Dobrze mieć przyjaciela, szczególnie w nieszczęściu.

Po paru dniach wchodzi do naszego pomieszczenia strażnik i ryczy na cały głos:

– Austreten! Wychodzić!

Wypędzają nas z inną grupą harcerską na więzienny dziedziniec i ustawiają, o dziwo, czworkami. Wołają na nas, a ich psy ujadają. Nie chcą być gorsze od swoich panów. Niejednemu oberwało się w tym zamęcie.

– To jest podejrzane – z niepokojem szepnął Marian. – Chyba nas nie wykończą? – dołdał po chwili.

Myślałem o czymś innym. Może teraz nadarzy się sposobność wyrwania się z tej matni?

Prowadzą nas ulicą Sobieskiego, już teraz Adolf Hitler Strasse. Flag na domach i urzędach jest jeszcze więcej, transparentów również. W oknach wystawiono podobizny Führera i gazetki ze zdjęciami propagandowymi. Jedne pokazują triumf hitlerowskiego oręza, inne zbrodnie popelnione przez Polaków. Tak, nie do wiary, ale przez Polaków.

Na rynku panuje tłok. Stoją szeregi ludzi w różnych mundurach, część w cywilnych ubraniach, ale z opaskami hitlerowskimi na rękawach. Nas postawiono przed kolumną młodych Niemców w mundurach Hitlerjugend. Ratusz przybrano w zieleń, czerwień i mnóstwo swastyk. Na balkonie stoją dostojnicy hitlerowcy dumni i butni. Patrzy z góry: przyjaźnie na swoich, z pogardą na nas, Polaków.

Jeden z nich podchodzi do mikrofonu. jego przemówienie powtarzają głośniki rozmieszczone na rynku. Zgromadzeni Niemcy wpatrzeni są w megafon jak dewotki w malowid-

łó świętego. Co chwila podnoszą prawicę do góry i drą się w niebogłosy: Heil Hitler! Heil! Heil...

Skąd ja to znam? To przypomina mi Gdańsk. Po iluś minutach ów mówca kieruje palec wskazujący na nas i wylicza, zapewne nasze zmyślone zbrodnie, a smarkacze z Hitlejugend podskakują do nas, drą się w swym języku, plują nam w twarz, biją pięściami, kopią i wyją przy tym jak bestie. Psy naszych strażników wspinają się, ujadają na wzór ludzi i chcą zerwać smycze, by też po pokazać swą moc nad nami. A dygnitarz szyderczo uśmiecha się i gestami podnieca oprawców.

Zbici w bezwładną kupę, opluci, posiniaczeni, poturbowani zbieramy się, podnosimy tych, którzy o własnych siłach wstać nie mogą. Dygnitarz z ratuszowej ambony przemawia dalej, a Niemcy muszą go słuchać i dlatego zaprzestają wobec nas szykan.

Droga powrotna do więzienia była naszą drogą krzyżową. Teraz już nie „Młodzież Hitlera” (Hitlerjugend), lecz inni umundurowani i cywilni Szwabi pastwili się nad nami. Dziwne. Nie mogliśmy doczekać się powrotu do więzienia. Ono okazywało się przystanią bezpieczeństwa i spokoju.

Pod koniec października nasza osadzona w więzieniu grupa zaczęła stopniowo maleć. Prawie codziennie, przeważnie z rana, wyciągano kogoś z naszego grona. Jak niektórzy zdolali zaobserwować i dowiedzieć się, wielu ładowano do samochodów ciężarowych i wywożono prawdopodobnie do Puszczy Darżlubskiej na rozstrzelanie. Mariana zabrali na początku listopada. Nasze pożegnanie miało nastrój żalobny, prawie pogrzebowy. Żal mi było druha z gdańskim rodowodem. Którego to już z rzędu musiałem utracić? Z nim mogłem się przynajmniej pożegnać i życzyć mu wiele odwagi i opanowania.

Do więzienia wciąż przybywały nowe zastępy Polaków. Byli to albo ludzie wyselekcjonowani spośród jeńców wojennych, albo tak zwani zakładnicy zebrani prawie z wszystkich wsi i miast powiatu morskiego, kartuskiego, tczewskiego i innych. Przywożono też Polaków, przeważnie z zakładów psychiatrycznych, z przyległych krajów, przede wszystkim z Niemiec. Prawie wszystkich z rampy kolejowej transportowano w kierunku Piaśnicy. Tylko niektórych kierowano do więzienia na przesłuchanie.

Gdy tylko miałem okazję, wspinałem się na zakratowane okno w celi. Widziałem mur, a za nim korony drzew na sąsiadującym placu przyszkolnym, który tak dobrze znałem, na którym tyle razy grałem w palanta i piłkę nożną. Liście już zżółkły, zwiędły i stały się niepodobne do tych z okresu wiosny i lata. Tak my, więźniowie wejherowskiego więzienia zmienialiśmy się w uschłe cienie ludzkie. Liści i nas ubywało z dnia na dzień.

Wysoki, ceglany budynek wejherowskiego gimnazjum, w którym spędziłem trzy lata, zasłaniał mi widok na kościół ewangelicki. Widziałem sam czubek wejherowskiej świątyni. W niej, jako ewangelickiej, odbywały się nabożeństwa, bo często słyszałem bicie dzwonów. Były na chwałę tym, którzy podeptali nasz dom. Nie były to sprawiedliwe dzwony.

Nastala jesienna słońca.

Ranek tego dnia był mglisty, powietrze chłodne. Zaczął padać deszcz. Wypędzono nas z tobołami na więzienny dziedziniec. Sprawdzano i liczono kilka razy. Nastąpił wymarsz w eskorcie szupowców i psów. Tym razem w kierunku dworca kolejowego. Wyprowadzono nas na jego tyły, gdzie na bocznicę stało kilka wagonów towarowych z małymi okienkami obwiązwanymi drutem kolczastym.

Moją grupę podprowadzono do stojącego pustego wagonu przy dworcowej nastawni. Przed nią rósł dość wysoki, gęsty żywopłot z wąskimi przejściami. Spojrzałem na niego i nagle postanowiłem: tu albo nigdzie.

Korzystając z zamieszania przy podziale grupy na wagony, zwinąłem się w kłębek i przeslizgnąłem przez żywoplot, a następnie wskoczyłem do dołu po wybranym wapnie. Dół przykrywało kilka rzuconych niedbale desek. Rozmazałem krew na okaleczonych cierniami dłoniach, otarłem rękawem twarz, a mój bagaż wcisnąłem w resztki miękkiego wapna i przykryłem starymi workami. Nie zatrzymując się długo, wyskoczyłem pod mur nastawni, a stąd do niewielkiego jaru porośniętego krzewami.

Deszcz lał jak z cebra, a ja pędziłem wzdłuż toru, oglądając się często poza siebie, w wielkim niepokoju, czy nie gonią mnie psy. Ostatkiem sił dobiegłem do miejsca, gdzie pod torami przechodził przepust, którym płynął niewielki strumyczek. Rury przepustu były na tyle wysokie, że na czworakach, choć z pewnymi trudnościami, mogłem się przecisnąć na drugą stronę torów. Korytem strumyka, wzdłuż jakiegoś ogrodzenia, a następnie nowiną dobiegłem do szosy, którą z rozpędu przeskoczyłem i niebawem znalazłem się w lesie, który był moim ocaleniem. Padłem na twarz, trochę odetchnąłem i w obawie przed pościgiem popędziłem dalej. Biegłem i padałem, a strach popędzał mnie wciąż naprzód.

Ostatkiem sił dobiegłem do jednej z kaplic wejherowskiej kalwarii. Znałem je z odpustowych wędrówek. Tu mogłem odpocząć i uporządkować ociekające wodą ubranie. Pomyślałem, że policyjne psy mogą pójść moim śladem i dlatego nie siedziałem zbyt długo w przytulnej kapliczce. Teraz już truchcikiem biegłem lasem bokiem cegielni, przez Zamkową Górę wciąż na południe. Strach dodawał mi sił. Na szczęście deszcz ustał.

W napotkanym zagajniku znowu odpocząłem nieco i uciekałem dalej, wciąż dalej, jak najdalej od Wejherowa. Sił dodawała mi myśl, że tam za lasem, na polanie czterech wsi sołeckich jest moja Cierznia, mój dom i rodzina, moje zbawienie. Przeszedłem na drugą stronę szosy łączącej Wejherowo z Szemudem, omijając Sopieszyno. Po pół godzinie znalazłem się nad jeziorem Borowo. Tu poczułem się bezpieczniejszy, ale na wszelki wypadek, dla zmylenia ewentualnej pogoni, kilkadziesiąt metrów przeszedłem wodą.

Teraz popędzał mnie głód i chłód. Byłem prawie cały przemoknięty, a członki powoli odmawiały posłuszeństwa. Znałem te lasy, które nieraz przemierzałem w czas grzybobrania i stąd maszerowałem śmiało ścieżkami, duktami, bezdrożami w stronę mojego domu. Tu w lasach leśńskich uwierzyłem, że moja karkołomna ucieczka się powiodła. Ta świadomość i bliskość domu dodawała mi sił i jak na skrzydłach, bokiem znanych mi jezior Wygoda, Bieszkowice i Zawiat dotarłem na niwy mojej Cierzni.

Ostrożnie, by nikt mnie nie zauważył, podchodzę do naszej checzy. W domu mogli być tylko rodzice, bo rodzeństwo, Ludkę i Sławka, widziałem na smużkach przy pilnowaniu bydła i układaniu lętów na kartoflisku. Jestem już na świerkach. Przedemną podwórko. Wszędzie pusto. Serce wali jak młotem. Wejść, czy nie wejść? A jak w domu ktoś będzie? Idę!

W sieni nie ma nikogo. Otwieram ostrożnie drzwi do kuchni. To wejście bez pukania zaskoczyło mamę stojącą przy piecu. Podniosła jakoś dziwnie ręce, niby w geście błagalnym, niby do modlitwy, jak ksiądz przy ołtarzu. Nie mogła oderwać ode mnie oczu.

– Czē to jawa, czē sen?! – wykrztusiła z niedowierzaniem.

Musiałem być bardzo zmieniony, mocno zmęczony, bo na matczynej twarzy na mgnienie oka zagościła litość, współczucie i zarazem wielka radość.

– Radek! Radek kochany.

W tym jednym słowie zamknęła i miłość, i dziękczynienie, i rozkosz z tego, że widzi mnie żywego i całego. Wyściskała mnie, wycalowała, a nasze wspólne łyzy przypiecztowały radość z powrotu do domu.

Zaprowadziła mnie, z jakąś niezrozumiałą dla mnie obawą, do tylnej izdebki i tam pie-

szczotliwie posadziła na ławie przy ciepłym piecu. Przyniosła gorącej wody do wyparzenia nóg, a później do umycia całego ciała. Myślałam jak małe niemowlę, pieściła jak paroletnią dziewczynkę, a ja się tym pieszczotom jakoś bezwiednie poddawałam, czując ogromne zmęczenie fizyczne i psychiczne po ostatnich niełatwych tygodniach niemieckiej niewoli. Znalazła się gorąca herbata z odrobiną spirytusu. Mama poszukała też bieliznę i robocze ubranie.

Rumianek z miodem i duża pajda swojskiego chleba z masłem postawiły mnie na nogi. Jednak po pewnym czasie ogarnęło mnie ponowne, jeszcze większe zmęczenie i sen. Organizm domagał się tego, czego przez ostatni czas mi brakowało. Z utęsknieniem spoglądałam na łóżko, na czystą pościel, której od wielu, wielu dni nie miałam. Mama to zauważyła i ze smutkiem oraz współczuciem powiedziała:

– Tu u nas tę spać ni możesz.

Jak to? Nie mogę. Dlaczego? – pomyślałam.

Mama odgadła moje myśli i odpowiedziała mi, co tu w domu zaszło od mojego ostatniego pobytu. Najpierw dowiedziałem się, że hitlerowcy zabrali mojego ojca jako zakładnika do więzienia w Wejherowie. Po paru dniach przeprowadzili w domu rewizję. Znaleźli portrety Kościuszki, Hallera i księcia Poniatowskiego. Wpakowali do worka część moich zeszytów i książki ze zbioru ojca, które odkryli na strychu. Na szczęście moich książek nie znaleźli. Z budynku zerwali tablicę informującą, że mój tata był opiekunem społecznym sołectwa Bieszkowice.

– O ciebie też się pitali – zakończyła swą smutną opowieść.

Rzeczywiście zrozumiałem, że w domu przebywać nie mogę. Na pewno już zauważono moją ucieczkę i będą mnie szukać. W każdej chwili mogą tu być, a w razie złapania, wiadomo było, co czeka mnie i całą rodzinę.

– To dobrze, że ce dzecę nie widza – zauważyła mama.

No tak, mama ma rację, rodzeństwo nie może mnie zobaczyć. To byłoby zbyt ryzykowne. Hitlerowcy mają swoje sposoby, żeby wyciągnąć od nich wszelkie informacje, szczególnie od małego Sławka.

Moje wojenne ciuchy poszły do ognia, na którym akurat gotował się kocioł z ziemniakami dla inwentarza. Były zabrudzone, przepocone i podarte, a na dodatek – po ostatnim przemoknięciu – nieprzyjemnie cuchnące. Mój mundurek harcnerski miał dla mnie nieocenioną wartość, ale cóż, tak trzeba było postąpić w tej sytuacji.

Uradziliśmy z mamą, że nim wrócą Ludka i Sławek z pola, wyjdę z domu i ukryję się koło rosochatej sosny. Mama zrobi obrządk, zawoła dzieci i powie im, że wychodzi na dłuższy czas.

Po podwieczorku zrobiła się dobra pogoda. Słońce miało jeszcze kawałek do przebycia, nim schowa się za nasze kaszubskie lasy. Moja mama zarzuciła chustę na ramiona, do ręki wzięła duży koszyk i podążyła do lasu na umówione miejsce.

Myślałam, że mama prowadzi mnie do cici na Bieszkówku, ale się myliłam. Idzie ze mną lasem w stronę Piekielka, omijamy Piński i dochodzimy do zbychowskich Nowin, osiedla powstałego po parcelacji majątku w Nowym Dworze. Tu na tym pustkowiu mieszkała jej dobra znajoma i u niej miałem chwilowo pozostać.

Tak po raz trzeci tej nieszczęsnej jesieni musiałem opuścić mój rodzinny dom. Widocznie los tułacza był mi pisany.

Rozdział 8

W konspiracji

Spałem długo, ale niespokojnie. Tej nocy na nowo przeżyłem koszmar września i października 1939 roku. Jak migawki filmowe, jak przeźrocza slajdowe otworzyły się w mojej wyobraźni, w nocnych majakach wydarzenia i związane z nimi przeżycia.

Gdy zerwałem się spocony, zmęczony majakami sennymi, zobaczyłem obce ściany, nie ten sufit, jaki od najmłodszych lat towarzyszył moim dziecięcym marzeniom. Byłem w obcym domu, choć łóżko wydawało się swojskie, z puchem naszych gęsi, które pasalem na łączkach i smużkach Cierzni. To pewnie stąd takie uczucie, że od wielu dni w łóżku nie spałem i każde wydawało mi się tym wymarzonym w lasach, okopach, ziemiankach.

Wracając do mojego domowego sufitu nad chłopięcym łóżkiem, tak, chłopięcym, bo w nim spało nas dwóch, ja i młodszy brat Sławek, to pamiętam, że ten drewniany, nierówny, czysty sufit bez pajęczych zasłon w zakamarkach, z czasem stał się szary, żółkł powoli, a drobnutkie pajęczki plotły na nim żagielki na łódeczkach z mej wyobraźni. Duże płachty pajęcze stawały się natychmiast łupem miotły mamy.

Dziwny to był sufit: inny z rana inny o zmroku, jeszcze inny przy świetle lampy naftowej, zupełnie zaś inny w słoneczny czas lub przy blasku księżyca, który często liczył śpiochów w pościeli. Raz był morzem pełnym żaglówek, małych łodzi rybackich lub wielkich parowców, to znów mapą przedstawiającą przedziwne lądy, które miałem zamiar odkryć, zdobyć i przekazać mojej ojczyźnie jako kolonie. Innym razem widziałem lany zboża falujące na wietrze albo szumiącą dąbrowę pełną smakowitych jagód, malin, jeżyn, a jesienią złocistych orzechów i dorodnych prawdziwków. Ileż to mojej fantazji, marzeń, nadziei i złudzeń zastylę na jego chropowatej powierzchni?!

Powoli wracała świadomość wczorajszego dnia. Był on tak bogaty w wydarzenia, że trudno mi było tak od razu ustalić ich kolejność. Więzienie, transport w nieznaną, ucieczka, dom. Tak, byłem w rodzinnym domu, który okazał się miejscem zagrożonym. Mama w tajemnicy przed rodzeństwem zaprowadziła mnie na zbychowskie Nowiny i przykazała, bym nie pokazywał się ludziom i słuchał ciotki Tekli, która wcale moją ciotką nie była, ale tak ją miałem nazywać. Tak trzeba było.

– Jes tē ju wēspōny? – zapytała ciotka Tekla, która weszła na poddasze w szczycie niewielkiej chęczē do małego pokoiku, w którym spędziłem noc.

– Mōsz, zjēdz, nieborōku – rzekła zachęcająco, stawiając talerz jajeczniczy z pajdą swojskiego chleba i blaszany garnek zabielenej mlekiem kawy zbożowej.

– Praznicē nie jēdz za chęcwo, bo cē na zōłādtku mōże ostac – przeczornie ostrzegala mnie i udała się do codziennej roboty.

I tak rozpoczął się po niespokojnych, pełnych niebezpieczeństw i napięcia tygodniach mój żywot pustelnika. Miałem pokój, a przez niewielkie okienko cudowny widok na zagajniki, nieregularne smużki łąk i szachownicę nowodworskich pól, aleję kasztanów towarzyszących szosie biegnącej przez Nowy Dwór, a także na wzniesienia Puckiej Góry i te wielobarwne, jesiennie lasy na horyzoncie.

Do mnie należały obrządku w obórze, w której oprócz konika były także dwie krowki, cielaczek, pół tuzina owiec, kilka świń różnej wielkości i kilkanaście sztuk różnego drobiu. Ciocia Tekla zgodziła się, bym rąbał w szalerku drewno opałowe, męł ziarno na śrutę dla świń, bo młyny w Zagórze, Szelcie, Rumi i Wejherowie przyjmowały zboże na przełomie tylko na specjalną asygnatę z gminy. Rwałem się do pracy w polu, ale moja gospodyni nie chciała się na to zgodzić.

– Tam ce uzdrzā lēdze i jesz co wēpaplā – ostrzegala.

Ciocia Tekla była sama. Jej mąż został powołany w ostatnich dniach sierpnia do obroiny Helu i teraz przebywał w obozie jenieckim. Dlatego sama wyjeżdżała w pole, kończąc jesiennie orki, choć do ciężkiej pracy się nie nadawała, bo spodziewała się dziecka. Nie wiele morgów miała i w mig uporała się z jesienną pracą na swym zagonie. Jak wszystkie Kaszubki była bardzo pracowita.

Tuż za podwórkiem, na przyległym do stodółki skrawku pola były okopy i zasieki z drutu kolczastego. Okopy wykopali w pierwszych dniach września gdyńscy robotnicy i harcerze, a zasieki ustawili saperzy. Na nic się przydały, bo Niemcy na to pustkowie przybyli wówczas, gdy ich frontowe jednostki podchodziły już pod Kępę Oksywską. Wpadli po kury na rosół, bo – jak mówili – mięso z puszek im obrzydło.

Po długim przekonywaniu ciocia Tekla zgodziła się na usunięcie tych pozostałości polskiego Września. Zabrałem się ochoczko do pracy. Przypadkowo znalazłem w ziemiance na wrzosowisku, którą wykopali niemieccy artylerzyści w połowie września, polski karabin. Długo zastanawiałem się, co z nim począć? Do zagrody przynieść go nie mogłem ze względu na bezpieczeństwo nas obojga. Dowiedziałem się od gospodyni, że władze niemieckie ogłosiły, iż do określonego terminu należy oddać wszelką broń w wyznaczonym miejscu. Posiadanie broni po tym terminie miało być karane śmiercią. Najpewniej byłoby utopić karabin w jakimś bajorku, ale nie mogłem się na to zdecydować. O oddaniu broni nie było mowy.

Szkoda broni – pomyślałem – przecież może się jeszcze przydać. Niemców trzeba będzie wcześniej czy później wygonić z naszych ziem. Oczyściłem go dokładnie, naoliwiłem, zawiązałem w papier pergaminowy, jakiego gospodyni używały do zawijania masła, włożyłem do zrobionej skrzynki i zakopałem.

Po kilku dniach, w niedzielne przedpołudnie przysłała do nas mama. Przyniosła zimową odzież i bieliznę na zmianę, gdyż należało spodziewać się jesiennych chłodów. Wyjęła też z torby kawał wędzonki i kilkanaście jaj, za co ciocia Tekla ją skrzyczała:

– Co të mēslisz? Uwōżōs tē, że jō ni móm co jesc? Knōp so jedzeniē i całē utrzymaniē odrobi, a tē mie tu fafōlce wleczesz! Slēchi, Stazja, žebē to bēl ostatny rōz.

Mama przyniosła złe wieści. Od ojca nie miała żadnych oznak życia. Niemcy aresztowali go i osadzili w więzieniu wejherowskim. Tam wszelki śluch i ślad po nim zaginął. Ludzie coraz głośniejszeptali, że Niemcy wywożą masowo z więzienia liczne grupy Polaków w lasy pod Piaśnicę i tam zwyczajnie ich mordują, o czym ja już wiedziałem. Przywożą tam całe rodziny z innych stron. 11 listopada, w nasze święto narodowe, zabrali z okolicznych wiosek kolejnych zakładników, przede wszystkim nauczycieli.

W domu były już dwie rewizje: pierwszą przeprowadzili gestapowcy, drugą żandarmi z niejakim Kepką na czele. Szukali niby papierów ojca, ale chodziło raczej o mnie, gdyż jakiś cywil znalazł się przy moim rodzeństwie na pastwisku, pytając o mnie Ludkę i Sławka. Był ciekaw, co się ze mną stało i kiedy widzieli mnie po raz ostatni w domu. Powiedzieli prawdę, że na początku wojny, gdy jeszcze wojsko polskie było w Bieszkowicach. Jednak dobrze się stało – pomyślałem – że przezorna matka wyprawiła mnie w tajemnicy przed rodzeństwem na zbychowskie pustki.

Mama żaliła się, że bez ojca robota w gospodarstwie leży. Wprawdzie ziemniaki sprzątnęli z pola, brukiew jakoś udało się wyrwać, ale pozostała orka i siew ozimin. W młocce pomogli sąsiedzi, którzy obiecują też wsparcie w siewach. Jednak każdy ma aż nadto własnych kłopotów, a pomocy potrzebuje więcej gospodarstw. W wielu rodzinach brakuje mężczyzn. Tej wojennej jesieni wszystkie prace są opóźnione co najmniej o miesiąc.

Konie najczęściej stoją beczynnje. Mniej skomplikowane prace Siwkciem i Foską wykonuje Ludka, ale orki nie potrafi. Przychodzi od czasu do czasu stary Bieszka, zbiera konie do pracy u siebie, bo jego koń został zabity podczas działań wojennych. Przychodzi i obrabia też nasze pole. Jest to jednak praca dorywcza i zbyt wolno postępuje naprzód, a tu czas nagli.

– Przydałbyś się, synku, w domu, ale nic z tego – nie wiem, dlaczego mama powiedziała te słowa po polsku.

– No, to pōjdę z mamą – zadeklarowałem stanowczo. – Sławek Będzie pilnował, czy czasem ktoś podejrzaany nie zbliża się do Cierzni, a ja będę pracował.

– Pleszczesz – urwała krótko mama i gestem dała do zrozumienia, że jest to niemożliwe.

Zresztą sam rozumiałem to, że Sławek przede wszystkim nie powinien wiedzieć o moim istnieniu, Ludka również, choć ma już szesnaście lat. Nie wolno ich narażać na niebezpieczeństwo.

Nie pozwolono mi odprowadzić mamy do najbliższego rozstaju dróg, bo mógłbym być zauważony przez osobę nieodpowiednią. W wiosce mogli mieszkać donosiciele, którym dałoby to okazję przysłużenia się Niemcom. Przed pożegnaniem prosiłem mamę, żeby następnym razem przyniosła moją walizkę schowaną pod podłogą w szafku. Bez niej coraz trudniej było mi żyć w pustelni na poddaszu. Ostrzegąłem, że musi być bardzo ostrożna, bo w kuferku są takie rzeczy, których teraz przechowywać nie wolno. Obiecała:

– Jō ju to po swojemu zrobię. Tē ni muszisz miec strachu.

Po odejściu mamy ogarnęła mnie tęsknota za domem, za rodzeństwem, za tatą, a także za Cierznią, końmi, psem i tym wszystkim, co zamknięte jest w słowie „dom”. Nie mog-

lem się opanować. Rozryczałem się jak głodne niemowlę, rzuciłem na moje wyrko, wylewając łzy żalu i bezradności.

Koniec listopada przyniósł pierwsze przymrozki. Gruda dudniła złowieszczo pod kornami, które na Kaszubach nosiło się przez cały rok: latem boso, zimą wdziewając grube wełniane pończochy. Roboty ubywało, a nuda, bezczynność, samotność wzierały się we mnie jak korniki w usychające drzewo. Męczyła mnie ta bezczynność, a dobijała samotność.

Tak było ze mną owej późnej jesieni pamiętnego 1939 roku. Próbowalem coś pisać. Rozpocząłem nawet pamiętnik, ale codzienne zapisy były tak do znudzenia podobne do siebie, monotonne i zawierały to, co chciałbym czynić, a nie to, co robiłem na co dzień. Zaniechałem tej pisaniny. Próbowalem majsterkować, lecz skromny zasób narzędzi i materiałów, jak i brak zdolności spowodowały, że i tego nie robiłem zbyt długo. Tęskniłem do książek, a tych akurat nie miałem. Ciocia Tekla opowiadała mi, że Niemcy, gdzie tylko się pojawili, zaraz palili polskie książki, atlasy, mapy. Tak było w szkołach w Bieszkowicach, Zbychowie, Gniewowie. Zabronili też ludziom posiadania jakichkolwiek materiałów drukowanych lub pisanych w naszym języku ojczystym, jak również portretów polskich dostojników państwowych i narodowych.

– Mōsz tu ten swój kufer – któregoś wieczora uszczęśliwiła mnie mama, wstawiając go do sieni. Ocierała pot z czoła.

Co ze mnie za dureń, pomyślałem i wyrzekłem półgłosem:

– Przepraszam, nie przewidziałem, że jest taki ciężki.

Walizka rzeczywiście miała swoją wagę, a mama taskała ją o zmroku, omijając wszystkie uczęszczane drogi. Naszarpała się, umęczyła, ale dowlokła ją na zbychowskie pustki. Wstyd mi było z tego powodu, więc po odniesieniu jej na strych pocałunkiem w rękę podziękowałem matce.

– Ech! – machnęła ręką i już zbierała się do odejścia. – Jō obieca dzieciom, że zarōżkę przinđ nazōd.

Tym razem nie protestowała, gdy odprowadziłem ją aż pod Piecawę. Było mi jej ogromnie żal. Dalej iść nie mogłem, bo w przyległym Krystkowie mieszkało dwóch Niemców, a spotkanie z nimi lub z członkami ich rodzin mogło skończyć się tragicznie.

Co by to było bez mamy, pomyślałem, wracając do mojej kryjówki.

Idę sobie powoli, rozmyślam, zastanawiam się i kombinuję, jak to zrobić, by tych Szwabów przegonić z naszych ziem, a co najmniej uprzykrzyć im pobyt w naszej ojczyźnie. Nie należy być biernym i czekać na cud, którego zapewne nie będzie.

Po powrocie do swojej pustelni kontynuuję rozważania nad teraźniejszością i przyszłością. Francuzi i Anglicy nam teraz na pewno nie pomogą. Skoro śpiące wojsko dawnych książąt pomorskich nie wyszło z Puckiej Góry wtedy, gdy cały naród stawiał zacięty opór, to i teraz nie wyjdzie, a zatem sami musimy sobie z najeżdżcą poradzić. Trzeba dać Niemcom do zrozumienia, że ich rządy na naszych ziemiach nie są wcale tak pewne. Trzeba przyhamować ich pewność i butę. Ale jak to zrobić? Jak się do tego zabrać?

Wyszedłem na spacer. Usiadłem na jednym z wielu głazów leżących na łąkach, zapatrzyłem się w mgliste chmury mgieł unoszących się nad bagnami i ołowianą taflą jeziora, a moje myśli jak niespokojne ptaki ulatywały do księżycy, to przenosiły się na ziemię, wracając do tej samej sprawy: jak to zrobić, by Niemcy nie czuli się u nas narodem panów?

Tego wieczora w mojej pustelni światło paliło się do późnych godzin nocnych. Zanim otworzyłem drewnianą walizkę, dokładnie sprawdziłem zaciemnienie okna. Z zewnątrz sprawdziłem, że ani promyk światła nie wydostawał się z pokoiku.

Ileż radości sprawiło mi wyjmowanie skarbów z drewnianego pudła. Najpierw rozłożyłem książki. Były tam podręczniki starszych klas szkoły powszechnej i gimnazjalne, trochę lektur, słownik polsko-francuski, atlas geograficzny, nieco beletrystyki i kilka zeszytów częściowo zapisanych. Z gazet znalazłem kilka numerów naszego gimnazjalnego pisma „Świt”, niepełny rocznik „Małego Przewodnika”, „Rycerza Niepokalanej” i kilka sierpniowych egzemplarzy „Dziennika Gdyńskiego”. Wśród materiałów harcerskich oprócz poradnika pierwszej pomocy było kilka numerów „Płomyka”. W tym czasie, szczególnie w mojej sytuacji, były to nieocenione skarby.

Oprócz książek i czasopism w walizce była rzecz znacznie cenniejsza, która miała mi zastąpić wszystkie gazety świata. W osobnym kartoniku były części potrzebne do zmontowania detektora, czyli małego radia na słuchawki. Były one dobrej jakości i w bardzo dobrym stanie. Miałem kilka dużych kryształków, oprawkę do nich, cewki na różne zakresy fal, dwa transformatoriki, gniazda, wtyczki, oporniki oraz kilkadziesiąt metrów dobrego, bo miedzianego drutu antenowego. Odnalazłem też dwie lampy wzmacniające. Nie było tylko płyty ebonitowej lub innej do zamontowania poszczególnych zespołów. Tę musiałem gdzieś zdobyć.

Na budowie detektora znałem się dość dobrze, bo byłem członkiem gimnazjalnego kółka radiowego. Mieliśmy własną pracownię w pomieszczeniach strychowych budynku gimnazjalnego przy ulicy Sobieskiego w Wejherowie, a nawet własną stację nadawczą, obsługiwaną przez radiowców-licealistów. Moja grupa budowała detektory wzmacniane lampami na prąd stały. Brakowało mi jedynie akumulatora.

Następnego dnia z rana rozpocząłem poszukiwanie odpowiedniej podstawki do zmontowania aparatu. Znalazłem ją, ale nie w zagrodzie cioci, a we wrzosowisku. Wpadł mi w ręce rozbity prawdziwy aparat radiowy. Zapewne zabrali go komuś z okolicy niemieccy artylerzyści. Akumulator też znalazłem w pobliżu, ale bez kwasu.

Po dwóch dniach aparat był gotowy. Już wcześniej odbierał kilka stacji, ale tylko niemieckie, a mnie przecież nie chodziło o ich paplaninę i samochwałę, lecz o rzetelne wiadomości. Do tego potrzebna była inna antena. Najpierw rozciągnąłem jedną pod szczytem dachu tak, żeby nie była widoczna. Późnym wieczorem na tej antenie złapałem stację nadającą w języku polskim, ale odbiór był słaby, mocno pulsujący, to znaczy, że przez pewien czas słyszało się w słuchawce głos dość wyraźnie, a po chwili uciekał i zanikał zupełnie. Następnego dnia rano rozwiesiłem drugą antenę w obórce. Po połączeniu obu anten uzyskałem dobry odbiór. Zorientowałem się, że była to stacja francuska. Nadawała kilka razy dziennie po polsku półgodzinne programy, a wieczorem o dziewiątej całodzienny serwis informacyjny, przerywany naszą polską muzyką ludową i patriotyczną.

Zmieniło to mój pustelniczy los. Teraz miałem aż za mało czasu na lekturę i słuchanie wiadomości z odległego świata. Słuchałem też radiostacji niemieckich, nadających w języku polskim i porównywałem z tym, co podawały stacje zachodnie. W ten sposób przekonałem się, jak hitlerowcy okłamywali swoich i podbite narody.

Cioci Tekli nie wtajemniczałem w te sprawy. Obawiałem się, że nie pogodzi się z zainstalowaniem urządzeń radiowych, wiedząc, czym to grozi. W razie jakiejś wspy lepiej, że o tym nic nie wiedziała, bo wówczas wina i odpowiedzialność spadały tylko na mnie.

Na detektor wielkości dużego pudełka od cygar znalazłem doskonałą skrytkę w szparze pomiędzy dwoma drewnianymi ścianami mojego pokoiku. Normalnie przestrzeń ta była wypełniona trocinami, którymi i teraz maskowałem pudełko. Wtyczki do anteny umieściłem za listwą okienną w niewidocznym miejscu. Trudno było znaleźć jakiegokolwiek ślady urządzenia radiowego.

Później złapałem jeszcze dwie stacje polskojęzyczne: angielską i jugosłowiańską. Najwyraźniejszy odbiór i najobszerniejszy serwis informacyjny podawała stacja angielska, więc jej słuchałem najczęściej.

Mogłem być zadowolony, ale tak wcale nie było. Cóż z tego, że w swojej samotni miałem bardzo wiele cennych informacji. Podtrzymywały mnie na duchu, zaspokajały ciekawość, ale człowiek ma to do siebie, że chce podzielić się informacjami, szczególnie tej wagi i chce przekazać je współobywatelom. Tego mi brakowało.

Czas mijał szybko. W grudniu władze okupacyjne przygotowywały się do spisu ludności. Sołtysi otrzymali książeczki meldunkowe, do których musieli wpisać wszystkie osoby zamieszkałe na terenie sołectwa. W Zbychowie został sołtysem rolnik, który pełnił tę funkcję za czasów polskich. Ludzie mieli do niego zaufanie i dlatego nie kryli przed nim swoich kłopotów. Ciocia po porozumieniu się z mamą zwierzyła się sołtysowi. Poradził, aby mnie zameldowała jako swojego kuzyna, którego na początku wojny ściągnęła do pracy w gospodarstwie. Tak też zrobiła.

Oznaczało to przełom w moim dotychczasowym położeniu. Od tej pory nazywałem się oficjalnie Radek Halman, a właściwie Hallmann, bo taką pisownię Niemcy kazali stosować. Nie urodziłem się w Cierzni, lecz w Zbriańcu za Bugiem, skąd pochodziła moja „kuzynka” Tekla Hallmann. Rodzice moi zostali zamordowani – tak miałem mówić – przez bolszewickich komisarzy, a więc byłem sierotą na utrzymaniu mojej krewniaczki.

Jako zameldowany mieszkaniec Zbychowa musiałem się zapisać na kurs języka niemieckiego, który okupacyjne władze oświatowe zamierzały zorganizować w szkole. Wymagano od wszystkich posługiwania się wyłącznie tym językiem. Pisanie w języku polskim również było zabronione.

Teraz nie musiałem się kryć. Do cioci Tekli kazano mi mówić tylko po imieniu. Zdarzało się, że mimo woli wyraz „ciocia” wylatywał mi z ust i wówczas trzeba było to jakoś łagodzić. Najczęściej robiła to za mnie sama Tekla, besztając mnie udawaną łamaną kaszubszczyzną:

– Jô cebie tu zarôzkę węcotkuje! Jem jô takô stôrô, że wëglądom na cotkę?

Pośmiano się i na tym się kończyło.

Nowe położenie było dla mnie wielką ulgą, bo przestałem pędzić żywot pustelnika. Ale co z tego. W Cierzni, a tym bardziej w rodzinnym domu pokazać się nie mogłem nadal. A człowiek bez domu, to jak pisklę bez gniazda. Ale i to było dobre, że bez obawy mogłem zaprząć konia, wywieźć obornik w pole, pojechać po drzewo do lasu i tam popatrzeć na okopy, zasieki, gniazda karabinów maszynowych, które miały powstrzymać kilka miesięcy temu, w krwawych dniach września, okrutnego wroga. Oglądałem też okaleczone lasy, dające świadectwo temu, że nie tak łatwo obrońcy Wybrzeża ulegli przemocy.

W dzień święto Bożego Narodzenia odwiedziła nas mama. Była całkowicie rozbita. Przed Gwiazdką zwolniono wielu zakładników, w tym zbychowskiego opiekuna społecznego. Ojca jednak nie było. Mama dowiedziała się od jednego z zakładników z Dębowej, który był przez pewien czas z ojcem w jednej celi, że tatę zabrali na początku listopada i wywieźli w nieznaną. „Nieznane” najczęściej oznaczało Piaśnicę, miejsce kaźni tysięcy Polaków.

Rzewnie popłakaliśmy oboje, bo lżej płakać w towarzystwie i lepiej znosić ból. Długo pocieszałem matkę, tuliłem do serca, choć we mnie wszystko lkało, a byłem bezradny wobec losu, który nas tak dotkliwie ugodził.

Tekla początkowo nam nie przeszkadzała. Po jakimś czasie dołączyła do naszego swój ból.

Jej mąż, dobry przyjaciel mojej mamy też nie wracał z niewoli i pewnie jeszcze długo nie wróci, a święta tuż, tuż. Radosne święta będą dla nas tak smutne. Łzy ulżyły wszystkim, ale nie zagoiły cierpienia. Cierpienie przeradzało się w jeszcze większą nienawiść do tych, którzy nam tyle cierpienia sprawili. Nie mogłem tego zrozumieć, że tak bez powodu i bez sądu zabijano niewinnych ludzi. To było po prostu morderstwo z premedytacją! I dzieje się to w cywilizowanym kraju, w kraju panów, jak mawiali o sobie Niemcy, którzy zapragnęli zawładnąć całym światem i wprowadzić nowe porządki, które oznaczały po prostu barbarzyństwo. Ogarnęła mnie jeszcze większa pogarda do tych katów. Takie traktowanie woła o pomstę do nieba. Równocześnie zdawałem sobie sprawę z tego, że niebo jej nie ześle. To my żyjący jesteśmy zobowiązani pomścić naszych najbliższych i wszystkich rodaków.

W Sylwestra o zmroku ktoś zapukał do drzwi na moim stryszku. Gwiżdże – pomyślałem odruchowo. – Nie, to niemożliwe tu na tym pustkowiu. Sięgnąłem po broń i ostrożnie otworzyłem drzwi. Zdebiąłem!

– Ludka, to ty?! – krzyknąłem z niedowierzaniem.

– A ja. Nie chce brat do siostry, to ona do niego.

Padliśmy sobie w objęcia. Długo się ściskaliśmy i, o dziwo, nie jej, lecz mnie popłynęły łzy. Jakoś się z nich nie śmiała, nie nazwała mnie babą, uważając to za rzecz normalną. Najpierw rozmawialiśmy o sobie, o tym, co słychać w Cierzni, co robi nasz braciszek i w końcu rozmowa zesłała na tatę. Wtedy popłakaliśmy się oboje.

– Tak długo dopytywałam się mamy o ciebie, aż powiedziała mi prawdę – wyjaśniła Ludka swoje niespodziewane odwiedziny na zbychowskich pustkach.

Zeszliśmy na dół do cioci. Ta też była mocno zaskoczona. Długo siedzieliśmy w trójkę, a po kolacji i po złożeniu sobie życzeń noworocznych udaliśmy się ponownie do mojej izby w towarzystwie cioci. Tu radziliśmy w trójkę, co należy czynić dalej, skąd oczekiwać wsparcia w tak okrutnym czasie. Naszym zadaniem co najmniej dziwne i niewytłumaczalne było postępowanie naszych sojuszników zachodnich. Minęły cztery miesiące i właściwie nic na zachodzie się nie działo. Wyglądało na to, że Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę tak dla żartu, że ich nic a nic nie obchodzi to, co oni tu w Polsce wyprawiają.

Ludka okazała się sprytną i rzeczowo myślącą dziewczyną. Mogłem jej w pełni zaufać. Wyczułem w jej postawie i wypowiedziach, że posiada wiele hartu, rozsądku i że pozbawiona jest lęku, jaki na ogół cechuje dziewczęta. Żal po ojcu zamienił się w niej w nienawiść do wspólnego wroga. Podzieliła mój pogląd, że spokojne wyczekiwanie nic nie da. Trzeba z wrogiem podjąć walkę, ale kto i jak ma ją prowadzić, jak ona ma przebiegać, tego jeszcze nie wiedzieliśmy.

– Chcesz posłuchać radia? – zapytałem po pewnym czasie siostrę.

– Radia? Ty masz radio?

Była zachwycona, szczęśliwa, rozpromieniona, że w czwartym miesiącu okupacji hitlerowskiej mogła w eterze usłyszeć polskie słowo, które dobiegało z daleka do umęczonej Polski, do uszu Ludostawy Okrój z Cierzni.

Ona pierwsza została wtajemniczona w zakazaną i niebezpieczną działalność. Była dumna, że mam do niej tak ogromne zaufanie.

– Te wiadomości trzeba upowszechniać – rzekła z przekonaniem.

– Masz świetny pomysł, Ludko! – pochwaliłem jej propozycję. – Że ja na to nie wpadłem.

Wierzyłem jej i ufałem. Wiedziałem, że taka roztropna dziewczyna nie piśnie nikomu

słowa. Przekazałem jej najnowsze wiadomości z teatru wojny, która po agresji na Polskę, jakby przycichła, nabierając oddechu do kolejnych etapów. Stwierdziliśmy, że Hitler teraz skieruje swe żelazne zastępy na wschód, przeciw Stalinowi.

– Ale z nas politykierzy – podsumowała Ludka na odchodnym nasze niebezpieczne rozmowy. Resztę nocy spędziła u cioci, a wczesnym rankiem wymknęła się z domu.

Ta wizyta stała się w moim samotnym życiu prawdziwym przełomem. Skonfrontowałem swoje poglądy i oceny z innym zaufanym człowiekiem i wiele z nich było podobnych i wspólnych. Mogłem się tej nocy zwierzyć z tego, co czynię, co myślę, co mnie nurtuje. Znalazłem partnera do rozważań nad dniem dzisiejszym i naszą przyszłością. Poczulem sens działania, choć nie wiedziałem jeszcze, w jakim kierunku iść trzeba.

W zimie rozpoczął się w szkole w Zbychowie zapowiadany kurs języka niemieckiego. Znajomość obcej mowy nigdy nie zawadzi i w tym przekonaniu z chęcią zabrałem się do tej nauki. Była jeszcze druga przyczyna, dla której bez oporów pomaszerowałem do szkoły. Chciałem spotkać się z rówieśnikami, porozmawiać i wysondować, co oni myślą i jak się czują pod okupacją hitlerowską. Byłem też ciekaw, jak odnosić się będzie do młodzieży polskiej niemiecki belfer, jak na jego słowa będą reagować młodzi mieszkańcy Zbychowa.

Poznałem wielu kolegów i kilka koleżanek, ale najbardziej zaprzyjaźniłem się z Władkiem, Brunkiem, Hubertem ze Zbychowa oraz Teodorem i Małgosią z Reszek. Najmłodsza z tego grona Małgosia miała 16 lat, a najstarszy był Brunek, bo już zbliżał się do dwudziestego roku życia. Wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Dziwili się, że choć pochodzę zza Buga, mówię świetnie po kaszubsku. Władek powiedział mi wprost:

– Antkiem zza Buga to ty nie jesteś, a raczej rdzennym Kaszubą.

Moi nowi koledzy mieli różne zainteresowania i jedno wspólne: łaknęli polskiej książki. Pierwszy tym marzeniem zdradził się Władek. Zapytał pewnego dnia, czy mam coś porządnego do czytania? Był to więc pretekst do rozmowy na temat lektur, niż chęć uzyskania książek. Szybko się zdradził, że ma dostęp do przedwojennej biblioteki szkolnej. Księgozbiór ten i prywatne książki nauczyciela ukrył przed Niemcami jego ojciec, a on przypadkiem odkrył tę kryjówkę. Wiele już przeczytał. Niektóre dzieła były dla niego za trudne. Szukał po prostu kumpla do rozgryzania ich treści.

Odważniłem się informacją, że posiadam duży zbiór książek i podręczników. Początkowo wymienialiśmy między sobą posiadane pozycje i każdy z nas czytał je z osobną. Jego bardzo interesowały podręczniki szkolne i gimnazjalne.

– Wiesz może byśmy czytali razem u ciebie, bo w naszym domu przebywają różni ludzie, a nie chcę narażać ojca na nieprzyjemne konsekwencje, a nawet podejrzenia.

Zgodziłem się i od tej pory przesiadywaliśmy często w pustelni na stryżku nad lekturą moich i jego książek. Wiele cennych egzemplarzy znalazło się w mojej skrytce, bo mogło się zdarzyć, że ojciec Władka zdecyduje zmienić miejsce przechowywania książek lub zechce pozbyć się niebezpiecznego skarbu. Władek męczył mnie przede wszystkim podręcznikami gimnazjalnymi, których treść w wielu przypadkach sprawiała mu trudności. Prosił mnie o pomoc w rozszyfrowaniu tych niejasności.

Tak mimo woli stałem się w jakimś stopniu jego wykładowcą, nauczycielem. Początkowo miałem tylko tego jednego ucznia. Był bardzo pojętym odbiorcą wiedzy, zdolnym „studentem”. Mnie to zajęcie też odpowiadało i wciągało coraz bardziej. Władek nazywał mnie niekiedy dla żartu „profesorem” i to mi pochlebiało, ale zarazem drażniło.

Wnet wciągnęliśmy do naszego grona kolejnych miłośników wiedzy. Dla nowych wymyśliliśmy coś w rodzaju przysięgi. Takie przyrzeczenie odbywało się w odpowiednim

nastroju, z pewnym ceremoniałem przy zapalanej świeczce. Kandydat do naszej „szkółki” kładł lewą rękę na „Panu Tadeuszu”, prawą podnosił do góry i jak w sądzie przysięgał, powtarzając ułożony przez nas tekst, najczęściej za Władkiem, bo on przeważnie werbował nowych uczniów. Tekst przysięgi był następujący:

Uroczycie oświadczam, że pragnę uczyć się języka ojczystego, literatury, geografii, przyrody i historii naszego kraju, jak również przedmiotów ścisłych. Przyrzekam, że z nikim nie będę rozmawiał na temat mojej przynależności do tajnego kółka samokształceniowego, będę ostrożny w obchodzeniu się z polską książką. Przysięgam, że nikogo z naszego grona nie zdradzę, nawet, gdyby miało mnie to kosztować życie. Tak mi dopomóż Bóg!

Ciocia Tekla, gdy do mojej pustelni zaczęło przychodzić coraz więcej młodych ludzi, objawiać zaczęła coraz większy niepokój. Kiedy prócz Władka, Brunka, Huberta, Stefana i Teodora w naszym gronie znalazł się Wiktor, Małgosia, Teresa, zaczęła podejrzewać nas o różne sprawy.

Jej niepokój był uzasadniony. Nasze schadzki były niebezpieczną grą, nie tylko dla jej uczestników, ale przede wszystkim dla niej.

Po naradzie z Władkiem postanowiliśmy nasze zajęcia dokształceniowe ograniczyć, po prostu przejść na system bardziej samokształceniowy. Wyłoniła się nowa trudność. Miałem tylko po jednym egzemplarzu podręcznika dla każdego przedmiotu, a „studentów” było ośmiu. Zaczęłem w oparciu o podręczniki sporządzać streszczenia tematów i coś w rodzaju konspektów, które kolejno przepisywali wszyscy członkowie zespołu.

– Oj, przydałaby się maszyna do pisania – pewnego dnia zauważył Wladek.

Rzeczywiście byłoby to rozwiązanie i dlatego zaczęliśmy się za czymś takim rozglądać. Były różne, mniej lub więcej realne sposoby zdobycia maszyny. Jednak przypadek zrzucił, że wnet zdobyliśmy upragniony sprzęt.

W lutym czy na początku marca przyszedł do Tekli podczas śnieżnej zawiei liczy z rozkazu władz gminnych zwierzęta domowe. Jej akurat nie było. Po spisaniu odpowiednich danych nieoczekiwanie zwrócił się do mnie z następującymi słowami:

– Powiedzki le mie, czemu ten Władzi tak do ciebie lôtô? Co?

– ?

– Co wa tu kómbinějeta? Ale jô chcę wiedzec prôwdę. Na mie tē doch mózesz bęc pwy.

Rzeczywiście, sołtysa mogłem być pewny, bo już przecież pomógł w bardzo ryzykownej sprawie. Jednak spojrziałem na niego pelen niepewności i wątpliwości. Był niemieckim sołtysiem. Zauważył to i dodał:

– Zaszkođzēc wama nie chcę, a pomoc wiedno mogę.

Racja. I tak miał mnie w swoich rękach. Gdyby chciał, na pewno gniłbym – w najlepszym przypadku – w jakimś więzieniu lub lagrze.

– Niech się dzieje co chce – burknąłem sam do siebie i zaprowadziłem sołtysa do mojego pokoiku na poddaszu. Jak już, to niech wie wszystko – pomyślałem.

Pokazałem sołtysowi moje urządzenia radiowe, moją biblioteczkę, konspekty, zeszyty i to wszystko, co zgromadziłem w mojej pustelni. Objąsniałem, co i jak. Mimochodem wspomniałem też o maszynie do pisania.

– To je ta całô tajemnica – powiedział sołtys i dodał: – Na co wa sę, knôpi, da? – z głęboką troską wypowiedział te słowa.

– Mě jesmě terôzkę w waszych rękach – powiedziałem z pokorą.

– Widzę, że jô tu nic nie scygnę i moja gôdka na nic sę zdô. Uważita na se, to nie są zódné hi, hi, a baro smierdzáčô sprawa. Oj, uważita, uważita.

Sołtys udzielił mi wielu cennych rad i wskazówek. Żeby uniknąć u postronnych osób podejrzenia, żeby nie zbierać się tylko w jednym miejscu, zaproponował co jakiś czas również spotkania u siebie. Zapewni nam spokój i dyskrecję.

– Wa, kursancę, muszita się od czasu do czasu zéć, żebë razę lepi uczęc się miemieckiego. I dodał: – Pamiętita, że uczita się miemieckiego.

Gdy chodzi o maszynę do pisania, poradził, aby zebrać na jej zakup pewne fundusze, a on wystawi odpowiedni kwitek, którego okazanie umożliwi jej nabycie w jakimś komisie czy sklepie naprawczym za niewielkie pieniądze. Oczywiście chodzi o maszynę używaną, bo na nową potrzebne jest pismo z gminy.

Odchodząc położył pięć marek na stole ze słowami:

– To je zadatk na tę maszynę. Tej le so uczta. Polskô będe brëkowa mądrëch lëdzy.

Nie żałowałem tego, co zrobiłem. Do tej pory chodziłem z głęboką i ukrytą w sercu niepewnością, czy robię słusznie, narażając grupę młodzieży i ich rodziców nawet na śmierć. Zdawałem sobie sprawę, że w razie wpadki Niemcy nie zemszczą się tylko na nas, ale na rodzinach i wszystkich mieszkańcach tej okolicy. Gdy teraz uzyskałem akceptację u rozsądnego człowieka, nabrałem pewności, że to, co robię, jest słuszne.

Z moją gospodynią postanowiłem zagrać w te same karty. Zaprosiłem ją na jedno z naszych spotkań. Na wstępie zobrazowałem na postawie ostatnich wiadomości radiowych sytuację polityczną i militarną na świecie. Oczywiście, nie powiedziałem, skąd mam te informacje. O istnieniu radia wiedziały tylko cztery osoby: Władek, Ludka, sołtys i ja. Następnie przeprowadziłem lekcję historii w oparciu o wcześniej zadane streszczenia. Po „wykładzie”, odpowiedziach na postawione pytania, po dodatkowych wyjaśnieniach, wszyscy zapisali do zeszytów odpowiednie wnioski. Mniej więcej w ten sam sposób przeprowadziłem lekcję geografii. Później dyskutowaliśmy nad lekturą, którą wszyscy zdążyli już przeczytać. Chodziło o powieść „Znachor”. Na zakończenie podałem tematykę następnego zajęcia, które za tydzień miało odbyć się u Malgosi w Reszkach.

Zaproponowałem Tekli udział w następnych spotkaniach, co ją bardzo usatysfakcjonowało, tym bardziej, że wszyscy prosili ją, by zapisała się do naszego kompletu tajnej nauki. Teraz prosiła, by spotkania organizować jak najczęściej u niej, bo trudno byłoby jej zostawić dom i wędrować z młodymi do Zbychowa lub Reszek.

Kolejnym słuchaczem „ludowego uniwersytetu”, jak to nazwał nasze spotkania samokształceniowe, stała się moja siostra Ludka. Zrządził to przypadek. Pewnego mroźnego wieczoru odwiedziła mnie akurat w czasie naszych zajęć. Tekla poszła sprawdzić, kto puka do drzwi wejściowych, a następnie powiedziała mi na ucho, że to Ludka. Bez zastanowienia powiedziałem, że niech wejdzie na górę. I tak przybył nam nowy i to bardzo pilny „student”.

Ziemię kaszubską ogarnęło przedwiośnie. Radosna to pora, ale tego roku przyćmiona była mrokiem okupacji. Ludzie chodzili przygnębieni, wylękli, niepewni jutra. W wielu domach gościła żaloba po stracie najbliższych. Cały naród oplakiwał nieszczęścia spowodowane klęską wrześniową. Narastała krytyka tych, co zapewniali, że Hitler nie jest dla nas groźny i szybko sobie z nim poradzimy. Stało się inaczej. Opuszczeni przez wszystkich wyczekiwaliśmy cuda.

Zmiany w przyrodzie następowały nieubłaganie. Dnie były coraz dłuższe, a ziemia czekała na ludzki trud. Nasze spotkania organizowaliśmy teraz najczęściej raz w tygodniu i to w niedzielne popołudnia, by nie włączyć się ryzykownie nocami i pomagać dorosłym w wiosennych pracach na roli. W niedzielę wszyscy mieli więcej czasu i nie musieli tłumaczyć się z tego, gdzie i po co wychodzą. Uzasadnienie naszych schadzek tym, że odrabia-

my wspólnie zadane na kursie języka niemieckiego prace, nie wszystkim się podobało. Ta gorliwa nauka zniechęcającego języka drażniła dorosłych.

Co za przesadna pilność, zastanawiało się wielu. Niemcy przewrócili im w głowach, skarżyli się między sobą. Niedługo wdziewają mundurki Hitlerjugend, obawiali się niektórzy.

Moi przyjaciele kursanci pokończyli najwyżej cztery klasy szkoły powszechnej, bo po wioskach były tylko czterowydziałowe jednoklasówki, najczęściej z jednym nauczycielem. Byłem uczniem gimnazjum, a więc poziomem wiedzy przewyższałem rówieśników. Nie znaczy to wcale, że byłem od nich mądrzejszy. Na przykład o metodach nauczania nie miałem zielonego pojęcia.

O schyłku pewnego wiosennego dnia Władek przywłókł plik książek, które odkrył w nowej skrytce. Nosily mądre tytuły: „Pedagogika ogólna”, „Metodyka nauczania w klasach niższych szkoły powszechnej”, „Dydaktyka”, „Metody nauczania na kursach dla dorosłych”. Zabrałem się do ich lektury. Treść tych książek była trudna, ale mimo to wiele mi pomogły w „nauczycielskim” zajęciu.

Od końca grudnia 1939 roku utrzymywałem kontakt listowy z moim nauczycielem ze szkoły powszechnej, który dostał się na Półwyspie Helskim do niewoli, a obecnie jako jeńiec pracował u bauera na gospodarstwie w Meklemburgii. Przez kwiatki kierowałem do niego w listach zapytania i pewne wątpliwości w sprawach nauczania, prosząc o ich wyjaśnienie. Również przez kwiatki otrzymywałem porady do trudnej sztuki nauczania. Pisałem na adres bauera, by uniknąć często stosowanej przez władze niemieckie kontroli przesyłek.

W marcu zorganizowałem zbiórkę pieniędzy na maszynę do pisania, tak potrzebną w naszej pracy. Zbliżała się wiosna i zdawałem sobie sprawę z tego, że nasze kontakty ze względu na pilne prace w gospodarstwach rolnych muszą być nie tylko rzadsze, ale i lepiej przygotowane. Wiedziałem, że bez maszyny będzie to trudna sprawa, wręcz niemożliwa do przeprowadzenia. I mój czas będzie ograniczony, bo przecież już wkrótce, razem z bocianami zawita pod nasz dach nowy człowiek. Tekła siłą rzeczy musi jemu poświęcić więcej uwagi i czasu, a na mnie spadną wszystkie obowiązki związane z prowadzeniem gospodarstwa.

Uprosiłem moją gospodynię, że kilka razy pożyczę konia na zrywkę kopalniaków w lesie. Do tego zajęcia nadaje się tylko zaprzęg jednokonny. Zgodziła się pod warunkiem, że zatrzymam cały zarobek. Zdawała sobie sprawę z tego, że potrzebne mi są pieniądze na przybory do pisania, jak: papier, kalki, zeszyty, tusz, pióra i inne.

Ja i moi koledzy zebraliśmy tyle pieniędzy, że starczyło na maszynę, na świecę, karbid, zapalki i inne drobiazgi. Naftę było coraz trudniej zdobyć, a produkcją karbidówek zajmowały się tylko złote rączki, których w naszym gronie nie brakowało. Pozostało jeszcze kilkadziesiąt marek we wspólnej kasie na dalsze nieprzewidziane wydatki.

Pierwsza okupacyjna wiosna. Wiosna jak poprzednie, a jakże inna od tych dawnych. Wciąż nowe nakazy i zakazy, okupant stosuje krwawy terror. Ustalono kontyngenty zbóż, zwierząt rzeźnych, jaj, wełny. Wprowadzono obowiązek dostawy mleka do punktów skupu, zakaz dostawy domowego wyrobu masła, a ubój inwentarza żywego mógł się odbyć wyłącznie za asygnatą władz gminnych. Coraz więcej urzędników niemieckich i również szpicli nasyłano na nasze wioski. Wszędzie, nawet w domu obowiązywał język niemiecki. Kto wszakże tego zakazu przestrzegał? Niejeden oberwał guza za używanie ojczystego języka, ale dalej mówił po kaszubsku. Konfidenci i szpicle podsłuchiwali pod oknami. Zdarzało się, że pół wioski wzywano do gminy i karano mandatami za używanie własnej mowy.

Dzień 3 maja 1940 roku wstał rześki, piękny, wyjątkowo wiosenny, ciepły i czysty, bo splukał go nocny deszcz, ozłociło słońce, umaili zielone listki brzoź i agrestów, przyozdobiły kotecki wierzb i żółte girlandy leszczyn. Ptaszeta już wczesnym rankiem rozpoczęły swój wiosenny koncert.

Wstałem prawie równo ze słońcem, by jak najprędzej wykonać poranne obrządki. Dzień przecież dla Polaków świąteczny dzień, rocznica Konstytucji 3 Maja. Ponieważ w tym dniu, mimo nakazu władz okupacyjnych nikt prawie nie podjął pracy w polu, poprosiłem na popołudnie moich towarzyszy na spotkanie. Postanowiliśmy wspólnie świętować. Dla bezpieczeństwa wystawialiśmy na sąsiednim pagórku w gęstych krzakach czujkę, aby obserwowała okolicę, zwracała uwagę na ewentualnych nieproszonych gości.

Po śniadaniu wypędziłem w Stręgi nasze stadko owiec, bo na krówki było jeszcze za wcześnie. Na łąkach i pastwiskach, które ciągnęły się od Pińsk wzdłuż strumyczka Zbychowska Struga aż po samo Zbychowo, wyraźnie się zazieleniło. W krzakach zakwitły zawilce, na nasłonecznionych zboczach przylaszczki, a nad strugą pierwsze kaczeńce. Majestatyczne jałowce, przez cały rok zielone, modliły się do płaczących, nakrapianych zielenią brzoź. Żarnowce, przez całą zimę przytłoczone do ziemi zwałami śniegu, teraz prostowały swe delikatne pędy i podjęły rywalizację z jeżynami o dostęp do słonecznych promieni. Skowronek zapamiętałe śpiewał radosne trele w dzień polskiego święta.

Ach, ty wiosno, wiosno! Jaka byłabyś piękna – pomyślałem – gdyby nie ta zmorenia, jarzmo okupacyjne!

Ale głowa do góry! Zaczęło się coś dziać. Od trzech tygodni trwa inwazja na Danię i Norwegię, lada dzień spodziewana jest niemiecka agresja na inne kraje, przypuszczalnie na Rosję. Na te poczynania Hitlera nasi sprzymierzeńcy nie mogą już patrzeć obojętnie, muszą ruszyć do boju.

Małgosia przysłała na dzisiejsze spotkanie w letniej, kwiecistej sukience i czerwonych zgrabnych bucikach. Swe długie, ciemne warkoczki od święta rozpuściła szeroko na ramionach. Kosmyki kręconych loczków opadały na jej błękitne źrenice, dodając rumianej buzi uroku. Odgarniała je od czasu do czasu zgrabnymi palcami, a one uparcie wracały, przysłaniając ciemne, delikatne brwi.

– Cześć – szepnęła zalotnie i pozdrowiła wszystkich ręką.

Kochałem się w tej dziewczynie od naszego pierwszego spotkania w zbychowskiej szkole. Ona – zdaje mi się – odwzajemnia się nadobnym. Dyskretnie, kiedy byłem czymś zajęty, zerkala na mnie, czasami przyglądała się z lubością. Czuję na sobie jej miły wzrok, a obserwator mógłby powiedzieć: ci dwoje mają się ku sobie.

Dziś jej krótkie powitanie ozdobione miłym uśmiechem tak chwyciło mnie za serce, że chyba bardzo widoczny rumieniec wybił się na jej twarzy.

– Cześć, Małgosiu! – i na tym się skończyło. A chciałem jej jeszcze wiele powiedzieć: że jest ładna, że ma piękne oczy i włosy, śliczny głos i w ogóle... że jest kochana.

Spotkanie było bardzo miłe. Śpiewaliśmy pieśni patriotyczne z hymnem narodowym włącznie. Ludka, która też przysłała na spotkanie, niespodziewanie zadeklamowała nam piękną balladę o polskim orle i kaszubskim gryfie. Przypomniałem zebranych wydarzenia historyczne związane z dzisiejszą rocznicą. Później przeszliśmy na pieśni ludowe i te szkolne z niedalekiej przeszłości, a przed rozejściem się, jak to w tradycji Kaszubów bywa, zaśpiewaliśmy marsz Derdowskiego:

Tam gdzie Wisła od Krakowa
W polskie morze plinie,

Polskô wiara, polskô mowa
Nigdë nie zadżinie.

Nigdë do zgubë
Nie przindą Kaszubë,
Marsz, marsz za wrogem,
Më trzimómë z Bogem.

Przeszedł 10 maja, dzień kolejnej agresji. Pan sołtys, który od czasu do czasu mnie odwiedzał, by zdobyć najnowsze wieści ze świata, określił to wydarzenie powtórką z pierwszej wojny światowej. Armie hitlerowskie zaatakowały przez Holandię i Belgię naszego sojusznika Francję. Ominięto rozreklamowaną Linję Maginota. Do walki z najeżdżącą obok wojsk francuskich i angielskich stanął korpus ekspedycyjny naszego wojska, uformowany z inicjatywy generała Władysława Sikorskiego. Francuzi, jak się później okazało, niewiele dłużej od nas stawiali opór agresorom.

Ponieważ informacje prasy i radia niemieckiego coraz bardziej odbiegały od wiadomości podawanych przez radio londyńskie, zaistniała konieczność prostowania hitlerowskich kłamstw. Radio francuskie zamilkło teraz zupełnie z uzasadnionych przyczyn.

Długo zastanawialiśmy się, jak te niemieckie fałszerstwa prostować. Początkowo drukowaliśmy z Władkiem coś w rodzaju ulotek tylko na nasze potrzeby, to znaczy dla członków naszego zespołu. Później robiliśmy ich więcej i z wielką ostrożnością zostawialiśmy przy nadarzającej się okazji po kilka sztuk w kościołach w Redzie, Kielnie, Rumi, a od czasu do czasu na dworcach kolejowych, słowem tam, gdzie przebywało więcej gości. Na naszym terenie ulotek nie rozpowszechnialiśmy, by Niemcy nie wpadli na nasz trop. Drukowanie ulotek szło nam początkowo opornie, ale z biegiem czasu opanowaliśmy z Władkiem tę sztukę.

Maszyna do pisania stała się w ten sposób małą drukarenką konspiracyjną, a nasze ulotki spełniały rolę informatora wydarzeń w Europie i na całym świecie, zastępując prasę podziemną. Powstał mały zespół redakcyjny, w którym nastąpił pewien podział czynności. Na podstawie informacji podawanych przez radio „bum bum” – tak nazywaliśmy z Władkiem stację angielską ze względu na jej sygnał wywoławczy – redagowałem i pisałem na maszynie w pięciu odbitkach ulotki, a Władek zajmował się ich kolportażem. Ludka, gdy wpadała na moje poddasze, uczyła się pisać na maszynie.

Ludzie przynosili coraz bardziej niepokojące wieści. W miastach władze okupacyjne wypędzały Polaków z mieszkań, a na wsi wyrzucano zamożniejszych gburów kaszubskich z ich gospodarstw. Mieszkania w miastach zajmowali niemieccy urzędnicy, a gospodarstwa przydzielano Volksdeutschom i Bauernführerom, którzy pilnowali na naszych ziemiach hitlerowskiego ordnungu, czyli pruskiego porządku. Naszą polanę jak dotychczas Niemcy omijali, zapewne dlatego, że przeważały tu niewielkie gospodarstwa, gleby były nieurodzajne, a zabudowania nie najlepszej jakości.

A czas płynął – tak mi się zdawało – bardzo szybko. Po pracach wiosennych nastal czas jagodobrania, w czym zaangażowane były przede wszystkim kobiety i dzieci. Jagody wożono na sprzedaż głównie do gdańskich przedmieść. Rolnicy brali oddech przed trudnym okresem sianokosów i żniw zbożowych.

Byłem stale zajęty konspiracyjną robotą. Ludzie wprost szukali naszych ulotek. Niemcy jakoś na trop tej podziemnej „prasy” nie trafili. Od czasu do czasu wpadał do mnie Władek, rzadziej siostra i wtedy praca posuwała się szybko do przodu. Sołtys zamówił z

każdego wydania kilka egzemplarzy. Co z nimi robił, nigdy się nie dowiedzieliśmy. Tekla też czekała z niecierpliwością na nowe wydanie naszych pisemnych informatorów.

Rozdział 9

Wierni tradycji

– A może zorganizujemy sobótki? – zaproponował któregoś dnia Władek.

– Masz rację, trzeba dać młodzieży rozrywkę, a starszych oderwać od narastających trosk i obaw o przyszły dzień. Nie wolno nam też zapomnieć starych obrządków przodków mimo panowania hitlerowskiej niewoli.

Postanowiliśmy więc urządzić w tym roku sobótkę na zbychowskiej Szuchmance, wzniesieniu, którego zbocza porośnięte są krzakami żarnowca. Położone jest ono w połowie drogi między wsią i zbychowską leśniczówką. Zaangażowaliśmy do przygotowań, po porozumieniu z sołtysem, prawie wszystkich kursantów i młodzież starszą. Dla świętego spokoju poprosiliśmy o zezwolenie na nią u nauczyciela, który z pewnymi oporami zgodził się sprawę załatwić w gminie i u rejonowego żandarma. Przysłał na naszą propozycję, bo na kursie dał do zrozumienia, że jest miłośnikiem starych zwyczajów i obrządków, oczywiście germańskich. Zgodnie z życzeniem nauczyciela patronat nad sobótką powierzyliśmy straży pożarnej, w której byli swoi ludzie.

Przed wigilią św. Jana zwieźliśmy na Szuchmankę sporo chrustu i trochę smołowanej papy z rozbitej podczas działań wojennych szopy Kowalskich. Zdobyliśmy też garnek smoły, który zamiast tradycyjnej beczki został umieszczony na wysokim drągu wkopanym w ziemię. Miejsce sobótki obłożyliśmy polnymi kamieniami.

W wieczór świętojański zebrała się przy ognisku cała młodzież i dzieciarnia wiejska, mająca przyzwolenie nauczyciela na udział w sobótkce. Rodzice zatem bez obawy posłali swoje pociechy na prastary obrządek sobótkowy. Później przybyło też sporo dorosłych z sołtysem na czele. Na kilkanaście minut wpadł na sobótkowe wzgórze nauczyciel w mun-

durze SS. Jemu sołtys powierzył podpalenie przygotowanego stosu, co przyjął z widoczną satysfakcją. Potem odjechał rowerem w kierunku Gniewowa, gdzie nadleśniczy organizował podobną imprezę, ale w stylu niemieckim. Zbychowski nauczyciel wywodził się z mniejszości niemieckiej zamieszkałej od lat na Kaszubach. Ukończył polskie Seminarium Nauczycielskie w Wejherowie i dlatego znał język polski lepiej od niemieckiego. Przed wybuchem wojny pracował jako nauczyciel w Redzie. W sierpniu ubiegłego roku uciekł do Wolnego Miasta Gdańska, by tam zgodnie z nakazem partii politycznej Rzeszy, zasilić szereg „Danziger Heimwehr”, znanej dobrze obrońcom Wybrzeża.

Uroczysty wieczór rozpoczął się od ceremoniału zapalenia pochodni, a przy jej pomocy smoły we wspomnianym garnku na wysokiej żerdzi. Tę czynność wymagającą dużej sprawności fizycznej, powierzono doświadczonemu przodownikowi sobótkowych obrzędów, Leksowi z Ródkowi Budē. Obrzędowi towarzyszyły sobótkowe śpiewy. My, kursanci, podłożyliśmy specjalne, ułożone przez nas słowa, pod znaną melodię „Śpiew zakochanych”. Kiedy sobótkowi goście już się rozśpiewali i zapanowała odpowiednia atmosfera, swojski nastrój, zaśpiewaliśmy:

Wēsoko, daleko,
listczy są na klónie,
chtěž mie požājuje
tu w ti cězy strónie?

Miemicczi esmani
Měmkę skatowalē,
na stracēniē w lasē
ojca tēž zabralē.

Że Miemców wěgnają
wiatr mie powiódō,
że bądzemē wolny
ptōszk na brzōzce gōdō.

W czasie wykonywania tej piosenki bacznie obserwowałem zebranych tu zbychowian. Byłem ciekaw, jak zareagują na słowa wymierzone przeciwko okupantowi. Początkowo widać było zdumienie i pewien przestach, ale później przyjęli je normalnie, z widoczną aprobatą, a niektórzy próbowali je powtarzać.

Po satyrycznej piosence ktoś zanucił kolejną o zielonej łączce i modrym kwiecie, którą wnet wszyscy i tak popłynęły rodzime melodie jedna za drugą, a echo powtarzało je na przekór złej rzeczywistości. Niektórzy próbowali w kaszubski tekst tych piosenek wplatać urywki satyryczne, wymierzone przeciwko okupantowi. Pieśni jak dawniej jednoczyły zebranych, budziły nadzieję, że zło, które ogarnęło ziemię kaszubską, wnet przeminie i wróci nasza Polska.

Nastał czas żniw. Dorodne żytnie kłosa chyliły swe wąsate głowy, dopominając się w ten sposób o kosiarzy, grabiarzy, woźniców, o zżęcie, powiązanie w snopki, zwiezenie do zagród. Wypieczone słońcem, wymyte deszczem i rosą, wyhuśtane wiatrem chciały na zasłużony odpoczynek do chłopskich stodółek.

Skończyłem już 18 lat i wziąłem się tego roku na dobre do kosy. Prawie sam skosiłem łąny Tekli. Pod koniec pomógł mi Władek, bo jego rodzice mieli niewielkie gospodarstwo,

a w domu było aż trzech chłopów. W powiązaniu półkosków pomogła nam Małgosia, która dość często odwiedzała Teklę. Byłem z tych odwiedzin i pomocy rad, bo tęskniłem do niej, a okazji do „szkolnych” spotkań latem było niewiele, gdyż na okres najpilniejszych prac polowych zawiesiliśmy nasze zajęcia w komplecie tajnego nauczania.

Ciocia Tekla towarzyszyła nam dwojgu tylko dorywczu, bo dzieciaka trzeba było dopilnować, nakarmić i wszystkim strawę ugotować. Będąc sami, rozmawialiśmy swobodnie o wszystkim i o niczym. Od czasu do czasu gawędziliśmy też o sprawach poważnych, takich jak nasza zbiorowa przeszłość i przyszłość nas samych. Małgosia niekiedy wyrażała obawę o mój los. Niechby się cokolwiek wydało o tym tajnym słuchaniu radia, o kolportowaniu ulotek, o nauczaniu polskiej młodzieży. *Aż strach pomyśleć, co by się stało.*

Staralem się prędzej przejść swój pokos, by ukochanej pomóc w związaniu choć kilku snopków. Wtedy spotkaliśmy się na tym samym pokosie i udawaliśmy, że o ten ostatni snopek należy się potargować. Ja go najczęściej wiazałem, a ona próbowała mi go wyrwać jako swoją część roboty. Podczas tej szamotaniny czułem zapach jej włosów splecionych w grube i długie warkocze i muśnięcia o me czoło owych kręconych loczków. Niekiedy braliśmy się za ręce i tańczyliśmy nad nie związanym jeszcze snopkiem, zwanym u nas bęksem. Śmiechu było wiele, radości jeszcze więcej. Byłem wówczas bardzo szczęśliwy.

Żniwne dni, jak wszystkie radosne chwile, szybko minęły. Martwiłem się pracami polowymi mojej mamy. Tam nie było komu kosić, a mnie wciąż zabraniano przyjść do domu. Dobrze, że nasze żyto położone jest w bezpośrednim sąsiedztwie lasów i dojrzewa dość późno. Ze zmartwienia uwolnił mnie Władek, który powiedział:

– Pomogłeś nam w uzbicie, to dlaczego nie mielibyśmy ci pomóc teraz? Zwołam chłopów i rankiem zetniemy wszystko!

Tak, to rozwiązanie, chyba jedyne w tej sytuacji – pomyślałem.

Dwa poranki od wschodu słońca do godziny ósmej i było po wszystkim. Stałem się kosić pośrodku młodych kosiarzy, żeby przypadkowy obserwator nie mógł mnie tak szybko rozpoznać. Jedzenie przyniosła nam wtajemniczona w całą sprawę Ludka. Po śniadaniu wsiadaliśmy na rowery i hajda do domów, żeby rodzice pomocników nie mieli pretensji o to, że ich synowie włączą się gdzieś po cudzych polach.

Dożynki, czyli kaszubskie ożniwinie odbyły się w Reszkach zgodnie ze starą tradycją, ale nie tak, jak za spokojnych czasów w lesie na placu opodal leśniczówki Zbychowo, ale przed szkołą na rozległym dziedzińcu. Reszki nie miały nauczyciela, stąd młodzież z tej wsi uczęszczała do szkoły w Zbychowie. Na zabawę w lesie musiały zezwolić władze niemieckie i gdyby się nawet zgodziły, to obecny byłby żandarm, a tego nikt nie chciał.

Dożynki były dość skromne i wiele tradycyjnych obrzędów opuszczono. Nie było plecionego ze słomy bęksa albo stręcha, nie było dożynkowego pochodu, długich oracji i palenia zymkowi biędę. Ale dziewczęta uwiły kilka wspaniałych dożynkowych wianków. Wianek od naszego zespołu uplotła Małgosia przy pomocy koleżanek. Ozdobiony był kwiatami i wstążkami białymi i czerwonymi, a w jego zwieńczenie wkomponowany został gryf kaszubski. Goście z uwagą przypatrywali się wiankowi i wielu odczytywało właściwy sens dekoracji. Uśmiechali się do nas przyjaźnie. Na te okupacyjne dożynki przygotowałem się solidnie, to znaczy, że nauczyłem się... tańczyć. Tak, tańczyć! Pomagała mi w tym moja gospodyni i zarazem ciocia oraz stary pożyczony od Władka gramofon. Zabrałem się z zapalem do ćwiczeń, bo jakoś poprawnie chciałem zatańczyć z Małgosią. Do tej pory traktowałem taniec jako coś nieprzydatnego.

I na tych dożynkach zatańczyłem. Pierwsze kroki były nieśmiałe i stąd niezdarne, ale szybko oswoiłem się z nową partnerką i walca tańczyliśmy zupełnie poprawnie. Oberek

szedł mi nieco gorzej. Sam to odczuwałem, a Małgosia ze śmiechem mnie krytykowała:

– Co tak podskakujesz? Rzucasz się jak młody żrebak.

Gdy jednak wyjawilem, że tańczę pierwszy raz publicznie, pochwaliła mnie, że jak na początek to radzę sobie zupełnie dobrze, a oberka da się doszlifować.

Na dożynki przysłała też moja siostra i wielce się zdziwiła, że proszę ją do tańca, bo przecież wiedziała, że tej sztuki jeszcze nie posiadałem. Śmielej zabrała się za mnie i po godzinie tańczyłem w miarę dobrze również oberka. Byłem zadowolony z pierwszej praktycznej prezentacji swoich umiejętności.

– Nie święci garnki lepią – chwaliłem się, gdzie tylko mogłem.

Dożynki musiały się skończyć równo z zachodem słońca. Taki nakaz z gminy otrzymał reszkowski sołtys. Po zakończonej zabawie Małgosia zaprosiła mnie z Ludką do swojego domu. Jej matka poczęstowała nas zniwnym ciemnym piwem własnej roboty. Rozmawialiśmy dość długo. Przed odejściem Małgosia przyniosła na drogę kilka soczystych gruszek. Odprowadziła nas na górujące nad Reszkami wzniesienie zwane Gojkową Bliżą, wokół którego ciągnęły się pasma okopów, które jesienią ubiegłego roku wykopali mieszkańcy okolicznych wsi z nadzieją, że pomogą powstrzymać Niemców. Wiedziałem, że tego wzniesienia bronili strzelcy z kartuskiego IV baonu Obrony Narodowej.

Usiedliśmy na brzegu wielkiego skupiska głazów i kocich łbów, zwlekanych na szczyt wzniesienia przez całe wieki z okolicznych pól. To rumowisko przypominało mi świętokrzyskie gołoborza, o jakich w szkole powszechnej na lekcjach geografii mówił nauczyciel. Przed nami ścieliła się małownicza dolina Zbychowskiej Strugi. O niepełnym zmroku, w świetle księżyca w pełni, widzieliśmy, że dolinę otaczają liczne zagajniki podobne do naszych w Sztębowi Reji, gdzie parę lat temu pasłem bydelko i podziwiałem plantacje przez nikogo nie sianych jerków, kępy wrzosów, pola jeżynowe, bardzo dokuczliwe dla bosych nóg. Ze wzniesienia widzieliśmy w kierunku północnym sylwetkę potężnego głazu, osadzonego na przeciwległym zboczu Stręgów, którzy okoliczni mieszkańcy nazywali Diabelskim Kamieniem. Z lekko zamglonej doliny dochodził zapach różnorodnych ziół, rozkoszny świergot jakiegoś nocnego ptaka. Siedzieliśmy przytuleni w trójkę, wsłuchując się w wieczorne odgłosy przyrody.

Po przeciwnej stronie polany kąpały się w blaskach zórz dwa sąsiadujące ze sobą szczyty Puckiej Góry. Zdawało nam się, że łyse wzniesienia pod Nowym Dworem płoną podobnie jak otaczające je rozległe lasy. Zgasły blaski i złudzenia, tylko gasnąca zorza przypominała, że słońce nie odeszło na zawsze i wróci po kilku godzinach z przeciwnej strony nieboskłonu. Nadchodziła krótka, letnia noc.

– Żegnajcie, dziewczęta – powiedziałem i wstałem do odejścia.

– Do widzenia i dobranoc – odpowiedziały obie.

– Wspaniale było – stwierdziłem z przekonaniem na odchodnym.

Małgosia odprowadziła Ludkę gdzieś pod Piński, a ja zadowolony z udanej imprezy i szczęśliwy ze spotkania z siostrą i miłą dziewczyną pomaszerowałem w Nowiny, do czekających na mnie obowiązków i do mojej samotni na stryszku.

Od dłuższego czasu rozważaliśmy z mamą i siostrą możliwość mojego powrotu do domu. Wiele powodów przemawiało za tym, ale dwa nie pozwalały podjąć ostatecznej decyzji. Żandarmeria od czasu do czasu podejrzanie węszyła w Bieszkowicach i Cierzni. Jednak groźniejsi wydawali się Niemcy od dawną zamieszkali i ich sługusi. Nie można też zostawić na łaskę losu cici Tekli z jej małym synkiem.

Władek odwiedzał mnie często. Był ciekaw, co za wieści płyną eterem ze słuchawek detektora. Gdy pozwalał czas, prowadziliśmy długie dysputy na różne tematy: i te zwy-

czajne, chłopięce o gołąbkach, królikach, i te intymne o dziewczynach, o miłości, ale najczęściej o sprawach najważniejszych, dotyczących naszej sytuacji. Rozważaliśmy metody przeciwstawiania się okupantowi. Dochodziliśmy do wniosku, że należy walczyć różnymi sposobami.

Mocno niepokoiły nas podboje wojsk niemieckich w Europie i bezsilność wszystkich zaatakowanych państw. Usprawiedliwiała to w jakimś stopniu krótkotrwałą polską kampanię wrześniową, ale zarazem wzbudzało niepokój. Zastanawiało szybkie zdobywanie przez Rzeszę coraz większych połaci Europy. Czy naprawdę siła militarna Niemiec i ich sojuszników jest tak duża? Czy naprawdę są niepokonani?

– Uczymy się, wertując książki, dyskutujemy, ale co to nam w tej chwili daje? – zastanawiał się Władek. – My i tak nie mamy żadnego wpływu na to, co się wokół nas dzieje.

– Może masz rację, ale niezupełnie. Uważam, że obecnie najważniejsze jest przetrwanie. Należy przetrwać i być przygotowanym do walki. Oto hasło dnia dzisiejszego – staralem się podnieść na duchu mojego najlepszego przyjaciela.

– Ale to nie wszystko. Aby nasze życie nie biegło tak beczynnie, bez sensu, należy coś robić, coś działać.

– Widzisz – przekonywałem go – ja przerwałem naukę w gimnazjum, ty naukę zawodu. W naszych życiorysach nie mogą powstać puste kartki. Gdy wojna się skończy, nie będzie czasu zaczynać wszystkiego od nowa.

Ni stąd ni zowąd wpadł nam do głowy zaskakujący pomysł. Zaczęliśmy się uczyć na gwałt języków i geografii. Opętała nas myśl ucieczki z kraju na zachód, do Anglii, do powstałego tam polskiego wojska. Co rusz w naszych planach zmienialiśmy trasę ucieczki, więc studiowanie szlaku odbywało się od nowa. Było w tym wiele chęci, jeszcze więcej fantazji, choć nie wiedzieliśmy, jak ten pomysł urzeczywistnić. Zapal powoli stygł, aż wygasł zupełnie.

Czas biegł szybko. Złota polska jesień nawet w ujarzmonym kraju darzyła nas swym urokiem. Mnie najwięcej podobały się cudowne kolory. Grzybów tego roku było w bród. Rosły prawie wszędzie, nawet na kartofliskach. Nazbierałem ich i ususzyłem mnóstwo. Ludzie wróżyli z tego urodzaju wielką biedę. Moja gospodyni kazała mi suszyć grzyby po prostu w piecu chlebowym. Zbierałem wciąż dalsze borowiki nie tylko dla nas, również dla moich najbliższych w Cierzni, a także dla głodujących krewniaków w miastach. Moja mama dostarczyła wujowi w Gdyni nie tylko grzyby, ale masło i słoninę. Co pewien czas wybierała się do Gdańska z nadzieją, że uzyska jakieś wiadomości o cioci Zofii i wujku Walerym, o których wszelki słuch zaginął. Ich mieszkanie było zajęte i nikt nie chciał albo po prostu nie chciał wiedzieć.

Grzybobranie to doskonała okazja do rozmyślań. A gdyby tak stworzyć w miejsce śpiącego w czeluściach Puckiej Góry wojska, które nie ruszyło do boju, wojsko prawdziwe ze współczesną bronią? Do tego trzeba wielu odważnych i pewnych ludzi, dobrze zorganizowanych, z doświadczonymi dowódcami i niezawodnym sprzętem. Skąd jednak wziąć broń, dowódców i jak ustrzec się przed podejrzliwym wzrokiem wroga?

Nie, to jest zbyt ryzykowne, za dużo tu Niemców, za dużo urzędów i placówek wojskowych i wciąż powstają nowe. W Nowym Dworze przystąpiono do budowy nowego urzędu gminy, za Zbychowem powstała placówka wojskowa z aparatami podsłuchowymi i reflektorem mającym w nocy oświetlać samoloty angielskie lub sojusznicze. Podobna placówka powstaje pod Bieszkowicami, a pod Łężycami ustawiono baterie artylerii przeciwlotniczej. Wzdłuż szosy prowadzącej przez Nowy Dwór i Bieszkowice jeńcy francuscy zakładali kabel telekomunikacyjny.

– Tak niedobrze, a tak źle – rozważał półgłosem Władek.

Gnębiła i mnie bezsilność wobec zuchwałego wroga, niepokoiło wyczekiwanie społeczności wiejskiej na zmianę, na którą, przynajmniej w 1940 roku, absolutnie się nie zanośilo.

Władze okupacyjne zmuszały ludność kaszubską do abonowania i czytania prasy niemieckiej. Starsi umieli czytać po niemiecku, bo przecież przed 1920 rokiem uczęszczali do pruskiej szkoły. Czytali wiadomości podawane przez hitlerowską prasę z samej ciekawości, łaknęli bowiem informacji o tym, co dzieje się w Europie i na całym świecie. Większość ludzi umiała odróżnić propagandę od informacji prawdziwych, lecz niektórzy, czytając szmaciaki hitlerowskie wchłaniali zredagowaną sprytnie propagandę. A tę nasilano z miesiąca na miesiąc. Przy płaceniu podatków wręczano ludziom bezpłatnie broszury o rzekomych zbrodniach Polaków wobec Niemców w okresie przedwojennym i w czasie agresji na nasz kraj. Również Tekla dostała egzemplarz pełen kłamstw gadzinówki, noszącej tytuł „Polnische Blutschuld”.

Należało temu przeciwdziałać. Drukowałem na maszynie coraz więcej ulotek-gazetek, w których oprócz radiowych informacji z rozgłośni polskich dopisywałem swoje, zapewne nieudolne komentarze. Staralem się demaskować hitlerowską propagandę. Nasze informatory trafiały do różnych środowisk, docierały do Wejherowa, Gdyni, a nawet Gdańska, bo część młodzieży wiejskiej jako nadkontyngentowej w rolnictwie kierowano do prac w niemieckim przemysle zbrojeniowym, w portach i transporcie. Również z naszego kompletu kilka osób dojeżdżało do pracy w miastach. Oni zabierali naszą nielegalną „prasę” i kładli ją w miejscach publicznych, aby docierała do jak największych rzesz Polaków. Baliśmy się wciąż rozpowszechniać te materiały na naszym terenie. Tu posługiwaliśmy się jedynie tak zwaną metodą szeptaną, ustnym przekazem informacji, które wydawały się nam najbardziej cenne.

Ludka wpadła na pomysł, żeby wysłać odpowiednio zredagowane listy do osób, które naszym zdaniem znalazły się pod wpływem niemieckiej propagandy, osobom chwiejnym, służalczym. Listy wysłano z odległych urzędów pocztowych położonych w miastach, aby uchronić się przed podejrzeniami.

Z początkiem grudnia 1940 roku wróciliśmy do regularnych, cotygodniowych zajęć zespołu samokształceniowego, który powiększył się o jedną osobę z Nowego Dworu. Utworzyłem dwa podzespoły, różniące się zakresem zdobywania wiedzy. Zespół pierwszy, ten liczniejszy, przerabiał materiał z zakresu starszych klas szkoły powszechnej, a zespół drugi bazował na podręcznikach klas gimnazjalnych. Zakonspirowane zajęcia szły normalnym trybem.

Rozpoczął się trzeci tydzień adwentu. Po zajęciach na kursie niemieckiego w zbychowskiej szkole zatrzymałem się u kolegi Władka. Przejrzeliśmy jeden z tomów encyklopedii, który Władek wyszperał w zbiorze książek nauczyciela. Byliśmy tak mocno zajęci oglądaniem i czytaniem pięknie wydanej encyklopedii, że początkowo nie zwróciliśmy uwagi na kołędników, którzy w sąsiednim pokoju rozśpiewali się na dobre. Dopiero teraz dotarła do nas świadomość, że kołędnicy śpiewają powszechnie znaną kołędę:

Przybieżeli do Betlejem pasterze,
grając skocznie dzieciąteczku na lirze...

Aż serce rosło i łaza cisnęła się do oczu. Mrok okupacyjnej niedoli został rozjaśniony polską kołędą. Wzruszenie było naprawdę wielkie. Razem z szopkarzami nuciliśmy melo-

die dolatujące zza drzwi. To było wspaniałe.

Nie zwracając uwagi na nic i na nikogo, pachołęta odziane w koszule starszego rodzeństwa, z maskami aniołów i pasterzy na twarzach, z szopką z tektury, figurami świętej rodziny i zapaloną w niej świeczką śpiewały polskie kołędy.

Może nie chodzi im o parę fenigów czy kromkę ciasta lub jabłko – pomyślałem – ale o to, by pośpiewać po swojemu, tak jak dawniej za polskich czasów.

– Dobrze to! – rzekłem wzruszony do kolegi.

– Co?

– Ano te polskie kołędy – wyjaśniłem. – Podtrzymują na duchu, nie pozwalają zapomnieć rodzimej pieśni, którą nie tylko ze szkół, ale nawet z kościołów zaborca usunął.

W tej chwili poderwałem się tak, jakby oblano mnie wrzątkiem. Zrodził się u mnie ważny pomysł: tradycję ludową należy wykorzystać do walki z germanizacją, do walki o nasze narodowe przetrwanie. Władek początkowo patrzył na mnie z wielkim zdziwieniem, a nawet z przestraszeniem. Gdy mu przedstawiłem swoją myśl, rozpromieniał również.

Postanowiliśmy zaraz zająć się przygotowaniem przebierańców na Sylwestra i Nowy Rok. Przebierańcy na Kaszubach cieszyli się zawsze dużym wzięciem i w każdym domu byli mile widziani. W tym roku gwizdże, bo tak się kaszubszy przebierańcy nazywają, chcieliśmy zorganizować tak, by pokazać, że nic się u nas nie zmieniło, a gwizdże obecnie są bardziej polskie, niż były przedtem w wolnej ojczyźnie.

Cały zespół uznał ten pomysł na naprawę świetny. Wszyscy włączyli się do przygotowań. Chłopcy weszli w kontakt z osobami, które przechowywały stare rekwizyty przebierańców. Naprawiono uszkodzenia i cały kram ściągnięto w jedno miejsce. Pomagali w tym również ludzie dorośli.

Sylwestrowy wieczór tego roku był śnieżny, ale niezbyt mroźny. Płatki śnieżne jak lekkie piórka, kołysząc się w powietrzu, z wolna opadały na ziemię. Gdy zmrok zgęstniał, przestało śnieżyć, bo lekki wiaterek przegonił chmury na wschód, aż za Reszki i Łężyce. Wtedy półksiężyc zawisł nad naszą polaną. Zrobiło się jasno.

Z czworaków, w których mieszkał Gregor, wyszła kawalkada gwizdzy. Przebierańców było, zgodnie ze starym zwyczajem Lesóków, dwunastu, tyle bowiem miesięcy ma rok. Ja ukryłem się pod postacią kominarza, Władek był jeźdźcem na białym koniu, rosły Brunk niedźwiedziem, a prowadził go Hubert w przebraniu dziada. Wysoki i chudy Stefan owinął się prześcieradłem, na ramię założył drewnianą kosę i udawał śmierć. Był jeszcze bocian z długim, drewnianym dziobem, kocioł i koza, diabeł i leśniczy, który gwizdzy oprowadzał i ich prezentował w każdym mieszkaniu. Do całości należała też kapela z instrumentami kaszubskimi, takimi jak diabelskie skrzypce i burczybasy.

Najpierw udaliśmy się do szkoły, gdzie czekał na nas nauczyciel z zaproszonymi gośćmi, oczywiście z niemieckiego grona. Był to z naszej strony wybieg taktyczny. Tu prawie na milczka zaprezentowaliśmy się Niemcom, życząc im na odchodnym Prost Neujahr, po naszymu do siego roku. Przebierańcy zostali tu zaprezentowani w odpowiedni sposób w języku niemieckim przez specjalistę od przygotowania przebierańców, pana Szymańskiego, który znał dobrze język okupanta jeszcze z lat szkolnych. Zastąpił on leśniczego, który był odziany w polski mundur z dużym srebrnym orłem na czapce. Ze zrozumiałych względów nie mogliśmy go do tego grona widzów wpuścić. Podczas występów nauczyciel mówił coś swym gościom o starym germańskim zwyczaju, a my, rozumiejąc sens tych wypowiedzi, hamowaliśmy śmiech.

Teraz spokojnie i bez obawy rozpoczęliśmy kołędowanie po wsi. Pierwszym występem zaszczyciliśmy sołtysa, mieszkającego tuż obok szkoły. Leśniczy w naszej mowie, by nikt

nam nie mógł zarzucić, że publicznie posługujemy się językiem polskim, pytał sołtysa o przyzwolenie na przedstawienie mu różnych zwierząt i duchów. Uzgodnił też, czy przebierańcy mają prezentować się pojedynczo, parami, czy też w całej grupie. Sołtys zdecydował, że mają wystąpić w pojedynkę. Leśniczy dyrygował ruchem gwizdzy, wpuszczając ich do izby pojedynczo, a w kilku przypadkach parami.

Kiedy do pokoju wpadł purtk, to znaczy diabeł, przykazał mu, by pilnie podniecał ogień w piekle, bo niebawem zjawi się tam największy antychryst, który połamał krzyż i zrobił z niego Hakenkreutz. Dla jego zwolenników czarty muszą przygotować bardzo dużo wrzątku.

Podobnych przytyków było więcej, prawie do każdej postaci. Również do kolęd i śpiewanych pastorałek wprowadzono wiele motywów antyhitlerowskich. Może było to wykonalne nieporadnie, ale ludzie wiedzieli, o co chodzi.

Co nóm niesie nowi rok
w hitlerowsczi niewoli?
Nić kurzi, le zajczy skok
i wnetka nas wężwoli!

Problem wyzwolenia Kaszub i całego kraju spod panowania hitlerowskiego był motywem kolejnej pastorałki:

Nad Betlejem i nad Polską
jasnó gwioźdzka świećęła.
Żebë gwioźdzka ta w niewoli
dló nas ostatną bëła...

Również życzenia noworoczne składane przez kominiarza gospodyniom i gospodarzom, jak też przez gwizdza na koniu, a także przez leśniczego, wyrażały i piętnowały sytuację, w jakiej znalazł się naród polski. Odzwierciedlały tęsknoty i nadzieje na lepsze czasy. Nikt, o dziwo, nie zwrócił nam uwagi na treść i ryzyko, jakie kryło się w tej całej sprawie, w przystosowanym do potrzeb współczesnych spektaklu ludowym. Przeciwnie, prawie wszyscy przyjmowali krytykę obecnej sytuacji za dobrą monetę. Aprobata wyrażano spontanicznie, niekiedy satyrycznie, żartobliwie, półsłówkami, ze znaczącym wiele uśmiechkiem i przytaknięciem.

Namówiłem moich kolegów, by na Nowy Rok, po obejściu z gwizdzami niewielkich zbychowskich pustek, zawitać na Piński i Cierzeń. Mnie nadarzyłaby się okazja zobaczenia w przebraniu mojego domu rodzinnego i mojego młodszego brata. Sławek wyrósł przez ten ostatni rok i spowaźniał. Tak mi się przynajmniej zdawało. Mnie, jako kominiarza, nazwał czórnym purtkę.

Gdy później podzieliłem się tym spostrzeżeniem z moją mamą, oświadczyła:

– On musiał spowaźnieć, bo jest przecież jedynym mężczyzną w naszej chałupie.

Po Nowym Roku zespół kołędniczy na prośbę druhów z Reszek odwiedził i tę wioskę. Byłem z tego kontent. Tam spotkaliśmy się z taką samą reakcją, jak wszędzie poprzednio. Nie żalowali też grosza.

Dla mnie była to kolejna okazja do spotkania się z Małgosią. W jej mieszkaniu nie zająłem się, tak jak w poprzednich domach, piecem, nie sprawdzałem, czy popielnik jest czysty, a przewody kominowe bez smolonych grzybów z sadzy, a zająłem się wyłącznie

moją dziewczyną. Chciałem ją uściskać, osmolić jej zgrabny nosek, a nawet pocałować, ale ona uciekła, broniła się, odpychała mnie. Wskoczyła jak wiewiórka na stołek kuchenny, zachwiała się i spadła prosto w moje objęcia. Początkowo nie wiedziałem, czy to był przypadek, czy też umyślny upadek, lecz później byłem przekonany, że chodziło o to drugie.

Kołodników było wielu. W Nowy Rok szli z burczybasem, zwanym u nas brentopem, na Trzech Króli chodzili z gwiazdą. Wszyscy próbowali gwizdzy w jakiś sposób naśladować. I tak w czas Godów, na przełomie 1940 i 1941 roku odżyła polska pieśń w formie kołęd i pastorałek, zrodziła się ostra i wymyślna satyra wymierzona w Niemcy, przywódców III Rzeszy, w faszyzm. Pieśń i satyra pozwalała ludziom lepiej znosić niewolę i podtrzymywać wiarę w lepsze czasy. Ludziom najbardziej podobała się ta kołęda:

Biegają pasterze
przez kaszëbszczië wzgórze
prosto ze Zbichowa
tą stęgną do morza.

Składają ofiarę
Dzeczãtku w złóbeczku,
żalą się na Miemców
swému Dzeczãteczku.

Rozdział 10

Dziel i rządź

Niemcy chcąc poróżnić między sobą mieszkańców Pomorza, wymyślili listy narodowościowe, nazwane przez nich Volkslistami. Ci spośród Niemców, którzy przybyli na Pomorze z Rzeszy, zostali automatycznie wpisani na listę grupy pierwszej i z tego tytułu mieli pełnię praw na naszych terenach. Osoby miejscowe należące do mniejszości niemieckiej i te, które mogły, a raczej chciały wykazać się pochodzeniem niemieckim i aktywną działalnością na rzecz Niemiec, wpisane zostały na listę drugiej grupy. Byli to tak zwani Volksdeutsche i tych należało się najbardziej wystrzegać. Kaszubi mogli ubiegać się o wpis na listy grupy trzeciej. Polakom z małżeństw mieszanych polsko-niemieckich przysługiwała czwarta grupa zwana Leistungspole. Pozostali traktowani byli jako Polacy. Mieli ograniczone prawa, zmniejszone kartki żywnościowe i odzieżowe, a zatrudniano ich do darmowych prac lub najgorszych mało płatnych zajęć.

Władze okupacyjne liczyły na to, że Kaszubi będą ubiegać się wszelkimi sposobami o jedną z tych grup. Wpisywanie na listę odbywało się z odpowiednim ceremoniałem w obecności przedstawicieli różnych władz okupacyjnych, w tym również „znawców” rasy, u których specjalne względy mieli ludzie o blond włosach, niebieskich oczach i bladej cerze.

– Cotka jidze zapisac sę na folksdojczca? – żartowałem z Tekli, bo miała jasne włosy i niebieskie oczy. – A nōzwęsko je téż miemiecczié – draźniłem ją.

– Tě mōsz téż taczié, przēnōmni u Miemców – broniła się.

– Ale jō jem zza Buga i taczych nie chcą na lisce.

Ani moja chlebotawczyni, ani nikt ze Zbychowa nie miał ochoty odstępować od tego,

kim był. Wszyscy czuli się Polakami. A ci, których władze niemieckie niby dla wyróżnienia powołały przed komisję do spraw karty, oświadczały, że wolą zostać Kaszubami i nie chcą być wyróżniani jakąś listą. Przy tym powoływali się na swych przodków, którzy musieli uczęszczać do niemieckiej szkoły, odbywać służbę wojskową w armii cesarskiej, ale na żadną listę wpisywani nie byli. Nawet całkiem indywidualne rozmowy i przekonywania najbardziej wpływowych Niemców, nie przyniosły pożądanego skutki.

Ludzie wciąż wierzyli, że sytuacja się zmieni, że z Wielkiej Brytani wyjdzie wielka ofensywa wojsk angielskich i sojusznicznych, która zmiążdży hitlerowską machinę wojenną. Tymczasem wyspy brytyjskie były wciąż nękane nalotami niemieckich sił powietrznych, a łodzie podwodne Kiegsmarine zadawały na wodach Atlantyku cios po ciosie transportom zaopatrującym Anglię w żywność i broń.

Zamiast spodziewanej na zachodzie Europy ofensywy dla wyparcia wojsk hitlerowskich z zajętych terenów nastąpiła na początku lata 1941 roku wielka nawałnica ludzi, stali i ognia, to jest hitlerowskie uderzenie na Związek Radziecki. Agresorzy w szybkim tempie zdobywali rozległe tereny kraju, w którym rządzą bolszewicy.

Po inwazji na Związek Radziecki 22 czerwca 1941 roku, gdy Niemcy zajęli znaczne obszary tego kraju, a więc ziemie nadbałtyckie, Białoruś i Ukrainę, przybywać zaczęły z tych terenów coraz liczniejsze transporty tamtejszych Niemców. W związku z tym nasiliło się na Kaszubach wysiedlanie miejscowej ludności. Władze okupacyjne wręcz groziły, że osoby, które nie przyjmą Volkslisty, będą musiały wcześniej czy później opuścić swoje gospodarstwo.

Ludzie zaczęli się niepokoić. Zbierali się w niedzielne popołudnia niby to na różaniec, ale radzili nad swoim losem. Lęk o rugi z własnej ziemi stał się powszechny. Nikt nie chciał podejmować decyzji sam, nikt nie wyłamywał się ze zbiorowości wiejskiej. Na razie nie podejmowano żadnych ostatecznych kroków.

– Ja nie wiem, nad czym tu radzić – rzekł pewnego dnia Władek. – To jest przecież oczywiste, że nikt nie może podpisać tej niemieckiej listy – dodał z pewnym oburzeniem.

– To wcale nie jest takie oczywiste, mój drogi. Tu trzeba działać z rozwagą – próbowałem uspokoić kolegę.

– No właśnie, z rozwagą. Jak nikt nie podpisze, to co inni zrobią? – obstawał na swoim Władek.

– Może masz rację, ale ważna jest właśnie ta jedność. A poza tym musi być pełna świadomość tego, co się robi, dlaczego tak, a nie inaczej. Świadoma solidarność, oto do czego powinna sprowadzać się mądrość Kaszubów. Przy podejmowaniu decyzji trzeba wziąć pod uwagę wszystkie argumenty za i przeciw. To nie jest wcale takie proste, jakby się na pierwszy rzut oka mogło wydawać.

– Więc dopuszczasz możliwość podpisania tej listy? – wciąż niepokonany naciskał Władek.

– Nie wiem, ale czuję, że najważniejsze w tej chwili jest, jak było i dawniej, przetrwanie. Żeby trwać, trzeba tu być, mocno tkwić korzeniami na tej ziemi. Pamiętasz hakatę i rugi? Dlaczego jej plany zostały pokrzyżowane? Czytałem wam przecież „Płacówkę” Bolesława Prusa.

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Władze okupacyjne jakby przycichły ze swoją Volkslistą. Tymczasem sukcesy hitlerowskiej wojny błyskawicznej w Związku Radzieckim kładły się smutnym cieniem na nas młodych i w ogóle na wszystkich mieszkańcach krainy Lesóków. Czy istnieje jakaś siła, która byłaby w stanie powstrzymać hitlerowskie sukcesy?

Nagle ulga. Pierwsze widoczne zastopowanie stalowego walca wojny nastąpiło pod Moskwą, mimo że Hitler w swych buńczucznych przemówieniach zapewniał cały świat, że już tylko tygodnie, w końcu dnia, dzielą Niemców od zajęcia stolicy Związku Radzieckiego. Moskwa jednak nie padła. W ludziach odżyła nadzieja.

Minęła chuda jesień 1941 roku. Chuda, bo władze okupacyjne coraz bardziej ograniczały przydziały żywności i odzieży dla ludności polskiej. Żniwa dobre, zbiory obfite i co z tego? Okupant kładł łapę na wszystko, co wypracowały kaszubskie ręce.

Nadeszła zima, nie taka sroga jak ubiegłoroczna, ale niemniej ciężka ze względu na stan wojenny i okupację. Butni i zadufani w sobie Niemcy na każdym kroku pokazywali swą wyższość. Pojawiało się coraz więcej tabliczek z napisem: „Nur für Deutsche”, to znaczy tylko dla Niemców. Dla nich były dobrze zaopatrzone sklepy, restauracje, kina, wygodniejsze środki lokomocji, szkoły średnie i wyższe. Nawet chodniki w miastach do nich należały. Polak zobowiązany był schodzić Niemcowi z drogi i omijać go z czapką w ręce.

– Wiesz, ludzi ogarnia z wątplenie, a niepewność jutra jest powodem przygnębienia – powiedział któregoś zimowego dnia mój przyjaciel Brunk, który odwiedził mnie, by wymienić książkę.

– Niektórzy prawie uwierzyli w to, że siła militarna III Rzeszy jest nie do pokonania – dodał z z troskaniem.

– Tak. Wielu wyraża takie obawy, ale nikt – jestem tego pewien – tak naprawdę w to nie wierzy. Ludzie patrzą na mapę europejskiej części Rosji sowieckiej i widzą tylko postępy Niemców na tym terenie i to ich przeraża, a trzeba tu patrzeć na cały przebieg wojny – starałem się uspokoić mojego rozmówcę.

Wyszukałem mapę z naniesionymi na niej znakami wskazującymi ekspansję wrogich nam wojsk nie tylko na wschodzie, ale również na Bałkanach i w Afryce. Rozłożyłem ją na stole i zapytałem kolegę:

– Widzisz, do czego oni zmiierają?

– Ano tak – powiedział Brunk – chodzi im o opanowanie basenów mórz: Śródziemnego, Czarnego, Czerwonego, podporządkowanie sobie cieśnin Gibraltar, Bosfor i Dardanele i opanowanie Kanału Sueskiego.

– I o ropę naftową – wskazał na mapie Morze Kaspijskie i Zatokę Perską.

Starałem się wytłumaczyć mojemu koledze, iż w porównaniu do tych gigantycznych zamiarów, postępy wojsk niemiecko-włoskich są zaledwie w pierwszej fazie realizacji, a do osiągnięcia celów jeszcze bardzo daleko. Faszyci liczą na rychłe załamanie się Związku Radzieckiego, co chyba nie nastąpi. Tworzą się bowiem silne sojusze państw sprzymierzonych przeciwko osi Berlin-Rzym-Tokio i ten sojusz jest w stanie pokrzyżować faszystowskie plany podboju świata. Jak podało radio londyńskie, premier polskiego rządu emigracyjnego w Londynie generał Władysław Sikorski zawarł przymierze z przywódcą państwa radzieckiego Józefem Stalinem, na mocy którego generał Władysław Anders tworzy w Rosji armię polską do walki na frontach drugiej wojny światowej. Nasi żołnierze, marynarze, a szczególnie lotnicy wstawili się w ciężkich bojach o Anglię, w walkach o Narwik, w zmaganiach z hitlerowskimi U-botami na morzach i oceanach, a także w walkach w Afryce.

– Jaż mi się łzi stało na sercu – z widoczną ulgą westchnął Brunk. – Dobrze, że jō do ciebie przęszedł. Terō jō widzę te wojennę sprawę często jinaczi – z widoczną ulgą powiedział mój przyjaciel.

I ja byłem kontent, że mogłem jednej bratniej duszy wypędzić z głowy rzecz najniebez-

pieczenijszą w czasie wojny, to jest zwątpienie.

A tak w ogóle, to tych powątpiewań mnożyło się sporo. Sytuacja militarna w świecie była przyczyną wielu niepewności. Okupant stosował coraz ostrzejsze rygory wobec Polaków. Nikt nie był pewny dnia ani godziny. Łapano ludzi na targowiskach, przed kościołami, również w domach i wysyłano na przymusowe roboty do fabryk zbrojeniowych na miejscu, częściej do Niemiec, również na budowy obiektów wojskowych na okupowanych terenach. Wysiedlano z gospodarstw rolnych przede wszystkim te rodziny, które były uważane przez miejscowych Niemców za polskich patriotów. Przeprowadzano często rewizje w domach i zagrodach, nie podając celu tych poczynań. Zaostrozono wydawanie pozwoleń na ubój domowy zwierząt, na przemiał zboża w młynach.

Przed niepokojem i strachem ludziska bronili się na różne sposoby. Dla jednych wystarczały specjalnie układane modlitwy błagalne, które należało odmawiać codziennie i ileś tam razy przepisać i kolportować dalej. Krążyły też w społeczeństwie przepowiednie Sybilli i inne. Te miały jakiś sens, bo przynajmniej prorokowały upadek złamanego krzyża, czyli Niemiec hitlerowskich i dlatego niosły ludziom nadzieję na przetrwanie.

Radiowe wieści, jakie napływały na falach eteru do Nowin, były Polakom ujarzmionym przez władze okupacyjne bardzo potrzebne. Pozwalały żyć nadzieją, demaskować hitlerowską propagandę, pocieszać się nawzajem. Każde niemal spotkanie ze mną rozpoczynało się od pytań:

– Radek, a co tam nowego? Co słychać na szerokim świecie? Jak nasi piorą przeklętych Szwabów?

Zakazanych informacji łaknęli na Kaszubach wszyscy, również ci, z którymi nie miałem i mieć nie mogłem żadnych kontaktów, a były przypadki, że uczciwi i spokojni miejscowi Niemcy interesowali się tym, co przekazywała strona przeciwna. Im było łatwo te wiadomości zdobyć, bo mogli legalnie posiadać radioodbiorniki. Żeby te zbawienne informacje mogły docierać do jak największej liczby zainteresowanych, potrzebny był nam, redaktorom ulotek czas, papier, kalka, tak trudne w tym czasie do uzyskania. Próbowaliśmy więcej zaangażować do pisania ulotek Władka, ale nie miał zbyt wiele czasu, po wtóre byliśmy od siebie oddaleni o ponad dwa kilometry, a na dodatek uczenie go wcale nie tak łatwej sztuki pisania na maszynie pochłaniało zbyt wiele czasu i... papieru. Dlatego wolałem sam być redaktorem, wydawcą i drukarzem ulotek.

– Tę oszczędzisz przez tim swoim drękowaniem – karcila mnie za każdym razem Ludka.

– Nie gadi tak wiele, a lepi pomoż – przygadałem raz siostrze.

A jej tego dwa razy powtarzać nie było trzeba. Wyglądało na to, jakby czekała na te słowa. Już siedziała przy maszynie, już była gotowa do pracy. Chcąc nie chcąc musiałem jej pokazać, jak wkładać papier do maszyny i kalki do arkuszy papieru, jak pisać teksty – słowem uczyć sztuki pisania na maszynie. Była bardzo pojętym uczniem i niebawem mogłem ją mianować swoim czeladnikiem, a nawet majstrem drukarskim.

– Boże pomagi! – naszła nas zajętych do tego stopnia robotą, że nie usłyszeliśmy jej przybycia. W progu pokoiku na strychu stała Małgosia z Reszke.

– Bóg zapłać – odpowiedziała trochę zaskoczona Ludka i aby wyjść jakoś z zaistniałej sytuacji, zachęcała ją do pomocy. Nie mogłem się sprzeciwić z dwóch przyczyn: po pierwsze, skoro już zorientowała się w naszej robocie, bezpieczniej było ją do niej zaangażować, a po drugie, tęskniłem za nią i każde nasze spotkanie było dla mnie przyjemnym przeżyciem. Chciałem podświadomie mieć Małgosię po prostu przy sobie. Ona jak balsam łagodziła moje samotne życie na tym pustkowiu. Okazała się również bardzo dobrym pomocnikiem.

Zima pozwalała obu dziewczynom spędzać dość często długie wieczory na moim poddaszu. Zmawiały się na określony czas, przychodziły jeszcze za dnia niby to do Tekli: pomagały jej w przepierce, prasowaniu i cerowaniu, bawiły się z Robertem, synkiem ciotki. Zabawiały go i od razu chałupa pełna była śmiechu i radości. Ten śmiech młodych, swobodnych i wesołych dziewczyn, był mnie i Tekli, a także jej bobasowi bardzo potrzebny. Tak na co dzień było go stanowczo za mało, bo i z czego tu się śmiać?

Tego dnia przybyły dość wcześnie. Już po południu zaczął padać śnieg, a wiatr zamiast o zmroku przycichnąć, wzmacniał się, wróżąc zadymkę. Gdy skończyłem porządki w zagrodzie, Robert zasnął i wówczas Tekla ustawiła przy nagrzanym żelaźniaku swe kółko, stary kołowrotek do przędzenia wełny. Udałem się z dziewczynkami na górę, by popracować nad ulotkami, o które dopominali się zapaleni roznosiciele, wyjeżdżając co dnia do pracy w nadmorskich miastach. I tego razu praca przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Ja słuchałem wiadomości radiowych, redagowałem treść ulotek, a panienki: jedna pisała na maszynie, druga dyktowała, składała papier do druku i wiązała ulotki w mniejsze lub większe paczuski, w zależności od tego, dla kogo były przeznaczone. Ulotki trafiały do coraz większej ilości zaufanych ludzi, również w okolicznych wsiach. Roboty było więc wiele.

Gdy świecił księżyc i nie było zbyt ciemno, obie moje pomocnice wracały do swoich domów: Ludka do Cierzni, Małgosia do Reszek. Dziś noc była wyjątkowo ciemna, a wiatr przerzucał tumany śniegu z miejsca na miejsce. Ludka dała się namówić do spędzenia nocy u ciotki Tekli. Małgosi nie wypadło nocować w obcym bądź co bądź domu i dlatego zawinęła swą delikatną szyję i bujne włosy w długi, wełniany szal, ubrała gumki, opatuliła się kurtką i tak przygotowana do walki z niesprzyjającą pogodą stanęła przy drzwiach, by na pożegnanie powiedzieć jeszcze coś wesołego. W tej sytuacji, jak na kawalera przystało, ubrałem się w mig i stanąłem przy niej gotowy do podróży.

– Odprowadzę cię – powiedziałem – mogłabyś zblądzić i zamarznąć na śmierć, i wtedy miałbym cię na sumieniu – usprawiedliwiałem wobec Tekli i Ludki mój postępek, a i wobec Małgosi również.

– On le ród jidze – zauważyła mimochodem Tekla, uśmiechając się znacząco pod nosem.

– Żebęsta oboje nie zblądźeła – dodała Ludka niby z przekąsem, ale i z nutką troski w głosie.

Nie czekając na dalsze przygadywania, wynieśliśmy się z ciepłej chałupy. Już w progu lodowaty wiatr plunął nam w twarz śnieżną zamiecią. Rozbite przez wichurę płatki śniegowe kłuły jak igłami nasze nieosłonięte części lic. Zaraz nie można było otworzyć oczu, przemówić słowa, oddychać normalnie.

– Le uważita! – doleciało do nas wołanie z chaty. Jednak troszczą się o nas – pomyślałem.

W tej zamieci odruchowo przyciągnąłem do siebie Małgosię i tak przytuleni wyszliśmy za oplotki zagrody. Nie wiadomo skąd wziął się u naszych nóg Ami, mądry psina Tekli, który i przedtem starał się towarzyszyć mi we wszystkich wyprawach. Często go odpędzałem z powrotem do jego legowiska, ale dziś słowa mu nie powiedziałem, a nawet byłem zadowolony z jego obecności.

Świat tonął w przepastnych mrokach, a szum wiatru przypominał mi jęki upiórów, skowyczenia wściekłych zwierząt, szatańską muzykę biesów, które wzięły się za bary. Za oplotkami dął ze zdwojoną siłą, na wolnej przestrzeni nabierał rozpędu z daleka, aż spod Puckiej Góry. Pies wyczuwał kierunek naszej marszruty i szedł przed nami we właściwym

kierunku. Wierny, dobry Ami, chwaliłem go w myślach.

Pomimo takiej psiej pogody czułem się jakoś bezpiecznie. To bezpieczeństwo zapewniła mi Małgosia. Czułem jej oddech na twarzy, gdy zwracała się ku mnie, chcąc uchronić się przed podmuchami śnieżno-wietrznej zamieci. Gdy podmuch się nasilał, tuliła się mocniej do mojej piersi tak, że czułem bicie jej serca. Było mi tak bardzo dobrze i dziękowałem wichrom za harce, które zbliżały tak bezpośrednio do mnie moją ukochaną.

Na wyczucie i dzięki naszemu czworonożnemu towarzyszeni dobrnęliśmy w Stręgi, gdzie wiatr uspokoił się znacznie. Przelatywał nad nami na bezpiecznej wysokości i swym złowieszczym szumem starał się nas tylko nastraszyć. Chwyciliśmy się za ręce i hasając po zaspach również zachęcaliśmy psa do harców i poszczekiwania. Było nam tak przyjemnie i mimo złej pogody tak wesoło, że nie straszne było dalsze wspinanie się na zbocze Gojkowej Blizy. Na górze omotały nas znowu złe moce rozbestwionej zimy. Ale trwało to krótko, bo już mrugały na nas przyjaźnie, nieliczne wprawdzie o tej porze, światełka przycupniętych w śnieżnych smiotach chat. Byliśmy w Reszkach. Przyjemna czy zła, trudno jednoznacznie określić, wyprawa dla mojej dzielnej dziewczyny skończyła się, a mnie czekał powrót, który umilać miały wspomnienia.

W chatce Małgosia było ciemno. Domownicy już spali, ale drzwi kaszubskim zwyczajem nie były zamknięte. Na progu, mimo że obyczaj kaszubski nie każe w tym miejscu się żegnać, moja towarzysząca przytuliła się jeszcze raz do mnie, szeptem podziękowała za towarzystwo, musnęła swoimi ciepłymi wargami moje policzki i zniknęła w ciemnościach jak zjawą. Oszołomiony tym pożegnaniem stałem w drzwiach jeszcze chwileczkę, w końcu zamknąłem wrota i pomaszzerowałem w śnieżną dal. Teraz do domu zupełnie wyraźnie i zdecydowanie prowadził mnie Ami.

Brnąc przez śnieżne zwały odbierałem, o dziwo, wietrzne pomruki zupełnie inaczej, niż w drodze do Reszki. Przypominały mi one pierwszorzęśniowe podmuchy, pierwsze huki i wstrząsy, odgłosy rodzącej się na Westerplatte wojny. To znów odgłosy te przechodziły w szum morza, który w końcowych dniach tamtego krwawego września towarzyszył mi na cyplu helskiej mierzei i ten szum ulewnego deszczu, który pozwolił mi umknąć z hitlerowskiego jarzma, z pewnej niewoli.

Zatęskniłem znowu za swoimi. Chciałbym spotkać się z kuzynem Zygmuntem, zobaczyć Sławka i konkretnie dowiedzieć się, co stało się z moim tatą. Uświadomiłem sobie w tych gęstych ciemnościach białej kurzawy, jak okrutna była dla mnie, dla moich najbliższych, dla wszystkich Polaków ta wojna. A co nas jeszcze czeka, jaki los nam zgotuje?

Zespół samokształceniowy zbierał się tej zimy już tylko raz w tygodniu i to nie zawsze. Frekwencja na spotkaniach psuła się wyraźnie, bo zainteresowanie nie było takie: wzmagił się strach przed wpadką, rozplywał się w nowej rzeczywistości sens nauki. Apatia, obojętność, nawet zwyczajne lenistwo toczyły dusze młodych jak pasożytnicze korniki drzewo. Ten ciągły lęk, niepewność, brak wiary w rychłą odmianę, rozdrażnienie i melancholia opanowały nas, szczególnie jednostki słabe, podatne na szybką zmianę nastrojów, często podświadomie sięjące niepokój.

Do Zbychowa na stałe przyszło niemieckie wojsko. Doprowadzono wojskową linię telefoniczną. Żołnierze obrony przeciwlotniczej nie tylko obsługiwali reflektor i aparaty nasłuchowe, ale i szpiclowali w terenie. W tych warunkach nietrudno było o wpadkę. Sytuacja wymagała wielkiej ostrożności.

Obowiązkowa nauka języka niemieckiego w szkole też została zawieszona, bo nauczycielowi przydzielono do obsługi dwa rejony szkolne i jakieś tam tajne zadania w aparacie partyjnym. Czekał zresztą na powołanie do wojska i z tego względu swoje zajęcia trakto-

wał jako służbę przejściową.

W specjalnie pobudowanym budynku w Nowym Dworze ulokowane zostały gminne biura Amtskommissara Hansa Lewina i placówka żandarmerii. W biurze zatrudniono kilku Polaków, w tym polskiego nauczyciela, który za czasów pruskich ukończył niemieckie seminarium nauczycielskie. Od niego za pośrednictwem sołtysa otrzymałem papier maszynowy i inne materiały biurowe.

Wieczór ostatniego dnia lutego 1942 roku był mroźny, ale niebywale jasny. Księżyc jak wielki lampion nie skąpił swej matowej jasności ziemi kaszubskiej. Chciał zajrzeć do mojego zastłoniętego pokoju na poddaszu, podobnie jak wścibski szpicel hitlerowski, ale obojętną mu była moja krzątanina, moje siedzenie ze słuchawkami na uszach i pilne notowanie tego, co odebrałem z dalekiego świata. Miesiąc, w odróżnieniu od szpiega nie zdawał sobie sprawy z tego, co rzeczywiście działo się w moim pokoiku, a choćby wiedział, to na pewno nie sprzyjałby władzom hitlerowskim.

Zapałem drugą karbidówkę i usiadłem do maszyny. Wystukiwałem na niej informacje o tym, że w Warszawie 5 stycznia 1942 roku powołano, jak to określiło radio londyńskie, jakąś agenturę komunistyczną, którą, jak się później okazało, była Polska Partia Robotnicza. W dalekiej Afryce pod El Gazala w walkach z niemieckimi jednostkami marszałka Erwina Rommmla wstawili się polscy żołnierze. Inny komunikat donosił, że nasiliły się bombardowania niemieckich ośrodków przemysłowych i węzłów kolejowych.

W pewnym momencie zdawało mi się, że coś stuknęło w szybę, ale nie byłem pewny, czy tak rzeczywiście było. Gdy stuknięcie powtórzyło się, zabezpieczyłem maszynę do pisania oraz materiały i zszedłem na dół, by otworzyć zamknięte o tej porze drzwi.

– Tyś chyba spał? – bez przywitania powiedział Władek, podchodząc zza węgła chaty do drzwi.

– Miałem takie zajęcie, że od razu nie słyszałem twego pukania – wyjaśniłem już w sieni niespodziewanemu o tej porze gościowi.

Nie zwracając uwagi na moje słowa, Władek jako pierwszy podążył na strych. W pokoiku usiadł na taborecie, by odpasnąć. Był zmęczony. Widocznie biegł do mnie. Musiał mieć jakąś ważną sprawę, ale jaką? Na pewno bardzo ważną.

– Nie chciałem ci w nocy przeszkadzać, ale musiałem. Nie wytrzymałbym do jutra. Ale ty na pewno wiesz?

– Co wiem. Nic nie wiem. Co się stało?

– Nie czytałeś gazet? Ludzie są poruszeni, we wsi wielki niepokój. Co to będzie?

– Powoli. O czym ty właściwie mówisz?

– Aufruf Forstera! – palnął z widocznym podenerwowaniem Władek. – Nie czytałeś, nic naprawdę nie wiesz? Dobrze, że przyszedłem – dodał w podnieceniu i wyciągnął z zadradza „Der Danziger Vorposten”, niemiecką gazetę wychodzącą w Gdańsku. Otworzył ją na pierwszej stronie i powiedział:

– Tu jest. Czytaj!

Patrzę i czytam: Aufruf, czyli odezwa, a w niej rzuca się w oczy data 31 marca 1942 roku i podpis Gauleitera okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie Alberta Forstera. Podsuwam gazetę bliżej karbidówki i czytam tekst powoli, starannie, by zrozumieć jego sens, zrozumieć, o co tu właściwie chodzi.

Namiestnik Hitlera Albert Forster nakazuje wszystkim poddanym, którzy nie dokonali do tej pory wpisu na niemiecką listę narodowościową, by dokonali tego obowiązku do wspomnianej daty i określa cel tego wpisu: „Szczególnie teraz, gdy naród niemiecki walczy o swoją egzystencję i swoją wolność, musimy wiedzieć, kto na tych terenach może

być uważany za Niemca, a kto za Polaka”. W dalszej części odezwy stwierdza się, że wszyscy, którzy odrzucają możliwość wpisu na niemiecką Volkslistę, będą traktowani na równi z „najgorszymi wrogami narodu niemieckiego”. Aufruf wspomina też o represjach, jakie spotkają opornych.

– No tak, to już jest coś w rodzaju brutalnego przymusu, groźby, rozkazu. Tu się grozi konsekwencjami. Jakimi, łatwo odgadnąć – oceniam rzeczowo tekst.

– I co teraz? – jakby z nadzieją w głosie, że coś tu poradzę, zwraca się do mnie Władek.

– Co teraz? – pytam się również, a po chwili dodaje: – To jest jasne! Domyślam się, o co tu chodzi!

Wyjaśniam Władkowi, że Niemcom od samego początku okupacji chodzi głównie o rozbicie jedności Polaków. Podzielnym narodem w myśl starej rzymskiej łatwiej rządzić, łatwiej go ujarzmić, pewniej trzymać w karbach. Już jesteśmy podzieleni, bo Pomorze, Wielkopolska, Śląsk wcielone są do Rzeszy, z innych ziem utworzono Generalne Gubernatorstwo. Inaczej traktuje się Polaków kongresowych, inaczej Górali, Ślązaków czy Kaszubów.

Część mieszkańców ziemi kaszubskiej przyjęła już jedną z grup Volkslisty, pozostałym stawia się swoiste ultimatum. Obecnie nie chodzi już tylko o dzielenie społeczeństwa, ale głównie o rekruta. O naszym losie, mam na myśli wszystkich młodych, niepełnoletnich, zdecydują ojcowie, głowy rodziny. Mają do wyboru dwie ewentualności: albo służba w Wehrmachcie, albo pozbycie się ziemi, przymusowe roboty lub obóz. Szansa przetrwania, a raczej uratowania życia, jest jednakowa we wszystkich przypadkach, tylko z armii niemieckiej można zdezerterować do aliantów lub do tworzącej się w różnych krajach partyzantki, nie narażając rodzin na usankcjonowane prawem prześladowania.

– Wiesz co? – zwracam się po dłuższym namyśle do mego przyjaciela. – Słyszałem, że w Koleczkowie lub w okolicy tworzy się jakaś grupa oporu, jakiś zakonspirowany oddział wojskowy, na wzór owych partii w powstaniu styczniowym. Masz w Koleczkowie kuzyńców, porozmawiaj z nimi, ot tak, na wszelki wypadek. Rozumiesz? Chyba to będzie dla nas jedyne wyjście.

– Pojadę i dowiem się – zapalił się do mojej propozycji Władek.

Sołtys po cichu zwołał schadzkę ludzi zainteresowanych nową sytuacją na pustki, do Cedźelni, gdzie leżał chory staruszek. Oficjalnie ludzie schodzili się na modły do łóżka chorego, a tak naprawdę chodziło o podjęcie jednej, konkretnej decyzji co do Volkslisty. Tekla poszła też na spotkanie. Z niecierpliwością czekałem na jej powrót i na podjętą przez społeczność wiejską decyzję. Od niej uzależniony był mój dalszy los. Zauważyłem wracającą ciotkę z daleka i wyszedłem naprzeciw.

– No i co? – zwróciłem się do niej ze znacznego oddalenia.

– Pomału, co się gźjesz jak oparzony – ofuknęła mnie za ciekawość i natręctwo.

Gdy doszliśmy do domu, wiedziałem już wszystko. Stało się tak, jak przypuszczałem. Wieś postanowiła po długich rozważaniach, dyskusjach, sporach, a nawet kłótniach gremialnie przyjąć zielony Ausweis z wyraźnym zastrzeżeniem: „Auf Widerruf” – do odwołania. Wyliczono, że dwudziestu siedmiu młodych mężczyzn poświęci się dla ratowania prawie pięciuset, których byt dzięki temu nie będzie zagrożony.

– No, dobrze – z udawanym oburzeniem w głosie zaprotestowałem. – Czy tych młodych ktokolwiek pytał o zdanie?

– Oni so radę nalęzą, a przēnōmni dзецēska i stōri lēdze nie bādą poniewiērōné po la-grach – wyjaśniła rzeczowo Tekla.

Po jakimś czasie wezwano do szkoły wszystkie osoby dorosłe i wysoka komisja do spraw rasowych orzekła, że wszyscy mają „niemiecką krew” i nadają się, przynajmniej na jakiś czas, do służenia „wielkiemu narodowi niemieckiemu”. Tylko dwóch starszych młodzieńców Franc i Szefer, którzy odbyli służbę w wojsku polskim, stanowczo odmówiło przyjęcia Volkslisty. Oni też zgodnie z odezwą Forstera byli traktowani na równi „z najgorszymi wrogami niemieckiego narodu”. Wezwano ich na posterunek żandarmerii i tam przeprowadzono odpowiednie rozmowy, a gdy to nie skutkowało, skierowano ich do gestapo, czyli do tajnej policji państwowej, która miała swą siedzibę na Kamiennej Górze w Gdyni. Po próbach przekabacenia ich słowem i pałąk uznano, że należy ich i im podobnych z całych Kaszub skierować do odległych krajów na ciężkie roboty. Obaj znaleźli się na wyspie Jersey przy brzegach Normandii, gdzie pod nadzorem Organization Todt budowali umocnienia tak zwanego Wału Atlantyckiego.

Tekla otrzymała zielony Ausweis. Mnie ze względu na miejsce urodzenia, nie przyznano eindeutschungu, choć o niego, solidaryzując się z postanowieniem wsi, ubiegałem się. Obiecano natomiast mojej gospodyni, że odpowiednie władze zajmą się moją osobą w najbliższej przyszłości. Co to znaczy u Niemców „zająć się osobą”, wiedziałem i do tego wcale nie tęskniłem. Najpierw będą badania na modłę hitlerowską, dochodzenia w gestapo, roztrząsanie całego życiorysu, a przy lada potknięciu maltretowanie i w konsekwencji przymusowa praca lub obóz koncentracyjny. W mojej sytuacji te badania mogły być bardzo niebezpieczne i drastyczne nie tylko dla mnie, ale również dla mojej mamy, rodzeństwa i oczywiście cioci Tekli. Należało podjąć szybką i mądrą decyzję. Na tym terenie byłem spalony.

Władek był w Koleczkowie, ale nic konkretnego się nie dowiedział. Jego kuzyni, znacznie starsi od niego albo nie chcieli ujawnić swych powiązań z ruchem oporu, albo rzeczywiście o jego istnieniu nic nie wiedzieli. Zdaniem Władka ta druga ewentualność była więcej prawdopodobna, chociaż...? Nie było to dla mnie pocieszające. Sądziłem, że w koleczkowskich lasach znajdę schronienie, a tu nic z tego nie wyszło. Na razie czekałem na wezwanie.

Wiosna już na dobre zagnieździła się w gościnnych i bezpiecznych do tej pory Nowinach. Bujne oziminy kołysał wiatr, a zagony jarych pokryła soczysta zieleń. Na łąkach w Stręgach wyrosły wielobarwne połacie kwiatów, zaś zbocza doliny zapłonęły jaskrawą żółcią rozkwitłych żarnowców, zwanych tu na Kaszubach jérkami. Przyroda radowała się słońcem, ciepłem, rosą i kapuśniaczkami, a ja chodziłem zatroskany i niespokojny. W najbliższą niedzielę u Tekli miała odbyć się ważna narada. Wszyscy wiedzieli, że czas nagli i trzeba prędko podjąć jakąś rozsądną decyzję. Nie chciałem podejmować jej sam.

Tej niedzieli obudziłem się, jak prawie nigdy dotąd, bardzo wcześnie. Nie wstałem od razu, choć słonko zaglądając do mojej izdebki, zapraszało do tego. Leżałem na wznak na swoim wyrku i wlepiłem wzrok w biały sufit. Zastanawiałem się nad tym, co czeka mnie jutro, pojutrze, za kilka dni. Nie ulegało wątpliwości, że to miejsce muszę opuścić. Zdemontowałem już radio i ukryłem je w skrzynce w drewni. Wiele wysiłku włożyłem w demontaż nie tyle radia, co rozwieszonych w budynkach anteny. Zapakowałem starannie maszynę do pisania, związałem w paczkę podręczniki i książki. Żadnego śladu zakazanej roboty nie mogłem zostawić. Za jakieś niedopatrzzenie najbliżsi mogli ponieść nieprzewidziane konsekwencje. Niemcy mogli mścić się na Tekli i jej dziecku. I tak będą mieć pretensje do niej o moje nagłe zniknięcie, będą ją podejrzewać o współudział w ucieczce.

Wiem – pomyślałem – zostawię list na pożegnanie, w którym przeproszę ją za nagły powrót w moje rodzinne strony na Białoruś. Może uwierzą w te kłamstwa.

Zaprowadziłem bydelko na łączkę. Obok zagrody na soczystej trawce uwiązałem konia i obojętny na uroki wiosny ociążałe, niemrawo, wolnym krokiem wróciłem do chaty, która na całe życie pozostanie w mojej pamięci. Zauważyłem, że dróżką od strony Pińsków ktoś śpieszy w kierunku Nowin. Pewnie na sumę do kościoła w Redzie – pomyślałem – i już dalej nie zwracałem uwagi na tę osobę. Po powrocie do domu wstąpiłem do drewnutni, by wrzucić królikom garść zerwanej po drodze trawy.

– A to co? Nie łaska wińc matce na przódk – usłyszałem głos od strony drzwi.

– To mama? – szepnąłem zaskoczony. – Jô mēmē nie poznôł – usprawiedliwiałem się i pobiegłem witać się z matką.

– Jô ce pozna z dôleka. A tē nawetkę na lędzy nie wezdrzisz. Co sę z tobą dzeje?

– Běl jem zamēsłzony i uwózôł, że to jaczis lędze jidą do kosola. Dzys je doch niedzela.

Mama przyszła wcześniej, niż się z cicią Teklą spodziewaliśmy. Wyjaśniła nam po wejściu do mieszkania, że jeszcze dziś po obiedzie zamierza udać się powtórnie do swojej kuzynki na Bieszkówku, bo tam upatrzyła i już obgadała dla mnie kolejne, względnie bezpieczne schronienie. Przyszła więc z konkretną propozycją, na którą z konieczności i wdzięczności musiałem się zgodzić. Uzgodniliśmy, że w poniedziałek z rana Ludka przyjedzie furmanką po moje rzeczy i zawiezie je na Bieszkówko do cici Agnesě, natomiast ja wieczorem przejdę się pieszo do nowego miejsca. Muszę być bardzo ostrożny i unikać dróg. W nowym miejscu, jak uzgodniły kuzynki, zamieszkać w magazynku nad kuchnią gospodarczą. Podobna sytuacja jak tu na Nowinach – pomyślałem.

– Będę tēskniał za Nowinami, za tym gościnnym domem, troskliwą ciotką i za tym małym, pociesznym dzieckiem, również za kolegami, koleżankami – ze smutną miną wynurzałem się przed matką.

Tekla po wysłuchaniu naszej rozmowy, uwierzyła naprawdę w to, że ją muszę opuścić. Podniosła wielki lament:

– Mam zostać tu sama? Przecież przyzwyczaiłam się do Radka i tych jego znajomych. Było tu nam tak wesoło. Tworzyliśmy zgraną rodzinę. Mnie będzie tu pusto.

Robert jakby coś wyczuwając, dołączył do lamentu swojej mamy, machając zawzięcie swoimi małymi rączkami. Patrzył na mnie podejrzliwie. Nie wiem, czy chciał mi grozić, czy błagać o pozostanie.

Tekla szybko opanowała się, uspokoiła o pogodziła z losem. Wzięła Roberta na rękę, tłumacząc mu:

– Ta wojna, synku, tak mocno nas krziwdzy. Ale to doch sę wnetkę zmieni.

– Bądzmē wszēsć dobri mēsłē – zwróciła się do nas.

Rozdział 11

Wśród ludzi odważnych

Żegnałem moją polanę ze łzami w oczach, żegnałem ją z rodzinnej Cierzni, do której doszedłem okrężną drogą przez Piński, bokiem Bieszkowic i jeziora Zawiat. Stałem teraz na niewielkim wzniesieniu na skraju lasu, patrzyłem na dom, w którym się wychowałem, na ukrytą po przeciwnej stronie doliny wśród starych lip szkołę, z którą związanych było tyle miłych wspomnień, na Gojkową Blizę, na ledwie widoczną Pucką Górę i na te lasy nad Redzczim Rowę, wśród których górowała drewniana bliza, podobna w blaskach zachodzącego słońca do płonącej żagwi. Za Pińskami były Reszki i tam stała chatenka, w której mieszkała Małgosia. Nie mogłem się z nią pożegnać, powiedzieć jej prawdy o moim zniknięciu, wyzalić się na zły los. Kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym stałem, mieszkali moi najbliżsi, do których również nie wolno mi było wstąpić.

Lasy za Cierznią znałem doskonale. Tu każda ścieżka, każda dolinka i wzniesienie, niemal każdy głaz, nie były mi obce. Dziś błądziłem po tym znanym lesie, nie poznawałem szerokich dróg, tyle razy oglądanych oczek i bagien, grzyborodnych zboczy, które setki razy odwiedzałem prawie każdego roku. W lesie panował półmrok, w gęstwinach pełny zmrok, ale to nie mogło usprawiedliwiać błądzenia po lesie. Ileż razy późnym wieczorem, a nawet nocą wędrowałem i dochodziłem do celu, a dziś? Smętek poplątał mi drogi. Zamiast na Sarniej Górze znalazłem się znowu na brukowanej drodze pod Okuniewem, stąd na szczęście na Bieszkówko prowadziła szeroka droga. O pełnym zmroku stanąłem na progu domostwa, które miało być moją kolejną przystanią. Byłem u ciotki Agnesë.

Wahałem się, czy zapukać w okno, czy normalnie do drzwi. Miałem mieszane uczucia. Jak mnie, niebezpiecznego przybłędę, przyjmą, co o mnie pomyślą, czy nie będę dla wujko-

stwa zbyt wielkim ciężarem?

Przez zaciemnione okno nic nie widziałem. Nie słyszałem też żadnych rozmów. Zdecydowałem się. Wszedłem do sieni, zapukałem i stanąłem w progu olśniony światłem lampy.

– Niech bądźcie pochwalony – starym zwyczajem pozdrowiłem domowników zebranych w kuchni.

– Na wieczi. To tē przēszedł nas odwiedzec – rzekła ciocia Agnesa, starsza kobieta, ale dziarsko się trzymająca i wesoła, skora do gadki.

– Tej le, starku, zamknij dźwierze na klucz, żebē nas tu chto nie napōdł – zwróciła się do swego męża, a mojego wujka, który ją znacznie przewyższał wzrostem, jak również wiekiem. Ociężałym krokiem podszedł do drzwi, a po drodze przyjaźnie poklepał mnie po ramieniu.

– A gdzie te ostawił Wiktora? – zapytała i zaniepokoiła się ciocia.

– On wēszedł cē na przōdk tam na Sōrnią Gōrę.

– Jō przēszedł od stronē Okuniewa, a na Sōmi Gōrze jō wcale nie bēł zaszli.

– On przīndze – wtrącił się wujek Gust.

Ciocia Agnes posadziła mnie przy stole i postawiła michę zacierki.

– Mōsz, jēdz – zachęcała sądząc, że jestem nieśmiały. Od podwieczorku wprawdzie nie nie jadłem, ale głodu nie czułem. Nie chcąc sprawić przykrości gospodyni, zabrałem się do wiewczyry.

– Mē ju jedlē – wyjaśniła i zabrała się do zmywania naczyń.

Mój kuzyn Wiktor przyszedł po pół godzinie i zdziwił się, gdy mnie zobaczył przy stole.

– Jō ce szukōł po calim lese, a tē sedzysz tu u mēmci.

Wyszliśmy po wiewczyry na dwōr, gdzie po przeciwnej stronie domu mieszkalnego stał budynek gospodarczy z kuchnią w szczycie. Stąd można było wejść po drabinie na poddasze, do znajdującego się tam spichrza na zboże. Jednak drabiny tu nie było, a luk zabito deskami, które pobielono na równi z sufitem.

– Dlaczego zlikwidowaliście to wejście? – zapytałem kuzyna.

– A bo głōwka pracuje – wymijająco odpowiedział kuzyn.

Z kuchni prowadziły drzwi do szopy, gdzie po jednej stronie stał koń, dwie krowy i cielak, a po drugiej w dwóch buchtach była maciora z prosiakami i kilka warchlaków. Na końcu ganku, który biegł środkiem szosy, stała drabina, po której dostaliśmy się na puste o tej porze poddasze, a następnie do drzwi zawalonych pozornie słomą. Prowadziły one do owego magazynku, szumnie nazwanego spichlerzem, który od tej pory miał stać się moim mieszkaniem.

– Dobrze to urządziłem? – zapytał niepewnie Wiktor.

Drzwi zamaskowane, luka zabelona, choć w razie potrzeby może stanowić wyjście bezpieczeństwa. Dobrze to Wiktor wykombinował i za to go pochwaliłem. Na stole paliła się karbidówka, a okno wychodzące na południe było, jak twierdził kuzyn, szczelnie zasłonięte. Moje kłamoty stały w rogu, pierzyna z Nowin leżała na łóżku, zapasowa odzież wisiała na hakach umocowanych do drzwi. Stół był zasłany obrusem ozdobionym barwnym haftem kaszubskim. To była robota Ludki. Ten rozłożony dobytek odsunął z tego pomieszczenia obcość, jaka ogarnęła mnie po wejściu. Usiadłem na krześle i jakiś nieokreślony ciężar spadł mi z serca.

– Wcale, wcale – rzekłem jakby sam do siebie, a Wiktor wyraźnie zadowolony krzątał się po pokoiku. Rzeczywiście włożył wiele wysiłku, żeby z prymitywnego magazynku zrobić dość przytulne pomieszczenie mieszkalne. Zauważyłem, że interesują go moje pakun-

ki. Gdy dowiedział się, że mam detektor, maszynę do pisania, no i cały stos książek, onie-
miał. Chciał, żebym zaraz zamontował anteny, uruchomił radio słuchawkowe i wypakował
maszynę. Z entuzjazmem deklarował pomoc. Czulem, iż będę miał dobrego współnika i że
podjęte w nowinach zadania konspiracyjne nie będą tu przerwane. Umówiliśmy się, że od
jutra będziemy wspólnie działać.

Naszych radiowy wznowiony został trzeciego dnia mojego pobytu w nowym miejscu, a
czwartego wybiłem na maszynie kolejny plik ulotek. Bez obawy wtajemniczyłem Wiktora
w całą konspiracyjną działalność. Jego rodzice zgodnie z naszą umową nie zostali wcią-
gnięci w naszą niebezpieczną robotę. Wiktor dostarczał ulotki Ludce, a ta, wiedząc o spr-
awie, przekazała je, gdzie trzeba: część do Władka, część do Brunka i Stefana, a resztę
otrzymywał Teoś z Reszke.

Wigilia św. Jana, tradycyjne na Kaszubach sobótki nie miały takiego przebiegu, jak rok
temu. Ich organizatorzy zostali w ciągu minionego roku poważnie rozproszeni. Ponadto
zakazano stanowczo palić świętojańskie ognie, choć zakaz ten nie był w wielu miejscowo-
ściach przestrzegany. Zapłonęły znicze słowiańskie na najwyższych wzniesieniach: na
Młińszci Górze w Koleczkowie, na Syberii w Bojanie, gdzieś pod Kolonią na Górze Do-
nasa, pod Chwaszczynem i Rębiskami.

– To zapółlęł ti, co dostał ordel do miemiecczięgo wojska – wyjaśnił mi Wiktor.

Niech ich zamkną – mówiono – to i do Wehrmachtu nie pójda. Nikogo nie zamknęli i
niebawem przyszedł czas odjazdu do przydzielonych jednostek wojskowych. Najpierw by-
ły huczne pożegnania kolegów w karczmach. Tam zebrali się poborowi ze swymi przyja-
ciółmi, popili, pośpiewali, oczywiście po polsku, nabłuznili na Hitlera, słowem narobili
wiele hałasu. Z polską pieśnią odjeżdżali – jak relacjonował Wiktor – do Wejherowa, skąd
specjalnym pociągiem mieli ich odwieźć w głąb Niemiec. Dworzec kolejowy w Wejhero-
wie chyba nigdy nie był świadkiem tak wielokrotnie w ciągu kilku godzin powtarzanego
hymnu narodowego. Niemcy ucisza! młodych Kaszubów, jak mogli: groźbą i prośbą,
przekonywaniem i nakazywaniem, ale kto śpiewał, ten śpiewał, z dużym podnieceniem
opowiadał Wiktor, który koniem odwiózł dwóch sąsiadów poborowych do miasta.

Jak się okazało, nie wszyscy poborowi stawili się w Wejherowie. Kilku brakowało. Z
Koleczkowa zabrakło Franca od Szmudów, parobka. Już drugiego dnia u Szmudów zjawił
się wachmeisterzy z posterunku w Kielnie, niejaki Hauster i Dupke w towarzystwie soły-
sa i Amtskommissarra z Bojana. Zrobili rewizję i zabrali gospodarzy Franciszka do aresztu
gminnego w Kielnie.

Przez Wiktora i Ludkę miałem dobre rozeznanie, co działo się na Lesórkach. Te lokalne
informacje zamieszczałem, jak się później okazało, dość nieogłędnie, w specjalnych ko-
munikatach, które krążyły po okolicy, aż dostały się w ręce władz okupacyjnych i zrobił
się wielki szum. Wzmocniono obsadę posterunku żandarmerii w Kielnie, gestapowcy pe-
netrowali nasz teren.

Nie nudziło mi się w nowej pustelni. Miałem tak czas zajęty, że dni uciekały szybko,
na pewno za szybko, jak na moje zamiary i plany. Tylko dla odprężenia i wyprostowania
kości wychodziłem z ukrycia i w różnych przebraniach pomagałem moim żywicielom: to
w sianokosach lub żniwach, to przy wyrębie opału z lasu i innych ważniejszych pracach.
Nie zapomnieliśmy z Wiktozem o moich w Cierzni. Wczesnymi rankami kosiliśmy trawę,
później zboże, ustawialiśmy kopce i szygi. Wychodziłem też, przeważnie w niedziele lub
święta, na dalekie spacer, oczywiście z kenkartą Wiktora, do którego byłem bardzo po-
dobny. Do tej pory nikt nie pytał mnie o dowód tożsamości.

Tej niedzieli usiadłem na brzegu kępy drzew na szczycie Sarniej Góry. Podziwiałem

wspaniały widok, jaki roztaczał się z tego miejsca. Sąsiednie, nieco niższe wzniesienie zwane bukową górą, ozdobione było koronami drzew, przeważnie sosen, które na tej glebie były w stanie zabezpieczyć sobie egzystencję. Stare dęby i buki na Sarniej Górze stały na straży tego najwyższego, a tym samym najważniejszego szczytu, na którym się relaksowałem. Spomiędzy drzew i zagajników rozsianych po całej okolicy wyglądały, niby wielkie twarze, pola uprawne ze zmarszczkami głębokich jarów, wyłobionych przez wody z czasów lodowcowych, burz i obfitych opadów. Sędziwe twarze tych dziwnych stworów miały kamieniste piegi i większe brodawki w postaci głazów, których tym stronom przyroda nie poskąpiła. Twarze te charakteryzowały regularnie rozmieszczone oczodoły, z których ku niebiosom spoglądały ciemne źrenice błotek, zwanych też oczkami, skąpych o tej porze w wodę. U podnóża wzniesień opadała łagodnie ku Koleczkowu nieckowata dolina Marchów, środkiem której płynęła strużka Marchówka, niosąca wody wypływające z owych oczodołów.

Podziwiałem tę ziemię, której Stwórca nie poskąpił uroków. Za nieregularną smużką łąk i wstęgą uprawianych pól stała grzywa niewielkiego lasu, który oddzielał tę nieckę od głębszej, na której dnie rozlało swe wody dwuczłonowe jezioro Marchowy, zwane też Koleczkowskim. Z mego punktu obserwacyjnego nie było widoczne całe jezioro. Z niego brała swój początek Zagórska Struga, dawniej Rumną zwana, obecnie najczęściej Zagórzanką, a przez okolicznych mieszkańców po prostu Ślężą. Ta ostatnia nazwa wywodzi się od śluz pobudowanych w ubiegłym stuleciu na wałach przecinających w pewnych odstępach dolinę strumienia. Śluzę te regulowały poziom wody w sztucznie potworzonych zbiornikach. Sprytni Żydkowie wykupili od pana Kielna, Leona Dix'a przylegające do doliny lasy, a splawiali uzyskane z nich dłużyce do tartaków, zwanych tu piłami, ulokowanych w Starej Pile, Szmelcie, Zagórze i Rumi. Za jeziorną niecką wznosił się kolejny garb pagórków, stanowiących dział wodny pomiędzy zlewiskami Małego Morza i Zatoki Gdańskiej. Wśród zieleni łąk otoczonych szachownicą pól, chojnami i dąbrowami szklily się w promieniach letniego słońca skrawki kolejnych jezior: Mulka, nad którym rozsiadło się Kielno, i Tuchomskiego, największego w tej okolicy. Krajobrazowi, który oglądałem, nie można było odmówić piękna. Był to jednak kraj ubogi, dawał skąpe plony. Tutejsi mieszkańcy mawiali, że zając, aby się pożywić na tych piaskach w okresie przednówka, zabierał z sobą z lepszych stron wiązkę trawy lub siana.

– Móm cos nowego! – zakomunikował po powrocie z Cierzni Wiktor.

Spojrzałem na niego z niepokojem. Może coś złego wydarzyło się w domu? – pomyślałem. Nowina musi być ważna, skoro tak późno przyszedł mi ją przekazać. Było już po północy i zbierałem się właśnie do spania.

– Nie, doma je wszétko w porządku – odgadnął moje myśli Wiktor. Otóż dowiedział się, że nauczyciel Alfred Loeper z koleczkowskiej karczmy i Leonard Kustusz ze sklepu kolonialnego, którzy odmówili przed lokalną komisją do spraw Volkslisty przyjęcia eindeutschungu, zostali wezwani przed oblicze gestapowskich oprawców i tam odpowiednio pouczeni, co czeka ich i rodziny, gdy w ciągu tygodnia nie złożą wniosku o wpis na niemiecką listę narodowościową. Chcąc uratować rodziny przed szykanami, utratą majątku i wysiedleniem do obozu, postanowili przyjąć zielony Ausweis, ale zbierają się potajemnie i prowadzą jakieś rozmowy. Tak przynajmniej twierdzi Bolesł Liedtke, kapral rezerwy, który uciekł z niewoli niemieckiej i ukrywa się w okolicy. Wczoraj był u was w domu i pytał się o ciebie – kończył swoją opowieść mój kuzyn.

– Ale to nie wszystko – rozgadał się Wiktor. – Jutro tu przyjdą ze mną szkolny Fryd, Leonard, Bolesł. Chcą poznać ciebie i porozmawiać, jeżeli na to się zgodzisz. Przyjdą poje-

dynczo, żeby nie podpadło.

– Wiesz co, Wiktor?

– ?

– Tę jes prôwdżewą paplą. Czë tē tak wszëszczim o mie paplesz.

– Co tē! Jô ju wiëm, co komu gôdôm – oburzył się mój kuzyn.

– Tę pewno nie zdajesz so sprawę, o co całô rzecz jidze? Boles gôdô o jacziesz organizacji. To mô bëc tajnô robota, a nie paplanie.

Z jakimś podenerwowaniem, niepokojem, a zarazem ciekawością oczekiwałem na to spotkanie. Na wszelki wypadek schowałem wszystkie podejrzane przedmioty, wysprzątałem też pomieszczenie na tyle, na ile mnie było stać, poprawiłem i dokładnie uszczelniłem zasłonę na oknie i sprawdziłem ją ponownie z zewnątrz, czy aby jakiś promyk światła nie przenika w którymś miejscu. Po tych przygotowaniach usiadłem na łóżku i snułem różne przypuszczenia co do celu wizyty. Wiktor ma rację. Są to ludzie poważni, którzy mogą śmiało reprezentować całą młodzież koleczkowską, ba, nawet całą społeczność wiejską. Czego mogą oni chcieć ode mnie, niedoświadczonego prostaczka?

Najpierw Wiktor przyprowadził Bolesia. Pomimo że był o całą dziesiątkę lat starszy ode mnie, znałem go, bo w kapeli ochotniczej straży pożarnej w Kielnie grał na klawecie. Był raczej niższego wzrostu, miał włosy trochę kędzierzawe, czoło wysokie i taki wyraz twarzy, jaki posiadają ludzie myślący lub zarozumiali. Przeszedł w ciemnych, szerokich spodniach i w granatowej bluzie. W dłoni miał sękaty kij i wydawało mi się, że zanim wszedł do pomieszczenia, ukrył pod bluzką krótką broń.

Kolejnym przybyszem był rolnik i kupiec zarazem, Leonard Kustusz, który, jak wcześniej poinformował mnie Wiktor, był podobnie jak Boles obrońcą Wybrzeża we wrześniu 1939 roku. Toteż jego postawa i ruchy były żołnierskie. Jego zamyślane oblicze zdradzało wewnętrzną powagę i rozwagę, a energiczne ruchy – przedsiębiorczość. W ręce miał giętą wierzbową witekę. Ubrany był skromnie, ale z gustem.

Jako ostatni zjawił się – znowu w towarzystwie Wiktora, który każdorazowo wychodził na spotkanie przybywających – nauczyciel Alfred Loeper. Był najstarszy z całej trójki. Ocenilem go na ponad trzydzieści lat. Miał długie buty, jak na oficera przystało, i sportową bluzę. Wydawać by się mogło, że jest stale zamyślony, zanedbto poważny, czy też czymś przygnębiony. Uśmiech na jego twarzy gościł rzadko. Wzbudzał pełne zaufanie.

Wiktor krótko i zwięźle przedstawił mi przybyłych gości, a raczej powtórzył tylko to, co ja o nich od niego wiedziałem. Natomiast o mnie mówił znacznie dłużej. Bałem się, że palnie jakieś głupstwo, że powie o naszej konspiracyjnej robocie. Ale nie. Wyjaśnił dość szczegółowo powód, dla którego muszę się ukrywać, a więc mój udział w obronie Wybrzeża, ucieczkę z niewoli, śmierć mego ojca w piasnickskich lasach, wspominał o przybranym nazwisku i o tym, co z tego wynikło. Wszyscy obecni słuchali uważnie i od czasu do czasu stawiali mi pytania. Z kolei zainteresowali się pomieszczeniem, w którym się spotkaliśmy.

– Niezła kryjówka – stwierdził nauczyciel.

– Takiej właśnie szukamy – dodał Kustusz.

Tak od słowa do słowa i dowiedziałem się, że przybyła trójka szuka dobrze ukrytego, oddalonego od innych zabudowań pomieszczenia, w którym można swobodnie pogadać, spotkać się z podobnie myślącymi osobami, które na przykład nie mają zamiaru stawić się do armii niemieckiej. Uznali, że moja pustelnia może być świetnym punktem kontaktowym, gdyż szopa stoi tuż przy lesie i od tej strony ma częściowo ukryte wejście. Z przeciwnej strony jest rozległy widok na okolicę i można łatwo zauważyć niepożądanych przy-

byszów. Z szopy można się dostać do przyległej stodoły, a z niej do ukrytego w zaroślach głębokiego parowu.

– Piepków należy wtajemniczyć w sprawy, by w razie jakiejś wpadki nie mieli do nas pretensji – zauważył Bolesław.

– Racja – przytaknął nauczyciel – a zajmij się tym Leonard, gdyż on to najlepiej załatwi.

Po dyskusji, do której zostałem wciągnięty, ustalono, że nasza piątka daje w Koleczkowie początek organizacji podziemnej, która będzie skupiać podobnych do nas ludzi, zamierzających w przyszłości podjąć walkę z okupantem, a na razie przeszkadzać mu w niszczeniu lub germanizowaniu ludności kaszubskiej. Do organizacji mogą należeć tylko ludzie pewni i zdecydowani na wszystko.

– Żeby prowadzić walkę – zastanawiał się Kustusz – będzie potrzebna broń.

– I właściwa organizacja z dyscypliną wojskową, przysięgą żołnierską, dowódcami kwalifikowanymi – dodał Loeper.

– Tak, ale to będzie wojsko podziemne, ukryte, zakonspirowane – wtrącił Wiktor.

Podobały mi się te plany i dlatego zapytałem, czy my z Wiktorem możemy również należeć do tej organizacji.

– Po to tu między innymi przyszliśmy – wyjaśnił nauczyciel – i już w tej chwili traktujemy was jako członków naszej znowy. Na was chyba można polegać?

– Tak jest! – odpowiedzieliśmy prawie jednocześnie w stylu wojskowym i w postawie zasadniczej.

Z kolei Bolesław poinformował nas, że jak mu wiadomo, w powiecie morskim istnieje już od jesieni 1939 roku organizacja konspiracyjna i że ma możliwość dotarcia do ludzi z nią związanych. Wszyscy orzekli, że trzeba jak najszybciej nawiązać z nią kontakt, a nasz klamecista został zobowiązany, by się podjął w imieniu całej grupy tego zadania. Ustalono też, że spotkanie z przedstawicielami wejherowskiej organizacji odbędzie się u mnie, jeśli oczywiście moje wujostwo przyjmie propozycję urzędzenia w komórce punktu kontaktowego.

Nastąpiły też dalsze ustalenia. Leonard Kustusz jako kupiec będzie gromadził zapasy żywności. Podobne zadanie wyznaczono nauczycielowi, u którego w domu istniała też taka możliwość. O broń będzie się starał Bolesław, ale nie tylko on. To jest zadanie dla wszystkich. Wiktor nawiąże kontakty z kilkoma ustalonymi wspólnie osobami, które po wyrażeniu zgody mogą być wciągnięte do naszej organizacji.

Tym razem ja odprowadziłem gości aż na krzyżówkę za Sarnią Górą, bo Wiktor miał pilne zajęcia w domu. Drugiego dnia, gdy kuzyn wpadł do mnie, powiedziałem mu, że jestem zbudowany postawą wczorajszych gości, a szczególnie Loepera i Kustusza. Bolesław musiał się ukrywać i żyć w konspiracji, bo uciekł z obozu jenieckiego na skutek brutalnych nacisków za podpisanie Volkslisty. Dla niego taka podziemna organizacja była szansą przetrwania. Ale jakie pobudki kierują kolejnymi dwoma kandydatami, nie wiedziałem.

Wiktor opowiedział mi, że Kustusz po śmierci swego ojca został ściągnięty przez miejscowe władze z obozu, by zająć się rodzinnym gospodarstwem rolnym, a także sklepem kolonialnym. Nauczyciel Loeper uciekł z transportu polskich jeńców i przebywał w domu, gdzie został zameldowany bez przeszkód.

Jesień 1942 roku była zmienna. Po krótkiej polskiej jesieni nastąpiły dni dżdżyste i chłodne. słońce opuściło na wiele dni piękną krainę lasów, wzgórz, strumieni i jezior. Mgły tułyły się do zagajników, zarośli i lasów, pelzały po wrzosach i zamowcach, wzdłuż bulgocących rzeczek, kłębiły się wokół kaszubskich oczek.

W dniu święta zmarłych ścieżkami, miedzami, drózkami śpieszyli ludzie na cmentarze, by powspominać tych, których prochy szczęśliwie złożono w mogiłach i tych, których szczątki okupant ukrył w lasach i kaszubskich parowach. Nie byłem na cmentarzu, a tak chciałem zapalić w tym dniu świeczkę memu tacie, cioci Zofii i wujkowi Waleremu, których, jak wolno mi było sądzić, pochłonęła wojna. Pragnąłem też pomodlić się za poległych w kampanii wrześniowej kolegów-harcerzy i za wszystkie ofiary wojny.

Do mojej skrytki na szopie Piepków przybyli już na ważną naradę nauczyciel Alfred Loeper i Leonard Kustusz. Bolesław Liedtke i Wiktor Piepke czekali w umówionym miejscu na delegatów komendy powiatowej jakiejś tajnej organizacji konspiracyjnej. Z miejsca spotkania mieli doprowadzić ich leśnymi drózkami do naszego punktu kontaktowego, uzgodnionego już z gospodarzami. Obaj koleczkowanie, ja również, byliśmy ogromnie ciekawi, kto, z jaką nowiną i propozycją się zjawi.

– Ponoć mają to być przedstawiciele naszej kaszubskiej organizacji – przerwał milczenie Kustusz.

– Ciekawe, jaki zasięg działania ona ma? – zastanawiał się Loeper.

– Czy aby mają broń? – przyłączyłem się do rozmów moich gości.

Kiedy oni snuli domysły, wypowiadali przypuszczenia, precyzowali życzenia, ja nie wtrącałem się. Słuchałem tylko, z jaką troską i powagą odnoszą się do sprawy kaszubskiego podziemia. Nauczyciel miał, prawie jak zawsze, zatroskane oblicze. Może miał taki wyraz twarzy, a może odpowiedzialność za ryzykowne przedsięwzięcie odbijała się na jego obliczu? On chyba najpełniej zdawał sobie sprawę z dość szalonego zamiaru. Tworzyć zbrojną organizację tuż pod bokiem „Festung Gotenhafen”, jak Niemcy mówili na strategicznie położone miasto portowe, jakim była Gdynia, rozlicznych jednostek wojskowych na jej obrzeżach, nie mówiąc już o urzędach, posterunkach, szpiclach i tej całej machinie okupacyjnej. Czy to czasem nie jest szaleństwo?

Gdy się ze swoimi wątpliwościami podzielił z kolegą, ten uzupełnił rejestr zagrożeń. Tu na każdym kroku mieszkają Niemcy, każdy posterunek ma w wioskach do dyspozycji policję pomocniczą. Prawie wszędzie są niemieccy sołtysi, działa niemiecka służba rolna i leśna. Jednak Kustusz do całej tej sprawy podchodził więcej z entuzjazmem, z zapalem i nie przywiązywał tak wielkiej wagi do skutków, jakie to przedsięwzięcie ze sobą niesło. Z jego wypowiedzi wypływała woła szkodzenia nieprzyjacielowi na każdym kroku, chęć walki z nim. Nie był jednak porywczy, bowiem każdy krok, każde działanie rozważał po kulpecku.

Tyle zdołałem wywnioskować z dotychczasowych kontaktów z nowymi przyjaciółmi. Cieszyłem się, że właśnie z nimi spotkałem się na koleczkowskich pustkach. Groźbę dla nas wszystkich stanowił bardzo prymitywny, ale niebezpieczny sołtys Frasse, zamieszkały nad jeziorem Marchowy.

– Spóźniają się emisariusze – próbowałem podtrzymać przerwana rozmowę.

– Tak. O jedenastej powinni być tu na miejscu, a jest wpół do dwunastej – zaniepokoił się nauczyciel.

– O wilku mowa ... – powiedział Kustusz i zawsze czujny wyszedł z pokoju na poddasze, na które po drabince wspinał się Wiktor, a za nim ubrany dość elegancko mężczyzna. Ale ten trzeci?

Przestraszył się Kustusz, przestraszyłem się również. Jako trzeci wspinał się po drabinie niemiecki żandarm z pistoletem maszynowym przewieszonym przez ramię. Pierwsza myśl, jaka mi się nasunęła, to przypuszczenie, że Wiktor z tym nowym wpadli w zasadzkę i ten żandarm prowadzi ich do naszej kryjówki. Jednak zreflektowałem się, że to nie tak,

bo żandarm nie ma broni gotowej do strzału, a zachowanie idących przodem nie wskazuje na to, że idą tu pod presją.

Wszyscy znaleźli się w magazynku. Wiktor zawrócił, by patrolować teren wokół zabudowań. Ów domniemany żandarm zdjął policyjną czapkę i zawiesił ją na haku razem z pistoletem.

– Pawełek!? – krzyknął wówczas kustusz.

– Tak, to ja, a mój kolega to „Batory”, zastępca komendanta komendy powiatowej tajnej organizacji wojskowej „Gryf Pomorski” w Wejherowie. A ja – wskazał znacząco na siebie – przestałem się nazywać Paweł Hebel. Mówcie do mnie i o mnie „Zagłoba”. Wy również zastanówcie się nad swymi pseudonimami. Tego wymaga konspiracja.

Na wstępie spotkania „Batory” przedstawił krótką historię „Gryfa”. Już wiosną 1940 roku nauczyciel Józef Dambek z kolegami zorganizował w powiecie kartuskim grupę konspiracyjną, która przybrała początkowo nazwę: Tajna Organizacja Wojskowa „Gryf Kaszubski”. Szybko rozwijała się i objęła swym zasięgiem tereny niekaszubskie. Dlatego zmieniła nazwę na „Gryf Pomorski”. W połowie tego roku zgłosiła swój akces do „Gryfa” wejherowska organizacja „Polska Żyje” i działający przy niej oddział dywersyjno-sabotażowy „Dysab”. Tak w Wejherowie powstała Komenda M-1, na czele której stanął „Zbyszek”, a jego zastępcą był obecny tu „Batory”. Po prezentacji wymienieni zaszalutowali i podali ręce obecnym.

– Komendzie powiatowej „Gryfa” podlega – kontynuował „Batory” – kilkanaście komend gminnych i wiejskich oraz kilka oddziałów partyzanckich z terenu nie tylko ziemi wejherowskiej, ale i puckiej. Celem naszym jest przygotowanie ludu kaszubskiego do ogólnego powstania na wypadek lądowania z morza lub z powietrza wojsk alianckich. Uznajemy polski rząd na obczyźnie, ale jesteśmy organizacją niezależną i ściśle wojskową. Naszym naczelnym wodzem jest zapewne znany i wam ksiądz podpułkownik Józef Wrycza. – Jest on też – dodał pochodzący z tego terenu „Zagłoba” – szefem wywiadu i kontrwywiadu w komendzie M-1.

Z kolei zabrał głos „Zagłoba”, który ujawnił, że oprócz wymienionej funkcji w komendzie „Gryfa” jest komendantem komendy gminnej Wejherowo-Wieś i dowódcą oddziału partyzanckiego działającego na terenie Gowina i Milwina. Planuje się powołanie komendy gminnej na terenie gminy Kielno, ale z siedzibą w Koleczkowie i jeśli komenda ta będzie dość prężna i zamelduje komendzie powiatowej, że ma kandydatów na partyzantów, powstanie oddział szturmowy. Członkowie naszej organizacji, jeśli korzystają z okupacyjnej legalności, nie schodzą do podziemia. Jednak dla tych, którzy z jakichkolwiek powodów muszą się ukrywać, należy przygotować w zabudowaniach, w ich pobliżu i w lasach schrony.

– Każdy z członków „Gryfa” składa uroczystą przysięgę na krzyż, a jej złamanie jest karane przez sądy gryfowskie – powiedział na zakończenie, dodając, że przysięgę mogą odbierać upoważnieni mężowie zaufania.

Po tych informacjach było mnóstwo pytań, a jedno z pierwszych dotyczyło sprawy istotnej dla Kaszubów, mianowicie, czy posiadacze zielonego Ausweisu mogą należeć do „Gryfa”?

– Oczywiście, lecz pod warunkiem, że nie są kolaborantami.

– Przyjmować można jedynie ludzi pewnych, którzy w niczym nie zaszkodzą organizacji – wyjaśniał „Zagłoba”. – Z rezerwą trzeba podchodzić do osób, które z własnej woli przyjęły trzecią grupę niemieckiej listy narodowościowej, jeszcze przed odezwą Gauleitera Forstera.

Na zakończenie spotkania postanowiono, że za dziesięć dni uczestnicy narady spotkają się ponownie w tym samym miejscu i o tej samej godzinie. Już teraz należy prowadzić rozmowy z przewidzianymi kandydatami do „Gryfa” i to nie tylko w Koleczkowie. Odchodząc obaj przybysze zaszalowali; „Zagłoba” do odkrytej głowy, bo nie wypadało od dawać polskich honorów dwoma palcami do niemieckiej wrony.

I tak zaczął się nowy etap w moim tułaczym życiu. Wiedziałem, że od tej chwili nie sam będę decydował o swoim losie, a organizacja, której mam zamiar podporządkować się. Dziś uznałem za celowe ujawnienie mojej dotychczasowej działalności konspiracyjnej budzącym pełne zaufanie towarzyszom. Dlatego po odejściu wysłańców wejherowskiej komendy poprosiłem Kustusza i Loepera o pozostanie. Wiktor miał mi asystować. Ku zdziwieniu gości zmontowałem na ich oczach detektor, Wiktor ustawił maszynę na stole, wyłożyłem ulotki informacyjne i po powrocie Bolesia z lasu (odprowadzał naszych powiatowych kurierów) złożyłem pełną relację z mojej dotychczasowej działalności na Bieszkówku i w Nowinach pod Zbychovem.

– Alana, to są tacy bótë – wyrwało się z kaszubska Kustuszowi.

– My tu planujemy Bóg wie co, a robota konspiracyjna wre – ocenił nauczyciel Loeper moja dotychczasową działalność.

– Ulotki są mi znane. Kto by przypuszczał, że wyszły z Koleczkowa lub z nie tak odległych Nowin? – ze zdumieniem oświadczył Boles.

– Organizacji jeszcze nie mamy, ale biuro już jest, wydawnictwo również – podsumował całą sprawę Loeper.

Zyskałem w oczach nowych przyjaciół z Koleczkowa wiele. Jakoś serdeczniej pożegnali się tym razem ze mną, potraktowali mnie jak równego sobie. Liedtke zadeklarował się do pomocy w naszej wspólnej z Wiktorem działalności, bo miał wiele wolnego czasu. Pomoc też obiecali pozostali koleczkowianie.

Też listopadowego dnia była słoneczna pogoda. Wyrzucając z rana obornik podziwiałem jesienny, bajecznie kolorowy las. Ileż w nim odmian żółci, brązu i czerwieni! Zieleń prawie zupełnie znikła. Po nocnym, lekkim przymrozku liście same, nawet bez powiewu wiatru opadały wolniutko i majestatycznie na barwne runo leśne. Z błękitnego zawoalowanego lekką mgiełką nieba dochodziło gęganie dzikich gęsi i skrzypiący szum żurawich skrzydeł. Ptaki nawet w czas niewoli czuły się wolne i swobodnie przekraczały pieczołowicie strzeżone granice, tak poprzestawiane wojną w Europie. Zazdrościłem im.

Na dzisiejsze ważne spotkanie przygotowałem naszą melinę odpowiednio. Na ścianie zawiesiłem w środku biało-czerwonej flagi wizerunek orła białego. Na stole postawiłem dwie świeczki, a pośrodku krzyż pożyczony od cioci Agnesë, bo swojego nie miałem. Ubrałem przyciasnawy mundurek harcerek z jedną jedyną odznaką, owym orzelkiem kolejarским z czasów kampanii wrześniowej. Tak przygotowany czekałem na gości.

Wbrew zasadom konspiracji tym razem wszyscy przybyli razem. Ogarnęło ich wzruszenie, gdy zobaczyli tak przygotowany pokój. Toteż bez wielkich wstępnych przemówień, deklaracji z naszej strony i ceremonii przystąpiono do uroczystego zaprzysiężenia pierwszych koleczkowskich gryfowców. Drżącym głosem wypowiadaliśmy słowa roty. Następnie „Batory” wypełnił nasze konspiracyjne legitymacje, wpisując kolejne numery z czwartej połowy setki i nasze pseudonimy. Alfred Loeper od teraz w naszym gronie będzie nazywał się „Lew”, Wiktor Piepka nazwany został „Kurem”, co po polsku oznacza koguta, Leonard Kustusz przybrał pseudonim „Burza”, a Bolesław Liedtke po prostu „Stół”. Ja, Radek Okrój w konspiracji będę się nazywał „Lesók”, co oznacza mieszkaniec lasów. Jednocześnie komendantem nowo powstałej Komendy Gminnej TOW „Gryf Po-

morski” powołany został podporucznik rezerwy „Lew”, a jego zastępcą kapral „Burza”. Kapralowi „Stół” powierzono odpowiedzialną, ale i trafną funkcję męża zaufania, a „Kurowi” funkcję łącznika. „Lcsök” został szefem kancelarii komendy.

Od tego dnia sprawy szły szybko naprzód. Prawie każdego tygodnia powiększała się komenda gminna „Gryfa” w Koleczkowie. „Stół” w asyście „Lwa” lub „Burzy” zaprzysięgał w mnie lub w innych ustronnych miejscach nowych członków. Przyjęte też zostały pierwsze dziewczyny: „Słowik”, „Skowronek” i „Brzózka”. Nocami budowano w ogródkach, zaroślach, na miedzach, w zagajnikach magazyny różnego przeznaczenia, głównie żywnościowe. Pracownicy leśni „Byk” i „Siekiera” z polecenia komendy wybudowali w rewirze 250 leśnictwa Głodówko, niedaleko Slęzy, w mieszanym zagajniku pierwszy bункier mieszkalny, dość skromny, ale wystarczająco urządzony. Przez parę dni również pomagałem przy tych pracach. W całości wykonany był z okraglaków, ale sufit i częściowo ściany obito deskami przetartymi w tartaczku w koleczkowskim młynie. W środku ustawiono stół, przy nim ławę, a przy ścianach przyce do spania, w rogu zaś piecyk żelazniak, z którego dym wyprowadzono do gęstego skupiska świerkowego. W drugim rogu znajdował się dobrze zamaskowany właz z przymocowanym niewielkim pniakiem.

Pewnego wieczoru opuściłem moją pustelnię na Bieszkówku i udałem się do Nowin, by z mojego dawnego schroniska zabrać kilka rzeczy ukrytych w skrytce. Chciałem też zobaczyć ciocię Teklę, której tak wiele zawdzięczam, i pociesznego Roberta. Długo nie zabawiłem u mojej byłej opiekunki, bo mógłbym zostać zaskoczony przez żandarmów, którzy w mojej sprawie kilka razy odwiedzali Nowiny i to przeważnie wieczorem. Pozostawiony przeze mnie list uspokoił ich wprawdzie, ale z nimi to nigdy nie można było być pewnym.

W drodze powrotnej wszedłem na dróżkę prowadzącą w kierunku Pińskich Błot. Wąski sierp księżycy, niby matowo-świelisty rogal boczył się na lesócką krainę, wędrując po niebie nad samą linią horyzontalną. Natomiast gwiazdy Niedźwiedzicy bardzo wyraźnie mrugały do mnie i tych wszystkich, którzy wędrowali wieczorem w sprawach prywatnych lub publicznych. Zastanawiałem się, czy karabin, który niosłem pod płaszczem, zaliczyć należy do mojej prywatnej czy też ogólnospołecznej własności? Doszedłem do drogi prowadzącej z Nowego Dworu do Reszek. Gdy na niej stanąłem, jakaś siła skierowała moje kroki w stronę Reszek. Nagle zatęskniłem za Małgosią tak silnie, że było to mocniejsze ode mnie. Tak dawno jej przecież nie widziałem. Co też porabia? Zdawałem sobie sprawę z tego, że nie powinienem z nią się spotykać, ale jakaś tajemna siła, tęsknota, chęć popatrzenia na nią choćby tylko przez moment, nie pozwalały mi zmienić kierunku.

Przed Reszkami ukryłem karabin w krzakach. Przez ogrody po oszronionej trawie zakradłem się do Małgosinej chęczy. Psy, zapewne pochowane w chłodny wieczór po budach, na szczęście mnie nie zauważyły. Stąpając jak najciszej obszedłem wszystkie okna, ale były zasłonięte. Tylko w kuchennym przez „Ferdunklung” prześwitwały drobniutkie smużki światła. Szpary były jednak za małe, żeby cokolwiek przez nie zobaczyć. Ale pech – pomyślałem – i nadstawiłem ucha, bo z kuchni doleciał do mych zmarzniętych uszu swobodny śmiech dziewczyny. Poznałem. To był jej śmiech. Po chwili powtórzył się może nawet głośniejszy i znowu, znowu ... Dlaczego się śmieje? Do matki? A może sama do siebie? Nie. Gdy dokładnie się wsłuchałem, to najpierw usłyszałem wyraźne mamrotanie, jakiś obcy głos, raz silniejszy, to znów cichy, a po nim wybuch tego radosnego śmiechu. Stwierdziłem, że to na pewno męski głos. Kto to może być?

Nie wytrzymałem. Odруchowo otworzyłem zewnętrzne drzwi. Pod moimi nogami przemknął pies, który znalazł schronienie w sieni pod stołem i lękliwie zaskomlał. Chwilę

się zawałałem, ale w tym momencie otworzyły się kuchenne drzwi i stanąłem w nich w świetle karbidówki. On, to był Glózów Gust, kawaler w starszym wieku, reszkowski karczmarz. W głębi kuchni, na starej kanapce siedziała z podwiniętymi nogami rozpromieniona Małgosia. Czy mnie poznali? Nie wiem. Raczej nie.

Gwałtowny zwrot i już mnie w sieni nie było. Nie szukałem furtki i skacząc przez płot znalazłem się w ogrodzie. Teraz, gdy uciekałem, pies już nie skowyczał, a przyczepił się do mych nóg, szczekając zawzięcie, zaś Gustk go podsycał:

– Bierz go! Bierz go za buksę!

Widocznie nie poznał mnie, a może poznał i chciał przegonić? Nie tyle ze strachu, co z rozpaczy uciekałem jak opętany. Nawet o karabinie zapomniałem. Wyło coś we mnie, rwało serce, dusiło za krtani, a nogi po pewnym czasie zaczęła ogarniać drętwota, ale chyba nie taka zwykła, fizyczna, a duchowy zawód unieruchamiał moje dolne kończyny.

– Jak ona mogła? Jak mogła?! – wyrwało się z krtani.

Ja za nią tęskniłem tygodniami, miesiącami, ba, nawet każdego dnia i godziny, a ona swobodna, rozpromieniona i roześmiana zabawia się z Gustkiem, znanym z tego, że bałamuci od lat młode dziewczęta. Jak ona mogła?

Rzuciłem się na jakąś oszronioną miedzę i ogarnął mnie szloch spowodowany wielkim zawodem. Nawet zimna nie czułem i lodowatych kryształków również. Powoli następowało opamiętanie. Mnie, partyzantowi, nie wolno się rozczulać, pomyślałem, wstałem i przypomniałem sobie, w jakim celu znalazłem się na zbychowsko-reszkowskich pustkach. Wróciłem, wyjąłem karabin z krzaka i przez Trapy dotarłem do lasu. Jego brzegiem doszedłem do Cierzni. Pełen smutku i zawodu chciałem wstąpić do domu, tylko na chwilę, i wyzalić się Ludce, bo przypuszczałem, że Sławek już śpi. Ale nie zrobiłem tego, bo byłem za bardzo roztrzęsiony i mama na pewno by to zauważyła, a jej nie miałem zamiaru tłumaczyć się z przyciętego wydarzenia. Wiem, co by powiedziała:

– A po co tē tam łóź! Nie trzeba bęc niszrich.

Już nocą, gdy świetlisty rogal-mieśiac wyszedł nareszcie wysoko nad Tuchomskie Jezioro, dotarłem zmarnięty do mojej samotni. Długo nie mogłem zasnąć. Rozmyślałem o tym, co przez moje niezdiscyplinowanie i ciekawość zobaczyłem w Reszkach. Po co ja tam polazłem? – robiłem sobie wyrzuty. Już teraz najwięcej niepokoiło mnie to, czy Gustk mnie poznał, czy nie, bo Małgosia na pewno nie. W końcu doszedłem do wniosku, że tak właściwie nic groźnego się nie stało. To, że Gust swoją paplaniną rozśmieszał Małgosię, było całkiem normalne, a razem to ich nie widziałem. Jeśli razem z nimi była mama Małgosi, to przecież w zachowaniu mojej dziewczyny nie było nic sprośnego. Czy mama była w kuchni? Tego nie widziałem. Troska o naboje do mojej broni i redagowanie nowej ulotki powoli przyćmiły moje miłosne udręki.

Pod koniec listopada 1942 roku komenda gminna TOW „Gryf Pomorski” w Koleczkowie otrzymała zezwolenie na powołanie oddziału szturmowego. Dowódcą tego oddziału mianowany został podporucznik „Lew”, a jego zastępcą bliżej nieznanymi koleczkowianom „Jan”, który tylko formalnie zastępował Loepera. Rzeczywistym zastępcą był bardzo energiczny koleczkowianin „Burza”. Do oddziału przyjmowano gryfowców mających przeszkolenie wojskowe, a poza tym opinię prawych, odważnych i pewnych ludzi, nie mających na utrzymaniu liczniejszych rodzin. Zostałem również przyjęty ze względu na mój udział w obronie Wybrzeża i dotychczasowe osiągnięcia konspiracyjne. Na razie byłem oprócz „Ławy” jedynym ukrywającym się partyzantem. Na początku grudnia oddział partyzantki liczył czteremastu członków. Tylko połowa z nich była dobrze uzbrojona. Najpilniejszą więc sprawą było zdobycie broni.

Po ostatnich, stosunkowo ostrych przymrozkach, korony drzew огоłocily się zupełnie ze złota, żółci i purpury. Opadłe liście utworzyły barwny całun w naszych lasach. Nawet muchomory oklapły zwarzone mrozem. Gdzieniedzie wśród igliwia kryły się jeszcze zdrowe zajączki. Pogoda najwyraźniej psuła się. Po lasach, dolinach, kotlinach kłębić zaczęła się adwentowa dółka. Wujek Gust twierdził, że w tej mgłę rośnie śnieg.

– Na Godę bądźże bióło – wróżył z przekonaniem.

W taki czas wybraliśmy się w trójkę, to znaczy „Burza”, „Byk” i „Lesók” w lasy położone niedaleko leśniczówki Zagórze, gdzie miała być ukryta broń z września 1939 roku. Według relacji „Byka” powinny tam znajdować się cztery karabiny, niepełna skrzynka amunicji i kilka ręcznych granatów. Przeszliśmy pieszo bokiem Cierzni, Piekielka, Starej Piły, aż dobrnęliśmy do Kamienistej. Idąc pod górę w kierunku wspomnianej leśniczówki pan Bieszke, czyli „Byk”, znacznie starszy ode mnie, opowiedział nam, jak doszło do ukrycia tej broni. II baon Obrony Narodowej około 12 września wziął w wypadzie na Redę, Gniewowo i Zbychowa.

– Moja drużyna – relacjonował kapral „Byk” – po ciężkich bojach w Aueranie, przebiła się na polanę leśniczówki Zagórze, a następnie ścigała tabory wroga wycofujące się w kierunku Zbychowa. W pewnym momencie zorientowaliśmy się, że jesteśmy okążeni przez Niemców. Zarządziłem odwrót. Przebiliśmy się znowu w pobliże leśniczówki. Połegło kolejnych dwóch żołnierzy. Silne ugrupowania nieprzyjacielskie zamknęły nam całkowicie drogę. Błąkaliśmy się już tylko w czterech po lesie, ale wyjścia z matni nie było. W tej sytuacji postanowiliśmy ukryć posiadaną broń i amunicję w gęstym zagajniku obok samotnej, wysokiej sosny w leju po pocisku artyleryjskim. Następnie każdy z nas na własną rękę starał się wydostać na tyły nieprzyjaciela. Ja po dwóch dniach dotarłem szczęśliwie do Koleczkowa, a co stało się z pozostałymi kolegami, nie wiem.

– Ale, ale, chyba nikt tych skarbów nie podwędził? – niepokoił się kapral „Burza”.

Ową sosnę znaleźliśmy szybko, ale ze znalezieniem miejsca ukrycia broni nie poszło tak gładko. Wreszcie Bieszke, noszący też pseudonim „Tédk”, krzyknął radośnie, prawie na głos, że aż wszyscy z niepokojem obejrzel się.

– Je skrzżenia, jô doch dobrze kopól.

Obok leżały karabiny zawinięte w trochę zbutwiały pokrowiec, który uchronił je przed nadmierną korozją. W skrzyni oprócz niespełna dwóch setek naboji, znajdowały się trzy ręczne granaty.

Ostrożnie leśnymi gąszczami, z dala od dróg i uczęszczanych ścieżek wracaliśmy w sarnioskie lasy. Bez specjalnych przygód dobrnęliśmy porządnie zmęczeni do mojej pustelni. Po odpoczynku późnym wieczorem przenieśliśmy naszą zdobycz do schronu uzbrojenie w 250. rewirze leśnictwa Głodówko, w którym Tédk zatrzymał nas, by przeprowadzić konserwację uzyskanej broni. „Byk” czuł się w lesie swobodnie i pewnie, bo pełnił funkcję gajowego przy niemieckim leśniczym Müllerze. Mnie przydzielono dwadzieścia sztuk amunicji do mojego karabinu. Mając naboje, pochwaliłem się przed kuzynem:

– Tę się możesz schowac z tą swoją pukawką, jô móm prôwdżewą strzelbę.

Wiktor jakby zlekceważył moje niemądre przechwałki i rozpoczął rozmowę na zupełnie inny temat:

– Wiész, po Marchowach i na Sarni Górze krąca się frèce: szandarcz z Czielna i ti z Hilfspolizei.

– A o co jima chodzi?

– Zdaje się, że szukają Bernada Kepczy, naszego sąsôda. On się nie stawil do miemieckiego wojska.

– Jemu trzeba pomóc – powiedziałem automatycznie, jakby sam do siebie.

– Gwęs, że tak – odpowiedział Wiktor i dodał: – W tym ju bądze moja głowa.

Po kilku dniach „Kur” oznajmił mi, że wieczorem idziemy do Kepki. Poszliśmy w czwórkę: nas dwóch, „Stół” i jego brat „Jeleń”. Najpierw wstąpiliśmy do kuchni, gdzie zastaliśmy panią Kepkową z czwórką małych dzieci i jej teścia. Dziadek Kepka zaprowadził Wiktora i Bolesia do schronu w szopie. My z „Jeleniem” stanęliśmy na czatach. Wydawało nam się, że koledzy przebywają tam wieczność. Była ciemna noc i zaczął polatywać śnieg; zima przymierała się do naszych stron. Wreszcie zjawili się.

– Od dzysó członka „Gryfa”. Postanowiliśmy dopomóc mu w budowie odpowiedniego bunkra w lesie, bo ten w zabudowaniach nie gwarantował bezpieczeństwa.

Jak się rzekło, tak się też stało i to w samą porę. Niemcy przeprowadzili gruntowną rewizję w zagrodzie Kepki i znaleźli jego pierwszy schron. W odwet zabrali jego rodziców, choć byli już w podeszłym wieku, do obozu koncentracyjnego Stutthof, a żonę poddali brutalnym badaniom, mimo że była w ciąży. Później wywieźli ją z dziećmi do obozu w Potulicach, który był pod nadzorem Stutthofu.

Zastanawiałem się sam i radziłem sobie w szerszym gronie, czy jest sens ukrywania się przed służbą w niemieckim wojsku? Zdania początkowo były podzielone, ale gdy represje się wzmogły, a dotyczyły one nawet małych dzieci, niemowląt, kobiet ciężarnych i starców, komenda „Gryfa” w Koleczkowie podjęła decyzję, że po pierwsze nie należy wywierać presji na tych, którzy otrzymali wezwanie do stawienia się w koszarach wroga i dać im wolną rękę, a po drugie, aby po wykorzystanym urlopie porekruckim zgłaszali się z bronią do oddziału partyzanckiego.

Napływ osób, które zdecydowały się zejść do podziemia po urlopie porekruckim był znaczny. Zaistniała potrzeba budowy dalszych bunkrów leśnych. Powstały kolejne dwa zespoły schronów partyzanckich na terenie leśnictwa Głodówko w oddziałach 210. i 212. oraz na terenie leśnictwa Piekiełko w rewirach 19. i 20., położonych w sąsiedztwie Samiej Góry i na pograniczu leśnictwa Kamień – Piekiełko.

Komendant „Lew” nie mógł przeboleć tego, że Niemcy przed powołaniem komendy „Gryfa” skierowali kilku wartościowych młodzieńców, którzy nie podpisali Volkslisty do ciężkich prac prowadzonych przez Organization Todt. Byliby to świetni kandydaci na partyzantów.

– Teró mōsz, strēchu, zégark – powiedział „Kur”, wchodząc do naszej pustelni. – Nasz komendant dostól order.

– Co za order? Od kogo? – nie zorientowałem się w pierwszej chwili, co miał na myśli kuzyn.

– Nē, nie wiesz? Muszi jic do miemieccziégó wojska.

W karczmie rodziców „Lwa” odbyła się publiczna uroczystość pożegnalna komendanta odchodzącego do niemieckiej służby wojskowej. Uczestniczyli w niej gryfowcy i prawie wszyscy przedstawiciele lokalnych władz okupacyjnych. Tym razem nie śpiewano polskich piosenek, unikano też rozmów w języku polskim. Chodziło przecież o pokazanie Niemcom, że Alfred traktuje to odejście na serio i z zadowoleniem. Żegnany demonstracyjnie nasz szkólny odjechał do Wejherowa na punkt zbiorczy. Tam z innymi poborowymi śpiewał polskie pieśni i wznosił okrzyki na cześć swojej ojczyzny. Z miasta w towarzystwie niemieckich konwojentów transport odjechał w kierunku Koszalina.

Nie mogłem z wiadomych przyczyn uczestniczyć w tej wyreżyserowanej szopce, podobnie jak wszyscy gryfowcy nie mogący pokazać się publicznie.

– Jidzemě na goscěně do našzého bunkrowca – zaproponował na gromiczną „Kur”. – Mie tak je nijak po tim požegnanimi szkolńego. Co též trzeba wěstwarzac, žebě těch Miemcěsków wěprowadźec w pole abo jak mēmka godô w malěně.

– Ně jo, dzys je dobri dzěń na odwiedźeně – przytaknąłem i po obiedzie opuściliśmy zagrodę Piepków. Trzeba było cel obchodzić okrężnymi drogami, takimi, na których znajdowały się świeże ślady na śniegu. Od Wypalonego Błota w kierunku schronu nie było śladów. Na miejsce dotarliśmy na szczudłach z sarnimi stópkami. Na dany znak właz otworzył zamieszkały w nim od pewnego czasu partyzant „Karabin”.

Pomieszczenie było dość jasne. Przy ścianach stały prycze, a na środku stół, przy którym była ława i kilka pniaków spełniających rolę krzesel. Czuć w nim było ten ziemny zachuch i nadmiar wilgoci.

– A cěž nowěgo? – zwrócił się do nas po przywitaniu „Karabin”. – Co u moji białczy? A co gódô radio „bum, bum”?

Widać, że samotność, nie tak długa przecież, nagromadziła w nim tych pytań wiele. Doskonale to znałem.

Po omówieniu spraw bieżących „Kur” zaproponował baškę, wyciągając też z kurtki flaszkę swojskiego wina. W trakcie gry „Karabin” opowiedział nam, jak wyprowadził Niemców w pole. W Wehrmachcie po rekruckich ćwiczeniach trafił jako ślusarz do warsztatu pułkowego. Jego zwierzchnikiem był pewien Bawarczyk, bardzo porządny chłop, którego interesowało, w jaki sposób Polak znalazł się w armii niemieckiej. Okazało się później, że ten Niemiec był antyfaszystą i zarazem komunistą. To wyznanie zraziło mnie początkowo do tego Szwaba, bo wiadomo, że u nas komunistą to antychryst. Tak mówiono w domu, w szkole, kościele, tak pisano w gazetach i książkach.

– Zżyliśmy się do tego stopnia – odezwał się dalej „Karabin” – że wyjawialiśmy sobie najskrytsze zamiary. Strzelec Pionk powiedział mu, że nie wróci z urlopu, bo ukryje się w rodzinnych stronach. Gdy urlop stał się rzeczywistością, Bawarczyk zaproponował, bym na papierze z kantyny napisał list do swojej żony, zawiadamiając ją, że szczęśliwie wróciłem z urlopu, ale stało się coś takiego, o czym pisać nie mogę i o ile przeżyję, zobaczymy się najpierw po wojnie. List zatrzymał Bawarczyk i w dniu, w którym „Karabin” miał wrócić do koszar, nadał go pocztą polową do Koleczkowa. Stanowił on mocny argument wobec władz niemieckich. W ten sposób Pionkowa uniknęła szyskan, a nawet otrzymała zapomogę po zaginionym mężu.

Graliśmy dość długo. Nikt nie spoglądał na zegarek, a naszemu koledze już na pewno nie śpieszyło się. Był zadowolony, że ukryty pod ziemią jak kret, miał dobre towarzystwo. Pewnie na dworze było już ciemno, gdy usłyszeliśmy kopnięcie w umówiony sposób o pień na włazie do bunkra. W pierwszym momencie przestraszyliśmy się i chwyciliśmy za broń. „Karabin” po powtórnych stuknięciach otworzył właz i zobaczyliśmy najpierw oficerki, następnie spodnie. Zeskoczywszy z drugiego szczebla drabinki, stanął przed nami nasz szef, porucznik „Lew”.

– No, jestem z wami – powiedział na powitanie. – Byłem w twojej kryjówce – zwrócił się do mnie – ale tam było wszystko pod kluczem. Teraz już będę musiał pozostać z wami w lesie, bo w Koleczkowie niebawem będą mnie szukać. Udało mi się umknąć, tak jak planowałem w transporcie już po raz drugi, tym razem w Bożym Polu i szczęśliwie dotrzeć do was.

Mówił to z widocznym zadowoleniem, ale i wzruszeniem. I my byliśmy wzruszeni. Wszystkim kamień spadł z serca. Plan naszego komendanta powiódł się.

Podobnie powiodło się kilku innym, w tym kapralowi „Burza”, którego zmysł organi-

zacyjny był nam tak potrzebny. Po wykorzystaniu urlopu zgłosiło się do leśnych bunkrów kilku dalszych partyzantów w mundurach niemieckich i z bronią w garści. Należał do nich również partyzant „Młot”, który zamieszkał w bunkrze razem z „Karabinem”.

Las zapelniał się ludźmi i dotychczasowe bunkry okazały się za ciasne. Dlatego postanowiono budować następne, ale dopiero na wiosnę. Tymczasem nowi, spaleni u Niemców partyzanci budowali sobie schrony w zagrodach lub w ich pobliżu. Ludzie podziemia okazali się pomysłowi i budowali takie kryjówki, na które Niemcy mogli wpaść tylko przez przypadek. W zagrodzie „Siekiera”, która położona była tuż pod lasem, partyzanci „Brona” i „Ława” wybudowali skrytkę w sianie pod szopą, do której można się było dostać od strony szopy po wyjęciu kilku desek. Były i takie schrony, do których wchodziło się przez paleniska w kuchniach gospodarczych, z pieca chlebowego, spod beczki napelnionej wodą. Były i schowki powstałe z dobudowania nowej ściany przedziałowej bez drzwi, do których wchodziło się ze strychu lub z piwnicy.

– Wę wsę je prôwdzëwë piekle. Czôrny łąż po chęczech i sznuflëją. Lëdże gôdają, że szukają tęcz, co nawalë z miemiecczięgo wojska – powiedział podniecony kuzyn.

– A niech szukają. I tak jich nie nalëż – odpowiedziałem.

Stojąc pewnego dnia w niespokojny czas przedwiośnia 1943 roku przed bunkrem w rewirze 250., w którym komendant prowadził rozmowę z łącznikami komendy rejonowej TOW „Gryf Pomorski”, zastanawiałem się nad naszym losem. Byłem pod wrażeniem informacji, jaką przekazał mi mój łącznik. Otóż zastrzelono w biały dzień na publicznej drodze pomiędzy Bieszkówkiem a Koleczkowem dwoje ludzi: kobietę i jej siedemnastoletniego syna. Pochodzili z Orłowa. Jesienią 1939 roku zostali przesiedleni do Kielna jako „element niepożądany” w strefie nadmorskiej. Za co ich zastrzelono?

Po roztopach nastały słoty. Wezbrały strumienie, pojawiły się rozległe kałuże, a ziemia, choć piaszczysta, stała się grząska. Wraz z wodami pośniegowymi odpłynęły od braci partyzanckiej kłopoty, charakterystyczne dla minionej pory roku. Ciężki okres przeżyli leśni: stali się nerwowi, a beczynność i długie przebywanie w schronach nadwyrężyły zdrowie wielu. Chorymi opiekował się lekarz Majrowski z Zagórza, którego potajemnie dowożono na teren partyzancki. Końca wojny nie było widać. Wprawdzie wojska „osi” doznały klęsk w Afryce, a na wschodzie niemiecka ofensywa załamała się pod Stalingradem, gdzie armia von Paulusa przestała istnieć. To działo się jednak daleko od lesóckich lasów. Jak twierdzili spikerzy radia londyńskiego, inicjatywę strategiczną na wschodzie przejęli Rosjanie i w ogóle alianci byli górą. Tutaj nic nie wskazywało na to, że Niemcy chyliły się ku upadkowi; wciąż panoszył się hitlerowski faszyzm.

W wiosenne niedzielne popołudnie udaliśmy się w czwórkę do leśniczego Tomisa, którego ochrzczono pseudonimem „Lis”. Stałem na czatach i obserwowałem na zrębie, gdzie przyszedłoby słońce, jak wyszły z kryjówek owady. Miłe biedronki śmiało wspiwały się po zeschniętych ubiegłorocznych badylach i próbowały swych skrzydeł. Lot był jeszcze niepewny, krótki i często kończył się małą katastrofą. Ale to wcale nie zrażało nakrapianych lotników do ponownego wzbicia się w powietrze. Były uparte.

Miałem przed sobą piękną dolinę, środkiem której płynęła Slëża. Na niewielkiej polanie otoczonej starym mieszanym drzewostanem, przy brukowanej drodze z Kamienia do Zagórza, stała ceglana, solidna leśniczówka, dawne nadleśnictwo zarządzające okolicznymi lasami, stanowiącymi przedłużenie Puszczy Darżlubskiej. Zbocza polany zajmowały niewielkie pólka, łąki nad Slëżą, której wody wartkim nurtem śpieszyły ku swemu przeznaczeniu.

W drodze powrotnej delegaci poinformowali mnie, że leśniczy „Lis”, który jakimś cu-

dem utrzymał się na swojej przedwojennej placówce, zgodził się, że kolejny zespół bunkrów pod Sarnią Górą może być realizowany i ustawił tak gospodarke leśną, że w niczym nie będzie to kolidować z zamierzeniami komendy.

– Tu będzie ten główny bunker – zdecydował kolega „Stół”, który przejął nigdzie nie pisane przywództwo nad sarniogórką grupą partyzancką. Należeli do niej oprócz Liedtków bracia Stubowie, Kibortowie, Mazurowie i inni.

– To je dobri plac – przytaknął „Jeleń”, a „Rak”, pochodzący z Gnieźdźewa, podał myśl, by wszystkie schrony połączyć korytarzami.

Bez zwłoki przystąpiono do dzieła. Zaangażowano do roboty oprócz partyzantów zwykłych członków „Gryfa”. Pracowano przy odpowiedniej obstawie bez pośpiechu, a dokładnie. Główny mieszkalny bunkier miał 16 metrów kwadratowych powierzchni. Istniejący już schron w zagajniku nad strumyczkiem, zamieszkały dotychczas przez „Pnia” i „Igliwie”, zamieniono na kuchnię. Głębiej w zagajniku pobudowano ziemiankę składającą się z dwóch pomieszczeń przeznaczonych na warsztaty. W jednym z nich miał wodzić rej szewc „Krzak”, a w drugim ślusarz z Dęptowa „Dzik”. Osobne ziemianki stanowiły magazyny. Na wystającym tarasie, górującym nad całym zespołem bunkrów, budowniczo wie przeczornie ukryli w gestwinie coś w rodzaju placówki obronnej w postaci niewielkiego wykopu, zakrytego mocnym dachem, do której doprowadzili ze schronu mieszkalnego korytarz ewakuacyjny. Stąd skutecznym ogniem można było zaskoczyć niepożądanych gości w mundurach feldgrau, przeprowadzających ewentualną „Partizanen Aktion”. Zupełnie oddzielny schron z dobrą wentylacją przeznaczono na magazyny odzieżowe łącznie z bielizną i obuwiem, a przede wszystkim do przechowywania zdobytych w różny sposób mundurów niemieckiego wojska, marynarki wojennej, SA, SS, żandarmerii i hitlerowskiej służby leśnej. Ułatwiały one swobodniejsze poruszanie się w terenie. W sąsiednich rewiarach wybudowano małe schrony bezpieczeństwa dla partyzantów, którzy nie znosili licznego towarzystwa, a które miały dać schronienie zaskoczonym niespodziewanie gryfowcom.

– Dzys u ciebie bądza narada komeńdē – w kwietniowy dzień, tuż przed Wielkanocą, zapowiedział mój kurier „Kur”

– Co za komeńdē? – zapytała podejrzliwie Ludka, która akurat przyniosła mi bieliznę do wymiany.

– Wa cosz przede mną ukriwōta? – zapytała, a w jej głosie wyczułem pretensję.

Oczyma skarcilem Wiktora, który tak nieoględnie zdradził tajemnicę organizacyjną, a następnie próbował coś kręcić. Ludka tak długo nas zagadywała i tak nas sztorcowała, że w końcu zdecydowałem się wyjawic jej prawdę o partyzantce. Przyjęła moją opowieść o powstaniu i dotychczasowej działalności komendy „Gryfa” z wielką powagą, a mój wywód zakończył się jej stanowczym żądaniem:

– W drėdźim dniu Jastrów jō bądę sklōda przėšėgė!

Na naradzie jako centralne zagadnienie dyskutowano budowę schronu dowódczego. Postawiłem też sprawę przyjęcia Ludki do naszego towarzystwa. Sprzeciwów nie było.

Zgodnie z zaleceniem władz zwierzchnich „Gryfa”, a i z własnej potrzeby, postanowiono wybudować duży schron w bezpiecznym miejscu, z przeznaczeniem tylko na potrzeby komendy. Zdania były podzielone. Część zebranych uważała, że takim miejscem mogą być tylko lasy kamieńskie, położone z daleka od szlaków komunikacyjnych i jednostek wojskowych, kapral „Byk” natomiast twierdził, że lokalizację tego bunkra widzi na terenie leśnictwa, w którym pełni funkcję gajowego.

– To jō bądę dbōl o waje bezpiecznė bėcė latė i zėmą – powiedział.

„Burza”, który niedawno otrzymał nominację na chorążego, poparł propozycję Tédka, a swoje poparcie uzasadnił tym, że ulokowanie tego bunkra tuż pod bokiem niemieckiej jednostki obrony powietrznej w Łężycach jest celowe. Większość partyzantów chodziła w mundurach niemieckich i w tym miejscu ich obecność nie była niczym nadzwyczajnym. „Rak” zauważył, że mniejsze będą w tym miejscu kłopoty z aprowizacją:

– Ciepłą strawę lży doniesć nad Slężę, niż tam w nieznóné lasě pod Kamienię.

Tę lokalizację poparł też komendant, który otrzymał nominację na porucznika. Ustalenie konkretnego miejsca na bunkier odłożono na później.

Wielkanoc w tym roku była późna, ale za to ciepła i bezchmurna. Ludzie prawie na letniaka poszli do kościoła. Nie czułem potrzeby odwiedzania świątyni, ale dla uspokojenia wujostwa pomaszzerowałem tego roku z kenkartą Wiktora miedzami i drózkami do Kielna. Pożałowałem. Nie mogłem znieść niemieckiego śpiewu, kazania w znieprawdzonym języku i powtarzanego monotonnie przez zbierającego kolektę: Danke, Danke... Nawet spowiadać się trzeba było po niemiecku.

Umailem zielonymi gałązkami brzozy moją pustelnie na szopie. Zrobiłem też zgodnie z kaszubskim zwyczajem gruntowne, wiosenne porządki. Stół zasłałem serwetą z pięknym haftem kaszubskim. Postarałem się o dwie świece i krzyż. Za firaną schowałem spory bukiet przyłasczek i niezapominajek.

Zgodnie z umową o godzinie czwartej po południu zjawiała się Ludka, a kilkanaście minut później kapral „Ława”, który miał uprawnienia męża zaufania.

Uroczystość była prawie rodzinna i może dlatego tak wzruszająca. Mnie i Wiktorowi oczy dziwnie zwiłgotniały, gdy kochana Ludwisia powtarzała za „Ławą” z podniesionymi dwoma palcami słowa przysięgi gryfowskiej:

„Przysięgam Panu Bogu, Najświętszej Marii Pannie, Królowej Korony Polskiej, że pod rozkazami wyznaczonych mi dowódców, podejmę walkę o oswobodzenie Ojczyzny...” – nabrała oddechu, przybrała prawdziwie żołnierską postawę i powtarzała dalej. Przysięgę zakończyła słowami: „Rozkazy przełożonych Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” będę wiernie wykonywała, nie zdradzę nikogo i raczej śmierć poniosę. Tak mi dopomóż Bóg!”

Cała promieniała i nie uroniła ani jednej lzy. Całą tę ceremonię brała bardzo poważnie i z ogromnym zadowoleniem. Nie zapłakała nawet wówczas, gdy wręczyłem jej bukiet kwiatów. Ucałowałem ją serdecznie, co po mnie zrobił też Wiktor. Boles pocałował ją tylko w rękę, a wydawało mi się, że mógł pocałować ją również w usta. Gdy wystawiał legitymację gryfowską zapytał o pseudonim. Bez namysłu powiedziała: „Jaskółka”. Była to pierwsza jaskółka roku 1943, która zawitała w nasze zgnębione strony.

Szukano dość długo odpowiedniego miejsca na ów bunkier dowódcy. Wreszcie wskazane przez Tédka przyjęto za najwłaściwsze. Trudno było je znaleźć i nikt nie wpadłby na to, że właśnie w tym miejscu może znajdować się podziemny schron partyzancki. Z miejsca, gdzie Szachtowa Droga wpada na drogę Piekielko – Głodówko, trzeba było wspiąć się gęstym młodnikiem na wzniesienie, następnie przedrzeć się zagajnikiem buczyny na ciąg bagien. Na samym brzegu mokradel, w iglastej gęstwinie przystąpiono do kopania dość obszernego dołu pod przyszły schron mieszkalny. Sceptycy twierdzili, że z tego nic nie będzie, bo woda zaleje wgłębienie. „Byk” jednak twierdził, że można w tym miejscu kopać nawet do samego piekła, a wody nie będzie, bo grunt jest gliniasty. Była to rzeczywiście „dzika” glina, tak zwana żeleżna, twarda jak skała i ta jest rzeczywiście nieprzemakalna.

Do kopania schronu dowódczego zaangażowano wyłącznie partyzantów. Budowano go przez niespełna dwa tygodnie. Materiał drzewny dowoził w poblizże wiadomymi mu dróż-

kami nasz gajowy, asekurując się na wszelki wypadek odpowiednimi papierami wystawionymi przez leśniczego Müllera. Schron budowano według opracowanego szkicu, którego autorem był chorąży „Burza”. Z bunkra odchodziły trzy korytarze: dwunastometrowy do podziemnej studni, takiej samej długości do ubikacji i zlewu nieczystości i trochę dłuższy do wjazdów. A włązy były trzy: jeden bezpośredni przy bunkrze, drugi w połowie korytarza za zbczu niewielkiego wzniesienia, a ostatni na samym wzniesieniu. Przy studni umieszczono dodatkowy właz bezpieczeństwa. Przy korytarzach wykonano kilka niewielkich komórek na zapasy żywnościowe, opał, narzędzia i większy na rowery. Te później przeniesiono do osobnego magazynu. Za komin służyła wypróchniała wewnątrz osika, stojąca w kępie innych drzew, tuż przy schronie od strony bajorka. Dym z niej ulatniał się kilkoma otworami i mieszał z wiecznie unoszącymi się z bagien oparami.

– Tu nas ani purtk nie naléze – z zadowoleniem stwierdził chorąży „Burza”

– Ten Tédk mó partizanczką głowę i dobrégo nosa – pochwalił porucznik „Lew”.

– Ale on musi mieć swoją nazwę – przypomniał treść rozkazu dostarczonego przez łączniczkę „Emilię” do „Zagłoby”.

– Każdi bunker bdeze mieć swój sztampel zrobiony z przez Miotkowégo Ludégo.

Przy zawieszaniu wiechy na nowym dziele koleczkowskich partyzantów komendant ogłosił konkurs na nazwę bunkra, sam proponując nazwę „Glinianka”. Padały też inne propozycje, jak „Bagienny Dół”, „Dzika Jama”, „Mita”, ale wszystkim podobała się ta, jaką podał „Lawa”, mianowicie „Lwia Jama”. Mimo protestu komendanta taka nazwa została przyjęta. Później, gdy w bunkrze „Jutrzenka” pod Zęblewem dostarczono pieczętkę, dumnie brzmiał umieszczony na niej napis: M-1 „Lwia Jama”.

Kolejne dwa schrony mieszkalne powstały w rewirze 210., położonym blisko Gacin. W ten sposób powstał ciąg schronów od Piekiełka po Gaciny koło Łęczyc i zespół pod Samią Górą. Także w terenie w laskach, zaroślach, miedzach powstały schrony awaryjne i pomocnicze.

Zaroili się ludźmi lasy krainy Lesóków. Było ich coraz więcej. Zdecydowani byli na wszystko, nawet na śmierć, ale codzienne, szare życie w podziemi przysparzało wiele kłopotów. Wybuchały niesnaski, spowodowane najczęściej błahymi przyczynami, wynikającymi z nerwowego trybu życia. Poczieszano się, że za kilka miesięcy, za pół roku, najpóźniej do zimy skończy się wojna i wszyscy wrócą do normalnego życia. Planowano nawet to powojenne życie. Zastanawiano się, kto będzie ukarany, komu przyznane będą wyróżnienia, kto i jakie funkcje administracyjne i społeczne przyjmie po wojnie. Życie musi być lepsze, nie takie, jak przed wojną za sanacji. Nikt jednak dokładnie nie wiedział, jakie. Tymczasem trwała brutalna rzeczywistość okupacyjna.

Nie wiem skąd, Ludka, nasza miła „Jaskółka”, zdobyła wiersz partyzancki, który przebiłem na maszynie w wielu egzemplarzach. Miał tytuł „Wstanij”, a brzmiał tak:

Ju sę rozwidnió! Wid jidze z górě,
Ju sę rozchodzą jak pěk czõrné chmurě
I jasné słuńce wzéró z obłoków,
I ze strón wszétczých mó naji na oku.

Ju sę rozwidnió! Wstanij, mój bracie!
Wieldzié czekają na cebie prace!
Chutko sę zbierz, wstanij do dzeła,
Tę wskrzeszac, chtërna nigdë nie zdzinęła!

Była to odezwa rzucona przez nieznanego poetę kaszubskiego wszystkim tym, którzy czekali na cud, na zmiłowanie boskie. Wiersz ten dawał nadzieję, ale nadzieja ta mogła być spełniona tylko wówczas, gdy cały naród stanie do dzieła, do walki z wrogiem.

Rozdział 12

Działalność kaszubskich partyzantów

– Broń, moi drodzy, to rzecz podstawowa, szczególnie teraz, gdy nasz oddział gryfowski liczy prawie pół setki partyzantów, a zagrożenie ze strony hitlerowców jest coraz większe.

Te słowa zostały wypowiedziane przez porucznika „Lwa” na naradzie Komendy Gminnej Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” w połowie czerwca 1943 roku w „Lwiej Jamie”. Do zdobywania uzbrojenia zostali zobowiązani wszyscy wiarygodni gryfowcy.

– To prawda – powiedział kapral „Ława”. – Bez broni nie mamy szans na podjęcie walki z wrogiem. Nasze uzbrojenie jest mizernie. Czym będziemy wypędzać hitlerowców z Lesóków i z całych Kaszub, gdy nadejdzie czas ogólnego powstania?

– Tak jest. Czym będziemy wspierać naszych sojuszników w wypadku ich desantu na nasze ziemie? Te kilkanaście karabinów, broń myśliwska i sportowa, parę rewolwerów, nie upoważnia do stwierdzenia, że jesteśmy uzbrojeni i przygotowani do prowadzenia działań zaczepnych – argumentował kapral „Sęk”.

Plutonowy „Burza” widział problem zaopatrzenia w broń w jeszcze szerszym aspekcie. Władze polskie w Londynie planują ogólnonarodowe powstanie w chwili, gdy siła militarna III Rzeszy będzie poważnie nadwyżona. To my, konspiratorzy jesteśmy zobowiązani zgromadzić taką ilość broni, by wyposażyć w nią wszystkich chętnych do walki.

– A takich będą tysiące – wtrącił się do dyskusji.

Komenda przyjęła więc jako najważniejsze w tej chwili zadanie dalsze zdobywanie broni. Komendant zalecił wielką rozwagę i ostrożność przy realizowaniu tego zadania.

W czasie spóźnionych w tym roku sianokosów jedziemy w trójkę rowerami przez Pie-

kielko, Starą Piłę w kierunku Rumi, gdzie w dolinie nadrzecznej wielu rolników z Koleczkowa i okolicy posiadało łąki. Każdy z nas ma jakiś rekwizyt kosiarza. „Igllica” pracujący w Apparatenbau korzystał z urlopu zdrowotnego, jaki udzielił mu lekarz Majrowski, miał przywiązaną do roweru kosę. Wiktor wioził widły, a ja grabie.

– Terę wa dwaji w krze, a dali jô jadę sóm – nakazał „Igllica”, gdy zatrzymaliśmy się w Szmelcie.

– Jak dobrze pudze, za dwie godzëñe jô jem nazôd – dodał. Powiedział nam również, abyśmy czekali na niego nie dłużej, jak do podwieczorku. Jeśli w tym czasie nie wróci, znaczyć to będzie, że wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Po podwieczorku mamy sami wracać tą samą drogą do Koleczkowa.

Zaszyliśmy się w gąszczu, ale po pewnym czasie przygrzewające słońce skusiło nas do wdrapania się na niewielki pagórek, gdzie ukryliśmy się w miarę porządnie. Przed sobą mieliśmy zrąb, a przez niego szeroki widok na okolicę. Odcinek od zagórskiej szkoły prawie po drogę brukowaną do Łęczyc mieliśmy jak na dłoni. Nie mogliśmy więc przeoczyć wracającego „Igllicy”.

Przed nami rozciągała się dolina Szmelty, której środkiem płynęła Zagórska Struga. Rozpoznałem zabudowania trzech młynów położonych nad strumieniem. Najdalej od nas był młyn i tartak Malotki, następnie młyn Rybandta, a najbliżej nas młyn i tartak Marszałkowskiego. Obok nie tak dawno wybudowanej szkoły, kierowanej przez ulubieńca harcerzy druha Sabata, znajdowały się również zniszczone zabudowania nieczynnego młyna. Znałem dobrze te młyny i tartaki, bo przed wojną często jeździłem z ojcem ze zbożem na przemiał, a niekiedy z długą do przetarcia na deski. Właśnie z tych młynów nasi koledzy gryfowcy przynieśli onegdaj kilka sztuk broni, ukrytej tam przez obrońców Wybrzeża we wrześniu 1939 roku.

Słońce prażyło coraz mocniej. Zasłoniłem dłonią oczy i podziwiałem precudny krajobraz, wprawdzie mi znany, ale teraz widziany z innej perspektywy. Malownicza dolina przyozdobiona była podwójnym rzędem drzew rosnących po obu brzegach Zagórskiej Strugi, wzdłuż której ciągnął się wąski pas łąk, poprzepłatany szachownicą pól. Na łąkach stały już pierwsze kopce wysuszonego siana. Gdzieś tam widoczne były niewielkie zabudowania, najczęściej kryte czerwoną dachówką. Po przeciwnej stronie Zagórza wznosiła się wysoka, lysa góra z dużą bliźną po wybranym zwirze. Na niej Niemcy ustawili działa przeciwlotnicze. Okoliczni mieszkańcy zwą to wzniesienie Markówcową Górą. Od niej równoległe do Zagórzanki ciągnie się pas zalesionych wzgórz morenowych. Naprzeciw drogi schodzącej z tych wzniesień, zwanej Kamienną, za Zagórzanką, wśród wysokich drzew widoczny jest piętrowy budynek z rzędem niewielkich okien. Było to schronisko dla bezdomnych alkoholików. Niemcy wykorzystali ten budynek na obóz dla jeńców angielskich.

Po ponad trzech godzinach zauważyliśmy na zakręcie przy szkole prowadzącego rower „Igllicę”. Zeszliśmy z wzniesienia w krzaki przy drodze. Po pewnym czasie zjawiał się trzeci z naszej wyprawy. Jakoś dziwnie pogrubiał kosisko owinięte brezentem na ramie roweru. Ciężka torba, poprzednio pusta, zwiśla z kierownicy. A tak w ogóle, to nasz druh mocno utył, a jego ruchy stały się ociężałe. Jak się okazało, łup, jaki zdobył u Czapy w Kazimierzu, był nadzwyczaj cenny. Przytaskaliśmy w lasy koleczkowskie dwa sprawne karabiny, teczkę amunicji, kilka ręcznych granatów i całą taśmę naboju do elkaemu, która tak pogrubiała „Igllicę”. Poczciwy Czapa dobrze zabezpieczył porzuconą we wrześniu 1939 roku broń i amunicję.

– Co za udana wyprawa – cieszył się porucznik „Lew” i nie szczędził nam pochwał.

W związku ze zdobywaniem uzbrojenia dochodziło nieraz do niebezpiecznych, niekiedy humorystycznych scen. Do oddziału doszedł między innymi partyzant z sąsiedniej wsi, który otrzymał pseudonim „Szpak”. Dla niego została tylko dwururka, zabrana niedawno leśniczemu z Rogulewa. On chciał koniecznie karabin i robił o to dużo zamieszania. Te jego przesadne pretensje zdenerwowały dowódcę i nieogłędnie powiedział:

– Brace, nie wszczęść stóri partizani mają karabině i ni ma co narzekac i żądac. Chcesz miec karabin, musisz go zdobęc.

Drugiego dnia z rana nasz „Szpak” zjawił się w „Lwiej Jamie” z prawie nowiutkim karabinem, pasem z sześcioma skórzanymi magazynkami amunicji i jakimś zawiniątkiem. Wybaluszyliśmy na niego oczy, a on jakby nigdy nic prawidłowo zameldował się:

– Strzelec „Szpak” melduje się wedle rozkazu z karabinem! Znacznie ciszej dodał: – A tę flintę możeta sobie zasolęc.

– A skąd to masz? – zapytał porucznik, wskazując na karabin, pas i zawiniątko.

– Wedle rozkazu zdobyłem na Niemcu – z uśmiechem i zadowoleniem jednym tchem wyrecytował nasz nowy kolega.

– Wiesz, gdybym miał areszt, wsadziłbym cię do paki – skarcił go porucznik.

Z dalszej rozmowy dowiedzieliśmy się, że nasz nowy wojak rozbroił wartownika przy reflektorze w Bieszkowicach. Frycowi nie tylko zabrał broń, pas z amunicją, bagnet, ale i skorznie, które zawinał w papier. Wygadał się, że przy tej robocie był ktoś drugi, ale kto nie chciał powiedzieć i nie dowiedzieliśmy się nigdy. Był to wybrzyk. Nie wolno było niepokoić Niemców w najbliższym sąsiedztwie. Ten przypadek trafnie podsumował plutonowy „Burza”.

– Trzeba być nie tylko lwem, ale zarazem i lisem, a ten nie niepokoi kurzych stad blisko swego legowiska.

– No cóż, stało się i nic nie zmienimy, tylko rozumu musimy mieć więcej – podsumował całą sprawę kapral „Stół”.

Koleczkowscy partyzanci mieli tak zwane wtyczki w Apparatenbau w Zagórze, na lotnisku w Rumi, w jednostce przeciwlotniczej w Łęczycach. Były możliwości zdobywania tam broni, a przede wszystkim amunicji od wartowników, stróżów, żołnierzy. Otrzymywano ją za dostarczane przez sklep Kustuszów papierosy, alkohol, tłuszcze, wędliny. W ten sposób gryfowiec Schroeder z Bojana otrzymywał amunicję od Mazura Grzegorza Popławskiego z placówki obrony przeciwlotniczej na Czarnej Górze. Broń i znaczne ilości amunicji przywozili ze sobą urlopowicze z Wehrmachtu i o ile nie przyłączyli się do leśnych, zostawiali amunicję kolegom z partyzantki.

Na temat zaopatrzenia komendy w broń prowadziłem od wiosny 1943 roku zapiski. Oto one:

20 maja: ośmiu partyzantów, w tym czterech z oddziału koleczkowskiego, doprowadzonych przez porucznika „Zagłobę”, rozbroiło niemieckiego działacza partyjnego, polałożercę z Dąbrówki, zabierając mu karabin, 2 fuzje, 2 rewolwery, 2 aparaty radiowe, maszynę do pisania i żywność. Część zdobyczy „Zagłoba” zatrzymał dla swojego oddziału, część przypadła nam.

11 czerwca: w pociągu na odcinku Rumia-Zagórze-Wejherowo rozbrojono trzech żołnierzy Wehrmachtu jadących na urlop z frontu wschodniego i zdobyto 3 karabiny z amunicją.

25 października: podczas potyczki przy zagrodzie Stubów na Koleczkowskich Pustkach po zabitym żandarmie przypadł partyzantom jego karabin i amunicja.

21 listopada: po dokonanych wypadzie na lotnisko w Strzebielinie partyzanci kole-

czkowsy otrzymali z podziału: lekki karabin maszynowy, 10 kabeków, 2 miny talerzowe i amunicję.

5 grudnia: po zlikwidowaniu wraz z grupą „Zagłoby” 6-osobowego patrolu żandarmarii pod Leśnictwem partyzanci koleczkowscy przynieśli 2 karabiny, 2 pistolety maszynowe, 2 sztuki broni krótkiej i amunicję.

Niezależnie od tego broń zabierano przy każdej okazji niemieckim leśnikom, partyjniakom, żandarmom, policji pomocniczej, tak zwanej Hilfspolizei i innym uzbrojonym funkcjonariuszom. Z posterunku Hilfspolizei w Bojanie partyzanci zabrali sześć karabinów.

Na kolejnej odprawie u komendanta w „Lwiej Jamie” głównym tematem były tematy personalne. Wskutek dużego naboru konspiratorów powstał problem rozlokowania leśnych. Oddział liczył już ponad sześćdziesięciu partyzantów wywodzących się głównie z okolicznych wiosek. Wszyscy formalnie podlegali porucznikowi Loeperowi, choć mieszkali lub ukrywali się na terenie różnych osiedli i przyległych lasów. Z komendą oddziału koleczkowskiego większość nie kontaktowała się bezpośrednio i żyła swoimi sprawami, nie zawsze zgodnymi z programem i poczynaniami komendy. Byli i tacy, którzy utrzymywali częste kontakty, ale nie zawsze zgodne z zasadami konspiracji. Niektórzy partyzanci tylko pozornie uznawali zwierzchnictwo Komendy Gminnej „Gryfa”. Były i takie grupy, które działały wyłącznie na swoją rękę, wyrządzając tym postępowaniem niekiedy szkodę leśońckiej partyzantce. Pomijając problemy zaopatrzenia, nieuporządkowanej łączności, potrzeby budowania wciąż nowych schronów na terenie, którym coraz bardziej interesowały się władze okupacyjne, zaistniała pilna potrzeba jedności działania, podporządkowania się jednemu dowództwu, aby w razie desantu aliantów w całości podporządkować się wojskowemu zwierzchnictwu.

Po takim naświetleniu sprawy przez porucznika „Lwa” rozpoczęła się ożywiona dyskusja.

– Gdzie jak gdzie, ale w konspiracji jedność działania jest nieodzowna, a dyscyplina wojskowa konieczna – uważał plutonowy „Burza”.

– Tam, gdzie istnieją większe skupiska naszych, trzeba powołać dowództwo grupy. Należy poczynić starania, by temu dowództwu podporządkować również tak zwanych luźnych, których chyba jedynym celem jest przetrwanie okupacji w ukryciu – powiedział kapral „Sęk”.

– Komendant ma rację. Niemcy knują coś przeciwko nam. Wyczuwam to z wypowiedzi niektórych leśników, z którymi mam kontakty. Potwierdza to nasza wtyczka w nadleśnictwie, zwerbowany przeze mnie „Max” – oznajmił kapral „Byk”.

Zanotowałem jeszcze wiele innych wypowiedzi na tym spotkaniu. Na podstawie dyskusji ustalono program działania. Po pierwsze należy powołać wiejskie grupy partyzanckie. Znaczne różnice zdań wywołała lista dowódców poszczególnych grup. W końcu ustalono, że na czele grupy dębogórskiej stanie kapral „Igliwie”, jego zastępcą wyznaczono „Iglić”, grupą kamieńską kierować będzie „Socha” przy pomocy „Grzyba”, bojańską, rozbitą ostatnio przez aresztowania, zarządzać będzie „Karabin”, zastępcę zaś wyznaczy dowódca grupy. Dowódcami kolejnych grup będą: kieleńskiej – „Wójt”, ciechocińskiej – „Mazur”, leżyckiej – „Józk”, a dowódcą grupy z Wielkiej Roli jest już „Joachim”. Postanowiono też, że należy doprowadzić do tego, by w skład grupy bojańskiej weszła niezależna grupa Hermanów, a grupa Niemców z Wiczlina podporządkowana została bezpośrednio komendzie koleczkowskiej.

– A co z aktywną grupą Dargacza, działającą na terenie wiosek przyległych do Gdyni? – zapytałem zebranych.

Komendant Loeper wyjaśnił, że były próby pozyskania jej dla „Gryfa”, ale speliły na niczym. Grupa ta ma inne, niezrozumiałe cele i działa na własnym terenie.

– Od nich z daleka – radził plutonowy „Burza”.

Mnie zlecono powołanie grupy partyzanckiej w Nowinach pod Zbychowem, ponieważ znałem ten teren i ludzi z czasu pobytu na początku okupacji. Najpierw skontaktowałem się z Wiktorem Okrojem z Piecewa, Józefem Hennigem ze Zbychowa i Ksawerym Stubą z Nowin. Przyjęli z zadowoleniem propozycję komendy koleczkowskiej i postanowiliśmy, że będą werbować do organizacji dalszych członków i po jakimś czasie powstanie grupa pod dowództwem Stuby.

Wracając ze spotkania ze wspomnianą trójką, które miało miejsce w zagrodzie pana Ksawerego, nie mogłem się oprzeć chęci zobaczenia tak długo nie widzianej Małgosi z Reszek. Już wcześniej dowiedziałem się od mojej siostry, że jej kontakty z Gustkiem były całkiem przypadkowe i niewinne. Gryzło mnie to, że wówczas gdy zawędrowałem do Reszek, nie wstąpiłem do jej mieszkania, a stchórzywszy uciekłem i w konsekwencji źle o niej pomyślałem. Do tej pory nie zdołałem jej przeprosić. Tęskniłem za Małgosią, lecz uwikłany w sprawy konspiracji, nie znalazłem sposobności z nią się zobaczyć.

– No, odwagi i kierunek Reszki – zdecydowałem na głos.

Był zmrok, ale teren znałem doskonale, więc o zabłądzeniu nie mogło być mowy. Z Nowin przez Stręgi, bokiem Gojkowej Góry dostałem się niepostrzeżenie do Reszek. Nikogo po drodze nie spotkałem. Wszedłem do zagrody Małgosi, ale na podwórku było pusto. Z biciem serca podszedłem do drzwi chaty. Po pewnym wahaniu nacisnąłem klamkę drzwi prowadzących do sieni, ale okazało się, że są zamknięte. Natomiast drzwi do obórki były otwarte. Nie namyślając się długo, z nadzieją, że może tam będzie moja kochana dziewczyna, przekroczyłem próg obory. Pusto. Ani Małgosi, ani jej matki. Również miejsce krowy w obórcie było puste. Zdenerwowany postanowiłem czekać. Robiło się ciemno. Przymknąłem drzwi, aby przypadkiem ktoś mnie nie zauważył. Uspokoilem się i pozwoliłem moim myślom powędrować w przeszłość, do owych lat, kiedy to poznałem na kursie niemieckiego tę zgrabną dziewczynę i przyjaciółkę. Wówczas Małgosią była jeszcze podlotkiem, a teraz jest zapewne już panną, jak to mówią Kaszubi – brutką.

Tak rozmyślając, nie spostrzegłem, że ktoś otworzył drzwi obórki. Ktoś krzyknął z przerażenia. Odwróciłem się raptownie i wpadliśmy niechcący na siebie. Nic nie mówiąc, objęliśmy się jak starzy znajomi, jakbyśmy się tu w tym miejscu umówili. Pierwsza przemówiła Małgosią:

– To ty, naprawdę to ty? Jak ja na ciebie czekałam. Myślałam, że już o mnie zapomniałeś. Oj, jaka ja jestem szczęśliwa!

– Przebac mi, Małgosiu, przebac kochanie, że ja o tobie źle myślałem, że do ciebie nie śpieszyłem, jak za dawnych lat. Co za spotkanie.

– Wyjdźmy. Niech krówka idzie na swoje miejsce – powiedziała Małgosią i skierowała swoje bydło ku drzwiom. Nie trzeba było ją o to dwa razy prosić. Po uwiązaniu zwierzęcia w obórcie Małgosią poprosiła mnie do mieszkania. Zapaliła karbidówkę i posadziła przy stole. Przy herbacie i waflach własnej roboty gawędziliśmy zupełnie swobodnie, nie wspominając ciężkich chwil, jakie oboje mieliśmy za sobą. Wypytywałem ją o nastroje, jakie panują wśród mieszkańców Reszek, Zbychowa i okolicy. Chciała mnie skłonić do bliższego określenia mojej działalności konspiracyjnej. Jednak unikałem wypowiedzi na ten temat, gdyż lepiej w obecnej rzeczywistości o tych sprawach nic nie wiedzieć. Była nieustraszona.

– Co, może myślisz, że ja was sypnę, że wam przeszkodzę? – denerwowała się. – Ja

chęć być też użyteczna i służyć naszej wspólnej sprawie. Czy nie mam do tego prawa?

Powiedziałem jej, że jestem związany przysięgą i nie mogę mówić o sprawach organizacji, której jestem członkiem.

– No, to zapisz mnie do tej organizacji jako byłego członka tajnego nauczania i tajnej roboty, jaką wykonywaliśmy poprzednio. Czy nie jestem tego warta?

– Na pewno jesteś, ale w tak ważnej sprawie muszę skontaktować się z moimi przełożonymi, ale będę twoim orędownikiem. O decyzji naczelnych władz niebawem cię zawiadomię. Musisz uzbroić się w cierpliwość.

Po niespełna godzinie nadeszła mama Małgosi. Ucieszyła się na mój widok.

– Dze tē sę podzėwól? Tak dłuŕo ce nie bēle w naszēch chēczach. Wele, tē jes pewno głodny, a ta ce arbatą poji. Chutko zrobię wieczereŕę.

Po tym potoku słów zabrała się do sporządzania posiłku, choć ja oponowałem i tłumaczyłem, że nie jestem wcale głodny i niebawem muszę odejść.

– Tē sę nie wēkrączysz. Zdaŕzisz na czas. Jō ciebie bez wieczereŕe nie puszczeŕę.

Zostałem. Z decyzji matki byliśmy oboje z Małgosią zadowoleni. Po wieczery posiedziałem jeszcze kilkanaście minut, następnie podziękowałem za posiłek i miłe przyjęcie, pożegnałem się z seniorą i wyszliśmy z Małgosią na dwór. Postanowiła mnie odprowadzić co najmniej do Pińsk, czemu się opierałem. Pożegnanie było serdeczne, ale z pewnym dystansem. Obiecałem, że po kilku dniach znowu wpadnę do Reszek.

W ostatnich dniach czerwca komendant oddziału wysłał mnie do grupy działającej w rejonie Dębogórza. Miałem zgłosić się w leśniczówce i tam przekazać informacje zebrane przez naszych ludzi o lotnisku w Rumi. Partyzanci dębogórscy planowali wypad na ten ważny obiekt militarny okupanta. Akcję mieli ułatwić zatrudnieni na lotnisku członkowie „Gryfa”. Po przekazaniu ustnych informacji o rozmieszczonych na lotnisku posterunkach, zabezpieczeniach obiektu i liczności załogi leśniczemu Hoppie wróciłem do swojej siedziby na Bieszkówku.

Po kilku dniach dotarł do komendy w Koleczkowie raport, że wypad był niespodziewanie udany. Na lotnisku uszkodzono kilka samolotów ćwiczebnych, zdobyto parę sztuk broni i wprowadzono w zamieszanie i w osłupienie dowództwo lotniska. Takiej akcji Niemcy nie spodziewali się. Wykorzystali ten zamęt nasi sabotażyści i wyspali do znajdujących się w samolotach zbiorników z paliwem znaczne ilości cukru, co spowodowało zatarcie silników. Podczas lotów ćwiczebnych rozbiły się trzy samoloty z takim słodzionym paliwem: pod Zbychowem, gdzie zginęło dwóch młodych pilotów, pod Dobrzewinem i Pruszczem Gdańskim. Dodając do tego udaną akcję na zbiorniki z paliwem, skąd wypuszczono do ziemi tysiące litrów cennego paliwa lotniczego, nie ma się co dziwić, że na lotnisko rumskie ściągnięto znaczne ilości wojska i nastąpiła fala represji na ludności cywilnej.

Na spotkaniu z dowództwem Komendy Gminnej „Gryfa” w „Lwiej jamie” przedstawiłem sprawę Małgosi. Były pewne opory z jej przyjęciem do organizacji ze względu na jej wiek.

– Przecież ja nie jestem wiele starszy od niej i chyba organizacji nie przynoszę ujemy – wstawiłem się za nią.

Postanowiono, że skoro jestem pewien, iż jej przyjęcie będzie pożyteczne i jest tego godna, należy ją niezwłocznie przyjąć. Było to tym bardziej wskazane, bowiem zamierzano nasilić akcję ulotkową. Uzgodniłem z mężem zaufania „Bykiem”, że jej zaprzysiężenie odbędzie się w Séwną w mojej pustelni.

W towarzystwie „Kura” udaliśmy się do Reszek, by powiadomić Małgosię o decyzji naszej komendy. Spotkanie było dość oficjalne i krótkie. Nasza kandydatka przyjęła to z

wielką radością i wdzięcznością. Ustaliliśmy, że zgłosi się po nią Ludka i zaprowadzi, gdzie trzeba. W drodze powrotnej Wiktor wstąpił do mojego domu, by o wszystkim powiadomić moją siostrę, która miała być jej pierwszym świadkiem, czy – jak to Wiktor się wyraził – matką chrzestną.

W dzień przed Séwną wpadła do nas Ludka. Przygotowywaliśmy akurat kolejną ulotkę informującą o sytuacji frontowej, wydarzeniach politycznych, a zarazem wzywającą do wytrwałości i zachowania dobrej myśli. Wyzwoleń wnet nadejdzie – zapewnialiśmy czytelników naszej ulotki.

– Wa le klepieta tę maszynę, a ni môta tego w głowie, że nasza Goszka bdze mia wtro swój wiöldzi dzień. Trzeba jizbę wészëkowac na to święto, ně nie?

– Ko tej le se wëz do robotë, bo më robimë – przygadał Ludce Wiktor.

– Më wnetkę skuńczimë i tej cë pomóżemë – odezwałem się znad maszyny do pisania.

Gdy Ludka odchodziła do domu, izba była dokładnie sprzątnięta, godło zawieszona, krzyż i świece ustawione na stoliku. Odprowadziłem ją aż na skraj lasu pod Cierznią. Chciałem się dowiedzieć, co porabia cała moja rodzina. O tacie nikt nic nie wiedział. Jego śmierć w Piaśnickich Lasach była raczej pewna, choć w nią nie mogliśmy jeszcze uwierzyć. Dowiedziałem się, że mama ma dużo roboty i wiele zmartwień, bo dom, pole, te obowiązkowe dostawy zboża, żywca, mleka, jaj, a także podatki są na jej głowie, stąd stonkowo rzadko mnie odwiedza. Wprawdzie rewizji władze policyjne w naszym domu zaniechały, ale Bürgemeister od czasu do czasu popytuje się o mnie. Braciszek jest raczej swobodny, ale tęskni za tatą, a także za mną.

– O żniwa niech się mama nie martwi. Te będą na mojej głowie – zapewniłem Ludkę.

Następnego dnia po południu przyszyły obie, bardzo radosne i szczęśliwe. Mąż zaufania przyszedł ponad godzinę później. Ceremonia zaprzysiężenia Małgosi miała podniosły przebieg jak ślubowanie Ludki. Małgosia jednak rozplakała się, chyba ze wzruszenia, radości czy może pod ciężarem obowiązków i odpowiedzialności, jakie na siebie przyjęła. Otrzymała pseudonim „Motyl”, który sama wymyśliła.

– Dziewczątka, tej le gëbę na kłódkę. To je baro wóżné ostrzeżeńië. Wa o niczim nic nie wiëta – taką radę dał obu dziewczynom kapral „Byk”.

Jako pierwsze zadanie nowo przyjętej konspiratorce przydzielono dyskretne doręczenie ulotek przeznaczonych dla grupy ciechocińskiej, na ręce niby kościelnego przed niedzielnym nabożeństwem w Redzie. Z tego zadania wywiązała się wyśmienicie. Będzie z niej dobry konspirator – oceniła „Jaskółka”.

Skoszone przez grupę partyzantów zboże w gospodarstwie mojej matki zwieźli „Grzyb” i „Stół”. Do młocki cepami stanęli „Jeleń”, „Brona” i „Ława”, a na zmianę „Róg”, „Buk” i „Topór”. Partyzanci nie tylko zajęli się żniwami u mojej mamy, ale pomagali w miarę możliwości wszystkim potrzebującym rodzinom powiązanym z partyzantką. Było to może ryzykowne, ale konieczne. Pomoc świadczono bardzo dyskretnie.

I tak żniwa minęły szybko. Nastala jesień, początkowo dżdżysta i mglista, ale po niej przysłała złota polska jesień ze swoimi cudownymi barwami. Miałem okazję zbierać grzyby w mało uczęszczanych rejonach lasu. Suszyliśmy je z Wiktorem w piecu chlebowym. Część ususzonych grzybów przekazaliśmy rodzinom partyzanckim.

Po przyjęciu Małgosi do naszego grona miałem powody, by częściej ją odwiedzać. Przychodziła też co jakiś czas do mojej pustelni. Spędzaliśmy wówczas kilka chwil pozytywnych, pisząc ulotki lub gazetki, i kilka radosnych, jak dwoje zakochanych w sobie. Po jakimś czasie nawet odważyłem się ją pocałować. Mimo zła, które nas otaczało, byliśmy bardzo szczęśliwi.

Nadszedł listopad. Wciąż panowała słoneczna pogoda. Liście wolniutko, powoli opadały z drzew i układały pod nimi różnobarwny kobierzec. W dniu święta narodowego odbyła się w „Lwiej Jamie” skromna uroczystość. „Rak” zdobył gdzieś małą harmonijkę i przy jej dźwiękach nucono melodie patriotyczne, ludowe, kościelne. „Burza” przyniósł miętówkę i wzniesiono toast za szybkie zakończenie wojny, za zwycięstwo naszych, za wolną Polskę. Snuto też plany, jaka ma być ta powojenna Rzeczpospolita.

Przed rozejściem się porucznik „Lew” zaproponował, by do zamierzonej akcji sabotażowej zgłosiło się ośmiu ochotników. Zgłosiło się znacznie więcej, a wśród nich i ja, „Lesók”. Dowódca wybrał doświadczonych, pełnoletnich partyzantów. Zadanie polegało na tym, by nocą podpalić w Kacku drewniane baraki, które ostatnio przejęło niemieckie wojsko na magazyny, w których ulokowano sprzęt wojskowy i prawdopodobnie jakieś uzbrojenie. Należało obezwładnić strażników, podłożyć ogień i wiać, ile sił w nogach, by uniknąć oblawy. Zamierzona akcja udała się bez jakichkolwiek strat.

Robiliśmy porządki w obórze. Wiktor usuwał „karą” obornik, a ja kleciłem zagrodę dla cielaczka, który niedawno się urodził. Na nasze podwórko wpadł zdyszany i podniecony wujek Piepka. Pędem wbiegł do obórki, pociągając za sobą Wiktora. Początkowo nie mógł przyjść na słowo. Pokazał ręką drabinę i jednym tchem wyrzucił z siebie:

– Chutko, Radek, do swojich dzur! Tu jidze jaczis czórny, ně, wiesz, hitler.

Spojrzeliliśmy na siebie też trochę wystraszeni i Wiktor zapytał ojca:

– Tatku, a jidze on blós jeden czë jich je wicy?

– Jeden, jeden, ale mō w pazurze nę pistólę, jak oni gōdają: empi. A chcōlbě tē miec jich wicy? Nē wele! A tē jesz tu stojisz? – zwrócił się teraz do mnie.

– Tatku, do jizbě i plecë jakbĕ nigdĕ nic swojĕ czipkĕ. Mĕ j u sĕ schowiemĕ. Nie miĕjce o to strachu – zwrócił się do ojca Wiktor, lekko wypychając go z obórki.

Obaj w mig znaleźliśmy się w naszym bocianim gnieździe. To takie miejsce na poddaszu szopy, skąd można było obserwować szmat terenu wokół zagrody, nie będąc przy tym zauważonym. Na wszelki wypadek wciągnęliśmy za sobą drabinkę, aby u przybyścia nie zrodziło się podejrzenie, że tu u góry może ktoś przebywać. Wyciągnęliśmy na wszelki wypadek naszą broń.

Od strony lasu maszeruje sobie swobodnie esesman, kręcąc młynka swym pistoletem. To nie wskazywało na to, że ma jakieś nieczne zamiary. A poza tym idzie sam, czego Niemcy prawie nigdy nie praktykowali. Chodzili zawsze gromadnie, co najmniej w dwójkę.

– Toć to „Zagłoba”! – pierwszy wpadł na to Wiktor.

– To on, a tyle strachu napędził wujkowi.

– Nam również – dodał Wiktor. – Już niejednego nabral i wielu nastraszył.

W te pędy znaleźliśmy się na podwórku. „Zagłoba” nas z daleka zauważył i pomachał nam swoją strzelbą, a gdy się przybliżył, powiedział:

– To wa, knōpi, Miemca sĕ nie bojita? Zamiast sĕ schowac, wa po podwórku lōtōta. I to mō bĕc konspiracja?

O powiedzieliśmy mu, jak przestraszył naszego gospodarza i nie kłamiąc, nas również w pierwszej chwili. Wysłuchał nas i chyba dla usprawiedliwienia powiedział:

– Ja tak do was po drodze wdepnąłem. Byłem w bunkrze odzieżowym na Sarniej Górze i tam dopasowałem sobie ten oto mundur. Prawda, że odpowiedni? Organizuję pewną akcję i tam się przyda. Wejdźmy trochę na was stryżek, mam wam coś do przekazania – zaproponował, uśmiechając się po swojemu. Wiktor poszedł do domu, by uspokoić rodziców, bo jego ojciec na pewno narobił wiele szumu i rodzice denerwowali się. Do mojej postelni poszliśmy więc w dwójkę.

„Zagłoba” przekazał mi instrukcje dotyczące redagowania i treści ulotek oraz gazetek, które za pośrednictwem Ludki, a następnie „Emilki” trafiły w znacznej ilości do niego, a następnie były rozprowadzane do wszelkich komend gminnych na terenie M-1, to znaczy powiatu morskiego. Pozostawił mi sporo tekstów i wycinków z „Gryfa Pomorskiego”, które po pewnej przeróbce miałem wykorzystać w naszym lokalnym piśmie, czy też ulotkach. Coraz mniejsze ilości czasopisma Komendy Naczelnej Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” docierały do naszej komendy powiatowej i stąd istniała pilna potrzeba rozpowszechniania wartościowszych publikacji w naszych materiałach informacyjno-publicystycznych. Było to realne, bo pracowaliśmy już na trzech maszynach do pisania: dwóch będących w mojej dyspozycji i trzeciej w „Lwiej Jamie”. Przed odejściem powiedział mi w zaufaniu, że organizuje wypad ze swym oddziałem na Urząd Gminy w Nowym Dworze, w którym mają uczestniczyć też nasi chłopcy. W tej sprawie udaje się do naszego komendanta „Lwa”.

– No to cześć, „Lesóku”, i czuwaj, jak to mówią harcerze – powiedział.

– Na wypad mogę iść z wami? – narzuciłem się swojemu przełożonemu szczebla powiatowego.

– Ty, bracie, masz inne zadanie i jesteś tu potrzebny.

Przypadkowo spotkałem w bunkrze-warsztacie na Sarniej Górze u naszego szewca jego brata kaprała „Jelenia”. Jako uczestnik wypadu na nowodworski urząd Bürgermeistra Hansa Lewiny opowiedział nam krótko jego przebieg. Grupy dobranych partyzantów z oddziałów „Zagłoby” i „Lwa” spotkały się przy jeziorze Borowo, skąd wyruszyły bokiem Puckiej Góry do siedziby urzędu. Zapadał już zmrok i trójka partyzantów przebranych w mundury niemieckie pod dowództwem „Zagłoby” doszła szosą do wsi. Pozostali ubezpieczali ich od strony zachodniej. Po rozbiciu okna i wylamaniu drzwi od strony podwórza trójka szturmowa opanowała puste o tej porze biura gminne. Zniszczono wiele dokumentów, urzędzenia łączności, zdewastowano całe biuro. Ponoć przygotowywano tu spisy osób na wysiedlenie, na prace przymusowe do Rzeszy i kandydatów do Organisation Todt. Zniszczenie tych list i zastraszenie władz gminnych to był główny cel tego wypadu. Ubezpieczającym partyzantom wydano przez okno kilka maszyn do pisania, zapasy papieru i inne drobiazgi kancelaryjne. Zabrano też przydatne druki meldunkowe i inne, kartki żywnościowe i odzieżowe.

Wracając szosą w kierunku Puckiej Góry, nasi natknęli się na samochód z żandarmami. Było ich niewielu. Prawdopodobnie Bürgemeister zaraz na początku akcji zaalarmował telefonicznie z domu władze powiatowe, a może żandarmi przypadkowo znaleźli się na szosie, jadąc na przyjazd do Gdańska lub na zaplanowaną akcję w tej części powiatu. Doszło do strzelaniny, podczas której lekko ranny został porucznik Hebel, czyli „Zagłoba”.

– A, teraz wiem, jakim sposobem i skąd dotarła do mnie kolejna maszyna do pisania – powiedziałem więcej do siebie niż do obecnych tu braci Liedtków.

Dziękując za naprawione obuwie, pożegnałem się i pośpieszyłem do swojej roboty. W pokoiku zastałem dwie nieodłączne koleżanki: Ludkę i Małgosię. Ludka przysłała pomoc mi w pisaniu na maszynie, a Małgosia po nowe materiały dla grupy ciechocińskiej. Ponieważ brakowało mi maszynistki do czwartej z kolei maszyny, zaproponowałem mojemu „Motylkowi” naukę maszynopisania. Ze względu na bezpieczeństwo i obowiązki domowe nie mogłem zbyt często ciągnąć ją z odległych Reszek tu na Bieszkówko. Ustaliliśmy, że będzie przychodzić raz w tygodniu, w niedzielę lub poniedziałek, możliwie z Ludką, która będzie ją szkolić na kolejnego drukarza organizacji.

Nastaly szarugi jesienne, po nich nocne przymrozki. Zbliżała się zima, już piąta okupa-

cyjna zima, najtrudniejszy okres dla ludzi lasów, dla żołnierzy ruchu oporu. Szykowano żelaźniaki do bunkrów mieszkalnych, których co roku przybywało, bo rosły szeregi partyzanckie. Z Wehrmachtu do lasu przybyli kolejni członkowie „Gryfa”, jak „Młot”, „Buk”, „Paca” i kilku do grup podporządkowanych koleczkowskiej komendzie. Zorganizowano nowe punkty kontaktowe i informacyjne. Powstały takie w Bieszkowicach u Kreftów, w Bojanie u Zienkego, na Głodówku u Bieszków. Wszyscy wymienieni prowadzili sklepy. Te punkty były szczególnie ważne, bo w nich przebywali na libacjach lokalni dygnitarze hitlerowscy. Po pijanemu wyrzekłe nieoględnie jedno słowo miało wielkie znaczenie dla naszej konspiracji.

Na początku grudnia, zdaje się pierwszego, zebrała się u mnie prawie cała komenda gminna. Zastanawiano się nad trudną sytuacją koleczkowskiej partyzantki, nad tym, ile jeszcze zim muszą przeżyć kaszubszy konspiratorzy, jak długo jeszcze las będzie ich domem. Dokonano podsumowania stanu liczebnego Komendy Gminnej „Gryfa” w Koleczkowie. Doliczono się 172 gryfowców, w tym 71 partyzantów. Oprócz zorganizowanych były jeszcze ich rodziny i osoby postronne, wspierające lesócką konspirację. Wszystkim żyło się coraz trudniej.

Rozdział 13

W potrzasku

Było to na Barbarę 1943 roku. Wstałem dość późno, bo do nocnych godzin drukowałem ulotki i gazetki, po które miała zgłosić się „Jaskółka”. Najaktualniejszym tematem w radio w ostatnich dniach była konferencja trzech przywódców mocarstw, tak zwanej wielkiej trójki w Teheranie, gdzie zapowiedziano utworzenie drugiego frontu w Europie. To mogło wróżyć rychłe zdławienie potęgi militarnej III Rzeszy. Włochy Mussoliniego zostały już rzucone na kolana po wylądowaniu wojsk alianckich na Sycylii i w południowej Italii. Były tam również oddziały polskie pod dowództwem generała Andersa, które wstąpiły się pod Tobrukiem.

Odsłoniłem okno i wyjrzałem na boży świat. Było pochmurno, a z drzew opadały resztki szronu, jaki podczas porannego przymrozku usadowił się na nagich gałęziach. Z dachów kapąły duże krople wody, gdyż ranna gęsta mgła stopniowo przerodziła się w mżawkę. Przypominało mi to nasze ludowe przysłowie: Je na Barbarę mróz, szękuj na Gwiôzdkę wóz. Mrozu nie było, więc stosowniejsze byłoby powiedzenie: Barbara po wodze, Gwiôzdzka po lodze.

Po obiedzie, który zjadłem z kuzynem na poddaszu, zabrałem się do opracowania konturowej mapy Europy, łącznie z Wybrzeżem Afryki. Miała ona służyć bywalcom „Lwiej Jamy” do oznakowywania sytuacji na frontach toczącej się już czwarty rok wojny. Głównym teatrem zmagañ militarnych były rozległe tereny Rosji i wybrzeża Morza Śródziemnego. Już wcześniej naszkicowałem mapkę Dalekiego Wschodu, gdzie toczyły się zacięte boje na lądzie i na morzu.

Zajęty szkicowaniem w pewnym momencie usłyszałem jakieś rozmowy na poddaszu.

Przeplatały się głosy męskie i żeńskie. Szybko ukryłem mapy pod pierzyną i lekko otworzyłem drzwi. W półmroku, jaki panował na poddaszu, zauważyłem kuzyna Wiktora. Już wszedł do pokoju, a na jego obliczu wyczytałem duże podniecenie. Przychodził z ważną nowiną.

– Dziewczęta mają nama cos wózného do powiedzeniô – powiedział od samego progu.

I rzeczywiście próg przekroczyły dwie panienki: siostra „Jaskółka” i łączniczka „Zagłoby”, znana mi już z wcześniejszych kontaktów „Emilia”. Poprosiłem, żeby usiadły.

– Mě mómě wózną sprawę do waji – rozpoczęła siostra. – O co chodzi, wëklarëje wama „Emilka”.

Z dość nerwowych wypowiedzi łączniczki wynikało, że będąc w posiadaniu bardzo ważnego meldunku, próbowała skontaktować się z komendantem gminnym „Gryfa” porucznikiem „Lwem”, ale punkty kontaktowe w samym Koleczkowie nie były w stanie jej tego umożliwić ze względu na obecność wielu funkcjonariuszy administracji okupacyjnej na terenie wioski, którzy przeprowadzali w obecności policji zakrojone na dużą skalę liczenie w zagrodach żywego inwentarza. W niektórych domach przeprowadzali też rewizje. Przy padkowo spotkała „Jaskółkę”, która poradziła jej nawiązać kontakt z punktem w zagrodzie Piepków na Bieszkówku.

– No i jestem. Teraz od was zależy, czy szybko spotkam się z komendantem.

– Tak chutko to nie pudze – pierwszy odezwał się „Kur”, którego też w konspiracji nazywano „Krukiem”.

– Ma rację Wiktor, bo w takiej sytuacji, gdy po okolicy kręcą się „młotki”, możemy dostać się do „Lwiej Jamy” jedynie drogą okrężną i tylko lasem – uzasadniłem zdanie kuzyna.

Po dyskusji zdecydowano, że z „Emilką” może pójść dla pełnego bezpieczeństwa tylko jedna osoba, najlepiej Ludka. Obie mogą poruszać się bez większego ryzyka, bo mają dokumenty niemieckie, tak zwane zielone Ausweisy. Ludka zna doskonale lasy i doprowadzi, gdzie trzeba.

– Zresztą mogłybyście już być w „Lwiej Jamie”, a nie chodzić po Bieszkówku – nieogłędnie wyleciało mi z ust.

Po odejściu dziewcząt zastanawialiśmy się, co też to mógł być za tajny meldunek? Że musiał być ważny, nie ulegało żadnej wątpliwości, skoro „Emilia” miała go przekazać osobiście na ręce dowódcy naszego oddziału. Ciekawość została niebawem zaspokojona.

W godzinach wieczornych zjawili się w mojej pustelni oprócz porucznika „Lwa” również jego zastępca plutonowy „Burza” i kapral „Stół”. Zdziwiło mnie to, że wszyscy byli w pełnym rynsztunku bojowym i mocno podnieceni. Porucznik Loeper, chcąc zapewne podkreślić wagę chwili, kazał nam usiąść, a sam zaś został stojąc. Wszyscy wstrzymali oddech, czekając na nowinę, dobrą czy złą.

– Następane godziny i dnie decydują o naszym losie – z powagą przemówił porucznik „Lew”. – Mam sygnał od porucznika „Zagłoby”, że Niemcy przygotowują na nas wielką obławę. Termin jej nie jest znany. Przedsięwzięcie to potwierdza gajowy, kapral „Byk”, który wyczuł u swoich przełożonych leśniczych, że się szykuje coś niedobrego. Mają być na swoich placówkach w pogotowiu i na rozkaz z nadleśnictwa stawić się uzbrojeni w leśnictwie Piekielek. Mamy teraz rozstrzygnąć i zdecydować, co w tej sytuacji należy czynić – zakończył swój wywód i usiadł ociężale na taborecie.

Byliśmy zaskoczeni, choć z taką ewentualnością liczyliśmy się od dłuższego czasu. Byliśmy zgodni, co do jednego: teren zagrożony należy ewakuować. Natomiast zdania były podzielone w kwestii kierunku ewakuacji i miejsca ulokowania tak dużej ilości party-

zantów. Nie wiadomo, jaki obszar obejmuje oblawa. Jedni uważali, że należy wycofać się w rejon Gaciny – Stara Piła, inni proponowali bojańskie bunkry, położone pomiędzy Głodowem a Wielką Rolą. „Kur” mówił o schronach grupy kamieńskiej. W końcu zdecydowano, że każdy z partyzantów sam decyduje, w jakie miejsce się wycofa. Ja i moi koledzy nie widzieliśmy potrzeby przenoszenia się.

– Tę ostrożność tu w swojej kancelarii, a „Kur” bądźże miół wezdrzenię na fręców. Jakbë w te stronë przëszlë, tej muszisz tãż wërwac – takã decyzjã w imieniu komendy przekazał mi nazajutrz „Stół”.

Kolejne grudniowe dni były pełne niepokoju, wyczekiwania i obaw. To, że niepewność daty oblawy najbardziej była denerwująca, odczuwali wszyscy. Planowano na 6 grudnia uszkodzenie kabla telekomunikacyjnego, biegnącego wzdłuż szosy Wejherowo – Karczemki, który po porażce Francji ułożony został rękoma wziętych do niewoli żołnierzy francuskich. Miał on strategiczne znaczenie dla Führera, bo łączył Berlin z kwaterą wodza położoną w okolicach Gierłoty. W sytuacji, jaka zaistniała, zadanie to nie zostało na razie wykonane.

Więści podawane przez radio londyńskie nie przynosiły żadnych konkretnych i pocieszających komunikatów. O zapowiedzianym drugim froncie w zachodniej Europie przycichło. Rosjanie wprawdzie przejęli inicjatywę i posuwali się ku granicom Polski, ale nie miało to żadnego wpływu na nasze położenie w lesóckich lasach. Również powtarzane każdego dnia informacje o nalotach alianckich sił powietrznych na miasta III Rzeszy nie były związane z naszym partyzanckim losem. Nawet zwykła ludzka satysfakcja z tego, że Niemcy w ten czy inny sposób dostają ciągi, spowszedniała. W tej sytuacji zaprzestałem drukowania ulotek.

My, stali bywalcy partyzanckiej kancelarii, położonej na szapie Piepków, dowiedzieliśmy się, że bracia Liedtkowie przenieśli się w rejon Marszewa pod Chylonią, Stubowie do zagrody brata Ksawerego w Nowinach pod Zbychowem, „Karabin”, „Brona”, „Rak” i kilku partyzantów z Koleczkowa udało się w rejon Częstkowa, „Iglica”, „Igliwie” i „Lisek” w lasy dębogórskie u podnóża Kępy Oksywskiej. Gdzie podziali się „Lew” i „Ława”, nie mieliśmy pojęcia. Byli kilka razy u mnie, ale na ten temat nic nie mówili. Dowiedziałem się jedynie, że zostały zakopane wykazy partyzantów, członków „Gryfa” i inne ważne dokumenty.

Czołowy zwiadowca i mąż zaufania komendy „Gryfa” kapral „Byk” penetrował okoliczne lasy bez większego ryzyka, bo pełnił funkcję gajowego i dlatego miał o każdej porze dostęp do lasu. Swemu robotnikowi, noszącemu pseudonim „Siekiera” lub „Kłafownik”, zlecił zbieranie po całym lesie owadołapów, wyłożonych wczesną wiosną. Nasza „Jaskółka” też często „fruwała” po drogach i duktach, przecinających kompleks leśny położony pomiędzy Bieszkowicami, Koleczkowem a polaną Łężyce. Pewnego przedpołudnia, prawdopodobnie 7 grudnia, zauważyła na krzyżówce szosy Wejherowo – Karczemki z brukiem Kamień – Rumia, zwanej Wręczką, samochód wojskowy z oficerami żandarmerii i człowiekiem w mundurze niemieckiego leśnika, którzy dyskutowali nad rozłożoną w aucie mapą. To mogło mieć związek z planowaną obławą.

O zmroku 9 grudnia wpadła do mnie podeksycytowana Ludka. Zmęczona biegiem usiadła na łóżku i wykrztuciła z siebie jednym tchem:

– Je ju po wszëczsim. Całi dzëń łażëlë po lasach midzë szasëm a Sarnią Górã. Łażëlë, ale strzëlaniõ nie bëło. Jõ chcãła ciebie rëchli dac znac, ale mia za wiõldzi strach – powiedziała z pewnym zawstyżeniem.

– A skąd tãż wiész, dze oni łażëlë? – spytałem siostrę.

– Tę wiész, nen kłafdownik Galuna mie rzekł, co sę stałe. Jô szła na pólnie po towór do karczmě w Koleczkowie i ma sę spotka. To on mie rzekł, co sę stałe. A tej jô obesła wiôldzi krağ i przészła tu do ce z tim towórę i tą nowiną.

Zaledwie wypowiedziała te słowa, dały się słyszeć odgłosy stąpania po drabinie. Po chwili wszedł do pokoju nasz kuzyn dziwnie podniecony i jakby zawiedziony.

– Tej tē ju wiész. Ludka cē ju rzekła – powiedział z pewnym żalem.

Zastanawiające dla nas było to, że hitlerowcy objęli oblławę nie te lasy, o których myśleliśmy. Wskazywało to na to, że nie wiedzieli, gdzie rozmieszczone są główne schrony naszego oddziału. Akurat w tej części lasów, które objęte zostały oblławą, prawie żadnych schronów nie było. Tu znajdowało się kilka prywatnych ziemianek, takich na wszelki wypadek. Do bunkrów na Bukowej i Samiej Górze nie doszli.

Drugiego dnia z rana przyszedł do mnie z sękatym kijem w ręku kapral „Byk” i zawiadomił, że wieczorem w moim pokoiku odbędzie się narada koleczkowskiej komendy gminnej Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”. Po tym, że zwierzchnik wymienił pełną nazwę naszej organizacji wywnioskowałem, że chodzi o ważną sprawę. Wyczułem też, że pan Bieszke wie o oblławie dużo, ale na mój pytający wzrok odpowiedział:

– Wieczorę na naradzie wężasnię wszétko do kuńca, a terō muszē jic.

Na naradę przybyli: „Lew”, „Burza”, „Stól”, „Jelen” i oczywiście „Byk”. Jak oni się tak szybko po tej dekoncentracji zebrali razem, pozostało dla mnie tajemnicą. Kuzyna „Kura”, który był już w swoim pokoiku, nie wyprosil. Gajowy „Byk” na wstępie spotkania przedstawił nam przebieg wczorajszego dnia.

Rano leśniczy Müller, któremu podlegał Bieszke, zatrzymał go w leśniczówce Głodwoko. Po siódmej nadjechał nadleśniczy Kurt von Paschen, a z nim przybyli okoliczni leśniczowie i kilku pracowników nadleśnictwa. Wszyscy byli uzbrojeni. Zaraz odjechali do leśniczówki Piekiełko, skąd zabrali leśniczego Schwarza, który był najbardziej niebezpiecznym wrogiem partyzantów. Zatrzymali się na Wręcze. Tu stało już kilka samochodów osobowych i ciężarowych z żandarmerią wejherowską i kartuską. Byli też żołnierze z psami i aparatami do wykrywania min. Nadjeżdżały kolejne samochody i karetki sanitarne, które kierowano w kierunku Piekiełka na boczną drózkę leśną. Żandarmi zostali podzieleni na dwie grupy. Do każdej dołączono leśniczego w charakterze przewodnika. Jedna grupa pomaszerowała szosą w kierunku Koleczkowa, druga brukiem kamięnskim. Wyczułem, mówił gajowy „Byk”, że dowództwo oblawy interesują rewiry 6. i 19., położone na terenie leśnictwa Piekiełko. „Werner” to było hasło rozpoznawcze dla całej akcji, a dla działań w wymienionych rewirach dowódca oblawy kapitan żandarmerii z Wejherowa Lassen podał hasło „Saujagd”, co znaczy w tłumaczeniu na polski polowanie na dzikie świnie. W tym momencie opowiadania nie wytrzymałem i pałałem:

– Dżékama i nógorszima próchama to wa jesta, to do waji pasęje!

Gajowego Bieszka nadleśniczy zatrzymał przy sobie w charakterze gońca, który miał docierać z meldunkami do poszczególnych leśniczych prowadzących oblławę. Do grupy dowódczej na Wręcze oprócz nadleśniczego i kapitana należał porucznik żandarmerii kartuskiej i jakiś cywil w długim płaszczu, zapewne gestapowiec.

Oblawa, w której Niemcy zaangażowali około 500 osób, nie wykryła żadnego schronu i nie natknęła się na żadnego z partyzantów, choć niezupełnie. Przez oblławę zatrzymany został gryfowiec „Kłafdownik”, ale zwolniono go, gdy leśniczy wyjaśnił, jaką zleconą przez służbę leśną pracę wykonuje w lesie. W późnych godzinach popołudniowych akcję przerwano i Niemcy opuścili lasy koleczkowskie.

Porucznik Loeper po wysłuchaniu relacji „Byka” postawił przed zebranymi kilka pro-

blemów i pytań:

1. Dlaczego objęto oblawa ten, a nie inny teren. Przecież w oddziałach 6. i 19. schronów partyzanckich nie było.

2. Czy po tym fiasku wczorajszej oblawy władze okupacyjne przeprowadzą kolejne próby likwidowania leśockiego podziemia?

3. Jak należy się zabezpieczyć przed ewentualną kolejną oblawa?

4. Jaki wpływ będzie miała wczorajsza oblawa na morale, dyscyplinę i postawę partyzantów i zwykłych członków „Gryfa”?

Odnosnie do punktu pierwszego zdania były podzielone. Przeważył jednak pogląd, że Niemcy byli błędnie poinformowani przez miejscowych donosicieli, przeważnie narodo-wości niemieckiej, którzy wiedzieli tylko tyle, że partyzanci są w lesie. To, że wskazywa-no rewiry 6. i 19. leśnictwa Piekielek, nasuwa przypuszczenie, że informator pochodzi z Koleczkowskich Pustek. Domyślano się nawet, kto to mógł być.

Komendant był zdania, że oblawa może być powtórzona, ale na pewno w innym rejo-nie lasu na terenie leśnictwa Piekielek. Tym właśnie leśnictwem zarządzał do chwili are- sztowania i osadzenia w Stutthofie jedyny w nadleśnictwie Polak, wspomniany już po- przednio „Lis”. Niemcy mają podstawę przypuszczać, że z nim współpracowali partyzanci i na jego terenie czuli się bezpiecznie. Ustalono, że należy opuścić lasy tego leśnictwa i podzielić się na dwie grupy: jedna może przebywać na terenie leśnictwa Głodówko w „Lwiej Jamie” i okolicznych bunkrach, a druga w rejonie Sarniej Góry na pograniczu leś- nictw Kamień i Piekielek. Postanowiono wzmocnić czujność. Komendant lub jego zastę- pca winni organizować w tych dwóch skupiskach częste odprawy, by podtrzymywać na du- chu swoich podwładnych.

Więści ze świata z przełomu 1943 i 1944 roku nie były optymistyczne, szczególnie dla członków „Gryfa”. Partyzanci kaszubscy uznający rząd londyński liczyli na desant pol- skich sił zbrojnych przebywających na Zachodzie przy wsparciu silnych ugrupowań soju- szników. Przygotowano nawet miejsca na lądowiska dla sił powietrznych. Jedno z nich wyznaczono pomiędzy Leszczyńcem a Kamieniem, drugie pod Głodowem. Desant okazał się fikcją, a utworzenie drugiego frontu na zachodzie Europy odkładano nie wiadomo na jak długo. Wykrwawieni w walkach na terenie Afryki, szczególnie pod Tobrukiem, żołnie- rze Brygady Karpackiej walczyli teraz o wyzwolenie Półwyspu Pirenejskiego. Stąd droga do Polski była trudna i daleka. Tak przynajmniej rozumowali partyzanci.

I w moim pustelniczym życiu bywały takie chwile, takie godziny, kiedy serce i umysł ogarniała pustka, a ta niosła ze sobą załamanie psychiczne, zaś to było przyczyną powąt- piewania w sens moich i naszych poczynań. Samotność, która często zakradała się na moje poddasze, wzbudzała tęsknotę za przeszłością: swobodnym dzieciństwem spędzonym wśród kaszubskich lasów, pagórków i jezior, za latami szkolnymi, tak mile spędzonymi w bieszkowickiej szkółce i wejherowskim gimnazjum, za rówieśnikami z zespołu dokształ- ceniowego, za rodzinnym domem, położonym tak blisko, a zarazem tak daleko, za Małgo- sią, której dawno nie widziałem, a wybrać się do niej w obecnej sytuacji nie miałem odwa- gi.

W takich chwilach szukałem ukojenia, pocieszenia i sensu życia w poezji i w ogóle książkach. Przypominały mi się strofy z wiersza księdza Heykego, a szczególnie jedna:

I jô rzekł: o biedny kraju,
Wstanijsze i rzecżë słowo.
Stół sę cud, Kaszëbskô wstała

I zaczinô jic na nowo.

Żeby mogła iść na nowo, musi odzyskać niepodległość, a wywalczyć ją jest naszym partyzanckim obowiązkiem. Gdy powoli wracała nadzieja, przypomniałem sobie zwrotkę z wiersza „Mólëk” innego kaszubskiego poety, Stefana Bieszka, którego ród wywodzi się z Koleczkowa.

Ale rôz, dô Bóg, na naji mólëk wróć
Na wiedno, sôdac na mojêch dniów kuńcu,
W niedzielnym blôsku, tam na kómce w słuńcu!

Otrząsnąwszy się z zadumy, zwątpienia i niechęci, głośno zacytowałem apel zawarty w innym wierszu naszego księdza Heykego:

Në le Kaszëbi, czas je barnic greńce!

Pogłębiły się niekorzystne warunki dla konspiracji koleczkowskiej. Malejące wciąż na skutek aresztowań zaplecze partyzanckie spowodowało znaczne utrudnienia w dostawach żywności, bielizny, odzieży na zimę, lekarstw. Życie w ciągłym napięciu, niepewność, sprzeczne meldunki o mających odbyć się obławach, wprowadziły w szeregi koleczkowskich gryfowców stan ciągłego podenerwowania, zniechęcenia, a nawet zwątpienia w sens tego, czego się podjęli. Przebywanie, szczególnie teraz zimą, przez długie okresy w wilgotnych, zimnych i ciasnych ziemiankach, nastrojało dodatkowo pesymistycznie. Zobojętnienie powoli rozkładało ten tak zwarty do tej pory kolektyw. Kilku partyzantów prześladowały choroby.

W nocy z 28 na 29 lutego 1944 roku spadł na mokre podłoże niewielki śnieg. Kapral „Byk” wstał bardzo wcześnie i szykował sanie do przetarcia nimi dróg i drózek leśnych, by w ten sposób ułatwić kolegom z lasu swobodniejsze i bezpieczniejsze poruszanie się po przetartych szlakach. Wszedł do stajni, by nasypać koniowi do żłobu obroku i wtedy usłyszał głośne ujadanie psa. Wyszedł z szopy i z niedowierzaniem przetarł oczy. Na podwórku, o mrocznej jeszcze porze, zauważył dwie postacie ludzkie i wtedy usłyszał:

– Sind Sie Bieszke?

Potwierdził i podeszedł bliżej. Miał złe przeczucie. W świetle trzymanej latarni rozpoznał mundury, ale bardziej zaskoczyła go broń skierowana w jego kierunku. Osobnicy kazali mu podejść bliżej i wtedy rozpoznał ich. Byli to znani żandarmi z posterunku w Kielnie, z którymi niejedno piwo wypił. Próbował ich zagadać żartobliwymi słowy, bo język niemiecki znał dobrze.

– Wy chcecie mnie nastraszyć tymi pukawkami? – śmiejąc się powiedział w ich języku.

Ale oni nie byli skorzy do żartów. Kazali mu wyciągnąć pas ze spodni, a gdy to uczynił, założyli mu kajdanki na ręce. Ku jego wielkiemu zdziwieniu kazali mu iść w stronę Koleczkowa i trzymać głębę na kłódkę. Żandarm idący przodem prowadził osłupiałego gajowego na pasku. Drugi szedł z tyłu z odbezpieczoną bronią.

Tak doszli do Koleczkowa, gdzie przy zburzonej działaniami wojennymi kuźni stał trzeci żandarm, trzymając również na pasku mieszkańca wioski „Weldmana”. Jeden z trójki żandarmów odszedł i po pewnym czasie przyprowadził przerażoną, dygocącą z zimna i ze strachu panią Barbarę Kustusz, siostrę plutonowego „Burzy”.

Trójkę pojmych wyprowadzili na szosę i szli w kierunku szkoły, która znajdowała się na wybudowaniach. Z przodu nadjechał samochód ciężarowy, minął ich i zawrócił, zatrzymując się przy maszerującej szóstce. Żandarmi wepchnęli zakładników do samochodu i sami się w nim usadowili. Stąd odjechali na Wręczkę, gdzie na poboczach szosy stało kilka ciężarówek, samochody osobowe i karetki sanitarne. W lesie od strony Zagórzanki szwendało się mnóstwo żandarmów. Po złożeniu raportu oficerom przez kieleńskiego komendanta posterunku policji samochód został skierowany na drogę brukowaną prowadzącą do Piekietka. Tam kazano zakładnikom opuścić auto i zamknięto ich do drewni przy leśniczówce.

W tym samym czasie, kiedy nastąpiło aresztowanie koleczkowskich zakładników, polana Łężyce zaroila się od niemieckiego wojska. Przybył tu od strony Wejherowa batalion Wehrmachtu, który bocznymi drogami przez Gniewowo, Zbychowo, Reszki, Starą Piłę dotarł do Łężyc. Samochody dowiozły dodatkowo żołnierzy spod Gdyni i Wiczlina.

Ewa z Głodówka, łączniczka „Gryfa”, zaniepokojona taką koncentracją wojska, wysłała do schronu w rewirze 210., gdzie przebywał jej syn Leon w towarzystwie drugiego partyzanta Franciszka Miotka, swoją pasierbicę Annę Holk z ostrzeżeniem. Zaskoczeni tą wiadomością partyzanci podążyli do „Lwiej Jamy”, by przekazać alarmujące wiadomości.

Komendant „Lew” postanowił opuścić „Lwią Jamę” i ewakuować oddział w przeciwnym kierunku na Sarnią Górę. Gdy dziewięciu partyzantów wyszło na wzniesienie porośnięte niskim zagajnikiem, zauważyli maszerujący Szachtową Drogą w zwartej kolumnie oddział żołnierzy niemieckich. Otworzyli do nich ogień, a następnie zabrali dwóch kolegów, którzy spędzili minioną noc w bunkrze położonym w rewirze 250. i podążyli w kierunku Słęzy.

Wybrali najmniejsze zwężenie w dolinie strumienia, gdzie wąski pas łąk oddzielał las ciągnący się po jednej i drugiej stronie Słęzy. Gdy wyszli na lekko ośnieżoną łąkę i przeskoczyli nurt wartkiego strumienia, odezwały się z kilku stron serie broni maszynowej i strzały z ręcznej broni. Zaskoczenie było duże. Na łące polegli: kapral Paweł Liedtke „Buk”, kapral Stanisław Klebba „Rak” i szeregowiec klemens Stuba „Róg”. Padł również na ośnieżoną łąkę dowódca oddziału porucznik Alfred Loeper „Lew”. Pozostali przy życiu partyzanci wycofali się pod silnym ogniem na skarpę, gdzie przystąpili pod dowództwem „Burzy” do formowania obrony. Na skarpie poległ kolejny partyzant Teodor Stuba.

Bój na śmierć i życie rozpoczął się na dobre. Niemcy doprowadzili na pole bitwy pojmych rankiem zakładników. Już wcześniej zażądali od nich informacji, ilu partyzantów znajduje się w okrazeniu oraz podania ilości bunkrów, w których się ukrywają. Mimo szykan zakładnicy nie zdradzili ani ilości gryfowców, ani lokalizacji bunkrów. Zakładników wypchnięto przed tyralierę nacierających żandarmów, by chronić ich przed kulami broniących się w zagajniku partyzantów. W pewnej chwili zakładniczka Basia zerwała się na równe nogi i zaczęła wołać:

– Léonku, nie zważa na mie, a bita tēch hitlerów! Nie dajta sę wząć żywęc, bo waji i tak zatłēka.

Doskoczył do niej „Byk”, podciął jej nogi i w ten sposób uchronił ją przed niechybną śmiercią. Leżała teraz bezsilna na mokrym runie leśnym i szlochała z rozpaczy. Nie zwracała uwagi na ciosy zadawane jej przez Niemców. Pozostali dwaj zakładnicy kryli się za drzewami.

Niemcy kazali zakładnikom Bieszkowi i Pionkowi znosić zabitych i rannych żołnierzy i żandarmów na noszach do leśniczówki Piekietko, skąd zabrały ich karetki sanitarne. A partyzanci stawiali wciąż zacięty opór. Ginęli kolejno. Jako ostatni w późnych godzinach

popołudniowych poległ nad drogą łączącą leśnictwa Piekiełko i Głodówko plutonowy Leonard Kustusz „Burza”. Dwóch partyzantów Jan Libon „Brona” i Wiktor Liedke „Ława” odniosło poważniejsze rany. Maltretowano ich tak długo, dopóki nie zobowiązali się wskazać bunkra, w którym ukrywali się. Wskazali schron rezerwowy, w którym nikt nie przebywał i w którym nic specjalnego nie przechowywano.

Gdy Niemcy otworzyli wąż do schronu, padł strzał z broni krótkiej i jeden z niemieckich podoficerów został ranny. Niemcy wrzucili do bunkra ręczny granat, ale ten został wyrzucony na zewnątrz i wywołał popłoch wśród nacierających. Gdy obrońca schronu zdołał wyrzucić jeszcze kilka granatów, Niemcy wrzucili do środka wiązkę, opóźniając jej detonację, która nastąpiła szybko wewnątrz schronu. Po pewnym czasie kazali Bieszkowi wejść do bunkra i wynieść zapewne nieżywego partyzanta. Ku wielkiemu zdziwieniu zakładników i rannych partyzantów, obrońcą bunkra był komendant „Lew”, który zdołał doczołgać się w to miejsce w celu założenia opatrunku na postrzelone nogi i nabrać sił do dalszej walki. Hitlerowcy swymi buciurami zepchnęli zmasakrowane ciało komendanta ze skarpy na dróżkę biegnącą równolegle do Ślęzy, gdzie leżały już ciała partyzantów poległych na początku oblawy na łące i zboczu wzniesienia. Następnie zakładnicy znieśli w asyście zandarmów zwłoki poległych partyzantów z różnych miejsc pola walki do leśniczówki Piekiełko. Sprowadzono z Koleczkowa dwie chłopskie furmanki, na które załadowano ciała partyzantów i zrzuciono je w remizie strażackiej w Bojanie. O zmroku jednym z samochodów podwieziono zakładników do Wejherowa i osadzono w miejscowym więzieniu. Tam zostali poddani dalszym badaniom i wymyślnym torturom.

*

Rankiem 29 lutego zbudził mnie Wiktor i zabrał bez jakiegokolwiek wyjaśnienia na leśne wzniesienie, nasz punkt obserwacyjny. Był mocno podenerwowany.

– Jõ czeł od stronë Pieczielka strzëlanië, mocnë strzëlanië – z podnieceniem wyrzucił z siebie te słowa, wskazując jednocześnie kierunek północno-wschodni.

– Cebie sę pewno zdõwałë – z powątpiewaniem przyjąłem jego wypowiedź i starałem się go uspokoić.

– A mõze to lëżëckõ flak urzãdzëła so jaczis manëwrë, a mõze lesny wëszlë so na jachtë?

– Nie pleszczë! Jachtë sã zabrõnionë, a nikt na jachce tëlë szosów nie puszczi od razu. To bëło mocnë strzëlanië – przekonywał mnie Wiktor.

Przez pewien czas staliśmy na wzgórzu, ale strzały nie powtórzyły się. Wróciliśmy do mojej samotni i zastanawialiśmy się, w jaki sposób po śniegu dostarczyć ciepłą strawę do „Lwiej Jamy”. Nie było wiadomo, czy „Byk” zdołał przetrzeć saniami drogi prowadzące w tym kierunku? Jedząc śniadanie układaliśmy program dnia. Taki dzień przypada raz na cztery lata, w tak zwanym roku przestępnym. Po śniadaniu mieliśmy zrobić obrządku w zagrodzie, a następnie zredagować przeznaczoną dla gryfowców gazetkę, w której postanowiliśmy umieścić trochę pokrępiającej poezji, trochę satyry wymierzonej oczywiście w Hitlera, legendę o zaklętych rycerzach w Puckiej Górze, którzy mają obudzić się w roku przestępnym i odmienić nasz partyzancki los. W tym momencie wpadła do pokoju jak burza Ludka, jakże wystraszona i przerażona. Od progu podniesionym głosem powiedziała:

– Wa tu sedzta jak trusë, plotkujeta i sę mądżzita, a tam w lese pewno dżina nasi!

Zerwaliśmy się z taboretów i bez słowa popędziliśmy na nasz punkt obserwacyjny, gdzie mieliśmy zamaskowany schron, o tak, na wszelki wypadek. Jaskółka poleciała z na-

mi. Rzeczywiście, usłyszeliśmy odgłosy bitwy: pojedyncze strzały i całe serie z karabinów maszynowych. Ludka odsapnąwszy poinformowała nas, że od wczesnych godzin rannych szosą biegnącą bokiem Cierńa jechały w kierunku Koleczkowa samochody z obsadą wojska i karetka z czerwonym krzyżem.

– A nie gôdôł jô, że tam pod Pieczelkę cosz sę dzieje, że tam strzëlają – z nutką pretensji zwrócił się do mnie „Kur”.

– Të, Ludko, biegnij dodóm, a po drodze wstępi do bunkra „Grzëba” i rzecżë mu, żebë wżął sę w nact, bo nad Slëżą cosz sę dzieje.

Gdy Ludka odeszła, po krótkim zastanowieniu się, postanowiliśmy udać się na miejsce, gdzie toczyła się walka. Zabraliśmy broń i zapas amunicji, by w razie potrzeby pomóc naszym, wesprzeć ich w walce z hitlerowcami. Posuwaliśmy się bardzo ostrożnie gęstymi zaroślami brzegiem lasu w kierunku szosy. Następnie młodym zagajnikiem dotarliśmy w rejon Wręczi. Do tej pory nie szczególnie go nie zauważyliśmy. Dopiero na krzyżówce zobaczyliśmy sporo samochodów ciężarowych ustawionych na poboczach szosy. Kierowcy, przeważnie cywile, pilnowani przez żandarmów, leżeli w przydrożnych rowach, gdyż zabłąkane kule niekiedy dochodziły do szosy. Strzelanina była w tym miejscu bardzo słyszalna. To wznagała się, to znów jakiś czas przycichła. Z naszej kryjówki w gęstwinie obserwowaliśmy, jak od strony Piekielka nadjeżdżały samochody sanitarne i podążały w kierunku Wejherowa. Jedna z karetek zabrała z przydrożnego rowu dwóch rannych żandarmów, wstępnie opatrzonych przez sanitariusza.

Co dalej? Ta myśl gnębiła nas obu. Włączyć się do walki? Nie, to nie miało sensu. Mogliśmy zastrzelić kilku kierowców, ale ci mogli być Polakami. Grupa Niemców znajdujących się na Wręczie wnet by się z nami rozprawiła, a w lesie było ich więcej. Może naszym uda się wycofać na Łężyce i ukryć w bunkrach awaryjnych lub w domach? – taka myśl przyszła mi do głowy. A może uda się przełamać oblęgę w kierunku szosy i wtedy wesprzemy ich, ułatwimy wydostanie się z matni i wycofanie w rejon Sarniej Góry. Wycofać się i być biernym w tej rozgrywce, byłoby po prostu tchórzostwem. Myśli gonily jedna za drugą, ale żadna z nich nie przynosiła konkretnego rozwiązania naszej sytuacji. A minuty, kwadranse, wreszcie długie godziny mijaly.

– Nie wytrzymam i palnę kilku szkopom w łeb, a potem niech się dzieje wola boża – szepnąłem w ucho dygoczącemu z zimna kuzynowi.

– Nie rób głupstwa – stanowczo odpowiedział mój krewniak.

I tak niezdecydowani tkwiliśmy w poczuciu goryczy i bezsilności w krzaku na uboczu wielkiej rozgrywki, jaka toczyła się przed nami. Rola biernych obserwatorów obrzydła nam do cna. Być bezużytecznym w takiej ważnej i decydującej chwili, to koszmar. Tymczasem odgłosy walki przycichły, strzały stawały się coraz rzadsze i jakby oddalały się. Z lasu na szosę wyszedł kilkudziesięciosobowy oddział żandarmerii. Jeden z Niemców miał zabandażowaną głowę, drugi tukał na jedną nogę. Teraz do walczących gdzieś nad Slëżą kolegów dostęp stał się wręcz niemożliwy. W krzakach trzymała nas tylko ciekawość końca tej oblęwy.

Zaświeciło gdzieś daleko nad Bieszkówkiem słońce. Jego tarcza była krwawa, bo był czas krwawej rozprawy. Dotarła do nas świadomość, że nasi nie mają żadnych szans w tej walce, że w końcu ulegną tak wielkiej przemocy, ale bronić będą się do końca, do ostatniego naboju, do ostatniego tchu. Ten koniec się zbliżał. Na szosę wychodziły następne grupy Niemców. Część odjechała w kierunku Wejherowa. Wtedy wyraźnie usłyszeliśmy kilka kolejnych detonacji, a po pewnym czasie powietrzem wstrząsnął kolejny, znacznie silniejszy wybuch. Przypuszczałem, że to Niemcy wysadzili jeden z bunkrów partyzan-

ckich. Po tym strzelanina ustała zupełnie. Spod Piekielka na szosę wyjechały kolejne ciężarówki, samochód osobowy, sanitarka i odjechały w stronę Bieszkowic. Samochody stojące na Wręczce zapełniły się hitlerowcami i co pewien czas odjeżdżały w tym samym kierunku. Do jednego z nich żołnierze przynieśli jakieś strzelby, koce, chusty, lampę naftową i inne graty. Czy to była ich zdobycz?

Już słońce zgasało. Cisza zapanowała nad Ślążą. Cisza cmentarna. Nas, przytulonych do siebie ogarnęło wielkie znużenie i jeszcze większy żal, a nawet rozpacz. Być na obrzeżach walki i nie brać w niej udziału, to coś, co zżerało naszą ambicję, honor harcerzy i partyzantów, naszą chęć do dalszego życia. To była straszna chwila. Tak szamocząc się z własnymi myślami, z własną niezaradnością, zauważyliśmy, że promieniujący ze zwycięstwa nad jedenastką chłopców z lasu, hitlerowcy przyprowadzili do jednego samochodu trzy postacie cywilne: dwóch mężczyzn i jedną słaniającą się kobietę.

– To doch je kapral „Byk” – za głośno wyrwało mi się z ust.

– A to „Weldman” – znacznie ciszej powiedział Wiktor.

Wepchnęli ich kolbami do ciężarówki, rozdzierając przy tym szeroko swoje wredne gęby. W tej chwili nadjechały od strony Koleczkowa dwie furmanki. Na jednej z nich siedział oprócz woźnicy żandarm z karabinem. Zdecydowaliśmy się wreszcie opuścić nasz punkt obserwacyjny i podążyliśmy w stronę Bieszkowka. Przygnębienie było tak wielkie i tak byliśmy rozłożeni psychicznie, że potykaliśmy się o byle gałąź lub korzeń. U Piepków czekała na nas mocno podenerwowana „Jaskółka”. Gdy nas spostrzegła, wykrzyknęła radośnie:

– Jesteście! Życie moi kochani! Jakże się cieszę.

Wyczuwała nas serdecznie i zaprowadziła nas strych. Wujostwo byli też bardzo uradowani. Ciocia na odchodnym powiedziała:

– Bięta na górę odpocząć, a jô wama zrobię mocną arbatę.

Ta herbata postawiła nas na nogi. Mogliśmy teraz zniecierpliwionej i umierającej z ciekawości Ludce zdać relację z najcięższego dnia w naszym życiu. Wysłuchała opowieści z wielką uwagą i podsumowała nasze nieskładne opowiadanie słowami:

– Mądrze zrobiliście, nie angażując się w beznadziejną walkę. To i tak za dużo ofiar, bo chyba wszyscy zginęli.

W nowej sytuacji rodzili się u nas wciąż nowe pytania, nowe trudne problemy. Ilu właściwie partyzantów poległo i kogo ten los dotknął? Na pewno poległ komendant, bo on stale przebywał w bunkrach. Przypuszczalnie zginęli: „Burza”, „Jeleń”, „Ława”, „Brona”, „Rak”, „Róg”, może i inni. Czy komenda gminna będzie nadal istnieć i jak będzie funkcjonować? Czy będzie kolejna oblawa? Co nam należy czynić? Nie byliśmy w stanie w tej chwili odpowiedzieć na żadne z tych pytań.

Następnego dnia przybył łącznik „Stół”. Wczoraj był na terenie Dębogórza i nic o tragicznym zajściu nie wiedział. Dopiero w Koleczkowie doszła go wiadomość o tym, co się stało. Od znajomych dowiedział się, że dziewięciu partyzantów przewieziono do remizy w Bojanie celem rozpoznania ich przez rodziny i mieszkańców okolicy.

– Bělobě wórt tam zazdrzec i dowiedzec się, chto to je zabiti – powiedział Wiktor.

Ustalono, że właśnie jemu najbezpieczniej będzie tam się dostać i rozpoznać naszych bohaterów, bo ma okupacyjne dokumenty i najlepiej ich zna.

Wśród poległych rozpoznał porucznika Loopera, który oprócz ogólnych obrażeń na całym ciele pozbawiony był prawej dłoni. Rozpoznał też Leonarda Kustusza, Pawła Liedtkiego, Stanisława Klebbę, Augustyna Rohdego, dwóch braci Stubów i dwóch mieszkańców Głodówka. Jednym z nich był Leon Niemc, a drugim chyba Franciszek Miotk. Z wiel-

kim przygnębieniem opowiedział, że poranionych i pokrwawionych partyzantów rozebrano do naga i tak pokazywano ich rodzinom poległych, mieszkańcom, a także uczniom z okolicznych szkół. Przedstawiano ich jako polskich bandytów i zarazem ostrzegano, że każdego, kto wystąpi przeciwko Führerowi i narodowi niemieckiemu, spotka taki sam los. Po powrocie Wiktor złożył relacje z tego, co zobaczył w remizie.

– To ohyda! To barbarzyństwo i świętokradztwo tak traktować ludzi – powiedział zdenerwowany kapral „Stół”

– Tak, to pełne zezwierżenie twórców nowej kultury w Europie i na świecie – przytaknął wciąż wzburzony „Kur”.

Po tygodniu dowiedzieliśmy się, że ciała partyzantów zostały przewiezione do Kielna, gdzie poza ówczesnym cmentarzem zostali zmuszeni pogrzebać ich dwaj kieleńscy gryfowcy: Józef Sikorski i Leon Treder. Komendant miejscowego posterunku policji rozkazał pochować ich w zbiorowej mogile zupełnie nago. Jednak Józef Sikorski „Wójt”, narażając się władzy, nałamał gałązek świerku i nimi przykrył zwłoki, a następnie zasypał je ziemią. To oczywiście nie podobało się komendantowi, który o mały włos nie zastrzelił „Wójta”.

Na znak żałoby zasłoniłem kirem wizerunek orła białego i zapaliłem świeczkę.

Rozdział 14

Po bitwie nad Slężą

Po wydarzeniach z przełomu lutego i marca 1944 roku nie mogłem przyjść do siebie. Czulem się osamotniony i zagubiony. Przeszło istnieć ściśle dowództwo Komendy Gminnej „Gryfa” w Koleczkowie. Przerwana została dotychczasowa działalność konspiracyjna na wszystkich odcinkach. Ja nie wiedziałem, co z sobą robić, co dalej czynić. Przerazenie ogarnęło nie tylko mnie, ale i innych uczestników lesóckiej konspiracji, a także w większej mierze ludzi postronnych, nie związanych z ruchem oporu. Spodziewano się wielkich represji ze strony władz okupacyjnych.

W końcu marca odwiedziły mnie mama z Ludką. Były bardzo wstrząśnięte tym, co się wydarzyło nad Slężą pod Piekiełkiem. Obie, szczególnie mama, nie mogły pojąć, jak to się stało, że tylu młodych musiało zginąć i to w czasie, gdy świt wolności zdaje się być tak blisko?

– Wiész – zwróciła się do mnie – co gódają niejedny sąsiedzë? To bëło niepotrzebne. Oni mielë w tëch lasach sedzec jak mész pod miotłą, tej Miemcë bë jich nie wésznuflowë. Oni bëlë za odwózny, za baro szkodzëlë hitleróm. Terô na nas spadnie całô zemsta.

– No właśnie. A jak mama myśli, po co ta cała partyzantka?

Gdy nie otrzymałem odpowiedzi, wyjaśniłem: Otóż po to, by szkodzić Niemcom, żeby im pokazać, że my Kaszubi nie zgadzamy się z ich okupacją, nie akceptujemy ich rządów na naszej ziemi. Siedzieć jak mysz pod miotłą i tylko czekać, aż ktoś przepędzi hitlerowców, ktoś wywalczy nam niepodległość, tak czynią ludzie małego ducha, małej wiary, pozbawieni patriotyzmu, przesadnie bojaźliwi, chciałoby się rzec – tchórze.

– Mósź prówde, synku, ale tak niejedny gódają. Jô staróm sę mészec tak, jak të. Terô

wa, chtëmy osta przē žęcym, wezta sę w nacht, bądzta ostrōzny – przekonywała mnie.

Ludka nie włączyła się do dyskusji, ale raczej chciała się dowiedzieć, co ona i Małgosia mają teraz robić? Kto jest teraz szefem organizacji, czyich rozkazów słuchać? Przecież prawie całe dowództwo naszej komendy albo nie żyje, albo jest w rękach okupanta. Polegli: porucznik „Lew”, plutonowy „Burza”, kapral „Sęk”, a kapral „Byk” znalazł się w łapach gestapowców. Przy życiu został prawdopodobnie kapral „Stół”. Czy pojawił się?

– Ja z nim nie miałem kontaktu i nie wiem, co się z Bolesławem dzieje.

Co robić? Uważałem i przekonywałem siostrę, że należy w jakiś sposób nawiązać łączność z żyjącymi członkami naszego oddziału, a także z wszystkimi gryfwcami. Wspólnie musimy się naradzić, jak postępować teraz i w przyszłości. „Lwia Jama” jest do naszej dyspozycji, jej hitlerowcy nie wykryli. Chyba do niej musimy się przenieść, by nie narażać wujostwa na ewentualne nieprzyjemności i fatalne konsekwencje. Zawiesić musimy też wydawanie ulotek i gazetki. Poprosiłem Ludkę, by skontaktowała się z Małgosią i poradziła jej, by na razie nie pokazywała się w naszym otoczeniu. Niemcy węszą i na pewno obserwują wszystkich mieszkańców okolicy, a szczególnie młodych.

Drugiego dnia zjawił się w mojej pastelni, którą przygotowywałem do ewakuacji, kapral „Stół” w towarzystwie „Kura”. Poinformował, że jako łącznik komendy, obecnie rozbitej, czuł się w obowiązku zawiadomić sąsiednie komendy gminne, powiatowe i główną o tym, co się stało pod Koleczkowem. Komenda M-1 dała polecenie, aby rozproszyć się, część partyzantów może przejść do grup wiejskich lub tworzyć nowe, podległe bezpośrednio komendzie powiatowej.

– A co z nami? – wskazałem na siebie i na Wiktora.

– Ja pozostaję w „Lwiej Jamie” i radzę tobie również tam się przenieść.

– Ja to robię.

Jeszcze w marcu zwołaliśmy przy pomocy naszych łączniczek „Jaskółki” i „Brzoški” oraz łączników „Kura”, Idziego, który nosił pseudonim „Wiatr” i „Liska”, naradę dowódców grup wiejskich, w której uczestniczyło kilku partyzantów koleczkowskich, a mianowicie: „Młot”, „Karabin” i „Igllica”. Zdecydowano, że koleczkowscy partyzanci zasilą grupy: bojańską, kieleńską i kamińską, a nawet grupę działającą na terenie Grabowca. Taką centralną, łączącą wszystkie grupy, będzie „Lwia Jama”. Chodzi o to, by poczynania wszystkich grup były skoordynowane w jednym punkcie. Na tym spotkaniu „Młot” zgłosił postulat, by utworzyć grupę partyzancką na pograniczu trzech sołectw: Bojana, Dobrzewina i Kielna. Motywował swój pomysł następująco:

– W tim mólu, dze ni ma lasów, a są blós môle chojně, Miemcě sę nas nie spodzeją. Dobrze je sporządźcě sobie gniōzdo niedaleczko jamě lěsa, a tim lěsę są szandarżē z Czzielna.

W skład tej grupy weszli: „Kołacz”, „Lisek”, „Nóz”, „Jelen” i „Chmura”. Swoją główną schron wybudowali na posesji Bieszka, przy krzyżu, a rezerwowy w Daszki. Niekiedy nocowali w stodole Bürgemeistra Raascha w Bojanie. Tam spotkali dwóch wywiadowców rosyjskich, z którymi nawiązali współpracę. Oficerowie ci byli w posiadaniu radiostacji polowej. Zainstalowali ją w bunkrze rezerwowym u Daszki. Nasi przekazywali im cenne informacje dotyczące położenia niemieckich umocnień militarnych wokół Gdyni, którą hitlerowcy ochrzcili mianem Gotenhafen, Festung Gotenhafen, czyli twierdza Gdynia. Te informacje zwiadowcy przekazywali drogą radiową do dowództwa wojsk radzieckich.

Grupa ta poniosła jednak straty. O zmroku 10 czerwca trzech partyzantów tej grupy: „Lisek”, „Nóz” i „Jelen” udało się do schronu żywnościowego, znajdującego się w ogrodzie Kustuszów na skraju Koleczkowa. Gdy podeszli pod bunkier, padł strzał, który spo-

wodował śmierć dwóch braci Liedtków. Kto oddał strzał, nie wiadomo. Są jednak przypuszczenia, że ktoś ze swoich. Przy bunkrze mógł być obecny ktoś z partyzantów z tym samym zamiarem, co ta trójka. Ponieważ zbliżający się żytem trzej partyzanci byli w mundurach niemieckich, co zauważył w świetle księżycza ten czwarty, strzelił jak do Niemców, a strzelał celnie, bo jedną kulą położył dwóch, jak się później okazało, swoich. Trzeci uciekł. Ciała poległych pogrzebano w mogile partyzanckiej w Kielnie.

Część partyzantów koleczkowskich pobudowała nowe schrony w takich miejscach, które ich zdaniem były bardziej bezpieczne, niż te poprzednie. Powstał nowy zespół schronów pośrodku głązów, blisko zbiorniczka z wodą pitną na Sarniej Górze. Tu leczył postrzał stopy „Karabin”, który podczas pojedynku z bojańską Hilfspolizei odniósł ranę. Inny zespół schronów wybudowano na Rzepiskach niedaleko Łęczyc.

Pod koniec kwietnia, wczesnym rankiem, w towarzystwie „Motylka” i „Brzózki” zjawiła się w „Lwiej Jamie” siostra „Burzy” Barbara, którą władze więzienne wypuściły przed kilkunastoma dniami razem z pozostałymi zakładnikami znad Ślęzy, „Bykiem” i „Weldmanem”. Basia nie wróciła do domu, lecz aktualnie ukrywała się w Reszkach i tam dotarła do niej straszna wiadomość. Jeszcze nie zeszła do schronu, a już z płaczem oznajmiła:

– Dwadzieście kwietnia, to je przedwczora gestapo zabrale mégo brata Flórego i siostrę Mari. Wzjęł téż Tédka, Agnesę Machol, Warkuszowégo Jana, „Porucznika” i téż jiných.

– Mě ju o tim wiémě. To je przikrě, ale prěwdžěwé – rzekł „Stól”, który zjawił się z wiadomością, że aresztowany został w Gowinie dowódca grupy bojańskiej „Strzała”. Prawie w każdej wiosce miały miejsce podobne akcje.

Po zastanowieniu się podjęto decyzję, że kto czuje się w jakikolwiek sposób zagrożony, niech ukryje się w lesie lub gdzieś u krewnych czy też znajomych. Aresztowania mogą się powtarzać. Nasz teren jest zagrożony. Na mój wniosek postanowiono wysłać na adres niebezpiecznych hitlerowców listy z ostrzeżeniami. Miały one być pisane w języku niemieckim. Do ich zredagowania zaangażowano znajomego dobrze ten język gryfowca „Kołodzieją” z Bojana. Listy wysłałem do Raascha i Galuhny z Bojana, sołtysa Frasse z Koleczkowa, sołtysa Leve i nauczycielki Keller z Kolonii, Lewiny z Nowego Dworu, Frommy z Bieszkowic, komendanta posterunku w Kielnie i jeszcze innych.

– Wolność i sława! Dobry dzień – takim niespotykanym pozdrowieniem zaprezentował się „Wid” z grupy bojańskiej.

– Cześć! – odpowiedziałem mu krótko, salutując do gołej głowy.

– A co cebie, switku, sprowódzō do naji jamě? – zapytał przybysza „Stól”.

– Ano widzicie – zaczął po polsku – mam tu aż trzech gości, bardzo ważnych gości. Czy mogę ich wprowadzić do waszej rezydencji? – zapytał przymilnie.

– A możesz, źle to nie są jacji szpiclowie – odpowiedział „Stól”

Najpierw wkroczył do „Lwiej Jamy” niewielki harcerzyk, może w moim wieku, ubrany w związkową bluzkę, a na głowie miał czapkę z harcerską lilijką. Zasalutował prawidłowo, po harcersku i ustąpił miejsca następnym przybyszom. Wszedł mężczyzna dość krępej budowy w spodniach koloru khaki i bluzce podobnej do tych, jakie nosili u nas przed wojną członkowie Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Drugi, nieco wyższy, szczupły, bardzo bladej na twarzy, miał podobny ubiór co ten pierwszy. Czapki były na pewno wojskowe, tylko że nie nasze ani niemieckie.

– Czy to nie są spadochroniarze? – szepnąłem, nie wiem do kogo.

Ten szept usłyszał „Wid” i powiedział, wskazując na tych dwóch nowych:

– To są angielscy żołnierze. Uciekli z obozu jenieckiego w Malborku i od dłuższego

czasu wanożą po Kaszubach. My w Bojanie znamy ich od przeszło roku, a ukrywają się na przemian to w Grabowcu, to w Okuniewie, w Nowym Dworze, Zbychowie i innych miejscach. Do tej pory współpracowali z nami i z tymi z Grabowca na zasadzie – rzekłbym – prywatnej, o czym wiedział porucznik „Lew”. Teraz zdecydowali się stać prawdziwymi i prawowitymi członkami naszej organizacji. Pragną złożyć przysięgę partyzancką. Szkoda, że zginął „Lawa”. Ten ich znał również, bo z nimi w zeszłym roku amstrował. U nas znają ich bardzo dobrze kuzyni Hermanowie. To oni spowodowali, że ci nie stawili się w Wehrmachcie, lecz poszli do lasu.

– Zanim zaczniesz dalej opowiadać ich życiorysy, to przedstaw ich nam, byśmy mogli powitać ich jako naszych gości. Niech nie stoją, jak żebracy w kącie. A o tym, czy ich przyjmujemy do „Gryfa”, nie my tu będziemy decydować, a Komenda Powiatowa w Wejherowie.

„Wid” zamiast zwrócić się do Anglików, ciągnął dalej swoje wywody na ich temat. Oni są wielojęzyczni. Oprócz swego języka znają po trochu niemiecki, polski, a może lepiej kaszubski. W armii angielskiej byli podoficerami. Walczyli pod Dunkierką i tam dostali się do niewoli niemieckiej.

Tę przydługawą prezentację gości przerwał ponownie „Stół”. Podeszedł do nich z wyciągniętą ręką gotową do uścisku.

– Kapral „Stół” z komendy koleczkowskiej „Gryfa” wita zacnych gości i przyjaciół.

– Sierżant Robert Henri Easterbroock do usług – przedstawił się w stylu wojskowym ten pierwszy, podając rękę „Stołowi”. – Ale bite moją zwać „Bobi” – dodał wielojęzyczny, oddając honory wojskowe.

– Sierżant Horacy Johnson z korpusu kolonialnego. Krócej mnie zwać „Paddi” – przedstawił się ten drugi.

Po wymianie zdań i wypiciu lampki wina uzgodniono, że następne spotkanie odbędzie się za dwa tygodnie w tym samym miejscu i składzie oraz w obecności przedstawicieli Komendy Powiatowej „Gryfa”. Po tym, jak „Byk” znalazł się w Stutthofie, nikt z obecnych nie jest upoważniony do rejestracji nowych członków.

Przybyłym harcerzem to ja się zainteresowałam. Pochodził z kaszubskiej rodziny z Orłowa. Niemcy aresztowali jego rodziców, a on ulotnił się do brata swojej mamy, zamieszkałego w Chwaszczynie. Tam miejscowi żandarmi zaczęli się nim podejrzanie interesować. Schronił się w lesie, gdzie spotkał partyzantów bojańskich, którzy się nim zaopiekowali. Chce wstąpić do „Gryfa” i dlatego tu się znalazł razem z Anglikami.

– A czy nie chciałbyś pozostać tu razem ze mną? – zapytałam go, mając na uwadze to, że jest harcerzem, a dwóm druhom zawsze raźniej niż jednemu.

– Bardzo chętnie – odpowiedział przybysz z zauważalną radością.

– Po złożeniu przysięgi może będziesz mi pomocny i dotrzymasz mi towarzystwa w tym tułaczym życiu w lesie – zakończyłem rozmowę.

Do gryfowców lesóckich, a szczególnie do grupy „Sochy” z Kamienia, docierały coraz bardziej niepokojące informacje o antypolskiej działalności leśniczego Georga Scherfa z Kamienia, zamieszkałego w Przetoczynie. Jego donosy na Polaków, często zmyślane i domniemane „przestępstwa”, były powodem wielu aresztowań, wysiedleń, mordów dokonanych na niewinnych mieszkańcach okolicznych wiosek. Miał wielką urazę, nie wiadomo o co, do Miotków z Różnego Dębu. Na skutek jego donosów przeprowadzano w ich gospodarstwie częste rewizje. W trakcie jednej z nich żandarmi wykryli bunkier partyzancki. Doszło do wymiany ognia. Został zabity żandarm, poległ też gryfowiec Konkol. W odwet hitlerowcy rozstrzelali na podwórku Miotków dziesięciu zakładników.

Sprawa Scherfa dotarła do sądu gryfowskiego przy Komendzie Głównej Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”. Sąd wydał wyrok skazujący Scherfa na karę śmierci. Wyrok wykonali w dniu 23 maja w leśniczówce Kamień porucznik „Zagłoba” i „Bliza” z grupy kamieńskiej. Po tej egzekucji Niemcy wywieźli w lasy kamieńskie dwudziestu zakładników, przetrzymywanych w więzieniu wejherowskim, w tym dwóch rannych podczas obławy nad Ślężą partyzantów koleczkowskich, Wiktora Liedtkego „Ława” i Jana Libona „Brona”. Gdzie ich pogrzebano, nie wiadomo. Zgodnie ze zwyczajem zbirów hitlerowskich, ofiary zakopano na miejscu zbrodni.

– Musimy odszukać miejsce pochówku zabitych zakładników – zaproponowałem naszym po otrzymaniu informacji o tej tragedii.

– Powołamy specjalną grupę poszukiwawczą – postanowił kapral „Stół”.

Z „Orłkiem”, bo taki pseudonim po przysiędze otrzymał harcerz z Orłowa, weszliśmy w skład tej grupy poszukiwawczej. Przetrzęsaliśmy całe leśnictwo Kamień, ale śladu pochówku nie znaleźliśmy.

Coraz trudniej i niebezpieczniej było poruszać się po terenie. Front wschodni dochodził do ziem polskich. Niemcy czynili wszystko, by oczyścić zaplecze, w tym również lasy kaszubskie z licznych oddziałów i grup partyzanckich. Czatuwali na nas na każdym kroku. Dla zabezpieczenia swoich urzędów, instytucji, linii łączności i innych urządzeń, a także swoich obywateli, ulokowali w Bojanie kilkudziesięcioosobowy oddział esesmanów ukraińskich, tak zwane Jagdkommando, które penetrowało skrupulatnie całą okolicę. Życie w bunkrach i w wioskach staowało się coraz trudniejsze. Już teraz lękaliśmy się zimy. Wmawialiśmy sobie, że nim ona nadejdzie, wojna się skończy. Najbardziej pocieszające było to, że nareszcie utworzony został na zachodzie Europy drugi front.

Był szósty dzień czerwca, zaledwie kilka dni po wizycie w „Lwiej Jamie” Anglików, gdy niespodziewanie wpadł do nas goniec z grupy łączyckiej ze złą wiadomością:

Kapral „Stół” jest ranny.

Z dalszej rozmowy dowiedzieliśmy się, że przedwczoraj, gdy wyszedł od nas na spotkanie z przedstawicielami komendy rejonowej organizacji, natknął się na Marszewskiej Górze na ukryty w krzakach patrol Jagdkommando. Został postrzelony i jakimś cudem uwolnił się od esesmanów i dowłókł do Chyloni. Teraz jest w miejscu, gdzie jest urządowo zameldowany na nazwisko Orłowski.

– No tak – ze smutkiem powiedział mój druh – zostaliśmy tylko w dwójkę w tej obszernej, smutnej jamie.

Prawda. Do tej pory mieliśmy oparcie w naszym kapralu, a teraz do kogo się zwrócić, z kim porozmawiać, czyje rozkazy wykonywać? Wykruszają się nasze szeregi, oj wykruszają. Od pewnego czasu nawet „Dzik” do „Lwiej Jamy” nie zaglądał.

Postanowiliśmy na jakiś czas opuścić „Lwią Jamę” i udać się do mojej skrytki na Bieszkówku i tam skontaktować się z bliskimi, których od pewnego czasu nie widziałem. Tęskniłem coraz bardziej za mamą, siostrą, również za Małgosią. Jednak do chwili zaplanowanego spotkania Anglików z wejherowskimi przełożonymi, musieliśmy tu pozostać. Porządkowaliśmy dokumentację naszej komendy i tak, jak już wcześniej postanowiono, ukryliśmy co ważniejsze dokumenty w butelkach, które zakopaliśmy w lesie opodal schronu.

Jako pierwsi przybyli „Bobi” i „Paddi” w towarzystwie „Widu”. Próbowaliśmy rozmawiać z naszymi angielskimi przyjaciółmi o ich wojennych przygodach. Dowiedzieliśmy się, że „Paddi” od osiemnastego roku życia służył ochotniczo w armii brytyjskiej, a ostatnio walczył w Brytyjskim Korpusie Posiłkowym na terenach Belgii, Holandii, Francji. Pod

Sant Valeri dostał się do niewoli. „Bobi” natomiast był kolejarzem i walczył z Niemcami na początku 1940 roku w tym samym rejonie, gdzie jego kolega.

Po uzgodnionym sygnale i podaniu hasła otworzyłem wąż i do schronu weszli „Zagłoba” i „Batory”. Po wstępnych rozmowach przystąpiono do ceremonii zaprzysiężenia angielskich żołnierzy. Zanim złożyli przysięgę, „Zagłoba” przedstawił w zarysie w języku niemieckim, który znali dość dobrze, regulamin „Gryfa”, a na pytanie, czy przyjmują obowiązki członków kaszubskiej organizacji konspiracyjnej, odpowiedzieli twierdząco. „Bobi” chyba dla udokumentowania, że umie po polsku, powiedział:

– Ja, wir sę bereit byc polskimi partyzantami.

Były serdeczne uściski dłoni, gratulacje, a nawet wiwaty. Po pewnym czasie wyszli nasi nowi gryfowcy razem z przełożonymi z powiatu, bo mieli zamiar udać się w poznane przedtem strony do zaprzyjaźnionych Kaszubów z Grabowca. „Zagłoba” wrócił i radził nam, druhom, na razie opuścić „Lwią Jamę”, gdy nie ma potrzeby zamęczania się w wilgotnym schronie.

– A nad sytuacją w koleczkowskim oddziale zastanowimy się w komendzie powiatowej – dodał na odchodnym.

Spotkanie u wujostwa na Bieszkówku nie było takie, jak poprzednio. Nad wszystkimi ciążyła zmora niepewności jutra, zgroza ostatnich wydarzeń, a także beznadziejność sytuacji, w jakiej znaleźli się mieszkańcy Lesózków. Z drugiej strony, szczególnie u Wiktora, pojawiły się przebłyski zadowolenia z naszego przyjscia. Powiedział:

– Prześniami nie bąde muszół chodżec do waji jaż w dwasta dwadzesti z cepłą strawą.

W pokoiku na szopie nie było nic ruszane. Wyglądało na to, że pustelnia czekała na mnie. W tym kącie od razu poczułem się lepiej.

– Blós bądżta ostróžny – upominała nas ciocia przy kolacji.

Wieczorem przyszedł do nas na górę mocno przygnębiony Wiktor. Usiadł na taborecie, popatrzył na nas, następnie pochodził po pokoju ze spuszczoną głową, stanął w drzwiach i powiedział smętnym głosem:

– Wa pewnie nie więta, że naszęc znowu ubęle. Wzjęł do lagru „Sochę” i jego ojca, a tęcz jego półbrata Féliksa.

– To kolejny komandir grupę partizanczci sę wékruzszęł – powiedziałem z ubolewaniem – Czē to sę nigdē nie skuńczi? – dodałem.

– Skąd oni wiedzą o naszęc, że jich tak kolejno węcugają? – zastanawiał się Wiktor.

Nikt z nas nie wierzył w to, żeby w gronie gryfowców był jakiś konfident. A może mają sposoby i wyciągają nazwiska od aresztowanych i maltretowanych? Te i inne domysły krążyły nam po głowach.

– Nigdy nie wiadomo, czy nie znajduje się w naszym gronie jakaś wtyczka – powiedział nasz nowy.

– Ja już przestaję wierzyć tym niby zaufanym – dodał „Kur”.

Wiadomość, jaką przyniósł Wiktor, popsowała nam humory i chwilową radość z powrotu pod przytulny dach. Trochę mina mi się poprawiła, gdy Wiktor powiedział, że jutro odwiedzą nas moja mama i Ludka, a może i Małgosia, której wiele dni nie widziałem.

W porze obiadowej następnego dnia rzeczywiście przybyły moja mama i siostra. Małgosi nie udało się zawiadomić. Obie były zatroskane. Powody tego były dwa: pierwszy to dramatyczna sytuacja w konspiracji i stała nagonka, szczególnie tych z Jagdkommando, a po drugie zbliżające się żniwa. Nasz teren pozbawiony był prawie mężczyzn.

– Ludka trenuje machanie kosą – zauważył Wiktor.

Siedząc w rodzinnym gronie, czuliśmy się mimo wszystko dobrze. Wspominaliśmy da-

wne dobre czasy i marzyliśmy o tym, że one wrócą, zgodnie z kaszubskim przysłowiem: „Po złim przinǳe dobre”. Tylko nadzieja mogła nas uratować.

– Teró nôlezi postawic na przetrwanie, a pocienié Miemcom muszita ostawic – radziła nam mama na odchodnym.

Nie zaniechano jednak działań w kilku grupach gryfowskich. „Zagłoba” zabezpieczony w podrobione dokumenty i odziany w mundur niemiecki, dokonał z „Ewą” i „Piõrem” oraz kilkoma innymi partyzantami z bunkra „Jutrzenka” wręcz niewiarygodnego czynu. Uwolnili z obozu Potulice członka komendy wiejskiej z Grabowca Irenę Czoske, która od marca 1942 roku tam przebywała i poddawana była częstym przesłuchaniom przez gdańskich gestapowców.

Dwóch partyzantów z grupy łążyckiej, „Józef” i „Amster” zatrzymali polakożerczego SS-mana Bruno Schwarza, który zastąpił osadzonego w Stutthofie leśniczego z Piekielka, Tomysa. Chcieli go przestraszyć, dać mu nauczkę i rozbroić. Ten jednak rzucił się na jednego z nich i w wyniku szarpaniny zginął.

Takie wieści przynosił nam do naszej pustelni „Kur”. Przynosił też wiadomości złe, tragiczne.

Przed dwoma dniami, to jest 27 czerwca, wczesnym rankiem do wielu zagród w Koleczkowie wpadło po kilku hitlerowców. Domownikom kazano w pięciu minutach ubrać się i z dziećmi oraz starcami popędzono do bylej karczmy Loeperów. Aresztantów z pustek przywieziono furmankami. Znalazły się tam rodziny Bieszków, Kustuszów, Parchemów, Naczków, Pionków, jednych i drugich Gurskich, Frankowskich, Wentów i naszych sąsiadów Kandziorów. Wszystkich nie zapamiętał. O ile dobrze policzyłem, razem było 19 rodzin. Takie wywózki miały miejsce również w wioskach sąsiedzkich.

– To Koleczkowo opustoszało – powiedział „Orlątko”.

– A gdzie ich powieźli? – zapytałem.

– Samochodami w stronę Wejherowa – wyjaśnił Wiktor.

– O Boże! Chyba nie w Lasy Piasńnicke? – powiedziałem z przerażeniem.

– Mam nadzieję, że nie rzekłeś tego w złą godzinę – ze smutkiem powiedział kuzyn.

– Policzmy osoby – dodał. – Ty będziesz pisał, a ja będę mówił, choć niezupełnie wiem, ile osób, szczególnie dzieci było w poszczególnych rodzinach.

Naliczyliśmy około 115 osób, ale liczba ta nie była pewna. Wśród aresztantów byli również nasi, jak „Brzózka”, „Klon”, „Baran” i może inni. Później dowiedzieliśmy się, że zostali skierowani do obozu koncentracyjnego Potulice pod Nakłem.

Podczas oblawy zorganizowanej przez hitlerowców 17 sierpnia na Marszewskiej Górze poległo dwóch partyzantów z grupy łążyckiej: Paweł Makurat z Kieleńskiej Huty i Antoni Rohde z Rogulewa, zaś Leon Bieszke z Wiczlina został ranny. Oprawcy maltretowali go w leśniczówce Rogulewo, ale żadnych informacji na temat partyzantki i jego kolegów nie uzyskali. Zginął później w Stutthofie. Natomiast zwłoki poległych rodziny pochowały na cmentarzu kieleńskim. Zabroniono im stawiać na mogiłach nagrobki.

Był piękny letni dzień, pewnie jeden z ostatnich tego lata. W samo południe, gdy słońce prażyło najmocniej, udałem się do nowych schronów na Sarniej Górze, aby odwiedzić „Grzyba”, który od pewnego czasu nie czuł się dobrze.

– To dobrze, że tã tu przëszedł. Mie ta rojma krący na wszëtczié stronë. Jõ prawie łążëc ni mogë. A tej jesz to zmartwienié dobijõ mie do kuńca.

– Jaczé zmartwienié? – zapytałem.

– Në wiész, te nasze drobné pocesi muszã tak zdzinãc w tim hitlerowszcim lagrze, a białka tãz tam sę jiscy.

Pocieszałem go, jak mogłem. Opowiedziałem mu też o nieszczęściach, jakie dotknęły innych. Mówiłem mu o nich, żeby wiedział, że nie tylko on sam przeżywa tragedię. Wspominałem o małym Zysku Rodzie. Ma sierotka zaledwie trzy latka, a policmajstry z Kielna zawieźli go do Potulic.

– Serota, powiódłós?

– No tak. Tatka zdżinał nad Slężą, a mēmka umarła w Sztutowie.

Ze żniwami u mamy poszło dość gładko. Niemcom zależało na tym, by zboże zostało zebrane i dlatego władze gminne z Nowego Dworu przysłały do Bieszkowic maszynę do koszenia łańów zbóż. U mamy też skosiła, a z resztą dali sobie radę. Ja nie mogłem w Cierzni się pokazać, bo nasz dom, jak wiele innych, był pod stałą obserwacją Niemców, szczególnie miejscowych. Tylko Wiktor, żyjący na „okupacyjnej legalności”, pomógł zwieźć zboże do stodoły. Mama była ogromnie zadowolona.

To był chyba koniec września, gdy na Bieszkówku zjawił się nasz wierny opiekun i przełożony, porucznik „Zagłoba”. Przybył z nim jakiś, mnie nie znany, partyzant, który przyprowadził ze sobą rower. Poprosili mnie, abym zaprowadził ich w miejsce, gdzie znajduje się bunkier nazwany przez nas zbrojownią. Do Piekielek nie poszliśmy razem. Ten drugi miał tam dojechać rowerem brukiem Kamień – Rumia, a „Zagłoba” i ja powędrowaliśmy pieszo tą samą drogą. Dziwiłem się, że nie idziemy drózkami i ścieżkami leśnymi, ale nic przełożonemu nie mówiłem.

Na Wręczcze zauważyliśmy grupę własowców z Jagdkommando, którzy rewidowali jakieś furmanki. „Zagłoba” chwycił mnie za kołnierz, kazał założyć ręce na szyi i tak doszliśmy do krzyżówki. Ponieważ miał, jak prawie zwykle, mundur oficera SS, własowcy nie zwrócili na nas uwagi, a nawet oddali honory. Mój „oficer” machnął tylko niedbale ręką i poszliśmy dalej w kierunku Piekielek.

– Ale mądrze pan porucznik to wymyślił – z uznaniem powiedziałem „Zagłobie”.

– Ich trzeba brać na wszystkie sposoby, chytrąścią również – odpowiedział.

Za Piekielekiem, obok Wypalonego Błota, weszliśmy na teren oddziału 250. Tu znajdował się nasz bunkier zbrojeniowy. Do środka weszliśmy w dwójkę z porucznikiem. On wyciągnął spośród niesprawnych strzelb lekki karabin maszynowy.

– Miał być naprawiony. Nawet postarałem się o uszkodzone w nim części, ale piekielkowska tragedia pomieszała nam plany.

– Nie wiedziałem, że nasz oddział jest w posiadaniu elkaemu. Oj, gdyby był sprawny, nie taki byłby wynik bitwy nad Slężą. Ale teraz, komu jest potrzebny?

– No właśnie. Dlatego zabieramy go tam, gdzie może się przydać – powiedział ten drugi.

Przywiązaliśmy go do ramy rowerowej, zabezpieczając przed wścibskim okiem starą bluzką i ruszyliśmy tą samą drogą z powrotem. Ten drugi prowadził rower, a ja ze związanymi prowizorycznie rękoma szedłem obok. „Zagłoba” z wymierzonym w nas pistoletem szedł z tyłu. Teraz nie protestowałem przeciwko takiemu traktowaniu. Zrobiono z nas prawdziwych jeńców, ale dla naszego wspólnego bezpieczeństwa. Doszliśmy prawie do jeziora Okuniewo Małe i rozstaliśmy się. Ja poszedłem w kierunku Bieszkówka, a oni w przeciwną stronę pod Szemud.

– Nie laźić za dużo po terenie. Uczyć się i jeszcze raz uczyć. Wy jesteście przyszłością narodu – taką maksymę przekazał mi „Zagłoba” na rozstajnych drogach.

Skorzystalismy z tej rady. Wróciliśmy do nauki, a drogocenną pomoc w tym dziele stanowiły moje podręczniki gimnazjalne. Zespół kształcący składał się z następujących osób: „Orlątko”, „Jaskółka”, „Kur” i ja. Od czasu do czasu w naszym szkoleniu brał udział „Mo-

tyl” z Reszek. Nauka oderwała nas w dużej mierze od współczesnej rzeczywistości, od trudów i dolegliwości życia codziennego. Pochłonięci pracą nie reagowaliśmy tak mocno na wydarzenia lokalne i te z areny międzynarodowej. Wiadomości radiowych słuchaliśmy z niechęcią.

Ta wiadomość, jaką przekazał nam partyzant, który wiozł karabin maszynowy z Koleczkowa do Częstkowa, a który przedstawił się jako Leon, była druzgocąca. Opowiadał głosem urwanym, robił niekiedy przerwy, a w pewnych miejscach wpadał w złość. Tyle dowiedzieliśmy się z jego niespójnej opowieści:

– „Zagłoba” i on prowadzili rower z ceną zdobyczą znad jeziora Okuniewo bokiem Zielenisza i Grabowca do szosy łączącej Szemud z Wejherowem. Po jej przekroczeniu znaleźli się przed Głazicą. Ponieważ zapadał już zmrok, postanowili nie boczyć lasami, a podażyć do Częstkowa na skróty. W Głazicy prowadzili rower drogą biegnącą bokiem szkoły. Niespodziewanie przed budynkiem szkolnym znalazło się dwóch własowców chwiejących się na nogach, zapewne pijanych. W zamroczeniu alkoholowym i chyba więc do żartu, oddali w kierunku nas dwóch kilka strzałów. Zdenerwowany „Zagłoba” skierował serię z pistoletu w ich stronę. Obaj padli na ziemię. Na odgłos strzałów wyskoczyło z budynku szkolnego kilku kolejnych esesmanów.

– Wtedy rzuciłem rower, wyrwałem z kieszeni pistolet i zaczęła się dość ostra strzelanina – oznajmił po pewnym czasie Leon.

– Toście dali im popalić – przerwałem jego opowiadanie.

– No tak – opowiadał dalej przybysz – rzeczywiście padł trzeci hitlerowiec. Ale stała się rzecz nieoczekiwana.

Przerwał na moment, otarł dłonią spocone czoło i kontynuował dalej swoją opowieść:

– Porucznik padł na ziemię w momencie, gdy chciał podnieść leżący na drodze rower z elkaemem. Na jego ubraniu pojawiły się plamy krwi. Otrzymał postrzał w płuca. Zdołałem go dociągnąć do pobliskiej zagrody. Za radą gospodarza ukryliśmy go w stodole. Własowcy nas nie szukali, bo obiektem ich zainteresowania stał się pozostawiony na drodze rower z przywiązaną bronią. Po zatamowaniu krwi i wstępnym obandażowaniu rany przy udziale córki gospodarza, polecił mi udać się do „Batorego”, przebywającego w Gowinie i powiadomić go o tym, co tu się wydarzyło.

– A co z porucznikiem? Gdzie go teraz szukać? – denerwował się przejęty tą wiadomością „Kur”.

– Gdzie szukać? W Częstkwie u Grzenkowiczów.

Z dalszej opowieści wynikało, że na własną prośbę dobrzy ludzie przenieśli ранego porucznika do Częstkowa, gdzie zaopiekowała się nim jego narzeczona Zofia Grzenkowicz.

– To ta „Emilka”, która dość często przychodziła do nas z meldunkami od „Zagłoby” – domyślił się „Kur”.

– Teraz porucznik przysyła mnie do was po jakieś materiały opatrunkowe. Macie tu jakąś torbę sanitarną. U ранego ma być lekarz Majrowski, ale nie wiadomo, kiedy uda mu się dotrzeć do Częstkowa.

Po odejściu wysłańca z paczką bandaży, waty i rolką przylepców, oniemiał siedzieliśmy w ciemnym pokoju. Jest to możliwe? Czy naprawdę straciliśmy ostatniego doradcę, przelożonego i przyjaciela? Czy rzeczywiście zostaliśmy pełnymi sierotami związkowymi? Co za okrutny los przesładuje ludzi lesińskiego podziemia.

Nie chciało nam się niczego, nawet zapalić karbidówki, ani jeść kolacji, ani rozmawiać między sobą, a tym bardziej brać się do nauki. Byliśmy rozstrojeni, zobojeźniali na wszystko.

Okrucieństwo okupacji i wojny nie tylko nam gryfowcom dawało się coraz bardziej we znaki, ale dotyczyło prawie wszystkich mieszkańców kaszubskich stron. Ginęli ludzie w partyzantce, w obozach, na frontach w mundurach polskich tak na zachodzie, jak i na wschodzie, i ci, których przymusowo odziano w mundury feldgrau. Niemcy siłą zaciągali młodocianych i mężczyzn w podeszłym wieku do Volksturmu, wszystkich zabierali do kopania umocnień, szczególnie wokół Gdyni. A ile ofiar pochłoną walki o wyzwolenie naszych ziem spod okupacji hitlerowskiej?

Pod koniec października Leon dotarł do nas z kolejną złą wiadomością.

Z rana 18 tego miesiąca żandarmi i gestapowcy otoczyli zagrodę Grzenkowiczów w Częstkwowie. „Zagłoba” zdołał, choć z otwartą jeszcze raną, wyskoczyć oknem i ukryć się na pobliskiej szopie. Niemcy zastali puste, ale ciepłe jeszcze łóżko porucznika Hebla, którego ścigano listem gończym i za jego ujęcie wyznaczono wysoką nagrodę. Skatowali jego narzeczoną Zofię i jej matkę Paulinę. Gdy kobiety nie zdradziły niczego, sprowadzili z pola właściciela zagrody Grzenkowicza, który był też członkiem „Gryfa”. Gdy i on niczego nie zdradził, zastrzelili go po wielu męczarniach, a później na oczach żony i córki zagrzebali w oborniku. Przeprowadzono rewizję we wszystkich zabudowaniach. Jak weszli na szopę, padły strzały. Zginął oficer niemiecki, a rannych zostało dwóch żandarmów. Potem wpędzili do góry obie kobiety. Pod ich osłoną próbowali unicestwić obrońcę, ale on się nie poddał i strzelał dalej do nacierających. Gdy skończyła się mu amunicja, próbował zrzucić z szopy jednego z napastników, ale wtedy został pojmany. Rannego „Zagłobę” hitlerowcy kopali po bliznach i ranach, kłuli bagnietami i w końcu zrzucili go z szopy na kamienny chodnik. Tu dalej nad nim się pastwili. Nie wypowiedział ani jednego słowa. Jego, „Emilię” i jej matkę wrzucili do samochodu i odjechali.

– No, to już koniec z „Zagłobą”. Gestapowcy na pewno go wykończą – z niepokojem półgłosem stwierdził „Kur”.

– To twardy człowiek i uparty Kaszuba. Tak z góry nie można jego losu przesądzać – lekko skarciłem mojego kuzyna.

– Co za los, co za nieszczęścia na nas spadają – powiedział zrozpaczony „Orlątko”.

Rzeczywiście, los nas nie rozpieszczał. Nasza partyzantka ponosiła coraz dotkliwsze straty. Odchodzili najlepsi. Poza Koleczkowem też niedobrze się działo. Wszystkie grupy koleczkowskiej komendy „Gryfa” były przetrzebione, niektóre wręcz rozbite. Tak stało się z grupą dębogórską, z której część przeszła do nowo utworzonej grupy „Młota”. Podobna była sytuacja w Kamieniu, w Łężycach, Bojanie. Na początku 1945 roku własowcy z Jagdkommando przechwycili z grupy bojańskiej „Brunka” i nauczycielkę Zalewską.

A nasza piątka harcersko-młodzieżowa trwała, choć osamotniona i pozbawiona łączności z poszczególnymi komórkami leśońskiej organizacji. „Gryf” poniósł na naszym terenie tak dotkliwe straty, że praktycznie jako zorganizowana komórka ruchu oporu przestał istnieć.

Rozdział 15

Zakończenie

Kontakty naszej piątki były coraz rzadsze. Jeszcze przed pierwszym śniegiem zapukały do naszego pokoiku „Jaskółka” i „Motylek”. Były podniecone, co nie wróżyło nic dobrego. Przeszły z wiadomością, że Małgosia została wpisana przez niemieckiego Ortsbauernführera na listę osób, które od jutra będą skierowane do kopania umocnień wojskowych na skraju lasu pomiędzy Reszkami a Hamowaną. Zaangażowani już wcześniej do tej roboty mieszkańcy Reszek pracowali pod nadzorem wojska od siódmej rano do czwartej po południu.

– Nie wiem, jaki los mnie czeka, gdzie mogą mnie przerzucić i co mnie może spotkać, gdy nadejdzie front i dlatego przyszedłem się pożegnać. Nie będę już mogła do was zaglądać, ani z wami się kontaktować.

Po krótkiej pogawędce obie dziewczyny zebrały się do odejścia. Małgosia wszystkich serdecznie uściskała, a mnie pocałowała. Tego się po niej nie spodziewałem. Byłem w siódmym niebie. Pożegnaniu towarzyszyły łzy. Nim się oddaliła, powiedziała:

– No, to moi kochani, do zobaczenia w wolnej Polsce. Pamiętajcie o mnie – zauważyłem, że te ostatnie słowa były skierowane przede wszystkim do mnie.

Rozstania są zawsze trudne, a to dzisiejsze było przepojone wielkim smutkiem i goryczą, bo odchodziła ta, z którą zżyliśmy się jak z siostrą od samego prawie początku okupacji. Jeszcze ją dogoniłem i nie bacząc na siostrę, pocałowałem.

– Będę o tobie, Małgosiu, pamiętał. Kocham cię!

Na placówce nazwanej przeze mnie pustelnią pozostało nas dwóch druhów i wierny Wiktor, który dostarczał nam najświeższych wiadomości. Ludka przychodziła coraz rza-

dziej, bo i po co miała przychodzić: szkolenie zawiesiliśmy, pisanie ulotek i gazetki również, a nieprzyjemnymi nowinkami nie chciała nas denerwować. Zresztą ostatnie śniegi utrudniły poważnie dojście na nasze pustkowie.

Na przełomie stycznia i lutego 1945 roku Wiktor przyniósł nam informację, że Niemcy ewakuują Stutthof. Całkiem przypadkowo natknął się na sztutowiaka z naszego oddziału partyzanckiego, który uciekł z kolumny ewakuacyjnej w Łebnie. W jego grupie było jeszcze kilku naszych, ale ci nie mieli tyle szczęścia, żeby zbiec. Opowiadał, że droga ewakuacyjna usłana jest trupami. Kto nie mógł nadążyć, ginął od kuli konwojenta. Więźniowie są tak wygłodzeni i słabi, że nie mogą wytrzymać forsownego marszu w kopnym śniegu.

Do Koleczkowa dotarli pierwsi potuliczanie. Niemcy rozwiązali obóz, bo zbliżał się front wschodni. Po powrocie byli więźniowie kryli się przed hitlerowcami, którzy czuli się na naszych ziemiach jeszcze panami. Pewnego popołudnia Wiktor przyprowadził do naszej kryjówki dziewczynę odzianą w obozowe lachmany, w drewniakach na nogach, strasznie wynędzniałą i z zapadłymi oczami. Próbowano się uśmiechnąć, ale ten uśmiech jej nie wyszedł, tak była osłabiona. Gdy jej się dobrze przyjrzałem, poznałem ją.

– Przecież to nasza „Brzózka”! Co oni z ciebie zrobili? Łotry przekłete. Witaj z nami! Już my ciebie podreperujemy.

Po naradzie z ciocią umieściliśmy ją w pokoju Wiktora, on zaś wprowadził się do nas. Było ciasno, ale ta niewygoda była nieporównywalna do tej, jaka musiała panować w obozie. Po jakimś czasie, gdy przyszła trochę do siebie, „Brzózka” opowiedziała nam trochę o swoich przeżyciach obozowych. Mówiła z nieukrywaną niechęcią, przeżywała je jakby ponownie. Trudno ją było namówić na te rozmowy.

– Było, nie było. Jestem na wpuł wolna, a co mnie jeszcze czeka, nie wiem.

– U nas jesteś bezpieczna. Czuj się jak u siebie w domu – chciałem jej dodać otuchy i chociażby odrobinę nadziei.

– W domu? Tak bym chętnie tam zamieszkała, ale tam siedzą jeszcze niemieccy „trójenderzy”.

– Głowa do góry. Rosjanie ich wnet przepędzą – dodał na pocieszenie Wiktor.

Któregoś dnia nasza „Brzózka” poczuła się znacznie lepiej. Teraz z chęcią opowiedziała nam o swoich przeżyciach obozowych. Zaraz na samym wstępie przy formalnościach ewidencyjnych obozowi esesmani niejednego poturbowali. Później były śmierdzące baraki z barłogiem pełnym robactwa. Od następnego dnia ciężkie prace przy kopaniu torfu, załadunku barek na kanale bydgoskim, prace w ogrodzie przy pielęgnacji warzyw, które były przeznaczone dla wojska. O jedzeniu lepiej nie wspominać. Początkowo brzydaliśmy się jeść zupę z pokrzyw okraszoną robactwem, ale później chcielibyśmy mieć jej jak najwięcej. Były bolesne zastrzyki podawane w dość ordynarny sposób, które u wielu wywoływały owróżnienie skóry. Dozorcy i kapo nie cackali się z nami. Ich „los, los” stale dźwięczało nam w uszach. Jednak najgorzej było nad Drwęcą, gdzie nas wywieźli do budowy umocnień wojskowych. W mroźnej zimie mieszkało się w końskich barakach. Brakowało ciepłej odzieży. Jak nadchodził front, własowcy popędzili nas jak bydło w stronę Potulic. Mielli w zamiarze wysadzić w powietrze razem z nami most na Wiśle pod Toruniem, ale żołnierze Wehrmachtu na to nie pozwolili. Gdy front był tuż, tuż, esesmani uciekli, a my podjęliśmy daleką drogę na Kaszuby. To była też prawdziwa droga krzyżowa, w czasie której ginęli ludzie.

Odgłosy frontu były coraz wyraźniejsze, bombardowania Gdyni częstsze. W huku armat szło wyzwolenie. Pierwsze radzieckie czołgi pojawiły się w naszej okolicy 12 marca.

Dwa dni wcześniej na podwórzu gospodarstwa Bieszków, gdzie przebywali nasi partyzanci z „Młotem” na czele i zwiadowcy rosyjscy, podjechały trzy czołgi z gwiazdami na pancerzach. Z nich wyskoczyli czerwonoarmiści z oficerem wyższej rangi na czele. Ustawili szpaler, a zwiadowcy złożyli raport. Następnie oficer podszedł do gryfowców, każdemu uściśnął dłoń, podziękował za współpracę z wywiadowcami. Wszyscy zajęli miejsca w czołgach i odjechali.

To były przyjemne momenty i gesty ze strony naszych wyzwolicieli, ale były też nieprzyjemne i przykre, szczególnie dla dziewcząt i kobiet. Napastowali je przy lada okazji. W tej sytuacji „Brzózka” zmieniła swoje lokum. Zamieszkała w naszej ukrytej pustelni, a my przenieśliśmy się do pokoju Wiktora.

Teraz bez obaw ruszaliśmy w teren. Niemcy zniknęły jak kamfora. W dniu 17 marca szliśmy z Koleczkowa w kierunku zabudowań szkolnych, które były poważnie uszkodzone przez działania wojenne. Miałem zamiar zdobyć tam jakieś książki ponoć ukryte na strychu. Wszędzie kręciły się wojska radzieckie, bo Niemcy bronili się jeszcze w Gdyni, Gdańsku i na Helu. Teraz oni się bronią na Półwyspie – pomyślałem – Jak to się wszystko zmienia.

– Czołgi od lasu – zauważył „Orlątko”.

On był najbardziej zainteresowany tym, żeby Niemcy zostali wyparci z całego Wybrzeża. Przecież w Orłowie był jego dom. Każdy ciągnął do swoich. Ja też już byłem wiele razy w Cierzni i zamierzałem w najbliższych dniach przenieść się do domu na stałe. „Brzózka” również wróciła do opuszczonej przez Niemców rodzinnej zagrody.

Rumor zbliżających się czołgów był coraz wyraźniejszy. Z zakrętu wyłoniła się cała kolumna stalowych potworów. Jechały z dużą prędkością. Włady do nich były otwarte i z nich wyglądali czołgiści w kaskach ochronnych. Na maskach niektórych siedzieli żołnierze w czapkach z ... orłami. Bałem się wypowiedzieć to słowo, które cisnęło mi się na usta. Ano tak, to rzeczywiście orzelki. Były także na pancerzach pędzących czołgów. Pomachaliśmy im rękami, a oni wołali: – Cześć chłopcy, cześć rodacy, a niektórzy: – Czołem harcerze! A więc to rodacy, nasi pancerniacy. Jadą wyzwać Gdynię, bo skręcili Królewską Drogą w kierunku Chyloni.

Wrócili więźniowie Stutthofu i innych hitlerowskich obozów, a wśród nich nasi członkowie „Gryfa”. Ledwie wrócili, a już organizują się w szeregach Milicji Obywatelskiej. Na komendanta posterunku powołany został członek komendy gminnej „Gryfa” kapral Teodor Bieszke o pseudonimie partyzanckim „Byk”. Posterunek MO zlokalizowano w jego zagrodzie na wybudowaniach koleczkowskich. Pierwszym zadaniem milicjantów była obrona pozostałego po działaniach wojennych majątku prywatnego i społecznego oraz ochrona kobiet przed rozwydrzonymi wojakami ze wschodu.

Życie powoli wracało do normy. Mimo wielu trudności, przeciwności i zahamowań szło naprzód. Mnie i całe moje otoczenie ogarnęła wielka chęć życia, działania, tworzenia nowej rzeczywistości. Tylko od czasu do czasu nadciągały smutne wspomnienia, wracała niezatarta pamięć tamtych wojennych i okupacyjnych dni. Często nawiedzały mnie i innych smętne wspomnienia o bliskich osobach, które odeszły z naszego grona, a było ich wielu, bardzo wielu. Każda prawie rodzina opłakiwała swoich najbliższych. Ja przede wszystkim mojego tatę, którego hitlerowcy zamordowali w Lesie Piasznickim, a także wujka Walerego i ciocię Zofię, którzy zginęli w obozie koncentracyjnym Stutthof oraz wielu przyjaciół, druhów, którzy polegali na polu chwały i tych, których los był mi nieznanym.

Czytelnika może zainteresować to, co stało się z tymi bohaterami naszego opowiadania, którzy przeszli wojnę:

Radek został nauczycielem i często opowiadał uczniom o swoim udziale i kolegów w zmaganiach wojennych i działalności konspiracyjnej.

Zyguś, który przeżył obóz, został tak jak jego zamordowany ojciec kolejarzem i jako kombatant brał udział w spotkaniach z młodzieżą zainteresowaną jego wojennymi bezdrożami.

Ludka wyszła za mąż za syna rolnika i byłego partyzanta z Grabowca i oboje prowadzili gospodarstwo rodzinne na Cierzni.

Sławek ukończył technikum samochodowe i jako kierowca pracował w Polskiej Komunikacji Samochodowej.

A Małgosia?

Małgosia wyszła za Radka, wyprawili huczne wesele, na którym i ja byłem, kawę i szampan piłem, ale papierosów nie paliłem.

Spis treści

	Od autora	5
Rozdz. 1.	W Wolnym Mieście Gdańsku	6
Rozdz. 2.	Na kartuskiej ziemi	21
Rozdz. 3.	Harcerze w obronie Gdyni	35
Rozdz. 4.	Razem z wejherowskimi ochotnikami	51
Rozdz. 5.	W kosynierskim batalionie	67
Rozdz. 6.	Ostatnia reduta	81
Rozdz. 7.	Niewola	100
Rozdz. 8.	W konspiracji	110
Rozdz. 9.	Wierni tradycji	124
Rozdz. 10.	Dziel i rządź	133
Rozdz. 11.	Wśród ludzi odważnych	143
Rozdz. 12.	Działalność kaszubskich partyzantów	162
Rozdz. 13.	W potrzasku	172
Rozdz. 14.	Po bitwie nad Slężą	183
Rozdz. 15.	Zakończenie	193

**Lista ofiarodawców do zbiorów Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki
Kaszubsko - Pomorskiej w Wejherowie za rok 1997**

Osoby prywatne

- | | |
|---------------------------------------|--|
| Arendt Andrzej - Wejherowo | Kutta Tadeusz - Bydgoszcz |
| Bargański Waldemar - Wejherowo | Miękicka Ewa - Wejherowo |
| Błacharska Wiktoria - Gdańsk | Milczewski Zygmunt - Wejherowo |
| Bobrowski Witold - Głodnica | Mitosz Alfons - Szemud |
| Bolduan Tadeusz - Gdańsk | Miśkiewicz Ali - Białystok |
| Bonk Bolesław - Wejherowo | Nagel Alojzy - Gdynia |
| Bork Bolesław - Koleczkowo | Obracht Prondzyński Cezary - Bytów |
| Boryś Wiesław - Kraków | Osowicka Regina - Wejherowo |
| Borzyszkowski Józef - Gdańsk | Plocke Kazimierz - Krokowa |
| Breza Bogusław - Reda | Połchowski Henryk - Wejherowo |
| Breza Edward - Sopot | Popowska Taborska Hanna - Warsza-
wa |
| Bruski Klemens - Gdańsk | Pryczkowski Eugeniusz - Gdańsk |
| Brzeska Elżbieta - Karsin | Schröder Aleksander - Wejherowo |
| Czerwiński Wojciech - Swarzewo | Sędzicka Józefa - Gdańsk |
| Fikus Stefan - Lębork | Siraste Kirsti Maria - Finlandia |
| Fryda Marian - Człuchów | Socha Borzestowski Bronisław - Lon-
dyn |
| Handke Kwiryna - Warszawa | Stolarczyk Ewa - Wejherowo |
| Jabłoński Artur - Gdynia | Szalewski Mirosław - Wejherowo |
| Jeliński Marian - Swarzędz | Szews Jerzy - Gdańsk |
| Jentys Maria - Warszawa | Szulist Jerzy - Lipusz |
| Kaczmarek Hieronim - Puszczyko-
wo | Świątkiewicz Andrzej - Salzburg |
| Kaliński Maciej - Nawcz | Treder Jerzy - Wejherowo |
| Kanka Teresa - Gdańsk | Tusk Donald - Sopot |
| Kiedrowski Wojciech - Gdańsk | Wiśniewski Zygmunt - Żelistrzewo |
| Kipka Piotr F. - Australia | Wirkus Grażyna - Wejherowo |
| Klas Alina - Wejherowo | Żelewska Teresa - Donimierz |
| Klawiter Kazimierz - Rumia | Żurawski Bogusław - Wejherowo |
| Knitter Roman - Kościerzyna | |

Redakcje

Biuletyn Towarzystwa Przyjaciół Hallerowa - Władysławowo

Echo Czerska - Czersk

Gazeta Chojnicka - Chojnice

Gazeta Kartuska - Kartuzy

Gazeta Miasta Sopot - Sopot

Gazeta Świecka - Świecie

Głos Kaszub - Kartuzy

Gwiazda Morza - Sopot

Kaszuby - Kościerzyna

Kurier Bytowski - Bytów

Lesôk - Szemud

Mercuriusz Człuchowski - Człuchów

Pielgrzym - Pelplin

Pomerania - Gdańsk

Stężeckô Briza - Stężyca

Wiadomości Sierakowickie - Sierakowice

Wójtowa Kleka - Somonino

Muzea

Museum Brüger Grimm - Kassel

Frysk Letterkundlich Museum en Dokumentaajesintrum - Ljouwert

Muzeum Archeologiczne w Gdańsku

Muzeum w Grudziądzu

Muzeum Historyczno - Etnograficzne w Chojnicach

Muzeum w Lęborku

Muzeum Kaszubskie w Kartuzach

Muzeum Narodowe w Gdańsku

Muzeum Narodowe w Poznaniu

Muzeum Okręgowe w Toruniu

Muzeum Regionalne w Człuchowie

Instytucje i organizacje

Biblioteka Gdańska Polskiej Akademii Nauk - Gdańsk

Gminny Zespół Zarządzania Oświatą - Wejherowo

Gdańskie Towarzystwo Naukowe - Gdańsk

Instytut Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk - Warszawa

Instytut Kaszubski - Gdańsk

Instytut Słowianoznawstwa Polskiej Akademii Nauk - Warszawa

Katedra Botaniki Systematycznej Uniwersytetu Śląskiego - Katowice

Landsmannschaft Westpreussen Stellv. Bundessprecher - Münster

Nadmorski Park Krajobrazowy - Władysławowo

Parafia Rzymsko-Katolicka w Swarzewie

Sorbisches Institut e.v. - Bautzen

Stowarzyszenia Lęborskiego Bractwa Historycznego - Lębork

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Wydział Filologiczny - Poznań

Urząd Gminy - Krokowa

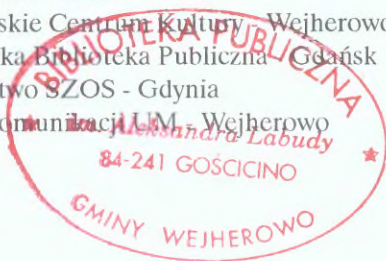
Urząd Miasta - Reda

Wejherowskie Centrum Kultury - Wejherowo

Wojewódzka Biblioteka Publiczna - Gdańsk

Wydawnictwo SZOS - Gdynia

Wydział Komunikacji UM - Wejherowo





1. Porucznik Bolesław Polkowski, harcmistrz, opiekun harcerzy



2. Ppor Józef Kąkolewski, dowódca 1 kompani Gdyńskich Kosynierów



3. Rodzinna chata Radka Okroja



4. Rewizja wziętych do niewoli harcerzy



5. Wejherowscy gestapowcy



6. Krajobraz kaszubski



7. Jezioro Borowo w lesie za Nowym Dworem



8. Dom rodzinny ks. dra Leona Heykego w Cierzni



10. Leonard Kustosz ps „Burza”



9. Pułkownik Stanisław Dąbek, Dowódca Lądowej Obrony Wybrzeża



11. Fragment Bieszkowic (w głębi szkoła)



12. Krajobraz Kaszubski



13. Bernard
Michałko
ps. „Batory”,
członek
komendy
powiatowej
TOW „Gryf
Pomorski”



14. Teodor
Bieszke
ps. „Byk”,
mąż zaufania
komendy
gminnej
TOW „Gryf
Pomorski”



15. Paweł
Pionk
ps. „Karabin”



16. Pracownicy, więźniowie Organisation Todt z Kaszub



17. Śleża (Zagórska Struga) niedaleko Piekietka



18. Stanisław
Klebba
ps. „Rak”



19. Ksawery
Stuba,
dowódca
grupy
gryfowskiej
w Zbychowie



20. Paweł Liedtke
ps. „Jeleń”



21. Polegli w konspiracji lub zamordowani bracia Liedtkowie:
Władysław, Paweł, Antoni i Wiktor



22. Remiza strażacka w Bojanie - kostnica partyzantów



23. Alfred Liedtke ps., „Mlot”



24. Sierzant Horacy Johnson ps., „Paddi”

Geheime Staatspolizei
Staatspolizeistelle Danzig

Danzig, den 8. Juni 1944
Neugarten 27
Fernsprechnr. 333-33

Tgb.-Nr. IV 1 e - Ja. - 261 ⁰⁸ / 1012
(Bei Anwesenheiten anzugeben)

An die
Kommandatur des Konzentrationslagers
in Stuttgarf.

Betrifft: Deserteur Viktor L i e d t k e, geboren am 22. 12. 1910
in Kollendorf, Kreis Neustadt, dortselbst wohnh. gewesen
und
Johann L i e b o n , geb. am 23. 6. 1922 in Kollendorf,
dortselbst wohnhaft gewesen.

Vorgang: PS.v.14.3.44 Nr. 4468 und hies. Schr.v.6.4.44.

Die Obengenannten wurden am 5.6.44 zu einer Bunkersaktion
aus dem dort. Lager abgeholt.
Bei Durchkämung eines Waldstückes ergriffen sie bei einer ge-
eigneten Gelegenheit die Flucht und wurden erschossen.

In Auftrage
gez. G

Beaufh. d.
Kanzleiangestellte.

25. Dowód śmierci Wiktora Liedtke i Jana Libona



15951
12 50R

Gminna Biblioteka Publiczna
w Gościnnie



10012932

ISBN 83-901354-7-7